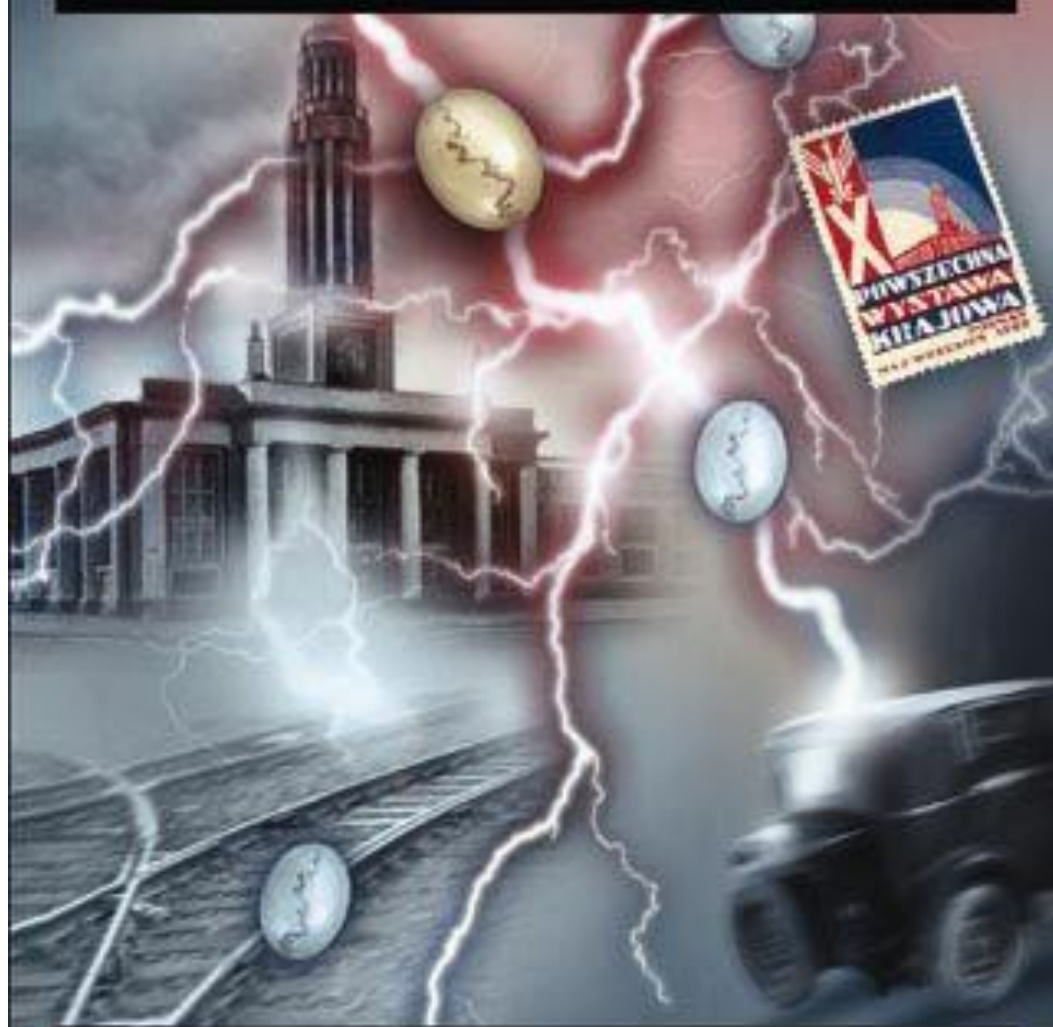


Konrad T. Lewandowski

Elektryczne perły

Morderca doskonały
w międzywojennym Poznaniu



Wydawnictwo Dolnośląskie

Konrad T. Lewandowski

Elektryczne perły

powieść kryminalna retro

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'M', 'L', and 'K' intertwined. The 'M' is on the left, the 'L' is in the middle, and the 'K' is on the right, with the letters overlapping and flowing together in a cursive-like font.

1. Przedśionek piekła

Kolumna trzech czarnych opoli przejechała przez bramę zajezdni tramwajowej przy ulicy Kawęczyńskiej na warszawskiej Pradze. Tramwajarz, w czapce wciśniętej głęboko na uszy i baranym kozuchu narzuconym na roboczy kombinezon, podbiegł do pierwszego samochodu, pokazał kierunek i natychmiast schował ręce pod pachy. Mróz był iście syberyjski, minus trzydzieści stopni.

Ople ruszyły, buchając z rur wydechowych kłębamii pary, która natychmiast zmieniała się w tumany drobnego śniegu. Tramwajarz truchtał obok, pilnując, czy dobrze jadą, ale nie było to potrzebne. Zaraz za rogiem hali remontowej widać już było zbiegowisko. Podekscytowani ludzie najwyraźniej nie przejmowali się trzaskającym mrozem. Tłoczyli się przed wejściem do parterowego budynku bez okien, którego ściany pyszniły się świeżą ceglaną czerwienią. Ekipa śledcza podjechała bliżej, po czym policjanci i technicy kryminalni, walcząc z oporem grubych zimowych ubrań, zaczęli gramolić się z samochodów. Dwaj obecni na miejscu mundurowi energicznie odsunęli ludzi od drzwi.

Nadkomisarz Jerzy Drwęcki przecisnął się na zewnątrz i rozprostował nogi. Chciał odetchnąć głęboko rześkim zimowym powietrzem, ale mróz aż zaszczypał go w same oczy. Miał wrażenie, że rogowki pokrywają się szronem; dziesięć sekund później zaczął odmarzać mu czubek nosa. Było stanowczo zbyt rześko! W taką pogodę należało siedzieć w biurze przy szklance gorącej herbaty i napawać wonią atramentu oraz żółknącego papieru. Drwęcki zaczął się zastanawiać, co właściwie go podkusiło, żeby odbierać tę sprawę Księżykowi? Prawda, miał już dosyć urzędowania i koniecznie chciał się wyrwać z biurka, ale czemu akurat teraz? Wyglądało na to, że roziskrzony w słońcu śnieg, oglądany z okien ciepłutkiego gabinetu przy Daniłowiczowskiej, ma nader zdradliwy powab... - Ten romantyzm, Drwęcki, kiedyś cię zgubi! - mruknął do siebie, naciągając szalik na twarz. Należało, psiakrew, spojrzeć jeszcze na termometr! Księżyk najwyraźniej uwzględnił wszystkie fakty i okoliczności, bo ani myślał oponować. Nadkomisarzowi stanęła przed oczami wyszczerzona radośnie twarz podwładnego, kiedy zawiadamiał go o modyfikacji rozdzielnika bieżących spraw. Cwaniaczek! Ale trudno, słowo się rzekło...

Przed nadkomisarzem stanął zaferowany mężczyzna lat około czterdziestu. Spod niedopiętego płaszcza wyglądał biały kołnierzyk i węzeł przekrzywionego krawata.

- Inżynier Stanisław Bilecki - przedstawił się. - Jestem kierownikiem doświadczalnej

podstacji prostowników rtęciowych - pokazał na budynek. - Coś okropnego...

- Nadkomisarz Drwęcki - Jerzy wyciągnął rękę. - Co się stało?

- Straszny wypadek, panie nadkomisarzu!

- Współczuję! - sarknął Drwęcki, zacierając grabiejące dłonie - ale kto i po co wzywał do zwykłego wypadku kryminalną ekipę dochodzeniową?!

- Ja, panie nadkomisarzu! - odezwał się starszy z umundurowanych policjantów, zanim stropiony inżynier zdążył odpowiedzieć. Podeszedł do nich, zasalutował zamaszycie i oznajmił:

- Przodownik Kielcewicz Jakub, piętnasty komisariat policji państwowej, do usług pana nadkomisarza!

- Zatem uważacie, Kielcewicz, że doszło tutaj do zbrodni?

- Tak jest, panie nadkomisarzu! Mam takiego nosa...

Drwęcki westchnął z rezygnacją i powstrzymał się od komentarza. Podkreślony sumiastym wąsem nos przodownika wyglądał tak imponująco, że nietaktem byłoby zgłaszać racjonalne wątpliwości.

- Prowadźcie! - polecił.

Weszli w zupełnie inny, niezemski świat. Przede wszystkim było tu tak gorąco, że po przekroczeniu progu podstacji kontrast z warunkami na zewnątrz przyprawiał o szok termiczny. Drwęcki natychmiast spłynął potem. Ze wszystkich stron biło w oczy ostre, białoniebieskie rtęciowe światło. Jego źródłem było kilkanaście wielkich szklanych gąsiorów, każdy z trzema szyjami, do których wnikały kable zwieszające się spod sufitu niczym pęki czarnych lian. W szklanych baniach, osadzonych w azbestowych gniazdach, skwierczały elektryczne wyladowania, gotowała się rtęć, której krople ściekały po wewnętrznych ściankach, mieniąc się srebrzyście w blasku świecących jaskrawo oparów jak roje niespokojnych, metalowych mrówek. Wszystko razem przywodziło na myśl kipiącą sztucznym życiem, mechaniczną dżunglę z wizji malarzy futurystów, ale kontemplację artystycznych aspektów najnowocześniejszej techniki uniemożliwiało unoszący się wszędzie, przenikliwy swąd spalonego mięsa.

- Proszę niczego nie dotykać! - przestrzegł inżynier Bilecki. - Napięcie pięćset wolt! Tędy proszę - ruszył w głąb hali.

W rtęciowym świetle zawirowały coraz grubsze drobiny sadzy. Można było przypuszczać, że pochodziła z ludzkiego tłuszczu...

- To tam - pokazał Bilecki. - W sali transformatora.

Weszli do następnego pomieszczenia, znacznie ciemniejszego i gorętszego,

wypełnionego głębokim, basowym pomrukiem. Zapach spalenizny był tu znacznie silniejszy, ale nie zdołał zagłuszyć równie mocnej woni rozgrzanego oleju i ozonu, bo powietrze wręcz skwierczało od elektryczności.

- Tam, z tyłu - poinformował przejęty inżynier. - Proszę trzymać się blisko ścian...

Obeszli wysoki na ponad trzy metry, rozedrgany, stalowy prostopadłościan i znaleźli się na miejscu zdarzenia. Ze szczeliny w ścianie, oparte na masywnych słupkach porcelanowych izolatorów, wychodziły trzy równoległe szyny, zasilające transformator. Mniej więcej metr nad podłogą tworzyły one coś na kształt kołyski, lub raczej rusztu, na którym dopalały się zniekształcone ludzkie zwłoki. Właściwie był to już tylko powykręcany, rozżarzony szkielet, pokryty gdzieniegdzie fragmentami zwęglonego ciała. Między żebrami strzelały od czasu do czasu drobne błękitne wyładowania i przyskały siwe obłoczki dymu.

- Dlaczego nie wyłączyliście prądu?! - zdenerwował się Drwęcki.

- Rozłącznik się zaciął, panie nadkomisarzu - Bilecki nerwowo poluzował krawat. - Proszę się nie zbliżać! - gwałtownie chwycił za rękaw nadkomisarza, który zrobił krok w stronę ciała. - Tu są trzy fazy po trzynaście tysięcy volt każda! Prąd razi przez powietrze! Dlatego dotąd nie dało się go stamtąd ściągnąć. Nie mogłem narażać ludzi.

- Trzeba było to jakoś zewrzeć albo uziemić... - Jerzy posłusznie wycofał się na bezpieczną odległość.

- Uchowaj Boże! - zawołał inżynier. - To prąd zmienny trójfazowy!

- Co z tego?

- Jeśli tutaj dojdzie do zwarcia, nastąpi cofnięcie mocy do elektrowni. Prądnica zacznie pracować jak silnik i zablokuje turbinę. Skutkiem tego będzie gwałtowny wzrost ciśnienia pary w kotle. Mogłoby dojść do wybuchu i byłyby dalsze ofiary... Elektrownię na Powiślu już zawiadomiliśmy, ale minie trochę czasu, zanim odstawią cały blok energetyczny. To nie światło w pokoju, żeby ot, tak sobie pstryknąć i wyłączyć, a temu biedakowi w niczym już nie pomożemy. Musimy czekać.

- Ile?

- Myślę, że jeszcze kilka minut. Proszę o cierpliwość.

- Wiecie chociaż, kto to był?

- Niejaki Wacław Czerwoncki. Kiedy go znaleźliśmy, dało się jeszcze rozpoznać twarz.

- I długo go tak smażycie?

- No, nie wiem... - zmieszał się inżynier. - Ciało odkryliśmy jakieś pół godziny temu. Wcześniej mogło tu leżeć kwadrans albo dwa... Znaczący, razem będzie godzina...

- Pięknie! Pracował tu, na podstacji?

- Tak, ale tylko przy prostownikach. W sali transformatora nie miał nic do roboty, nie jego rewir. Nie wiem, czemu tu przyszedł. Musiał wejść na pomost techniczny, ten na szczycie transformatora - pokazał Bilecki - i stamtąd spaść na szyny zasilające uzwojenia pierwotne. Pewnie się poślizgnął, na obudowie zawsze jest trochę oleju...

- Ja myślę, panie nadkomisarzu, że jego ktoś zepchnął - wtrącił przodownik Kielcewicz. - Bariierka po prawdzie niewysoka, ale nie można tak sobie zlecieć.

- Można rozmyślnie skoczyć - zauważył Drwęcki.

- Ja jużem o to ludzi rozpytywał, panie nadkomisarzu. To był młody chłop, żenić się miał niedługo, gdzie mu tam do samobójstwa!

- Chyba, że poraził go prąd z uzwojenia wtórnego - wtrącił Bilecki - i rzuciło nim tutaj. Tylko pojąć nie mogę, co on majstrował przy stykach pod napięciem? W czasie pracy transformatora nikt przy zdrowych zmysłach na ten pomost nie wchodzi...

Naraz zgasło światło i ustał brzęk transformatora.

Drwęcki chciał powiedzieć „nareszcie”, ale z wrażenia głos uwiązł mu w gardle. W tej chwili jedynymi źródłami światła były rozpalone do czerwoności żebra ludzkiego szkieletu i gasnący powoli, widmowy, rtęciowy poblask, wpadający przez uchylone drzwi z hali prostowników. Jerzy otarł szalikiem pot zalewający oczy. Przemknęła mu myśl, że tak musi wyglądać piekło. Dante z pewnością byłby zachwycony.

Pozostali członkowie ekipy kryminalnej mieli podobne odczucia.

- Niezłą apokalipsą zaczyna się nam ten boży rok 1929 - skwitował sarkastycznie któryś z techników. - Ciekawe, jak się skończy?

- Zawsze to mówię, że z tej techniki to nic dobrego dla ludzi nie wyniknie - oświadczył z powagą Kielcewicz.

- Może byście tak zapalili tu normalne światło?! - zdenerwował się Drwęcki na Bileckiego. - Musicie tak od skrajności do skrajności?!

- Więcej światła! - zawołał jakiś wesolek w przypiływie czarnego humoru.

- Przepraszam, zaraz się tym zajmę - inżynier ruszył do wyjścia. - Każę dać prąd z akumulatorowni...

Zajął mu to dziesięć minut. Kielcewicz zreferował Jerzemu swoje dotychczasowe ustalenia. Trzeba przyznać, że stary przodownik nie zmarnował czasu. Ustalił, że Czerwoncki, wchodząc na pracujący transformator, ryzykował nie tylko życie, ale też natychmiastowe wyrzucenie z pracy za drastyczne naruszenie przepisów bezpieczeństwa. Należało wykluczyć nadgorliwość i chęć naprawienia zablokowanego rozłącznika, gdyż to

urządzenie znajdowało się za ścianą, w innym pomieszczeniu. Zdaniem Kielcewicza ofiara weszła na transformator z kimś, kto go stamtąd zepchnął, ale świadków nie było, bowiem w krytycznym momencie dyżur na podstacji miał tylko Czerwoncki. Jego pomocnik siedział akurat na stołówce i jadł drugie śniadanie. Zwłoki znalazł sam kierownik podstacji, który przyszedł na rutynowy obchód. Od progu zaalarmował go zapach spalenizny...

Pod sufitem rozbłyły żarówki. Salę transformatora zalało mętne, żółtawe światło. Wypadało żałośnie w porównaniu z rtęciową luną baterii prostowników, ale zrobiło się rażniej i - co najważniejsze - dało się wreszcie normalnie pracować. Kryminalny fotograf zaczął ustawiać statyw aparatu, a jeden z policjantów wdrapał się na transformator.

Jerzy pochylił się nad spalonymi zwłokami. Głowy i jednej ręki już nie było. Podkurczone nogi spiekły się z sobą w jedną masę. Zebra odsłonięte, jamy ciała opróżnione, rozsadzily je, zdaje się, od wewnątrz wrzące płyny ustrojowe... Z tkanek miękkich tu i ówdzie została co najwyżej spieczona skorupa. Najbardziej zdeformowany był kręgosłup, przez który płynął najsilniejszy prąd - niektóre kręgi częściowo wyparowały, większość się stopiła. Oczywiście, z ubrania nie został nawet ślad.

Pod transformatorem leżał gęsty cień. Drwęcki wyjął z kieszeni latarkę, kucnął i zaczął oglądać posadzkę pod zwłokami.

W dymiącej jeszcze kałuży ludzkiego smalcu leżały nadtopione klucze do mieszkania oraz trochę bezkształtnych, zwęglonych okruchów. Obok tłustej plamy dostrzegł coś małego i białego... Żeby po to sięgnąć, trzeba było wcisnąć się pod śmiercionośne szyny i choć prąd wyłączono, Jerzy potrzebował kilkunastu sekund, aby się przemóc.

Wziął głęboki wdech i wszedł na czworakach pod ludzkie szczątki. Szczęśliwym trafem na cementowej podłodze zostało dość suchych i czystych miejsc, aby się nie powalać, bo spodnie

- jak nic - byłyby do wyrzucenia. Chwilę później Drwęcki cofnął się, wstał, rozwarł dłoni i podniósł do światła leżący na niej przedmiot. Podwładni obstarpi go ze wszystkich stron.

Była to elektryczna perła - kropla fosforanu wapnia, wytopionego z ludzkich kości. Te, które oglądał kiedyś na zajęciach z medycyny sądowej, były szarawe, zanieczyszczone popiołem i węglem. Ta była czysta, białokremowa, właściwie piękna, pokryta delikatnym, przypominającym szwy czaszki, zygzakowatym wzorem, powstałym wskutek wewnętrznego mieszania warstw stopionego apatytu. Tylko w jednym miejscu skupiła się grudka zanieczyszczeń, tworząc maleńką, ciemną szypułkę.

- Co pan uważa, panie nadkomisarzu? - zagadnął Drwęckiego jeden z techników

kryminalnych.

- Temperatura powyżej tysiąca pięciuset stopni - Jerzy ocenił warunki, w których powstała perła.

- Rodzina oszczędzi na trumnie - skwitował technik.

- Starczy pudełko na kapelusze...

- Róbcie swoje, Walicki! - zmitygował go Drwęcki. - Jest tam coś? - zwrócił się do policjanta, klęczącego na szczycie transformatora.

- Ani śladu, panie nadkomisarzu, ale jeszcze szukam.

- Kielcewicz, pozwólcie ze mną - polecił Jerzy.

Przeszli do hali prostowników. Zgaszone aparaty wyglądały żałośnie i niepozornie. Zniknął bez śladu imponujący, futurystyczny nastrój.

- Zrobiliście kawa! dobrej roboty - Drwęcki pochwalił przodownika.

- Dziękuję, panie nadkomisarzu.

- Znacie teren i ludzi, chcę zatem, abyście kontynuowali śledztwo.

- Tak jest! I jeszcze, za pozwoleniem, panie nadkomisarzu, bez urazy... - stary policjant wyraźnie zbierał się na śmiałość.

- Mówcie.

- Ciekawym, jakim to sposobem w tak młodym wieku można nadkomisarzem w policji zostać? Nie, żebym co złego sobie myślał! - zastrzegł się szybko. - Ale mnie idzie o to, że wy, młodzi, tacy strasznie niecierpliwi jesteście...

- Do czego zmierzacie, Kielcewicz?

- Żeby pan nadkomisarz tej sprawy nie umarzał.

- Dlaczego miałbym umorzyć?

- Bo mój nos mi mówi, że to zagmatwana historia będzie, a wam, młodym, jak co razdwa nie idzie, to zaraz byście rzecz w diabły rzucali...

Drwęcki ugryzł się w język i zmilczał.

- Ja tam nic złego nie myślę - speszył się przodownik. - Ale tylko tak, na wszelki wypadek...

- Pojutrze chcę mieć na Daniłowiczowskiej wasz wstępny raport ze śledztwa - Jerzy uciął tłumaczenia. - Nie umorzę sprawy, póki sami o to nie zawnioskujecie.

- Tak jest, panie nadkomisarzu!

- Możecie odejść, przodowniku Kielcewicz.

Jerzy ruszył do wyjścia, ale po paru krokach przystanął i zaczął się zastawiać, jak dojść do samochodu, nie narażając się przy tym na natychmiastowe zapalenie płuc. Był

zgrzany i spocony jak mysz. Mokry miał nawet krawat. Wychodzić w takim stanie na ostry mróz mógł tylko zdesperowany samobójca.

- Panie nadkomisarzu! - rozległ się głos Bileckiego. - Może herbaty? Dobrze byłoby teraz trochę odsapnąć i ochłonać, nieprawdaż? - Inżynier najwyraźniej czytał w myślach Drwęckiego. - Zapraszam na górę, do mnie, do kantorka. Musimy pomówić...

Jerzy skinieniem głowy podziękował za zaproszenie i poszedł za gospodarzem kręconymi, żelaznymi schodami do pokoiku bez okien, na poddaszu hali. Bilecki zgarął ze stołu stos papierów ze schematami i sam zrobił herbatę. Z początku popijali w milczeniu. Inżynier przeszedł do rzeczy, gdy Drwęcki wypił połowę szklanki.

- Ja względem tego Kiełcewicza... - zaczął.

- Tak? - Jerzy nadał głosowi oficjalne brzmienie.

- Powiem krótko, to dziwak - oświadczył stanowczo Bilecki. - Ilekroć na zajezdni zdarzy się wypadek, zawsze doszukuje się Bóg wie czego.

- Może ma powód?

- Tylko taki, panie nadkomisarzu, że jego syn pracował u nas jako mechanik i pięć lat temu zginął przygnieciony przez zerwany z suwnicy wagon. Siła wyższa i wola boska, bo skąd można było zgadnąć, że łańcuch puści? Od tej pory jednak stary Kiełcewicz bardzo nam patrzy na ręce. Jak tylko coś się u nas dzieje, zawsze jest tu pierwszy. Co rusz, z powodu jego raportów, musimy się tłumaczyć różnym instytucjom państwowym. Oczywiście, ogromnie mu współczujemy, ale w tym przypadku, sam pan rozumie...

- Nie rozumiem.

- Prestiżowe przedsięwzięcie techniczne - inżynier Bilecki zamaszystym gestem pokazał na halę prostowników. - To jest, uważa pan nadkomisarz, już nie żadna elektrotechnika, ale elektronika - przesyłabizował - wyższy stopień postępu w naukach o elektryczności! Naszą podstacją interesują się najpoważniejsze czynniki państwa i stolicy. Warszawska sieć tramwajowa wciąż się rozbudowuje, elektrownia przy zajezdni na Woli już nie wystarcza do zasilania nowych odcinków. Chcielibyśmy oddać tę podstację do normalnej eksploatacji w drugiej połowie roku i byłoby bardzo niefortunnie, gdyby zła sława zmąciła dumę z osiągnięć narodowej techniki lub, co gorsza, °Późniła oddanie obiektu do użytku.

- Do czego pan zmierza, inżynierze?

- Nieszczęśliwe wypadki się zdarzają, cóż począć - Bilecki rozłożył ręce - ale po co zaraz nagłaśniać sprawę i przeciągać śledztwo? Zabójstwo... samobójstwo... To dla nas bardzo zła reklama, panie nadkomisarzu. Podważa sukces odrodzonego państwa. Daje asumpt niezyczliwym siłom z zagranicy...

- Oczekuje pan, że...

- Ja niczego nie oczekuję! - zastrzegł się szybko gospodarz. - Informuję pana jedynie o szerszych uwarunkowaniach tego zagadnienia.

Drwęcki odstawił pustą szklankę.

- Dziękuję za herbatę, ale na mnie już pora. Mam nadzieję, że moi ludzie będą mogli spokojnie dokończyć pracę.

- Ależ, oczywiście! Jestem tylko skromnym inżynierem, gdzieżbym śmiał mówić policji, kiedy i jak ma kończyć śledztwo...

- Znaczy, mam spodziewać się telefonu od kogoś znacznie mniej skromnego?

- Nie mam wpływu na tę decyzję, panie nadkomisarzu.

- Do widzenia - Drwęcki zakończył rozmowę.

Na dole minął się z ludźmi z zakładu medycyny sądowej, którzy przybyli po zwłoki. Wymienili zdawkowe uprzejmości. Jerzy zignorował pytanie, czy zgon został już potwierdzony przez lekarza. Przez moment zastanawiał się, czy nie oddać im elektrycznej perły, ale coś go przed tym powstrzymało. Opatulił się szczelnie szalikiem i czym prędzej wsiadł do samochodu. Kazał się wieźć z powrotem do urzędu śledczego. Miał zamiar dotrzymać słowa danego staremu przodownikowi. Zwłaszcza że zaczął podejrzewać, iż Bilecki celowo przetrzymał ciało Czerwonckiego pod prądem, aby policja miała jak najmniej do roboty. Awaria rozłącznika była tu zbyt dogodnym wydarzeniem... Czyżby pan inżynier coś ukrywał? Jeśli zaś chodzi o znajomości, to się jeszcze okaże, kto ma lepsze... Ciekawe, czy pan inżynier zna Wieniawę?

Umówiony na dzisiaj gość z Poznania, jak się okazało, przyjechał wcześniejszym pociągiem. Panna Stefania z kolei była śmiertelnie oburzona z powodu kawału, który Drwęcki zrobił jej przed wyjazdem na Kawęczyńską. Zapowiedział mianowicie, że po południu oczekuje wizyty biskupa.

- Już jest i czeka w pana gabinecie - oświadczyła nadąsana sekretarka. - Jak tu wszedł, przyklęklam i chciałam ucałować pierścień... A to żaden biskup, tylko też policjant!

- Był biskupem dziesięć lat temu - odparł beztrąsko Jerzy.

Panna Stefania spłoszyła.

- Jeszcze panu nadkomisarzowi mało? - syknęła. - Taką idiotkę ze mnie zrobić?!

- Na zgodę ma pani u mnie duże pudełko wedlowskich czekoladek.

- Przed zamążpójściem muszę dbać o linię! - nie dała się udobruchać. Im bliżej daty ślubu, tym bardziej Stefania chodziła podminowana. Już teraz wykazywała kompletny zespół lęków starej panny przed radykalną zmianą drogi życia, a nocą poślubną w szczególności, o

czym nie omieszkała donieść mężowi rozbawiona Marysia, widująca jego sekretarkę u dyrektorowej Zasławskiej. Do ceremonii pozostały jeszcze trzy tygodnie i Jerzy zupełnie nie miał pojęcia, jak przeżyje ostatni z nich.

- Panno Stefanio, ja nie kłamałem. Biskupami nazywano w Galicji żołnierzy poznańskich pułków z powodu wysokich rogatywek, które wtedy nosili. Po powstaniu wielkopolskim, wiosną dziewiętnastego roku, brali udział w likwidacji oblężenia Lwowa.

- Słyszałam! - prychnęła - i rozumiem, że to kolejny pański kolega z wojska, ale jednym pudełkiem czekoladek, to się pan nie wykręci!

- Dodaję kilogram krówek mordoklejek na miodowy miesiąc.

- Krówki - to co innego! - uśmiechnęła się wreszcie. - Już Pana zapowiadam - wstała zza biurka i otworzyła drzwi gabinetu Jerzego. - Nadkomisarz Drwęcki! - oznajmiła.

Gość wstał na widok Jerzego i odłożył do popielniczki dymiącą fajkę. Był pół głowy wyższy od Drwęckiego, przy czym te dodatkowe pół głowy przypadało na niezwykle wysokie czoło, którego nie powstydzilby się potwór profesora Frankensteina. Skojarzenie narzucała idąca przez środek czoła pozioma blizna, ślad po ukraińskim bagnecie, może tylko ciut bardziej skośna niż u literackiego pierwowzoru, ale wciąż było na niej znać ślady szwów z szewskiej dratwy, użytej przez felczera w warunkach polowych. Poniżej czoła rozpościerała się równie wielka, szczerą, słowiańska, a obecnie mocno zakłopotana twarz. Jak się okazało, nieporozumienie w sekretariacie skonfundowało gościa w równym stopniu, co pannę Stefanę.

- Komisarz Michał Witkowiak, komenda wojewódzka w Poznaniu.

- Jerzy Drwęcki, miło mi, że będziemy współpracować. Proszę, niech pan siada.

Gość nie posłuchał. Stał i wpatrywał się intensywnie w zamknięte drzwi, za którymi zniknęła Stefania.

- Ja przepraszam... - zmieszany obejrzał się na Jerzego.

- Widać nie do końca rozumiem tutejsze obyczaje. U nas, w Poznańskim, to kobiety całuje się w rękę przy powitaniu, nie odwrotnie...

- U nas, w Kongresówce, tak samo - odparł beztróska Drwęcki.

- Zatem...?

- Małe nieporozumienie - Jerzy wyjaśnił, w czym rzecz.

- Najbardziej zdziwiło go, że komisarz Witkowiak nawet się przy tym nie uśmiechnął.

- Oczywiście, to niczyja wina, ale kpina z wysokiej rangi osoby duchownej wydaje mi się wysoce nie na miejscu - oświadczył stanowczo.

Drwęcki wzniósł oczy ku niebu. Już czuł się zmęczony tą współpracą. Nie dość, że Frankenstein, to na dodatek integralny katolik!

- Pan siada, komisarzu - powtórzył, wskazując krzesło przed biurkiem, i dyplomatycznie zmienił temat: - Pańska blizna na czole to pamiątka spod Kamionki, prawda?

- Skąd pan wie?

- To ja podałem panu wtedy opatrunek osobisty.

- Przepraszam, nie zauważyłem, oczy miałem zalane krwią.

- Ale tego Rusina, który panu to zrobił, zdążył pan zastrzelić.

- Zabijanie nie może być powodem do dumy.

- Tak, oczywiście. Mogę prosić o pańskie pełnomocnictwa? - Drwęckiemu odechciało się przełamywania lodów.

Witkowiak bez słowa wyjął zza marynarki kopertę i podał Jerzemu. Ten otworzył urzędowe pismo, ale nim zdołał je przeczytać, zamarł ze zdumienia, utkwivszy wzrok w otwartym portfelu kolegi z Poznania, z którego ten wyjmował właśnie jedną z wizytówek. Obok nich tkwiło coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak święty obrazek, ale zdecydowanie nim nie było... Minęło kilka sekund, zanim Drwęcki zdołał uwierzyć własnym oczom. By ukryć zmieszanie, czym prędzej przeniósł spojrzenie na otrzymane poświadczenie, przeczytał piąte przez dziesiąte i dołożył do leżącej na biurku sterty raportów, czekających na rozmieszczenie w aktach.

- Nie sprawdzi pan, czy ten dokument jest prawdziwy? - zachnął się gość.

- Już sprawdziłem - odparł Drwęcki. - Zaraz po pańskim telefonie upewniłem się, że w poznańskiej komendzie wojewódzkiej faktycznie zatrudniony jest komisarz Michał Witkowiak, syn Józefa, rocznik 1898, urodzony w Jankowicach, kawaler wychowujący młodszą siostrę Jadwigę, lat siedemnaście. Zgadza się? Pomijam już taki drobiazg, że ja pana poznaję, chociaż pan mnie nie...

- Przepraszam, panie nadkomisarzu! - Witkowiak odruchowo przybrał postawę zasadniczą. Drwęcki, patrząc na ten przejaw pruskiej służbistości, zdecydował, że jednak nie zaprosi przybysza do domu na kolację, jak to pierwotnie planował.

- Dobrze, nie musimy się lubić, aby przejść do rzeczy - stwierdził oschle. - Czego konkretnie pan potrzebuje?

- Jak pan wie - zaczął Witkowiak - na wiosnę planowana jest Powszechna Wystawa Krajowa, prezentująca jest wszechstronny dorobek odrodzonej Rzeczypospolitej. Trwają właśnie intensywne prace...

- Wyrobicie się, mimo tych mrozów?

- Właśnie w tym rzecz, panie nadkomisarzu. W tak niskiej temperaturze zaprawa nie chce wiązać cegieł, więc aby nie było przestojów, budujemy obecnie pawilony z drewna. To

oznacza, oczywiście, większe ryzyko pożaru. Wobec tego chcemy mieć pod kontrolą wszystkich notowanych w kraju potencjalnych sabotażystów, wariatów i maniaków ze skłonnością do piromanii. Chcemy wiedzieć, czy i kiedy przyjadą na Powszechną Wystawę Krajową, abyśmy mogli w porę zastosować areszt prewencyjny.

- Bezzwłocznie wydam polecenia naszej kartotece i archiwum. Coś jeszcze?

2. Łagodny środek zwiotczający

Kiedy Jerzy wrócił do domu, stróż Widacki odskrobywał akurat ze zlodowaciałego śniegu chodnik przed kamienicą. Na widok wysiadającego z samochodu Drwęckiego przerwał pracę i podszedł ku bramie.

- Moje uszanowanie, panie nadkomisarzu - uchylił nieznacznie czapkę uszatkę.

- Co tam nowego, mój Widacki?

- Ano, proszę pana nadkomisarza, dochtor Banasiewicz prosił, żeby pan nadkomisarz, jak po robocie z urzędu wróci, żeby zaraz do niego zaszedł.

- Stało się co?! - zaniepokoił się Jerzy. - Coś z żoną?

- Ja tam nie wiem, panie nadkomisarzu. Ale na moje oko szanowna małżonka całkiem jak ta szczygielka albo insza sikorka. Dwa razy dzisiaj po sprawunki wybiegała. A i teraz u państwa w domu z jakąś habinią konferuje.

- Macie no... - Drwęcki wcisnął stróżowi w rękę dwadzieścia groszy i obejrzał się na samochód. - Maniewski, zaczekaj cie tu kwadrans na wszelki wypadek. Może być, że jeszcze będziecie potrzebni.

- Jak pan nadkomisarz rozkaże - skinął głową kierowca i szczelnie zamknął się w kabinie.

Widacki wrócił do pracy, a Jerzy, zgodnie z prośbą, w pierwszej kolejności zapukał do drzwi mieszkającego po sąsiedzku lekarza. Doktor Banasiewicz był typem budzącego zaufanie staroświeckiego medykusa ze starannie wypielęgnowaną, posiwiałą kozią bródką, który już samym swoim wyglądem wywoływał u chorych efekt placebo. To im zresztą często musiało wystarczyć, gdyż za szczytowe osiągnięcie medycyny doktor Banasiewicz uważał upowszechnienie narkozy w pierwszej połowie XIX stulecia. Do antyseptyki podchodził już sceptycznie, bo to wszak „wola boska, gdzie taki mały bakcyl się wciśnie”. Innych medycznych nowinek nie uznawał z zasady, zwłaszcza salwarsanu, który to specyfik obwinał o powojenny upadek obyczajów, spowodowany - jak zaznaczał z pasją przy każdej okazji - zanikiem zdrowego lęku przed syfilisem. Zwykł informować o tym wielokrotnie i surowo nawet pacjentów z najniewinniejszym katarem. W sumie jednak był sympatycznym reliktem przedwojennej belle époque, którego największą zaletę stanowił fakt, że mieszkał piętro niżej i w każdej chwili chętnie służył sąsiedzkomedyczną pomocą. Obecnie doktor nie miał

pacjentów, natychmiast więc zaprosił Drwęckiego do gabinetu.

- Nielichy ziąb, panie nadkomisarzu. Proszę, niech pan siada. Może herbaty? - zaproponował.

- Nie, dziękuję, panie doktorze, napiję się w domu. Jak zdrowie mojej żony?

- Mogę pana uspokoić, ciąża rozwija się pomyślnie. Dolegliwości stanu odmiennego pani Maria znosi z podziwu godną pogodą ducha... - tu doktor urwał zakłopotany, zapominając dodać swej tradycyjnej formuły, że „młoda pani komisarzowa Powinna być wzorem dla współczesnych dam, które co rusz Przychodzą do mnie z prośbą o zapisanie salwarsanu”. Najwyraźniej dziś rano zdarzyło się coś, co zachwiało wiarą pocziwego doktora w najwyższe walory moralne małżonki Jerzego.

- Zatem? - ponaglił go delikatnie Drwęcki.

- Widzi pan... - doktor Banasiewicz zmieszał się jeszcze bardziej. - Rzecz jest, że tak powiem, delikatnej natury. Zapewniam, że mówię to wyłącznie jako lekarz. Otóż, podczas dzisiejszej wizyty rozmawiałem z pańską małżonką na temat poufnego pożycia szanownych państwa.

Zdumiony nadkomisarz przestał bawić się kapeluszem, odłożył go na kolana.

- Zalecałem wstrzeźliwość płciową ze względu na dobro dziecka... - wyjaśnił szybko doktor. - Co, powiem od razu, nie wzbudziło entuzjazmu pańskiej małżonki. Od słowa do słowa ujawniło się, że pani Maria wykazuje znaczną skłonność do spazmów płciowych.

- Przepraszam, czego? - Jerzy uniósł brwi.

- Orgasmus, mówiąc fachowo, czyli ogólny wstrząs nerwowy, do którego dochodzi podczas najwyższego podniecenia płciowego przy spółkowaniu. - Doktor najwyraźniej źle zinterpretował wyraz twarzy Drwęckiego, bo zaraz dodał uspokajająco: - Proszę się nie obawiać, panie nadkomisarzu, to można leczyć. Rokowania jak najbardziej pomyślne!

Dłuższą chwilę Drwęcki zastanawiał się, czy ma odpowiedzieć żartem, czy serio? Zdecydował, że lepiej będzie filozoficznie.

- O ile wiem - zauważył - trzeba by kurować z tego całą ludzkość, a przynajmniej wszystkich mężczyzn.

- U mężczyzny orgazm jest niezbędnym elementem procesu prokreacji - odparł z powagą doktor Banasiewicz. - Kobieta to co innego. W znacznie delikatniejszym ustroju kobiecym regularny, a co gorsza wielokrotny orgasmus powoduje spustoszenia mogące prowadzić do epilepsji, hysterii i nimfomanii. Dlatego proponuję przedsięwziąć środki zaradcze.

- Naprawdę nie wiedziałem, że to się leczy. Przynajmniej nie w naszych czasach. O ile

wiem, w średniowieczu jako reme dium na nadmierną niewieścią pobudliwość zalecano post, nocne czuwania modlitewne i zimne kąpiele... Minęła także wiktoriańska moda, zgodnie z którą kobieta powinna być przede wszystkim dzielna i myśleć o Anglii - Drwęcki nie mógł się powstrzymać od ironii, ale stary doktor wziął to za dobrą monetę.

- Owszem, minęła - skinął głową. - I proszę popatrzeć, do czego to doszło? Emancypacja, rozwodnictwo, wolna miłość... A potem już nic, tylko salwarsan! Zresztą, chyba nie muszę mówić tego policjantowi.

- Jak rozumiem, szanowny sąsiad nie podziela poglądów doktora Żeleńskiego w tej mierze?

Banasiewicz poczerwieniał. Każda wzmianka o Boyu wpędzała go w głęboki konflikt wartości, gdyż jakiegokolwiek podważanie autorytetu i kwalifikacji kolegi po fachu absolutnie nie mieściło się w jego pojęciu etyki zawodowej. Nawet wtedy, gdy ów kolega reprezentował światopogląd godny ostatecznego potępienia. Był to więc najlepszy sposób, by skłonić czcigodnego sąsiada z dołu do zejścia z ulubionego tematu. Działo zawsze, i tym razem także, bez zarzutu.

- Zatem tak, panie nadkomisarzu... - stary lekarz odchrząknął. - Decyzja oczywiście należy do państwa, ale ja czuję się w obowiązku wyrazić swoją opinię i radę.

- Ależ oczywiście, panie doktorze!

- W rzeczy samej, nie żyjemy w średniowieczu! - zastrzegł się szybko. - Mamy już skuteczniejsze środki. Zatem mógłbym zaordynować dla pańskiej małżonki pewien łagodny środek zwiotczający, który sprawi, że realizacja obowiązków małżeńskich przebiegnie bez nerwowych ekscesów.

- Cóż takiego?

- Homeopatyczny roztwór kurary. To niedawno odkryte Południowoamerykańskie zioło, używane przez tamtejszych Indian od tysiącleci. Niezwykle skuteczne. Obecnie stosowana w amerykańskich szpitalach dziecięcych, rezultaty wprost osza - amiające... Dojrzała niewiasta powinna przyjmować kurarę wieczorem, pre coitus.

Drwęcki wstał.

- Myślałem, doktorze, że ma pan sceptyczny stosunek do nowych leków.

- Nie do tych, które są w stanie powstrzymać erotyczne rozpasanie współczesnej cywilizacji. Rzecz jasna, nikogo nie obrażając, panie nadkomisarzu.

- Dziękuję bardzo, panie doktorze. Zapewniam, że zastanowimy się z żoną nad pańską radą z całą powagą, na jaką zasługuje.

Chyba nie zabrzmiało to przekonywająco, doktor Banasie - wicz bowiem mocno się

nachmurzył. Jerzy zaś poczuł, że jeśli zostanie tu parę sekund dłużej, w żadnym wypadku nie zdoła zachować powagi należnej miejscu, sąsiadowi i okolicznościom.

- W rzeczy samej, nie teraz, ale po szczęśliwym rozwiązaniu - rzucił gospodarz za umykającym z gabinetu Drwęckim.

- Tak, oczywiście, panie doktorze! Dziękuję za troskę i do widzenia! - dusząc śmiech, Jerzy wypadł na schody z płaszczem na ramieniu. Resztki powagi przysły, gdy wyobraził sobie minę Boya, kiedy opowie mu o tej rozmowie w Ziemiańskiej. Bez wątpienia, gdyby to jego sąsiad pisał skecze do Zielonego Balonika, kabaretowa sława BoyaŻeleńskiego doznałaby głębokiego uszczerbku. Powalającą i absolutnie niemożliwą do podrobienia siłą twórczości doktora Banasiewicza byłby komizm niezamierzony.

Chichocząc w duchu jak sztubak, Drwęcki pobiegł na górę do swojego mieszkania. Nie był to koniec niespodzianek. W przedpokoju wpadł na szykującą się właśnie do wyjścia Belę Gelbardową. Przyjaciółka z Ziemiańskiej dopinała przed lustrem imponujące futro ze srebrnych lisów, a stojąca obok Marysia poprawiała jej kołnierz.

- O, Jerzy kochany! - Bela cmoknęła go w policzek, zanim zdołała to zrobić prawowita małżonka.

- Dzień dobry! Nasz stróż mówił mi właśnie, że gościmy panią hrabinę...

- Tylko hrabinę?! - obruszyła się szczerze. - Widać daję mu zbyt małe napiwki, skoro nie powiedział, że wielką księżną! Lecz mniejsza o to! Akurat wpadłam do was na kawkę, żeby udzielić Marysi paru praktycznych rad, bo Franciszek wspominał, że będzie tu jutro na obiedzie.

- Miło z twojej strony...

- Tak więc, jak już mówiłam Marysi - Bela nie dała mu dojść do słowa - wszystkie małe zwierzątka trzeba koniecznie zamknąć w innym pokoju albo oddać sąsiadom na przechowanie na czas wizyty.

- Nie mamy małych zwierzątek - Jerzy próbował ominąć Belę, żeby przywitać się z żoną, ale kawiarniana muza warszawskiej bohemy bez ceremonii zastąpiła mu drogę, kontynuując swój pospieszny wywód. Brak małych zwierzątek w domu państwa Drwęckich bynajmniej nie był dla Beli dostatecznym powodem do przerwania rozpoczętego monologu.

- Dopilnujcie kochani, żeby żaden piesek ani kotek nie wylizal Franciszkowi brody, kiedy będzie drzemał po posiłku, bo się niebożatko jak nic na śmierć struje! Te rozmaite czernidła, których Franc do brody używa, tak się z sobą przegryzły, że wszystkie muchy w domu gremialnie padają, już nawet siadać nie muszą. Teraz chyba tylko pani Skłodowska mogłaby dojść, jakie reakcje mu w tej brodzie pozachodziły. No, a potem źli ludzie znów

będą gadać na mieście, że Fiszer otruł psa! - zawołała oburzona Bela. - Tak że mówię wam, moi drodzy, uważajcie na jego brodę, bo trująca jak muchomor!

- Dopilnujemy, żeby jej sobie nie umoczył w talerzu - zapewniła solennie Marysia.

- Tak, tak, kochani! Dopilnujcie koniecznie! - zawołała z roztargnieniem Bela, a następnie spojrzała na zegarek. - O mój Boże! - wykrzyknęła. - Jaka ja jestem anachroniczna! Wyobraźcie sobie, drodzy, że powinnam być teraz w Paryżu! Zupełnie już tracę głowę! Całkiem jak wtedy, gdy byłam z Rudolfem Valentino, ach, mówię wam, cóż to był za kochanek! Czuli jak profesor Einstein... Ale o tym opowiem wam innym razem, teraz naprawdę muszę już lecieć! Marysiu, uważaj na siebie i swoje maleństwo! Pa, kochani! - wybiegła z mieszkania, zanim Jerzy zdążył zaproponować jej podwiezienie, bo Maniewski, jak znał swojego kierowcę, zwykł czekać zawsze dziesięć minut dłużej ponad wyznaczony czas. Mógł jeszcze wybiec za Belą, ale wołał przywitać się wreszcie z żoną.

- Bardzo cię wymęczyła? - pocałował ją i pogłaskał po brzuchu, zaczynającym się już wyraźnie rysować pod sukienką.

- Ależ skąd! - zapewniła Marysia. - To przeurocza mito - manka. Nie można jej ani trochę wierzyć, nawet kiedy mówi szczerą prawdę. A ty... - spojrzała domyślnie na płaszcz, który Jerzy wciąż trzymał na ramieniu. - Zaszedłeś po drodze do doktora Banasiewicza, prawda? Wspominał mi, że chce z tobą pomówić. Co ci powiedział?

- Pomijając zbędne szczegóły, chciał ci wypisać receptę na młotek - oznajmił z kamienną twarzą.

- Na co? - zmarszczyła brwi.

- Uważa, że jesteś zbyt żywotna i co jakiś czas trzeba cię głużyć jak karpia - odparł z powagą.

- Tak myślałam, że poszło o seks.

- Szczerze mówiąc... - przerwał, bo z kuchni wyjrzała ich nowa pokojówka.

- Dzień dobry panu - dygnęła - zaraz podaję obiad.

- Dzień dobry, Karolinko - skinął jej głową. Tak naprawdę dziewczyna miała na imię Irena, ale oboje przyzwyczaili się już do Karolinki, która w grudniu wyszła za mąż za Gryfka i zrezygnowała z posady. Ponadto, nie wypadało wydawać poleceń służbie, posługując się imieniem babci pani domu. Bez wątpienia starsza pani mogłaby słusznie poczuć się urażona, gdyby stało się to w jej obecności.

Jerzy zaczekał, aż druga Karolinka zniknie za drzwiami, i podjął przerwany wątek.

- Zastanawiam się, czy może rzeczywiście nie powinniśmy trochę mniej, wiesz, ze względu na dziecko...

- Dyrektorowa Zasławska mówi, że to żadne ryzyko - zniżyła głos - byle tylko brzucha nie przygniatać. Ona wie, co mówi, w końcu ma pięcioro dzieci, a szóste w drodze... - puściła oko do męża. - Jak widać, nie samymi kwestiami astralnymi nasza dyrektorowa żyje. Akurat dzisiaj ogłosiła nam nowinę.

- Po wizycie u lekarza miałaś iść do babci - przypomniał zdziwiony.

- I poszłam, ale Zasławska zadzwoniła właśnie do babci na Wielką i zaprosiła nas obie do siebie na drugie śniadanie.

Drwęcki poczuł, że z wrażenia opada mu szczeka.

- Zaczekaj, kochanie! Powiedz mi to jeszcze raz. Byłaś dziś z babcią Ireną u Zasławskich na zebraniu koła pań okultystek?!

- Owszem.

- I mówisz to tak spokojnie? Przecież babcia... - zabrakło mu słów. - Toż to całkiem jak wpuścić inkwizytora na sabat czarownic!

- Oj, przesadzasz! - obruszyła się Marysia - było bardzo miło. Chociaż, prawdę mówiąc, też byłam trochę zdziwiona, bo kiedy razem piły kawę, babcia cały czas dyrektorowej uprzejmie przytakiwała. Aż babcie o to zapytałam, jak już wracałyśmy.

- I co? - Jerzy wciąż nie wierzył własnym uszom. Miał świeżo w pamięci scenę, którą zrobiła im babcia Irena, kiedy jesienią przyłapała Marysię na ćwiczeniach jogi. Po prostu, objawił się Savonarola w spódnicy.

- A babcia na to, że dyrektorowa Zasławska to zacna matka Polka i jako taka żadną heretyczką absolutnie być nie może. Poważni ludzie mają prawo mieć swoje bziki i nikomu nic do tego. To tylko takim smarkulom jak ja, którym jeszcze życie wody w uszy nie nalało, trzeba stale na ręce patrzeć i ścieżki im prostować, żeby na satanistyczne manowce nie poschodziły...

- Proszę, proszę - Jerzy pokręcił głową z niedowierzaniem. - Naprawdę wszystkiego bym się spodziewał, ale żeby babcia Irena wzniosła się ponad religijne pryncypia?

- Babcia sama powiedziała u dyrektorowej, że Polacy to najpierw Polakami byli, a katolikami dopiero potem się stali...

- Koniec świata! - Drwęcki roześmiał się na całe gardło. - Teraz to za nic nam babci do endecji nie przyjmą! Wiesz, Ma - ryś, idę o zakład, że kiedyś o naszej epoce powiedzą, że była szalona.

- Ja się nie zakładam, bo nie wątpię. Daj mi wreszcie ten płaszcz i kapelusz, powieszę, a ty idź umyć ręce.

Kiedy wyszedł z łazienki, stwierdził, że pani domu i służąca stoją w progu salonu i

patrzą na niego wyczekująco.

- Karolinka nie wie, na ile osób nakrywać - powiedziała Marysia. - Mówiłeś, że będziemy dziś mieli gości. Przyjdzie?

- Prawda, miałem zaprosić kolegę z pracy, ale się rozmyśliłem. Zjemy we dwoje.

- Ależ ja więcej zupy nagotowałam - zmartwiła się dziewczyna. - Krem ze szparagów, proszę pana.

- Będzie na jutro - zdecydowała Marysia. - W spiżarni jest chłodno, może więc postać, nawet będzie lepszy. A jutro, jak znalazł, bo Bela mówi, że pan Franciszek, gdy mu zupa zasmakuje, nawet o osiem dolewek prosić potrafi.

- Powiedzmy, że cztery... - Jerzy dopasował mit do rzeczywistości. - Ale dobrze - zwrócił się do służącej - dziś zjemy tylko drugie.

- Tak, proszę pana - dygnęła i poszła do kuchni.

- Nie sądzisz, że nasza nowa Karolinka jest trochę za mało pyskata? - zagadnął żonę, odsuwając dla niej krzesło.

- Tylko jej tego nie mów! - parsknęła Marysia, siadając przy stole. - To jej pierwsza praca, naprawdę bardzo się stara i gotowa jeszcze wziąć sobie do serca... A dlaczego właściwie - zmieniła temat - rozmyśliłeś się w sprawie zaproszenia tego kolegi z pracy?

- Taki z niego ponurak, że mielibyśmy tutaj stypę zamiast obiadu. Zresztą, nie uwierzysz, co on nosi w portfelu! Kiedy wyjmował wizytówkę, zauważyłem mocno sfatygowany obrazek z podobizną Eligiusza Niewiadomskiego i modlitwą za duszę „narodowego męczennika”.

- Żartujesz?! - spojrzała zaskoczona. - Nosi na sercu zdjęcie mordercy pana prezydenta Narutowicza? Tyle lat?!

- Też w pierwszej chwili nie mogłem oczom uwierzyć.

- Dobrze, że się rozmyśliłeś, Jerzy. Nie chciałabym mieć kogoś takiego przy naszym stole!

Karolinka wniosła talerze, zaczęli jeść.

- On zajmuje się bezpieczeństwem wystawy krajowej, którą mają otworzyć na wiosnę w Poznaniu - powiedział Jerzy, krojąc kotlet mielony. - W sprawach służbowych poszedłem mu we wszystkim na rękę. Zapewniłem wszelkie możliwe kontakty i udogodnienia, tak że teraz mam nadzieję, że z panem komisarzem Witkowiakiem więcej nie będziemy musieli się widywać i ani ja do Poznania, ani on do Warszawy nie będzie już musiał jeździć...

- Przesadzasz! - Marysia po kobiecemu zmieniła zdanie. - Chyba za bardzo uprzedziłeś się do tego Witkowiaka! Może to zdjęcie to jakiś dowód w sprawie? Przecież nie

można tak od razu człowieka osądzać! A my mieliśmy jechać na Pewukę, obiecałeś! Ja chciałabym przed rozwiązaniem jeszcze trochę świata zobaczyć.

- Ależ pojedziemy, kochanie! - Jerzy przerwał potok żoni - nych wymówek. - Pojedziemy, ale prywatnie. Obiecuję, że na wiosnę specjalnie dla ciebie wezmę urlop. Będziesz już wtedy miała bardzo ładny, okrągły brzusek...

- I będę... - Marysia odzyskała humor - na Powszechnej Wystawie Krajowej reprezentować osiągnięcia policji państwowej!

- Dzięki tobie jestem najskuteczniejszym oficerem śledczym na świecie - zapewnił, całując ją w rękę.

- A wiesz - podparła brodę dłonią - że rano mnie już wcale nie mdli. Tyle mnie straszili, nawet babcia, że do pół roku będę ledwie żywa, a tu, proszę, tylko trochę w drugim miesiącu.

- Kochanie, jak cię znam, nie mówisz mi tego bez ukrytych intencji...

- Przed tobą nic się nie ukryje! Już czuję się całkiem naga...

- Karolinko!

- Tak, proszę pana?

- Dziś wieczór Karolinka ma wolne.

- Ale w taki mróz...?

- Dostanie Karolinka na taksówkę w obie strony.

- Dziękuję państwu bardzo!

3. Morderstwo doskonałe

Marysia wykazała się takim temperamentem, że nad ranem Jerzy zaczął poważnie myśleć o kurarze doktora Banasiewicza. Skutkiem zarwanej w połowie nocy w pracy zjawił się pół godziny później niż zwykle. Co prawda nikt nie ośmielił się robić wymówek, ale panna Stefania skutecznie sprowadziła go na ziemię.

- Panie nadkomisarzu, od rana dzwonią do pana z medycyny sądowej - oznajmiła na dzień dobry. - Sam profesor Grzywno-Dąbrowski już trzy razy pytał, kiedy pan będzie.

Drwęcki poczuł, że się rumieni.

- Chodzi o to wczorajsze zdarzenie na Kawęczyńskiej?

- Tak, panie nadkomisarzu.

- Proszę natychmiast łączyć! - przeszedł do gabinetu.

Telefon zadzwonił minutę później.

- Nadkomisarz Drwęcki? - zapytał znajomy, stanowczy głos.

- Tak, panie profesorze.

- Odnoszę wrażenie, że pan nas unika.

- Ależ skąd, panie profesorze! Po prostu, obowiązki...

- Mażeńskie jak mniemam?

Jerzego zatkalo.

- Proszę się nie przejmować, panie nadkomisarzu. Ja też kiedyś byłem świeżo po ślubie i zapewniam, że wtedy wcale nie było mi pilno tak z samego rana porzucać sypialnię dla prosektorium... Zresztą, cóż, my tutaj znamy się nie tylko na obyczajach osób zmarłych. Taki fach, że nic, co ludzkie, nie jest nam obce. Jednak, do rzeczy!

- Słucham, panie profesorze.

- Chwileczkę, niech no znajdę papiery... O, już! Denat Czerwoncki... Wacław, syn Mariana, rocznik 1908. Pan prowadzi postępowanie wyjaśniające w tej sprawie?

- Tylko nadzoruję, panie profesorze. Czynności operacyjne wykonuje przodownik Kiełcewicz z piętnastego komisariatu.

- Zgadza się... - profesor mówił półgłosem, na wpół do siebie - zgon w wyniku rażenia prądem o dużej sile... zwłoki uszkodzone w stopniu bardzo znacznym... rozległe ubytki i zwęglenia, aż do zeszkliwienia i wytopienia tkanki kostnej... O, właśnie! Tego nie ma w

protokole, wspominał tylko mój asystent, że na miejscu zdarzenia zebrał pan elektryczne perły.

- Tylko jedną, panie profesorze.

- Jedną? - w głosie rozmówcy zabrzmiało szczere zdumienie. - Proszę mi ją opisać.

Drwęcki sięgnął do kieszeni marynarki i spojrzał na dłoń.

- Lekko owalna, w przybliżeniu centymetr średnicy na półtora centymetra długości.

Zanieczyszczenia skupione na jednym końcu...

- Barwa?

- Biała, szklista, zbliżona do porcelany.

- Czy są ślady wewnętrznego płynięcia w postaci cienkich, falistych, szarych linii na powierzchni?

- Tak, panie profesorze.

- Wysoka temperatura... - profesor GrzywnoDąbrowski chrząknął zadumany. - No ale dlaczego ja nie mam tego w protokole? Cóż to za porządki, panie nadkomisarzu?! Co nie zapisane, tego nie ma. Proszę o tym pouczyć swoich podwładnych!

- Bezzwłocznie, panie profesorze.

- Może jednak chwilę pan zaczeka. Jest pan pewien, że perła była tylko jedna? Ze nikt oprócz pana nie wziął sobie oryginalnych pamiątek?

Drwęcki uznał, że zupełnie niesłusznie pozwala, aby traktowano go z góry, jak nierozgarniętego amatora.

- Na miejscu zdarzenia wykryłem i zabezpieczyłem tylko jeden dowód rzeczowy w postaci zastygłej kropli apatyty kostnego - poinformował oficjalnym tonem. - Moi ludzie znają swoją pracę i nie zachowują się jak nieodpowiedzialni łowcy osobliwości.

- Dobrze już, musiałem się upewnić - profesor Grzywno-

- Dąbrowski nie zamierzał przeproszać. - Idzie mi o to, że tych pereł powinno być przynajmniej tuzin.

- Jest pan pewien, profesorze?! - Drwęcki poczuł falę adrenaliny.

- Przy takiej temperaturze i takim stanie ubytków kostnych mogło być ich nawet kilkadziesiąt, panie nadkomisarzu. Część apatyty mogła ulec rozpyleniu w wyładowaniach łukowych, tak czy inaczej jednak kilkanaście pereł powinno zostać. Zeznam to przed każdym sądem.

- Zatem, ktoś wcześniej je...

- Na to wygląda, panie nadkomisarzu.

Drwęcki potrzebował kilkunastu sekund, aby uporać się z tą wizją. Oto morderca

spycha ofiarę na przewody - urwany krzyk, oślepiające flesze elektrycznych łuków, skwierczenie płonącego i wrzącego jednocześnie ciała. W kłębowisku ognia, dymu i pary rozpryskują się kipiące płyny ustrojowe, a sprawca stoi spokojnie obok, niczym piekielny hutnik, i pilnuje wytopu pereł z ludzkich kości... Ba, nawet trzyma w rękach coś w rodzaju wideł... jakieś narzędzie, długie przynajmniej na dwa metry, którym wygarnia gotowe elektryczne perły spod śmiercionośnej instalacji. Widły to przesada, raczej motyka lub szczotka, koniecznie na suchym, drewnianym trzonku... Dla pewności powinien założyć jeszcze gumowe rękawice, znaczy - nie będzie odcisków palców...

Jerzy otrząsnął się i uniósł opuszczoną bezwiednie słuchawkę.

- Proszę mi jeszcze powiedzieć, profesorze, jak długo trzeba czekać od momentu zrzucenia ofiary na przewody do chwili wytopienia się elektrycznych pereł?

- Chwileczkę, niech znajdę plan sytuacyjny miejsca zdarzenia... Tak, mam! Jakie tam było napięcie?

- Trzyście tysięcy wolt.

- W takim razie wystarczy pięć do siedmiu minut. Rozumiem, że niniejszym rozpoczyna pan śledztwo w sprawie morderstwa z premedytacją?

- Oczywiście, panie profesorze.

- Prześlę panu papiery natychmiast po formalnym zakończeniu obdukcji.

- Dziękuję i do widzenia, panie profesorze.

- Życzę powodzenia, panie nadkomisarzu.

Nie zdołał usiąść i zebrać myśli, gdyż panna Stefania, zorientowawszy się, że szef skończył rozmowę telefoniczną, natychmiast zaanonsowała Sawilskiego i samego Kielcewicza, przybyłych z pilną sprawą.

- Prosić! - rzucił Jerzy do słuchawki.

- Cóż wam tak pilno, Kielcewicz? - zagadnął po chwili starego policjanta. - Przecież dałem wam czas do jutra?

- Pisemny raport, jak się należy, będzie jutro, panie nadkomisarzu - zapewnił przodownik. - Ale teraz trzeba mi się z panem nadkomisarzem pilnie naradzić!

Stojący za nim Sawilski pokiwał twierdząco głową, pokazując jednocześnie Drwęckiemu plik zdjęć z miejsca zdarzenia, świeżo odebranych od fotografa.

- Słucham was, Kielcewicz.

- Ja myślę, że tego Czerwonckiego to jednak musieli zabić. Znalazłem świadka...

- To na pewno było morderstwo - przerwał mu Jerzy i w paru słowach zreferował rozmowę z profesorem Grzywno - - Dąbrowskim. - I co ten wasz świadek? - wrócił do

tematu.

- Znaczy się... - zbity z tropu Kielcewicz dłuższą chwilę szukał słów. - On się nazywa Żurek Bartosz, syn Marcina, stary tramwajarz, na zajezdni od samego początku. Robił akurat niedaleko tej podstacji i widział, jak do środka wchodzi jakiś młody, nowy robotnik, a krótko potem świętej pamięci Czerwoncki. Czy kto potem wychodził, tego już nie wie, bo przez ten ziąb, jak się dało, to zaraz pod dach wrócił.

- Czy ten Żurek dobrze widział człowieka, który przed ofiarą wszedł do budynku podstacji? - upewnił się Drwęcki.

- Dokładnie tak mi powiedział, panie nadkomisarzu: „Młody chłopak, widać nowy na zajezdni, bo wcześniej go jeszcze nie widziałem”. Chciał nawet zagadać, skąd jest i od kiedy robi, ale tamten przeszedł tak szybko, że nie było sposobności. Tyle tylko, że twarz dobrze sobie obejrzał, bo go zaciekawiła. Zwłaszcza że tamten, mimo takiego zimna, w samym roboczym drelichu bez żadnego okrycia paradował. Chłopak młody, bez dwóch zdań, panie nadkomisarzu. Tylko że jak zaraz żeśmy tego Żurka z nowo przyjętymi na zajezdnię skonfrontowali, nikogo nie poznał. Jakiś obcy musiał kombinezon tramwajarski ubrać i na teren zajezdni wejść. Tyle że portierzy przy bramach zaklinają się, że nikogo takiego z zewnątrz nie puszczali, a na pewno by przyuważyli, że ktoś w taki mróz w samym kombinezonie łązi. Znaczy się, to powinien być jednak ktoś z zajezdni...

- A ja mam coś jeszcze - dodał Sawilski, rozkładając na stole konferencyjnym zdjęcia pokryte siatką pomiarową. - Tu mamy zwłoki na szynach prądowych... - pokazał. - A tu klucze do mieszkania denata, co mu na podłogę wypadły...

- Widziałem je - przypomniał sobie Drwęcki.

- Proszę teraz przeliczyć parametry siatki fotogrametrycznej na obu zdjęciach i porównać wskaźniki głębi - polecił Sawilski. - Jeżeli przyjmiemy, że normalni ludzie noszą klucze w kieszeni spodni... - znacząco zawiesił głos.

- O Jezu Chryste! - jęknął stary przodownik. - Z opuszczonymi portkami na tamten świat poszedł...

- Trzeba poważnie wziąć pod uwagę seksualny motyw zabójstwa - stwierdził Sawilski.

Drwęcki poczuł, że musi zapalić papierosa.

- Palicie, Kielcewicz, płaskie? - otworzył pudełko.

- Wolę ułańskie, panie nadkomisarzu, ale nie pora marudzić w takim ponurym momencie... - poczęstował się.

- Ja też poproszę - powiedział Sawilski.

Przez kilka minut zaciągali się w milczeniu, patrząc na zdjęcia i bijąc się z myślami.

- Teraz to ja się inżynierowi Bileckiemu nie dziwię - odezwał się wreszcie Drwęcki. - Kiedy znalazł ciało, pewnie jeszcze było widać, gdzie są resztki spodni... Ta podstacja to jego oczko w głowie, a tu taki skandal. Jakby się gazety do tego dobrały, to rzeczywiście szkoda gadać...

- Czegoś mi się to wszystko nie zgadza - stwierdził Kielce - wicz. - Mnie na zajezdni wszyscy mówili, że ten Czerwoncki to pies na baby... ale żeby i na chłopy też...? No nie, psiakrew, toż coś bym musiał o tym wiedzieć!

- Znacie od lat zajezdnię i ludzi - zauważył Drwęcki. - Pracują tam jacyś pederasći?

- Dwóch, panie nadkomisarzu, ale w robocie grzeczni są. Ich też mimochodem o Czerwonckiego pytałem, żadnej spółki z nim nie mieli. Ja z nimi, panie nadkomisarzu, mam sztamę, że nie pójdą siedzieć, jak mi będą na rękę szli. Zawsze się wywiązywali. Tak też i głowę daję, że Czerwoncki taki jak tamci nie był! On nie tylko chciał, ale i musiał się żenić, bo dzieciaka jakiejś pannicy zmalował. Podobno nawet nie pierwszej, tylko że już się wykpić nie zdołał.

- Widzę, że wy, Kielcewicz, własną siatkę wywiadowczą na terenie zajezdni tramwajowej posiadacie - zauważył z przekąsem Sawilski.

Przodownik sposepniał.

- Wszystko dlatego, żeby drugi raz, tak jak z moim synem, się nie powtórzyło.

- To przecież był wypadek - powiedział Jerzy.

- Jaki tam wypadek, panie nadkomisarzu! - zaperzył się Kielcewicz. - Bolszewicki sabotaż, nie wypadek! Szło im o to, żeby tramwajarzy ruszyć, że niby władza o robotników nie dba, więc zorganizowali śmiertelny wypadek na zajezdni i na mojego Romka padło. Według mnie ten cały Hibner za tym stał, co go potem rozstrzelali. Tylko wtedy nie dałem rady nic udowodnić, więc sobie na grób syna przyrzekłem, że drugi raz dorwę drani zawczasu!

- Rozumiem - rzekł Drwęcki.

- Żeby tak prawdę rzec... - zreflektował się nagle stary policjant - to i słyszałem plotkę, że niby tam, na transformator, jakaś parka chodzi albo chodziła się gzić, albo że mogłaby chodzić... Nic pewnego, takie tam głupie gadanie! Żartem mówił mi o tym pomocnik Czerwonckiego. Że niby to takie elektryzujące, podniecające i fu... fut...ru...

- Futurystyczne - dopowiedział Jerzy.

- A kto by tam się na tych powojennych zboczeniach wyznał, panie nadkomisarzu! - machnął ręką Kielcewicz. - Ale racja, chyba właśnie „futurystyczne”, tak było! Wtedy

wierzyć nie chciałem, ale teraz, kiedy on tam bez portek... Tfu! Co za czasy!

- Ten pomocnik... jak mu tam? Baziewicz! - Jerzy zerknął do służbowych notatek. - Mógł usłyszeć tę historyjkę od Czerwonckiggo, ale obaj raczej nie byli z tych, co się na nowych kierunkach' w sztuce znali. Ktoś musiał im posunąć ten ekstrawagancki, a raczej dekadенcki pomysł...

- Skoro dajecie głowę, przodowniku, że ten Czerwoncki nie z takich, co przed chłopami spodnie opuszczają, to znaczy, że tam musiała być jeszcze kobieta, która go do tego zachęciła - zauważył Sawilski.

- Ano tak - kiwnął głową Kielcewicz.

- Niezły tłok na tym transformatorze nam się robi - mruknął Jerzy. - Trzy osoby i trzynaście tysięcy wolt... - sięgnął po zdjęcia. - Jednak miejsca dla trzech osób to tam raczej nie ma...

- Powiedzmy, że kobieta była tam pierwsza - myślał głośno Sawilski. - Potem ten młody robotnik i ostatni przyszedł Czerwoncki. Zakładając, że doszło między nimi do sceny zazdrości...

- Skoro ofiara przysła ostatnia, to raczej nie mogła być przyłapana z opuszczonymi spodniami przez zazdrosnego narzeczonego - odparł sceptycznie Drwęcki. - Ale nawet gdyby doszło do awantury w afekcie, w trakcie której Czerwoncki został zepchnięty na przewody, to wystraszeni sprawcy powinni natychmiast uciec z miejsca zdarzenia. Nie ma mowy o zbieraniu elektrycznych pereł, bo to wymaga specjalnych przygotowań. Inżynier Bilecki też miał co innego na głowie. Myślał przede wszystkim o ratowaniu prestiżu przedsięwzięcia i bardzo wątpię, aby w tej sytuacji chciało mu się grzebać pod włączonym transformatorem...

- Motywacja działania jest jakby kobieca - mruknął Sawilski. - Raczej kobieta niż mężczyzna mogłaby za winszować sobie perły z ludzkich kości...

- Jakaś czarownica! - prychnął ze zgrozą Kielcewicz.

- Czekajcie no! - Drwęcki opanował emocje i zmobilizował logikę. Rozłożył na stole protokoły z przesłuchań świadków. - O której ten Żurek był koło podstacji?

Kielcewicz sięgnął po swój notes.

- Krótko po dziesiątej, może kwadrans po i jeszcze przed wpół do jedenastej poszedł się ogrzać. Tego młodego widział jakieś dwadzieścia po, ale tak dokładnie to nie wie, bo na wyczucie czas określał.

- Mimo to - podsumował Drwęcki - ta kobieta nie miała kiedy tam wejść, bo inżynier Bilecki wyszedł z podstacji dokładnie dziesięć po dziesiątej - przeczytał z protokołu. - Nie wahał się zostawić instalacji bez opieki, bo z daleka zobaczył już Czerwonckiego,

wracającego po przerwie śniadaniowej. Wtedy ostatni raz widział go żywego, pomachali sobie jeszcze. Wejście jest tylko jedno...

- Podstacja była zatem pusta dwie, góra trzy minuty - dokończył rozumowanie Sawilski - akurat wtedy, kiedy drzwi miał na oku Żurek. Skoro w tym czasie wszedł tam tylko ten młody mężczyzna, to ewentualna kobieta, umówiona z Czerwonckim na elektryzujące te ta te, musiała rzeczywiście być czarownicą i wleciała na miotle... Chyba że była tam wcześniej, a pan inżynier ją kryje? Raczej mało pewny z niego świadek...

- Podejrzewam go bardziej o tuszowanie sprawy niż o współudział - odparł Drwęcki. - On znalazł ciało o godzi nie... - spojrział w papiery. - Gdyby był współwinny, raczej by z tym jeszcze poczekał, skoro zależało mu na spaleniu kompromitujących śladów. Tymczasem Bilecki podniósł alarm od razu i dopiero potem zaczął przewlekać procedurę wyłączenia prądu. Mamy tu wyraźny schemat działania człowieka zaskoczonego sytuacją, który z opóźnieniem decyduje, co powinien robić. Ale bez wątplenia on wie więcej, niż mówi, i nie od rzeczy byłoby przycisnąć go za utrudnianie śledztwa.

- Czerwoncki mógł widzieć tego młodego, jak wchodził, i mimo to opuścił spodnie... - stwierdził zniesmaczony Kiełcewicz. - Chyba że ta baba, ten młody i inżynier byli w zмовie? No, nie! Toż to już zupełna niedorzeczność! Bo i na co im to wszystko?

- Rzeczywiście, nic się nie zgadza - pokiwał głową Sawilski. - Albo mamy motyw, albo możliwość dokonania czynu.

- Podejźmy do sprawy od strony szczotki - zaproponował Drwęcki po chwili namysłu.

Popatrzyli na niego jak na wariata.

- Tak, szczotki - powtórzył niezrażony. - Zakładam, że do wygarnięcia elektrycznych pereł użyto zwykłej szczotki ryżowej na długim drewnianym trzonku, takiej, jakich normalnie używa się do zmywania podłogi. Tylko że ta szczotka w żadnym wypadku nie mogła być mokra, a zatem nie można było używać jej od co najmniej dwóch, trzech dni, a morderca musiał mieć pewność, że nie wtyka pod wysokie napięcie wilgotnego drewna. Planując morderstwo, musiał więc zawczasu odłożyć ją w ustronne i suche miejsce. Znaczą, zostawił wtedy na drzewcu odciski palców... Kiełcewicz, znajdźcie mi tę szczotkę! I to zaraz!

- Tak jest, panie nadkomisarzu! - przodownik zsalutował i opuścił gabinet.

Sawilski nie kwapił się do wyjścia.

- Coś jeszcze? - spytał Drwęcki.

- Inżyniera Bileckiego nie da się przycisnąć. Nie chciałem o tym mówić przy Kiełcewiczu, ale w prezydium mieli już telefoniczną interwencję z magistratu. Żeby nie

mać i kończyć tę sprawę. Raczył dzwonić sam pan zastępca wielmożnego pana Zygmunta Słonimskiego, prezydenta stolicy Rzeczypospolitej - oznajmił z przekazem Sawilski.

- Nic do mnie nie dotarło.

- Bo znajomości Bileckiego okazały się na pana nadkomisarza za krótkie. Są jednak wystarczająco długie, żeby uchronić jego własną skórę. Jak weźmiemy go za łeb i zaczniemy skruszać na dołku, zaraz zrobi się afera na cały ratusz. W zasadzie można by na to pójść, ale koszt polityczny duży... Warszawskie tramwaje to osobisty priorytet prezydenta Słonimskiego, jak on się w to wmiesza, łatwo nie odpuści. Poruszy Zamek i Belweder. Lepiej nie tykać Bileckiego bez mocnych dowodów.

- Jeśli na szczotce będą jego odciski palców... Cholera! To żaden dowód w tym przypadku! Miejmy nadzieję, że Kielcewicz znajdzie dzisiaj coś, co pozwoli zebrać do kupy wszystkie fakty. Póki co, bierzmy się za inne śledztwa. Macie coś nowego?

Na taki obrót sprawy na Kawęczyńskiej zupełnie nie byli przygotowani. Wiadomość przysłała przed trzecią, sprawiając, że wszystkie inne zadania natychmiast zeszły na drugi plan. Jerzy poderwał zza biurka cały wydział i ruszyli na Pragę, tym razem w pięć samochodów. Większość pojechała prosto do zajezdni tramwajowej. Drwęcki i Sawilski wysiedli trzy przecznice wcześniej, na Brzeskiej, obok szpitala kolejowego, gdzie przyniesiono z zajezdni nieprzytomnego Kielcewicza. Maniewski, przewidując problemy z parkowaniem na chodnikach pokrytych zaspami śniegu i lodu, a nie chcąc blokować oczyszczonego podjazdu szpitala, stanął na pierwszym lepszym miejscu na rogu Ząbkowskiej, skąd musieli podejść kawałek pieszo. W chwili gdy wysiadali z samochodu, Ząbkowską przemknął rozpędzony tramwaj linii 7. Odgłos, a raczej kanonada, wręcz symfonia huku i jazgotu, towarzysząca jeździe po szynach wpuszczonych bezpośrednio w bruk z granitowej kostki, teraz dodatkowo zmrożony, a zatem wyjątkowo dobrze przenoszący dźwięk, sprawiły, że Drwęcki odruchowo przygryzł palec własnej rękawiczki. Ogarnęło go bowiem irracjonalne wrażenie, że motorowy wóz toczy mu się wprost po zębach...

Sawilski miał, zdaje się, podobne odczucia, ale obaj nie byli w nastroju, by komentować porządki panujące w stołecznym systemie ruchu ulicznego.

Lekarz wyszedł do nich po pięciu minutach.

- Co z nim?! Żyje?! - zaczął bez ceremonii Jerzy, wymachując legitymacją.

- Doktor Jaczewski - lekarz był zupełnie opanowany.

- Drwęcki! Nadkomisarz! - wyrzucił z siebie Jerzy.

- Pacjent nie odzyskał jeszcze przytomności - poinformował doktor Jaczewski. -

Rokowania są poważne.

- Proszę mówić jaśniej! Naprawdę poraził go prąd?!

- Do wypadku doszło podobno na terenie akumulatorowni. Prąd o napięciu sześciuset wolt, niestety, stały...

- Bardzo go poparzyło?

- Zewnętrzne oparzenia są stosunkowo niewielkie. Bardziej niepokojące są oparzenia spowodowane wewnętrzną elektrolizą tkanek i zatruciem organizmu produktami tego procesu. Nie wiemy dokładnie, jak długo pacjent był pod działaniem elektryczności. Gdyby to był prąd zmienny, rokowania byłyby znacznie lepsze. W sytuacji obecnej stan krytyczny wystąpi dopiero za dwa, trzy dni. Zważywszy na zaawansowany wiek pacjenta, nie można wykluczyć zejścia...

- Ale jest nadzieja, że do tego czasu odzyska przytomność i powie, co się stało? - Jerzy nie zdążył ugryźć się w język.

Lekarz zamiast odpowiedzieć, popatrzył na Dręckiego jak na idiotę. Nadkomisarz zaklął w duchu. Kolejny lapsus w dziedzinie medycyny sądowej! Przecież...

- Porażenia prądem połączone z utratą przytomności powodują zawsze znaczną niepamięć wsteczną, zwłaszcza odnośnie okoliczności zdarzenia - poinformował sucho doktor Jaczewski. W jego oczach było nieme pytanie, jak taki nieuk mógł zostać nadkomisarzem policji?

- Tak, wiem... - Drwęcki poczuł, że się rumieni. - Proszę nas na bieżąco informować o stanie zdrowia kolegi.

- Oczywiście, panie... nadkomisarzu.

- Mogę zobaczyć jego rzeczy?

- Zapewne chodzi panu o służbowy notes? - lekarz wyjął go z kieszeni fartucha. - Proszę.

Jerzy natychmiast odszukał ostatni zapis. Dotyczył szefa podstacji: „inż. Bilecki nieobecny od rana, antyszambruje w magistracie, powrót zap. na 16”.

Drwęcki spojrział na zegarek. Było dopiero dwadzieścia po trzeciej. Pewnie teraz inżynier Bilecki skarżył się na nieznośnego nadkomisarza samemu prezydentowi miasta...

- Ma alibi - Sawilski postawił kropkę nad „i”.

Wyszli ze szpitala i ruszyli do zajezdni. Tu, mimo użycia wszystkich sił i środków, nie udało się ustalić nawet tego, czy ktoś rozmyślnie wepchnął przodownika Kiełcewicza do skrzynki rozdzielczej, czy był to jednak nieszczęśliwy wypadek. Zapewne to pierwsze, a wśród kilkusetosobowej załogi zajezdni krył się zwyrodniały morderca, ale żadnych świadków ani śladów nie było. Wszystko, czego dzisiaj dowiedział się Kiełce - wicz,

nieodwracalnie wypalił z jego umysłu sześciusetwoltowy prąd. Pozostały tylko pytania, które zadawał, krążąc po zajezdni, ujawniając przy okazji, czego szuka, i tym samym, jakie dowody należy koniecznie usunąć... Pospolite ruszenie całego wydziału śledczego dało jedynie tyle, że już po czterdziestu pięciu minutach stało się jasne, że w przypadku Czerwonckiego mają do czynienia z morderstwem doskonałym. Świadomość tego faktu piekła jak policzek.

Wracając do domu, na z dawna wyczekiwany i bez wątpienia wesoły obiad z Francem Fiszerem, Jerzy myślał tylko o tym, czy niepamięć wsteczna starego policjanta, jeśli przeżyje, obejmie też jego prośbę, aby nie umarzać tej sprawy?

4. Paradoksy nieboszczyka Zenona

Minęła dłuższa chwila, zanim Drwęcki zdecydował się nacisnąć dzwonek do własnego mieszkania. Stał przed drzwiami, zza których dobiegały dźwięki muzyki z adapteru, i zbierał się w sobie. Zawsze starał się zostawiać za progiem służbowe problemy, ale dzisiaj był zbyt poruszony, aby wraz z wejściem do domu wszystko spłynęło po nim jak woda po kaczce. Stanowczo nie była to pora na beztrudne filozofowanie przy stole pełnym smakołyków, ale co począć? Odwołać wizyty nie było można, Fiszer pewnie już był w drodze i nie uchodziło psuć nastroju pogrzebową miną.

Jerzy po raz kolejny obiecał sobie, że sprawy na Kawęczyńskiej nie odpuści, że jutro też jest dzień, a zbrodni doskonałych nie ma. Statystyka wykrywalności mówiła wprawdzie całkiem co innego - doskonale było prawie co piąte morderstwo, ale chrzanić statystykę! Drwęcki wziął głęboki wdech i sięgnął do dzwonka.

Szybkie kroki w przedpokoju. Otworzyła Karolinka w świeżo wykrochmalonym fartuszk.

- Dzień dobry panu.

- No, jesteś! - z salonu wychynęła Marysia w ciemnej, wieczorowej sukni. Najwyraźniej była dzisiaj u fryzjera i modystki. Przepadło bez śladu jej rozwichrzone, jeszcze na poły panieńskie emploi, które dotąd z zapalem kultywowała, podkreślając na każdym kroku, że po ślubie wolno jej nareszcie zaszaleć. No, oczywiście, pod warunkiem, że babci nie było w pobliżu... Obecnie Marysia była dystygowaną, młodą mężatką. Na chwilę zagapił się na nią, zapominając o bożym świecie.

- Już myślałam, że się spóźnisz - powiedziała. - Janusz już jest.

- Zmieniłaś fryzurę... - Nie zareagował na wiadomość.

Roześmiała się i obejrzała w głąb mieszkania.

- To największy pożytek z męża detektywa! - oznajmiła głośno. - Zawsze zauważy każdą zmianę!

Do przedpokoju wszedł Janusz Kusociński.

- Czołem, Kusy! - ucieszył się Drwęcki.

- Serwus, Jerzy! - Uścisnęli sobie dłonie. - Nie biegasz ostatnio? - zagadnął sportowiec.

Kusociński trenował na pobliskim stadionie Robotniczego Klubu Sportowego „Sarmata”, gdzie także Drwęcki przed ślubem regularnie przychodził rano pobiegać. Stąd się znali. Obecnie wszystkie nadwyżki energii Jerzego skrupulatnie zagospodarowywała Marysia. Lepiej było jednak poszukać kozła ofiarnego w postaci powszechnych trudności obiektywnych.

- Strasznie zimno ostatnio - zauważył wymijająco.

- I żal z ciepłego łóżka wstawać... - Kusociński puścił oko.

- A widzisz, niektórzy muszą!

Najpierw doktor Banasiewicz, potem profesor Grzywno-

- Dąbrowski, a teraz Janusz! Jerzy poczuł się, jakby cała Warszawa nie miała innych problemów na głowie poza studiami nad życiem młodych państwa Drwęckich.

- Napijemy się czegoś? - zmienił temat, oddając płaszcz Karolinie.

- Właśnie podałam herbatę z rumem - oznajmiła Marysia, wracając do salonu.

- Świetnie! - Jerzy stwierdził, że na to właśnie ma ochotę.

- Czekamy jeszcze na kogoś? - zagadnął Janusz.

- Niespodzianka! - Drwęcki odzyskał humor. - Pewnie o nim słyszałeś, ale bardzo jestem ciekaw, co macie sobie do powiedzenia...

- Robisz ostatnio eksperymenty na ludziach? - roześmiał się Kusociński.

- Ja bym to nazwał metafizyką doświadczalną. - Jerzy wziął filiżankę, którą podała mu służąca.

Nie zdążył dopić herbaty, ani nawet usiąść z gościem przy stole.

- UUU!!! DO WSZYSTKICH DIABLÓW!!! - Dobiegający z ulicy monumentalny baryton z łatwością przebił się przez uszczelnione na zimę okna. Drwęcki odsunął firankę, wyjrzał i natychmiast odstawił herbatę.

- Mordują kogoś?! - zaniepokoił się Kusociński.

- Chodź, przydasz się! - Jerzy był już w przedpokoju.

W biegu złapali okrycia i wypadli na schody. Na pierwszym piętrze zderzyli się ze stróżem Widackim, biegnącym na górę z czapką w garści.

- O, pan nadkomisarz! To się dobrze składa, bo wie pan, taki szprync, że tak powiem...

- Wiem, Widacki, chodźcie z nami!

Wybiegli z kamienicy. Przed bramą stała taksówka z otwartymi tylnymi drzwiami, z których wystawała wierzgająca bezradnie noga. Obok stał skonfundowany kierowca i bezradnie drapał się za uchem.

- Co się stało, panie Franciszku? - zapytał Jerzy pro forma, bo wszystko było jasne na

pierwszy rzut oka.

- Zamorduję!!! Uduszę idiotkę!!! Jak ją tylko dostanę w swoje ręce! - pieklił się Fiszer, szamocząc się w głębi samochodu.

- Ale kogo?

- BELKĘ GELBARDOWĄ!!! - eksplodował Franc. - Tyle razy jej mówiłem! Żadnych taksówek! Tylko drynda! Bo te piekielne drzwiczki robią za wąskie i całkiem nie dla ludzi! A tu, masz babo placek! Tak mi głowę zatrajlowała, że zimno okropnie, że na Wolę daleko, że inaczej na pewno się rozchoruję, że w końcu dałem się namówić na taksówkę. Wsiadłem i klops! Bo wsiąść, wsiadłem, ale jak tu teraz wsiąść?!

- Fakstycznie, pan szanowny, powagie swoją cielesną niejaką posiada - przytaknął zafrasowany taksówkarz.

- Nie gadaj tyle, dobry człowieku, tylko mi pomocną dłoń podaj!

W sukurs przyszli Drwęcki, Kusociński i Widacki. We czterech chwycili Fiszera za ramiona i chociaż nie żalowali siły, skutek był taki, że szarpiąc raz po raz, tylko rozbujali taksówkę, której resory zaczęły niebezpiecznie trzeszczeć.

- AAA!!! RĘCE MI URWIECIE! ŁAJDAKI!!! DOSYĆ!!! - rozwrzeszczał się Fiszer na całą ulicę Bema. Pewnie było go słychać aż na Szczęśliwicach. Gdziekolwiek spojrzeć, zapalały się światła w oknach i pojawiały zaciekawione twarze mieszkańców. Nie było innego wyjścia, jak przerwać akcję.

- Fakstycznie, czegoś jakby we drzwiach przywasko się zrobiło - sumitował się taksówkarz. - Ale podobnież na mrozie metal się kurczy...

- To może ja po jakiego łoma pójdę? - zaofiarował się Wi - dacki.

- Samżeś łom, dobry człowieku! - warknął Fiszer. - A i młot na dodatek!

- Ni ma rady, panie szanowny, trzeba nam na warsztat jechać - zdecydował kierowca.

- Tam się dach odsztrajbuje i jakoś to będzie.

- Chwileczkę - powstrzymał go Drwęcki. - Spróbujemy jeszcze raz, mam pomysł!

Kusociński, jako najszczerplejszy, wsiadł do taksówki z drugiej strony, żeby wypychać Fiszera od środka. Kierowca i Widacki znów chwycili go za ręce, natomiast Drwęcki koordynował proces przykładania siły, pomagając raz jednemu, raz drugiemu, szczegółowo instruując ofiarę motoryzacji i udzielających pomocy.

- Spokojnie, panie Franciszku. Najpierw prawa noga, proszę oprzeć o krawężnik, o tak! Teraz trochę prawym barkiem do przodu... głowa niżej... A pan kierowca trochę popuści. Nie tak, panie złotowa! Bardziej do środka! Dobrze... Dawaj Kusy! liii raz!!!

Tym razem poszło gładko. Wyłuskali Fiszera jak kasztana z łupiny. Myśliciel stanął

na chodniku, a że w trakcie całej operacji melonik wjechał mu na oczy, nie spojrzał, jak należy, pod nogi, źle stąpnął i niebezpiecznie się zachwiał. Podparli go zaraz ze wszystkich stron, po czym, trzymając pod ramiona jak cadyka z Góry Kalwarii, z nabożeństwem poprowadzili do bramy.

- Znaczy się, mam po szanownego pana wieczorem nie przyjeżdżać? - taksówkarz wykazał się doskonałą półinteligencją.

- A pan, przepraszam bardzo, aby na pewno z Warszawy? - zirytował się Kusociński.

- Nie, z Anina.

- Widać...

Drwęcki zapłacił za kurs, dał napiwek kierowcy i stróżowi. Przez ten czas Fiszer poprawił melonik i binokle, przyglądził brodę oraz płatki nastroszonego, czerwonego goździka w klapie i odzyskał godność Boga Ojca.

- Pan kto? - spojrzał z góry na Kusocińskiego.

- Janusz Kusociński, sportowy mistrz Polski i mój ślubny drużba - przedstawił przyjaciela Jerzy, podając Fiszerowi laseczkę. - A to...

- Nie trzeba przedstawiać! - powstrzymał go Kusociński.

- Ja jestem z Warszawy... Bardzo mi miło!

- A w czym to szanowny drużba jest mistrzem? - zapytał Fiszer, oddając uścisk dłoni.

- Biegam - odparł skromnie Kusociński.

- A dokąd?! - zdumiał się Franc.

- Do najbliższej olimpiady - odparował mistrz.

- A potem pan przestanie?

- Noo, nie... - Kusociński zająknął się zaskoczony.

- Zatem, dokąd pan biegnie, ja się pana pytam?! - popatrzył surowo Fiszer. - Czy pan nie wie, dokąd pan zmierza?

- Może chodźmy na górę się rozgrzać? - Drwęcki przerwał metafizyczną inkwizycję.

- O to, to właśnie! - Fiszer skwapliwie przystał na propozycję i energicznie ruszył po schodach.

- Pani Mario!!! - zadudniło zaraz w całej klatce schodowej.

- Astralna istota z idei, mgły i eteru!!! Czyż pani nikczemnie empiryczny mąż dostrzega choćby cienie pani istotnego, esencjonalnego piękna?! Całuję rączki bez końca!

- Prosimy do środka! - uśmiechnęła się Marysia, cofając się od progu.

- Dobry wieczór, panie profesorze - dygnęła onieśmielona pokojówka.

- Panna subretka też coś anielskiego w sobie ma, niewątpliwie! Jak pisał poeta Heine:

„Polki są aniołami ziemi, jak anioły są Polkami nieba”

- Niebo przygotowano... - skłoniła się Marysia, wskazując gościowi drogę do salonu.

Specjalnie dla Fiszera wypożyczyli przepastny fotel od doktora Banasiewicza. Jerzy zaś doszedł do wniosku, że lubi starego oryginała bardziej niż zwykle. Franc gadał już od dobrych pięciu minut i ani razu nie zrobił najmniejszej aluzji do ich intymnego pożycia oraz odmiennego stanu Marysi. Najwyraźniej nie przyjmował do wiadomości i był ponad wszelkie insynuacje, że anioły mogą się rozmnażać...

Tymczasem pani domu stanęła dokładnie w połowie drogi między kuchnią a pokojem i rozpoczęła kierowanie ruchem dań i zakąsek, wskazując im miejsce na stole. Karolinka uwijała się jak fryga, a Jerzy zdał sobie sprawę, że jego wiedza na temat przygotowań do dzisiejszej biesiady obejmowała tylko wierzchołek kulinarnej góry lodowej...

Gdy stół zapełnił się po raz pierwszy, Marysia usiadła. Zaczęli od zupy ze szparagów. Doba leżakowania rzeczywiście podniosła jej smak o jeden poziom. Fiszler błyskawicznie wchłonął pięć dolewek, po czym rozgrzany przerzucił się na śledzie w oleju. Następnie w centrum uwagi myśliciela znalazł się wędzony węgorz z octem balsamicznym, który Drwęccy kupili we Włoszech podczas podróży poślubnej, szynki wędzone na zimno i gorąco, nóżki wieprzowe, karp i sandacz w galarecie oraz pasztet z zająca. To ostatnie danie było wyłączną specjalnością babci Ireny i stanowiło dowód, że staruszka co najmniej od kilku dni brała udział w przygotowaniach, co jeszcze bardziej zdumiało Jerzego. Wszelkie wątpliwości pod tym względem rozwiązał kolejny półmisek, pełen parujących babcinych pierogów... Gospodarz oprzytomniał, chwycił za karafkę i zaczął dolewać wina.

Tymczasem Karolinka wносиła solone rydze, kiszzone ogórki, marynowane minogi w śmietanie, pieczoną białą kiełbasę i faszzerowane jaja. Potem przyszła kolej na właściwe dania, czyli pieczone pulardy, sztufadę wołową z makaronem i filety z sarniego udźca, kruszejącego w jarzynach.

Kusociński patrzył na to wszystko z rosnącym przerażeniem. Przez grzeczność brał po małym kawałku każdej potrawy, ale i to wystarczyło, aby na jego półmisku wyrosła prawdziwa góra jedzenia. Zdawszy sobie sprawę z jej rozmiarów, aktualny mistrz Polski w biegu na dwa kilometry zamarł nad nią z widelcem w ręku jak żona Lota. Fiszler tymczasem jadł, jadł i jadł, metodycznie pustosząc talerze i bez chwili przerwy komplementując kunszt obu pokoleń kucharek.

- Zatem, powiada pani Maria, że do spółki z szanowną pani babką żadnej książki kucharskiej pisać nie zamierzacie? - zdumiał się w pewnej chwili. - Doprawdy, nie może to być, łaskawa pani! Nie może być! Przecież taka Ćwierczakiewiczowa to przy paniach istne

widmo mroczne z głębi dziejów! Cóż ta specjalistka od zapiekania wróblu w makaronie, z podniebieniem okutym w powiciu, może wiedzieć o prawdziwym ucztowaniu? Dokładnie tyle, co ojciec Hamleta post mortem! Żadne tam być albo nie być, moi państwo! To fałszywa antynomia! Nie być, tylko jeść, pani Mario! Bytu nie ma, więc nie ma się nad czym zastanawiać. Jest akt spożywania! Tu mamy prawdziwą, immanentną kulinarną harmonię sfer! A byt w sobie?! Bzdura i banialuki! Precz z transcendencją! Kogo obchodzi, jaki ten plasterk szynki jest sam sobie?! Ważny, jaki jest w ustach, ot co! - łupnął trzonkiem noża o stół. - A w ustach szyneczka się wprost rozplywa, do diabła więc ze zrzędą Kantem! Tylko immanencja, którą nadziewamy na widelec... O, proszę, biorę oto kawałek tej przewybornej sarninki, przekładam go płatkami pulardy i sztufady, na to ogóreczek... Teraz podnoszę do ust i czuję... - rozgryzł i przełknął wszystko z błogą miną. - O nie, pani Mario! Ja nie czuję, lecz słyszę, jak płaczą anioły, bo gdzież one w niebie, skrzydlate bidule, takich rozkoszy doznają?! Boga oglądać mają?! Niech lepiej na ten stół popatrzą! Doprawdy, dureń z tego Heinego! Chciał dobrze, przyznaję, niech mu tam! Ale cóż taki szwabski konwertyta, a choćby i poeta może wiedzieć, co prawdziwa Polka potrafi, kiedy swą polską duszę w materię spożywczą wcieli? O istocie niepodległości polskiego podniebienia?! Tak że opisać trzeba koniecznie! Najlepiej poetycznie. Może więc drogie panie się jeszcze namyślą. A gdyby pani Marii metafor zabrakło, służę mą dialektyką na chwałę pani kuchni, kiedy tylko pani rozkaże. A pan drużba, co? Czyżby na żołądek cierpiący? - Fiszer zainteresował się skonsternowanym Kusocińskim, który zupełnie już nie wiedział, czy ma jeść, czy słuchać.

- Ależ skąd... - sportowiec ożywił się i nadział rydza na widelec.

- Pan je, bo nigdzie pan nie dobiegnie!

- Z tak przepelnionym żołądkiem, chyba rzeczywiście...

- Ale, co też pan opowiada! - obruszył się myśliciel. - Dopiero jak się człowiek naje, może wybiegać myślą ku prawdziwym wyżynom!

- Ja, wie pan, biegam trochę inaczej - zaoponował nieśmiało Kusociński. - Za pomocą nóg...

- Głupstwa pan opowiadasz! - spiorunował go Fiszer. - Skoro pan nie wiesz, dokąd pan biegasz, to ja panu powiem! Dajmy na to, zdobędziesz pan złoty medal olimpijski, albo nawet dwa, ja panu nie żałuję. I cóż pan robisz potem, ja się pytam? Proszę to sobie wyobrazić, ale szczerze. Otóż, siadasz pan, patrzysz na te medale i mówisz sobie: „Osiągnąłem szczyt!”. I ogarnia pana metafizyczna błogość, czyż nie tak?

- Właściwie... tak - skinął głową sportowiec, mimochodem sięgając widelcem po następny smakołyk. - Dałby Bóg.

- Liczy się zatem stan ducha czy droga, po której do tego stanu dochodzimy? - zapytał Fiszer podchwytliwie i całkiem serio.

- A wie pan, że nie wiem - przyznał Kusociński. - Nie zastanawiałem się nad tym...

- Spróbuj pan tego węgorza, wyborny, mówię panu! A wracając do rzeczy, wypada stwierdzić, że dałeś pan sobie, panie drużba, wmówić pewien wyimaginowany obraz życia, ani lepszy, ani gorszy od innych. Na ten przykład, w takim średniowieczu, człek zażywny dumny mógł być ze swego brzuszyska, bo to był widomy znak bożej łaski. Od biegania pradziadowie nasi posłańców, paziów i pacholików mieli. Ba, już starożytni dowodzili, że wszelki ruch jest złudzeniem, że wspomnę nieboszczyka Zenona.

- Panie Franciszku - włączył się do rozmowy Drwęcki. - Z paradoksów Zenona z Elei wynika, że nigdy nie zdoła pan sięgnąć po tę tutaj szynkę na półmisku, bo pański widelec musi najpierw pokonać połowę drogi do wędliny, potem połowę połowy pozostałej drogi i tak dalej, tak że w końcu nie zdoła pan tej szynki dotknąć widelcem nawet po nieskończonym czasie...

- Znaczy się, pan Jerzy zagłodzić mnie chce? - spojrzał surowo Fiszer.

- Ależ skąd, panie Franciszku! - Marysia natychmiast przysunęła mu talerz z wędlinami.

- I oto... - Fiszer powoli i z powagą nadział na widelec plasterek szynki. - Mamy koronny dowód na to, że bytu nie ma! - Zjadł wędlinę. - Albowiem, panie Jerzy, paradoksy Zenona wynikają z jego koncepcji wiecznego i niezmiennego bytu, że jak byt niezmienny, to żadnego ruchu nie ma. A skoro ruch jest, to i bytu nie ma. Jest smak! Oto, co naprawdę istnieje i godne jest uwagi!

- Nie przeczy pan sobie aby, panie Franciszku? - roześmiał się Drwęcki. - Skoro ruch jest, to i biegać można...

- Ale po co, ja się pytam?! - zawołał Fiszer. - A z tym smakiem to jest dopiero pierwszy stopień metafizycznej immanencji. Dalej musimy ogarnąć obraz świata, który się za tym kryje...

- Lecz na olimpiadach Grecy jednak biegali - Kusociński wrócił do bliższego sobie tematu.

- Tylko początkujący filozofowie! - odparł natychmiast Fiszer. - Widział kto kiedy takiego Sokratesa, żeby młodego Platona nauczając, po ateńskiej agorze za nim ganiał? Poważni perypatetycy tylko się przechadzali, jak sama nazwa wskazuje. Jeżeli już biegali, to tylko za młodu, jak trzeba było Persów pogonić, a widział pan może gdzie ostatnio w Warszawie jakiegoś Persa?

- Nnie...

- Odkąd wynaleziono cywilizację, przez tysiące lat nikt normalny w bieganiu wielkości nie szukał.

- Ale ostatnio wynaleziono sport - zauważył Kusociński z pełnymi ustami.

- Do diabła z tym sportem! Należałoby się zastanowić, po co go wynaleziono? Czego to nam zabrakło, że trzeba było aż sport wynajdywać? Nie chybiając w niczym naszej drogiej gospodyni, nigdzie nie znalazłem takiej głębi metafizyki, jak przed laty w pikantnych kielbaskach wieprzowych, które pewna zmysłna oberżystka spod Włocławka domowym sposobem razem z mężem produkowała. Byłem właśnie z przyjaciółmi w drodze do Paryża, aleśmy tam zostali, żeby owe kielbaski studiować, co nam zajęło cały maj i bodaj jeszcze połowę czerwca. Mówię panu, panie drużba, nie za słone były, takie w sam raz pieprzne i jeszcze z jakimiś kujawskimi ziołami, po prostu - smak absolutnie immanentny! Całkiem jak te pierożki, pani Mario! - dodał szybko. - Wszakże dwakroć ostatecznej głębi metafizycznego objawienia dostąpić w życiu nie można. Ale pan, panie drużba, masz właśnie ku temu niepowtarzalną okazję! Zatem, bierz się pan za te pierogi, a daję słowo, że biegania do końca życia się panu odechce!

- O, w to nie wątpię - odparł Kusociński, rozluźniając nieznacznie pasek od spodni.

- Oddam cały sport za jedną tamtą kujawską kielbasę! - kontynuował Fiszer. - Jak pan Proust za magdalenkę. A panu, panie drużba, powiem, że tylko immanentna pełnia metafizycznego spełnienia się liczy, a nie droga do niej. Rozsądny człowiek najkrótszą i najwygodniejszą drogę do godnego celu wybiera. Ja wybrałem jedzenie!

- Myślę, że moja babcia zgodziłaby się z panem całkowicie, panie Franciszku - powiedziała Marysia, sięgając po kieliszek czerwonego wina.

- Pani babcia jest bardzo mądrą kobietą, pani Mario! Niech pani jej koniecznie we wszystkim słucha!

- Spróbowałabym nie...

- Pan możesz sobie biegać - Fiszer znów zwrócił się do Kusocińskiego - ale czemu ja?! Czemu mnie akurat nigdy spokojnie posiedzieć nie dadzą! - zirytował się nagle. - Jakby człowiek stworzony był do biegania, toby był antylopą i kopyta miał! Tymczasem jak na wsi w Przytułach u Grochowskich jestem, to szelmy mi tytoń w lesie chowają, żeby spokojnie posiedzieć i poczytać nie mógł, tylko na idiotyczny spacer szedł.

- To dla pańskiego zdrowia - wtrącił Drwęcki znad swojego talerza.

- Jakie tam zdrowie, skoro ja wcale umierać nie zamierzam?! - wybuchnął Fiszer. - A żyje się, panie Jerzy, nie po to, by być zdrowym, ale żeby rozmawiać, filozofować i tworzyć!

Może pan drużba kiedyś to zrozumie, kiedy już dobiegnie!

- Gdyby tak zastanowić się głębiej nad istotą przyjemności odczuwanej po biegu i po jedzeniu, to może rzeczywiście, różnicy nie ma żadnej... - zadumał się Kusociński.

- No widzisz pan, widzisz, panie biegacz! Jeszcze będą z pana ludzie! Dzięki metafizyce człowiek mniej się na tym świecie męczy. Proszę to sobie zapamiętać!

Rozmowa potoczyła się dalej po najróżniejszych tematach, które Fiszer zmieniał jak kameleon kolory. Zahipnotyzowany wymową kawiarnianego myśliciela Kusociński jadł cały czas, wtrącając od czasu do czasu jakieś słówko, aż w pewnym momencie jego widelec stuknęło o pusty talerz. Mistrz Polski spojrzął na swoje nakrycie i zdawszy sobie sprawę, ile zjadł, popadł w jeszcze większe osłupienie niż na początku biesiady.

Tymczasem Karolinka wносиła na stół sery, ciasta i kandyzowane owoce oraz, specjalnie dla Fiszera, cały dzbanek mocno parzonej herbaty, niemal esencji. Każdy nowy półmisek stary

Franc witał łaskawym skinieniem głowy i natychmiast próbował. Nie zdradzał przy tym najmniejszych oznak przejedzenia, które zaczęło już dopadać Jerzego.

- Panie drużba, polecam tego mazurka! I radzę przełożyć go jeszcze plasterkiem roquefort...

Przerażony Kusociński poderwał się na równe nogi.

- Ja przepraszam państwa najmocniej, ale jeszcze chwila, a w ogóle nie wstanę...

- O to chodzi, panie drużba! - zagrzmiał Fiszer. - Mamy karnawał, a nie post!

- I tak już pewnie nici z jutrzejszego treningu...

- A ten znowu swoje! Niby na inteligentnego wygląda, a nic pojąć nie potrafi! - machnął ręką zrezygnowany myśliciel. - No trudno! Jak się nie ma w głowie, to się ma w nogach!

- Pani Marysiu, wszystko było pyszne - Kusociński zaczął się żegnać. - Panie Franciszku, nasza dzisiejsza rozmowa będzie mi się śniła po nocach...

- Dobrze, że chociaż tyle!

- Serwus, Jerzy - żegnali się w przedpokoju. - Trener mnie jutro zabije, jak zobaczy mój czas; będę miał do tyłu co najmniej dziesięć sekund na kilometr, ale dziękuję za niezapomnianą przygodę.

- Cała przyjemność po mojej stronie! - roześmiał się Drwęcki.

Wyjście Kusocińskiego w najmniejszym stopniu nie spieszyło Fiszera.

- Zatem więcej zostanie dla nas! - oznajmił. - Pani Marysiu, mogę prosić dokładkę tych genialnych pierożków?

- Ależ oczywiście, panie Franciszku. Karolinko!

- Lecę, proszę pani! - odparła dziewczyna, nie kryjąc fascynacji.

Fiszer zwolnił tempo dopiero pół godziny później.

- Teraz, drodzy państwo - oznajmił niespodziewanie. - Czas nam do Ziemiańskiej!

- A nie zechciałby pan Franciszek się może zdrzemnąć po jedzeniu? - zapytała Marysia.

- Dziękuję, pani Mario, ale stanowczo nie teraz. Po tak znakomitej przekąsce i konwersacji czuję w sobie przyływ iście tytanicznej energii. Mógłbym się nawet z tym waszym drużbą ścigać i bez zmiłowania go przegonić! Pan Jerzy idzie ze mną? Pani Maria oczywiście też, jak najbardziej! Dzisiaj Tadzik Żeleński będzie tam jakieś dziady młodopolskie odprawiał.

- Ja dziękuję za zaproszenie, panie Franciszku, ale muszę uważać na zdrowie... - Marysia dotknęła brzucha.

- Oczywiście, rozumiem, pani Mario, bardzo słusznie!

Drwęccy wymienili się spojrzeniami. Marysia kiwnęła twierdząco. Jerzy uznał, że po takiej gargantuicznej kolacji trochę ruchu dobrze mu zrobi.

- Gdzie tu mają postój dryndy? - spytał Fiszer.

- Na rogu Wolskiej i Płockiej, kawałek za kościołem - odpowiedziała Marysia. - Ale nie ma potrzeby tam iść, panie Franciszku. Dyrektorka Zasławska poleciła mi firmę dorożkarską, gdzie można zamówić usługę telefonicznie.

- Drynda na telefon?! - roześmiał się Fiszer. - Czego to ludzie nie wymyślą! Pani dzwoni, pani Mario. Gdyby jaki koń odebrał, proszę go serdecznie ode mnie pozdrowić! A także jego panią klacz i źrebięta...

Kiedy byli już gotowi do wyjścia, Marysia wyniosła z kuchni duży termos.

- Na drogę - podała mężowi. - Przygotowałam zawczasu na ten mróz gorącej herbaty z rumem. Tak właściwie, to ponczu...

- Jerzy na kolana!!! - zawołał wielkim głosem myśliciel. - Taka żona to tuzin skarbów! Pani Mario! Jest pani geniuszem w spódnicy! Ta idiotka Gelbardowa powinna u pani pół życia terminować, żeby choć szczyptę pani rozumu nabyć!

Drwęcki przyklęknął dwornie na jedno kolano, a Marysia podała mu rękę do ucałowania.

- Pani Mario! - entuzjasmował się Fiszer. - Zachwiała mnie pani w moich kawalerskich postanowieniach. Gdyby mnie ten policyjny empirysta nie ubiegł, to kto wie, kto wie...

- Do zobaczenia, panie Franciszku - uśmiechnęła się gospodyni.

- Opuszczać pani dom to prawdziwe wygnanie z raju! A nawet Pan Bóg nie wpadł na to, by Adama i Ewę tak na drogę opatrzeć. Zatem to więcej niż raj! Pan o tym pamięta, panie Jerzy!

- Co dzień odkrywam od nowa - zapewnił Drwęcki.

Zamówiona dorożka przyjechała punktualnie na róg Wolskiej i Bema. Woźnica miał dla pasażerów baranice do okrycia nóg, ale nawet to było mało na tę zimę. Fiszer opatulił się szczelnie i gdy tylko ruszyli, natychmiast zażądał ponczu. Mijane wzdłuż Wolskiej latarnie wypełniały budę dorożki na przemian falami światła i cienia. Było cicho. Mróz i późna pora wypłoszyły przechodniów, a wszelki inny ruch uliczny ograniczyły do minimum. W zgęstniałym z zimna powietrzu daleko niósł się stukot podków o zlodowaciały bruk.

- Zauważyłem, że pan Jerzy dziś wyraźnie nieswój - powiedział Fiszer, unosząc do ust parujący kubek.

- Nie, skąd... - odparł zaskoczony Drwęcki.

- Jakaś zagmatwana sprawa? - zapytał myśliciel. - Śledztwo nie idzie? Zbrodnia doskonała może, co?

- Właściwie to tak... - westchnął ciężko Jerzy.

- Pomożemy! - zapewnił Fiszer.

- Wątpię, szczerze mówiąc.

- Panie Jerzy, zbrodnia doskonała to rzecz z kategorii sztuki, co znaczy, że jako taka podlega kompetencjom artystycznym, nie policyjnym. Na przyjaciół z kręgów bohemy zaś może pan zawsze liczyć!

- Bardzo dziękuję, panie Franciszku, ale obowiązuje mnie tajemnica śledztwa.

- Jak pan uważa, panie Jerzy, gdyby jednak pan pomocy potrzebował, wystarczy słówko.

- A co właściwie Boy będzie dzisiaj w Ziemiańskiej robił? - Drwęcki zmienił temat. - I to tuż przed zamknięciem?

- Właściwie to po godzinach, tak było ustalone z właścicielem, żeby postronne oczy i języki się nie trafiły, bo znów na Tadeusza idiotyzmów nagadają. No ale jak to?! Nie wie pan Jerzy, co to dzisiaj mamy?! Przecież dziesiąty stycznia!

- Przepraszam, nie kojarzy mi się...

- Również trzydzieści lat temu, w krakowskim „Życiu” ogłoszony został Confiteor Przybyszewskiego. Pan tego nie wiesz?!

- Ach, ten manifest!

- Właśnie! Pan się napije, panie Jerzy, tego ponczykku, bo panu mózg zaraz całkiem zamarznie! Tadeusz ma szczególny sentyment do wszelkich jubileuszy związanych z imieniem Stacha, więc, jak mówiłem, dziś na tę okoliczność wypijemy po wódeczce...

- W Ziemiańskiej?! - zdziwił się Jerzy. - Przecież tam czystej nie podają...

- Panie Jerzy! - skrzywił się Fiszer. - Jak mówiłem, nabożeństwo tylko dla wtajemniczonych, właściwie to należałoby rzec, że czarna msza, zważywszy młodzieńcze brewerie Stacha. Powiedzmy zatem, że do tajnego lokalu jedziemy jak Amerykanie przez tę swoją prohibicję.

- Nie wiem, czy godzi mi się tego słuchać - roześmiał się Drwęcki.

- Dopraszam się łaski, proszę jaśnie panów! - odezwał się nagle woźnica. - Czy i ja mógłbym prosić łyczek na rozgrzewkę?

- Ależ, bardzo proszę, dobry człowieku! - ulitował się Fiszer.

5. Spazm satyra

Termos był duży, a zawartość rumu w ponczu ponadprzeciętna. Płynu i procentów wystarczyło z górką na trzech chłopa. Do tego stopnia, że nim minęli plac Grzybowski, Drwęcki zapomniał o swoim zagmatwanym śledztwie i w ogóle o całej pracy, a w szczególności o obowiązku nieustannego dawania dobrego przykładu społeczeństwu stolicy. Nie tylko zresztą on. Wściekły mróz wygnał z ulic wszystkich policjantów i złodziei. Przez całą drogę nie spotkali ani jednego mundurowego, które go mogłaby zainteresować wesółą dorożką, bezczelnie wymuszająca pierwszeństwo przejazdu na tramwajach o grubo oszronionych oknach.

Na Królewskiej ich rozochocony stangret wydarł się na całe gardło:

Dziewczyzna ta, Powiśla cud! Wokoło siała czar! Ją Rudą Mańką nazwał lud, jej czar w dusze się wżarł! Złotorude, cudne sploty Zapraszały do pieszczoty! A nucił jej apaszów huf Pieśń miłosnych snów!

Gdy przyszło do refrenu, dorożkarzowi zawtórował Fiszer i to tak, że ogłuszonemu zniecka Drwęckiemu zadzwoniło w uszach:

Mańka! Mańka! Tyś Powiśla czar! Ty w sercach budzisz płomienisty żar! Ty, dziewczyno bladolica! Tobą każdy się zachwyca! Mańka! Mańka! Przyjmij serca dar!

Jakby się kto pytał, niewątpliwie było to zakłócanie porządku publicznego. Niemniej, gdy przyszło do drugiej zwrotki, Jerzy przyłączył się do woźnicy:

Pokochał ją Antek, co miał sił! jak tylko kochać mógł! Kto chociaż raz przy Mańce był, To był już jego wróg! I hulał więc Powiśla pan Pośród spelunek ścian! Aż Mańka raz zdradziła go Rzuciła, poszła w świat!

Fiszer nabrał tchu i kolejny refren zabrzmiał lepiej niż w operze, aż poleciały z dachów sople:

Mańka! Mańka! Tyś Powiśla czar!

W sercach budzisz płomienisty żar...

Kubek z parującym ponczem zrobił kolejną rundę z rąk do rąk, po czym, mijając Zachętę, krwawy finał ballady odśpiewali we trójkę:

Wtem ujrzał damę pełną kras, W dorożce był z nią gach!

Ach, czyż to by była złuda?!

To jego Mańka Ruda!

Przemknęła drynda wśród drzew, W Antku zawrzała krew!

Szybko na stopień skoczył on

A w ręku błysnął nóż!

Wróć do mnie suko! Lub twój zgon!

Ona ucieka już! Więc pchnął Mańkę nożem w serce!

Ścieląc jej śmierci kobierce...1

Dojechali na miejsce tuż przed ostatnim refrenem.

- Z podziękowaniem jasnie panom! - dorożkarz uchylił czapki, gdy stanęli przed Ziemiańską. - Ależ swoją drogą mieliśmy szczęście, iż nas żaden salceson nie przyuważył...

Fiszer zadudnił gromowym śmiechem. Drwęcki czym prędzej zapłacił za kurs i umknął do kawiarni. Z kolei Franc się nie spieszył, spokojnie kończył poncz z dorożkarzem.

- Mogę prosić o palto szanownego pana nadkomisarza? - do Jerzego natychmiast podszedł szatniarz.

- Ktoś z naszego towarzystwa już jest? - zagadnął Drwęcki.

- Tylko pan Tuwim, panie nadkomisarzu. Zdaje mi się, że właśnie coś pisze.

- A, to świetnie...

Do Ziemiańskiej wkroczył Franc Fiszer z pustym termosem. Już nabierał tchu, by obwieścić swoje przybycie, gdy nagle zobaczył palec na ustach Jerzego.

- Co?! - zapytał scenicznym szeptem.

- Tuwim tu jest - odparł Drwęcki ze sztubackim uśmiechem. - Może go zapytamy, czy zna Wieniawę...?

Fiszer energicznie pokiwał głową, dusząc w sobie śmiech. Skinął na kelnera, przekazał mu termos i zadysponował coś półgłosem, znacząco wskazując na wylot naczynia. Potem podszedł do Jerzego i obaj, starając się stąpać jak najciszej, ruszyli na półpięterko. Sytuacja była idealna. Tuwim siedział plecami do schodów, pochylony nad notesem, w którym akurat zawzięcie coś kreślił. Drwęcki zaszedł poetę od tyłu i powiedział mu wprost do ucha:

- Przepraszam, a pan szanowny znajomym jest szanownego pana Wieniawy? - najlepiej jak umiał zasymulował żydowski zaśpiew i akcent przez obniżenie głosu.

Efekt przeszedł ich najśmielsze oczekiwania. Rozwścieczony Tuwim poderwał się na równe nogi, zalewając kawą obrus, i omal nie przewracając całego stolika.

- Oż, by cię szlag trafił, parchu jeden! Bodaj... - zobaczył Drwęckiego i zamarł, ściskając w dłoni wieczne pióro jak sztylet.

- A tośmy Żyda w antysemityzm wpędzili!!! - ryknął śmiechem Fiszer.

- Czekajcie, ja was kiedyś tak obsmaruję, że się do lodowej śmierci wszechświata nie pozbieracie! - syknął Tuwim. - Długo jeszcze będziecie mnie do Tworek wpędzać?!

Wszystkiemu winien był pewien starozakonny producent wykałaczek spod Grójca. Przedsiębiorca ów, miesiąc temu, z całkowitym brakiem respektu wdarł się na półpięterko Ziemiańskiej i nie bacząc na rangę miejsca oraz towarzystwa, z rozbijającą bezczelnością, w imię odwiecznej żydowskiej solidarności, zaczął nagabywać Tuwima o protekcję u Wieniawy. Chodziło o zamówienie na dostawę wykałaczek dla polskiej armii. Producent kłął się na brodę Abrahama, że dopuści poetę do godziwego udziału w krociowych zyskach, a ponadto miejscowy rabin zapewni jego wykałaczkom certyfikat koszerności...

Fiszer, do którego tradycyjnych obowiązków należało wypłaszanie intruzów, tym razem zawiódł na całej linii. Najpierw zapytał, na czym polegają warunki koszerności w przypadku wykałaczek, a następnie, nie bacząc na rosnącą irytację Tuwima, wdał się z ich producentem w zawiły spór talmudyczny. Skończyło się na tym, że rozjuszony poeta dopuścił się rękoczynów - chwycił niedoszłego współnika za kołnierz chałatu i, ku uciesze zgromadzonych, a mimo protestów Fiszera, którego ciekawość pozostała niezaspokojona, osobiście wyrzucił natręta z kawiarni. Od tej pory jednak wszyscy znajomi z radosnym okrucieństwem doprowadzali Tuwima do białej gorączki pytaniami, czy zna Wieniawę, zadawanymi w najbardziej zaskakujących i nedorzecznych okolicznościach. Drwęcki ustanowił właśnie kolejny rekord w tej konkurencji.

- A chcecie wiedzieć, co ja na to?! - poeta uspokoił się trochę i przewertował notes. - Żebyście sobie nie myśleli! - Zaczął czytać:

A wczoraj... Nie wierzycie?

Pod chajrem! Bez przechwałek!

Przychodzi do mnie skrycie

Po prostu - sam Marszałek!

I prosi o dyskrecję, Bo ma intymną sprawę

A wierzy w mą protekcję:

„Pan przecież zna Wieniawę!”²

- Już dobrze, Juleczku, daj pyska na zgodę! - wyciągnął ramiona Fiszer.

- Kto mnie wołał, czego chciał?! - rozległ się grobowy głos Wieniawy.

- Chyćcie broni! Chyćcie koni! - zawołał donośnie idący tuż za nim BoyŻeleński. - Stachanalia czas zacząć!

Do Ziemiańskiej wchodzili właśnie Słonimski, Dunikowski i Lechoń. Przez okna

widać było, że przyjechali razem dwiema taksówkami, najpewniej z jakiegoś innego lokalu, bo wszyscy byli w szampańskich humorach.

Zaczął się gremialne powitanie, w trakcie którego Fiszer wynosił pod niebiosa kulinarne umiejętności żony Jerzego i metafizyczny rozmach dzisiejszej kolacji. Przy okazji bez litości obgadywał Kusocińskiego, że niby ten, skutkiem zboczenia profesjonalnego, zupełnie nie potrafił usiedzieć na miejscu i jak przyszło do deseru, zrobił to, co potrafił najlepiej, czyli wybiegł...

- Obrus na górze już zmieniony - poinformował kelner Żeleńskiego. - Czy mam zapalić świece dla lepszego nastroju?

- Świece? A w żadnym wypadku! Zbyt pensjonarsko-filisterska dekoracja. Stach by nas wyśmiał ze szczeniem. Proszę zapalić spirytus w szklankach.

- Niezwłocznie, panie doktorze!

- Może tak najpierw wypijemy, a potem zapalimy? - dowcipkował Wieniawa.

Po paru minutach zasiedli wokół stołu oświetlonego niebieskimi płomykami, w którego centrum stanęła spotniała butelka zimnej wódki. Boy wyjął z kieszeni plik zapisanych kartek i rozpoczął uroczystą przemowę.

- Moi drodzy, co ja myślę o jubileuszach, tom już swego czasu w Zielonym Baloniku wyśpiewał: „Bierze się do tego celu, tęgiego, starego pryka. Sadza się go na fotelu i siarczyście się go tyka! Z uwielbienia pełnym łonem, stawam tu, czcigodny panie... 3

- A Stach na to: he, he, he! - wtrącił się Fiszer.

- Dziękuję ci, Franc, bardzo! - kiwnął mu głową Boy. - Ale teraz całkiem szczerze i bez prześmiewek powiem, że Stach Przybyszewski to był prawdziwy hipnotyzer i truciciel dusz, a to, co on wtedy zrobił po swoim przybyciu do Krakowa, to było objawienie nam najgłębszej istoty człowieczeństwa. Prawda, że dla jednych było to zabójcze jak cyjanek, ale dla wielu jakże dobroczynne i inspirujące, napelniające głowy szczęśliwym zamętem. Było dokładnie tak, jak powiedział Paracelsus: „Wszystko jest dawką!”, moi drodzy. W małej dawce trucizna staje się lekiem i nie inaczej było z tą trucizną duszy, którą hojnie serwował Stach. Bóg i Szatan wiedzą, jak bardzo potrzeba było tego leku nam, duchowym anemikom, karmionym od kołyski bezkrwistymi widmami narodowych tragedii i innymi cieniami prawdziwego życia, wykrwawionymi aż do bogoojczyźnianej koszerności. Tyle różnicy, że w niepojętych metabolizmach ludzkiej duszy granica pomiędzy życiem a śmiercią, między natchnieniem a szaleństwem, wzniosłością a upadkiem, zbawieniem i potępieniem jest o wiele trudniejsza do uchwycenia. Każdy musi sam na sobie wypraktykować. Tego uczył nas Stach własnym szalonym przykładem. A ja tam wówczas, młody dureń, w najbliższym

obcowaniu ze Stachem, z jego jadem, drwiną i geniuszem, narodziłem się wreszcie jako człowiek czujący i myślący. To było jak inicjacja przez okaleczenie, którą ludy pierwotne stosują, o której nasza cywilizacja dawno zapomniała, a którą Stach nam przywrócił. Obolały na ciele i umyśle, narodziłem się w zamian dla pełni odczuwania i pojmowania. A może nawet dojrzałem do mądrości, kto wie? Dlatego wdzięcznym uczniem i zarazem sponiewieraną ofiarą Stacha pozostanę do końca życia. A teraz bez ogródek przyznam się, że mimo wszystko, wbrew filozofom, chcę wejść jeszcze raz do tej samej rzeki i poczuć choć przez chwilę tamten czas, równo trzydzieści lat temu, kiedy pierwszy raz wziąłem do ręki ten pachnący farbą drukarską numer „Życia”... Nalewaj, Bolek!

- Już się robi! - Wieniawa sięgnął po wódkę.

Boy dopiero teraz spojrzął na trzymane w ręku kartki i zaczął z namaszczeniem czytać Confiteor: „Przystępując do rozwinięcia naszych pojęć o sztuce...”⁴

Drwęcki początkowo słuchał uważnie i z zaciekawieniem, bo z pełnym tekstem tego manifestu nigdy jeszcze nie miał do czynienia. Znał tyle, co wszyscy - wyrwane z całości urywki, które poszły w świat jako hasła typu: „Sztuka dla sztuki” czy „Sztuka największą religią, a kapłanem jej artysta”. Wkrótce jednak nie był w stanie ukryć przed samym sobą, że na dobrą sprawę tekst jest nielogiczny i ogólnikowy. Cóż to bowiem jest owo „życie duszy”, które artysta ma odtwarzać? Od kiedy to odtwarzanie jest twórczością?

Kiedy zaś Boy doszedł do słów: „Artysta stoi ponad życiem, ponad światem, jest Panem Panów, niekielzany żadnym prawem, nieograniczony żadną ludzką siłą. Jest on zarówno święty i czysty, czy odtwarza największe zbrodnie, odkrywa najwstrętniejsze brudy, czy gdy oczy w niebo wbija i światłość Boga przenika”, dobry humor Jerzego nieodwracalnie odplynął. Jeszcze nie wytrzeźwiał, a już zaczynał mieć kaca. W towarzystwie Fiszera, pod przemożnym wpływem jego osoby, tak dokładnie zapomniał o dzisiejszych niepowodzeniach, że teraz tym bardziej poczuł się winny i zbłąźniony. Porządny stary policjant walczy o życie w szpitalu, ktoś tam cieszy się z dokonanej zbrodni, może nawet przed lustrem przymierza sobie kolię z pereł z ludzkich kości, a pan nadkomisarz, jakby nigdy nic, wysłuchuje egzaltowanego peanu o przywilejach artysty, któremu wszystko wolno, który jest ponad prawem i „nie należy do narodu, ani do świata”...

Zmarkotniały Jerzy wyjął z kieszeni elektryczną perłę, którą wciąż nosił przy sobie. Tak na dobrą sprawę nie bardzo wiedział, dlaczego. Trochę jako memento, czy może wyrzut sumienia? Zaczął ją obracać w palcach. Dojrzewała w nim myśl, że powinien stąd wyjść. Dla porządku jeden toast, żeby nikogo nie urazić, a potem może bez obaw wymówić się zdrowiem Marysi. I tak już całe towarzystwo z Ziemiańskiej podśmiewało się z młodego

żonkosia, nie będą więc wydziwiać bardziej...

- Wypijmy zatem za nieśmiertelny geniusz i duszę Stacha! - oznajmił Boy.

Powstali i unieśli napełnione przez Wieniawę literatki.

- I żeby mu zdrowia w czyścucu nie zabrakło! - dodał Fiszer.

Wypili, po czym idąc za przykładem Wieniawy, jeden po drugim rozbili szklanki na schodach.

- Chciałem wam jeszcze dzisiaj - powiedział Boy, nabrawszy tchu po wypitej wódce - przeczytać list od Stasi Przybyszewskiej, bo właśnie przyszedł z Gdańska, ale może teraz ty Franc mnie zastąpisz?

- A proszę cię bardzo - Fiszer poprawił binokle. - Cóż tam u Stasi?

- Kolejny raz poprawia swój Thermidor i planuje nowy dramat - Sprawę Dantona, reszta w liście. - Żeleński podszedł do Drwęckiego. - Panie Jerzy - szepnął - czy mogę o coś zapytać? Odejdźmy może trochę, żeby nie przeszkadzać...

- Tak, oczywiście - stropił się Drwęcki, wstając z krzesła. Obawiał się wymówek za ponuraństwo.

- Juleczku, poświęć no mi swoim spirytusem gorejącym! - Fiszer rozprostował list.

Tuwim wziął spodeczek, na którym stała płonąca literatka, i uniósł nad ramieniem myśliciela.

- Zatem tak... - Franc odchrząknął i zaczął czytać: - Drodzy, kochani przyjaciele!

Żeleński i nadkomisarz zeszli do połowy schodów, starając się omijać potłuczone szkło, ale resztki szklanek i tak chrzęściły im pod butami.

- Jestem zaskoczony, że pan też to dostał... - zaczął Boy.

- Co takiego? - zdumiał się Drwęcki.

- Tę białą kulkę, jakby perłę...

- Jak to też?! - Jerzy otrzeźwiał momentalnie.

Boy sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął pomiętą kopertę. Otworzył, przechylił i na dłoń Drwęckiego, na której leżała ponura pamiątka z zajezdni przy Kawęczyńskiej, wypadła druga elektryczna perła. Były niemal identyczne...

„Zadaniem autora jest wybór tematu o jak najwyższym potencjale dramatycznym i pełne wyzyskanie, więcej, intensyfikacja tego potencjału...” - czytał Fiszer donośnym głosem list Stanisławy Przybyszewskiej, nieślubnej córki Stacha.

- Panie doktorze... - Jerzy próbował nadać swojemu głosowi oficjalny ton. Jednak kompletne zaskoczenie i wypity alkohol uniemożliwiły to skutecznie. Język mu się zaplątał.

- Co to właściwie jest? - dopytywał się Boy. - Perła nieszlachetna? Słyszałem, że

słodkowodne małże czasem też...

- To jest z ludzkiej kości - zdołał wreszcie wykrztusić Drwęcki. - Skąd pan to ma?!

- Przyszło pocztą, dziś rano - wzruszył ramionami Boy. - Żeby pan wiedział, panie nadkomisarzu, jacy dziwacy bezustannie do mnie piszą... - zreflektował się. - Jak to z kości?!

- Stopionej przez prąd elektryczny.

Żeleński zmienił się na twarzy, jakby zobaczył upiora. Spojrzał jeszcze raz na dłoń Jerzego i cofnął się z odrazą o krok.

- Ależ skąd...?!

- Wczoraj w Warszawie doszło do morderstwa - oznajmił Drwęcki. - A to prawdopodobnie jest jeden ze śladów tej zbrodni. Czy w tej kopercie było coś jeszcze? - zmobilizował resztki logiki.

- Tak, tak... - zmieszany Boy podał mu kopertę. Była tam jedna, mała kartka, a na niej cztery słowa: „Spazmem rozwścieczonego satyra wierzgnę”. Bez podpisu.

- Czy pan wie, co to znaczy? - Jerzy podniósł wzrok na literata.

- Owszem... - Boy przełknął ślinę. - To jest jeden z ulubionych toastów Stacha, fragment wiersza jakiegoś grafomana, nadesłanego swego czasu do „Życia”. Rękopis Stach zwrócił autorowi, ale ten jeden zwrot bardzo mu się spodobał. Potem, ilekroć piliśmy, on, unosząc kieliszek, wołał: „No to wierzgnijmy spazmem satyra rozwścieczonego!”. Myślałem, że to ktoś z dawnej krakowskiej kompanii na pamiątkę mi przysłał. Dlatego wziąłem tutaj z sobą, żeby pokazać. Ale wymowy tej... tak zwanej perły zupełnie nie... rozumiem - głos mu zdrzął. - Pan uważa, panie nadkomisarzu, że coś mi grozi?

- Panie Tadeuszu... - Drwęcki bezskutecznie starał się opanować zamęt w głowie. - Dziś do niczego sensownego nie dojdziemy. Powinniśmy się dobrze wyspać, a jutro rano... - zamilkł, bo właśnie dotarło do niego, co musi powiedzieć. - Zapraszam do mnie na Daniłowiczowską. Musi pan złożyć oficjalne wyjaśnienia.

- Będzie mnie pan przesłuchiwać?

- Jako świadka w sprawie o morderstwo - poinformował z powagą Jerzy.

- Przyjdę - Boy skłonił się sztywno.

„Interesuje mnie tylko wolność przez duże W” - kończył czytać Fiszer. „A zatem nie mogę być nikim innym, tylko literatem! Ściskam was wszystkich serdecznie. Wasza Stanisława”.

- Tadeusz! Jerzy! - zawołał Wieniawa. - Co wy tam tak na uboczu konspirujecie?! Chodźcie wypić teraz za zdrowie Stasi!

Rano Drwęcki znów nadużył przywileju zwierzchnika i spóźnił się do pracy. Tym

razem jednak miał usprawiedliwienie, koniecznie bowiem musiał mieć dziś jasną głowę i bezwzględnie pozbyć się kaca, który po mieszance wina, ponczu i wódki okazał się niemożliwy do zignorowania. Tak więc, choć umówił się z Boyem na dziesiątą, nie ruszył się z domu, póki czarna kawa i aspiryna nie zaczęły na dobre działać, czyli wyszedł dopiero kwadrans po. Reszty spóźnienia dopełnił orzeźwiający spacer po świeżym, mroźnym powietrzu, bo Jerzy kazał Maniewskiemu wysadzić się przy placu Bankowym i doszedł do pracy na piechotę. W sumie Boy czekał ponad czterdzieści minut i to wystarczyło, aby urząd śledczy przez ten czas dokumentnie stanął na głowie.

Po pierwsze, wieść o przybyciu znanego literata, bezceści - ciela narodowych świętości, bezbożnika, zbereźnika, deprawatora, a zarazem uwielbianego idola zbuntowanej, powojennej młodzieży, obiegła gmach przy Daniłowiczowskiej lotem ptaka, budząc ogromne zaciekawienie i skrajne emocje. Kiedy z sekretariatu nadkomisarza Drwęckiego przeciekła wieść, że chodzi o przesłuchanie w sprawie o zabójstwo, cała robota poszła w ką. W zamian zaczęły się dzikie plotki, bo mało kto wiedział, domyślał się lub chciał przyjąć do wiadomości, że doktor Żeleński ma być tylko świadkiem. Wielu wołało widzieć weń dusiciela dorastających panienek i co poniektórzy zaczęli już spierać się o wiek nieszczęsnej ofiary, próbując ustalić, czy miała ona piętnaście czy zaledwie trzynaście lat. Zamieszania dopełniała druga partia - wielbicieli Boya, którzy, choć znacznie mniej liczni, nadrabiali siłą wiary w jego niewinność i gotowi byli bić oszczerców, łącznie z samym Drwęckim, którego posądzono o wyrachowaną intrygę przeciw uwielbianemu twórcy. Szeptano, że aby pognać Boya i zyskać kolejny szybki awans, Drwęcki perfidnie wkręcił się w towarzystwo Ziemiańskiej...

Tego wszystkiego Jerzy dowiedział się w ciągu kilku następnych dni. Na razie wkroczył w kryminalno-literackie panoptikum w stanie doskonałej nieświadomości spowodowanego mimo woli zamieszania. Nie zauważył, że na jego widok cichną rozmowy. Do myślenia dał mu dopiero widok komisarza Bryckiego, który, szczerząc złote zęby, wpadł na niego z egzemplarzem Słówek, świeżo uzupełnionym o autograf, czym nie omieszkał się szefowi pochwalić. Potem, ni z tego, ni z owego, zaczął mówić o wielkiej wadze domniemania niewinności, czym zupełnie zaskoczył Drwęckiego, gdyż komisarz Brycki był dokładnie ostatnią osobą, którą Jerzy podejrzewałby o znajomość tej kategorii prawnej, nie wspominając o jej stosowaniu w praktyce śledczej. Inni łowcy autografów nie mieli tupetu Bryckiego, niby więc przypadkiem, wyczekując okazji, kręcili się w pobliżu gabinetu Drwęckiego, nieudolnie kryjąc książki pod marynarkami.

Zanim jednak Jerzy dotarł do siebie, drogę zastąpił mu przodownik dyżurny

Maciewicz, któremu towarzyszy! jeszcze jeden, marsowo poważny mundurowy. Obaj mieli głód w oczach.

- Panie nadkomisarzu, szanowny, możemy szepnąć słówko? My względem tego Boya, czy jak mu tam, Żeleńskiego...

- Tak, słucham - Drwęcki przystanął.

- My byśmy chcieli, aby pan nadkomisarz wiedział, że jakby co, to w ciemno może na nas polegać...

- Ale w jakiej sprawie?

- No wie pan nadkomisarz - Maciewicz zniżył głos. - Jakby trzeba było tego łobuza, pornografa jednego na dołek wziąć... - znacząco pogładził rękojeść pałki. - To my z chłopakami tak mu przyłożym w imię boże i ku chwale ojczyzny, że już więcej do żadnego pisania na dupie nie usiądzie!

- To raczej nie będzie konieczne, świadek chce współpracować - powiedział spokojnie Jerzy. - Ale, dziękuję w imieniu służby.

- No ale jakby co, to pan nadkomisarz już wie... - przodownik Maciewicz mimo wszystko nie tracił nadziei na zapisanie się w historii polskiej literatury.

- Tak, wiem.

To był jednak dopiero wstęp do tego, co zaszło w sekretariacie. Drwęcki zastał tam Sawilskiego, który zamiast wykonywać czynności przewidziane formalną procedurą przesłuchania, też prosił właśnie Boya o autograf „dla Leokadii”, dodając, że chodzi o siostrzenicę. Panna Stefania siedziała za biurkiem cała w pąsach. Na widok Jerzego poderwała się na równe nogi.

- Panie nadkomisarzu, musimy koniecznie porozmawiać! Zaraz! - wyrzuciła z siebie.

- Proszę... - Jerzy wskazał jej wejście do gabinetu. Ponaglony wzrokiem rozjuszonyj sekretarki zdołał tylko kiwnąć Żeleńskiemu głową na powitanie.

Panna Stefania z furią zatrzaskała drzwi.

- Panie nadkomisarzu! - wybuchła jak nigdy dotąd. - Co pan sobie wyobraża?!

- Ależ, co się stało...?

- Powinam się zwolnić i odejść! Natychmiast odejść!

- Ale, dlaczego?

- Panie nadkomisarzu, ja jestem uczciwą i czystą katolicką narzeczoną! A pan postawił mnie w sytuacji głęboko uwłaczającej mojej czci i dobremu imieniu! I to kolejny raz! Tym razem słodczami się pan nie wykpi!

Jerzy już nic nie powiedział. Tylko patrzył z osłupieniem.

- Przez pana - cedziła panna Stefania. - Całe pół godziny byłam sama z tym Żeleńskim w jednym pokoju! Co sobie ludzie pomyśla?!
- Czy doktor Żeleński zachowywał się wobec pani niestosownie?

- Nie, ale... Ale przecież i tak będą plotki! Tyle osób widziało nas razem, ciągle ktoś przychodził tu prosić o autograf...

- Panno Stefanio - mimo całej swojej bezradności wobec logiki kobiecej Jerzy próbował jednak opanować sytuację. - Przecież pani siedziała tu służbowo, wykonując urzędowe obowiązki.

- Może i obowiązki, ale co będzie, jak mnie obgadają?! Że niby jak ślub za trzy tygodnie, to może mi instruktor od zbereżności potrzebny... - zaczęła szlochać.

- Przepraszam - Drwęckiemu zrobiło się głupio. - Nie powinienem się spóźniać do pracy.

- No i co sobie teraz o mnie pomyśli mój obecny narzeczony? - lamentowała rozżalona. - Lub pułkownik Wieniawa, który mnie tu polecił, albo koledzy legionieści mojego pierwszego, świętej pamięci narzeczonego Edwarda?!

- Panno Stefanio, ależ pani jest jak żona Cezara, absolutnie poza wszelkimi podejrzeniami! Jakby co, wszyscy tu za panią murem staniemy i będziemy świadczyć! Nie wyobrażam sobie jednak, aby ktokolwiek, choć na chwilę, mógł zwątpić w pani czystość.

- Bardzo pan nadkomisarz miły... - otarła oczy, rozmazując makijaż.

Jerzy szybko podał jej chusteczkę. Dodatkowo uznał, że trzeba jeszcze zabawić się w poetę.

- Czyż lilie nie wyrastają z brudnej gleby? - zapytał z powagą. - Pani jest jak one, ponad wszelkie brudy tej służby, które w najmniejszym stopniu nie mogą pani skalać... - Drwęcki brnął w coraz większą grafomanię, ale, o dziwo, z pomyślnym skutkiem.

Panna Stefania otarła oczy i zaczęła się znów uśmiechać.

- To może ja pójde się ogarnąć... - wybiegła z gabinetu, osłaniając oczy chustką.

Chwilę później wszedł Boy-Żeleński. Jego twarz emanowała ojcowską powagą.

- Wie pan, panie Jerzy - powiedział z dezaprobatą. - Nie chciałbym się wtrącać, ale chyba traktuje pan swój żeński personel zbyt surowo. Nie znam wprawdzie tutejszych obyczajów i nie wiem, w czym zawiniła pańska sekretarka, ale kobieta to jednak nie carski stójkowy!

- Przepraszam... - Nie pozostawało już nic innego, jak wziąć całą winę na siebie. - Panna Stefania jest bardzo uczuciowa, a ja rzeczywiście trochę za bardzo rozgniewałem się, że nie zaproponowała panu nic do picia... - Drwęcki pochwalił się w duchu za poranną walkę

z kacem. Dzięki temu przynajmniej jego inteligencja stała teraz na wysokości zadania.

- No, może rzeczywiście kawy bym się napił - przyznał Boy. - Ale jakoś nie było okazji, gdyż pańscy współpracownicy wciąż zabawiali mnie rozmową. Proszę sobie wyobrazić, że komisarz Brycki zawsze trzyma w swoim biurku tomik moich Słówek, by zaglądać tam w trudnych chwilach, kiedy najczarniejsze przejawy ludzkiej natury osaczają go już ze wszystkich stron... To naprawdę przemiły człowiek!

Tego było Drwęckiemu już naprawdę za wiele.

- Czy możemy przejść do rzeczy? - zapytał oschle. - Przypominam, że chodzi o morderstwo...

- Tak, rozumiem - Boy sięgnął za pazuchę. - Proszę, tu spisałem wszystkie okoliczności otrzymania listu z elektryczną perłą oraz całą moją wiedzę na temat.

- Dołączymy do akt - Drwęcki odłożył pismo i usiadł za biurkiem. - Panie Sawilski! - zawołał w kierunku otwartych drzwi. - Czy już jest pan gotów protokołować?!

- Tak, oczywiście, panie nadkomisarzu - Sawilski wszedł do gabinetu z papierami i usiadł naprzeciw Żeleńskiego.

- Jak to możliwe - Drwęcki zwrócił się do Boya - że pan, jako lekarz, nie poznał, iż ma do czynienia z przedmiotem pochodzącym z ludzkiego ciała?

- Medycynę sądową znam tylko pobieżnie, panie nadkomisarzu. Termin „elektryczna perła” nie jest mi wprawdzie obcy, ale dotąd prawie... - urwał niespodziewanie.

- Prawie? - Jerzy pociągnął go za słowo.

- Teraz przypominam sobie, że opatrywałem kiedyś robotnika kolejowego, którego poraził prąd z dynamy napędzanej przez lokomobilę. Doszło do głębokiego wypalenia ciała i kości prawej ręki, której nie udało się uratować. Wtedy w zwęglonej ranie dostrzegłem obecność elektrycznych pereł, ale nie skojarzyłem ich z tymi naszymi. Te, że tak powiem... są znacznie ładniejsze... - Żeleński mówił zbyt gładko i szybko, z wyraźną intencją odwrócenia uwagi rozmówcy i jak najszybszej zmiany tematu.

Drwęcki zmrużył oczy.

- I kiedy jeszcze - zapytał zniechęcony - widział pan elektryczne perły?

Boy zmieszał się mocno, ale nie zaoponował.

- Trochę mnie pan zaskoczył... - popatrzył na Jerzego tym razem z mieszaniną podziwu i obawy. - Tak... Robiliśmy jeszcze na studiach taki eksperyment... kość owinięta drutem, do tego cewka Rumforda, bateria dużych butelek lejdejskich... Wie pan, nadkomisarzu, w tamtych czasach elektryczność to była intrygująca nowość, prowokująca do dziwnych eksperymentów... Frankenstein Mary Shelley mocno działał na naszą młodzieńczość

wyobraźnię... Do tego ten klimat dekadencji...

- Czy to była ludzka kość? - Drwęcki znów nie pozwolił się zwieść.

- Też... - Boy przygryzł wargi.

- Czaszka?

- Czy mogę prosić o szklankę wody?

- Panie Sawilski!

- Tak, panie nadkomisarzu.

Na moment zostali sami.

- Panie Jerzy, takiego pana nie znałem... - zdumiał się Boy.

- Proszę wybaczyć, nie jesteśmy teraz w Ziemiańskiej, a ja wykonuję swoją pracę.

Możemy wrócić do rzeczy? - Drwęcki postanowił kuć wywarte wrażenie, zanim Żeleński zdoła ochłonąć. - O ile mi wiadomo, początek pańskiej znajomości ze Stanisławem Przybyszewskim przypada właśnie na okres pańskich studiów medycznych. Czy on był przy tym eksperymencie?

- Skąd panu przyszło to do głowy?! - obruszył się Boy, czerwieniejąc mocno.

- Ponieważ ktoś postanowił przypomnieć panu o tych dwóch rzeczach naraz. Proszę o szczerą odpowiedź. To leży w pana interesie, w każdym znaczeniu tego słowa. Ten człowiek może panu zagrażać, a wprowadzanie władzy w błąd jest przestępstwem.

- Czy jestem o coś oskarżony?

- Proszę nie zmieniać tematu. Czy Stanisław Przybyszewski był obecny, gdy paliliście prądem ludzką czaszkę?

- Tak - przyznał Boy po chwili wahania. - I... no dobrze, powiem... Nie tylko ludzką, prawdę mówiąc...

- Jaką jeszcze?

- Koźlą...

- Czy to był jakiś obrzęd satanistyczny?

- Ależ skąd! - Boy zaprzeczył gwałtownie i napił się wody. - Chociaż osoby nam nieżyczliwe mogłyby to tak zinterpretować...

- Proszę ujawnić wszystkie okoliczności.

- To był po trosze odczyt literacki, po trosze - przedstawienie teatralne. Stach czytał nam swoją Synagogę szatana, a my chcieliśmy mu zrobić efektowną scenografię. Udało się nadzwyczajnie. Proszę tylko sobie wyobrazić: trupia głowa w wieńcu błyskawic...

- Bardzo modernistyczne - skwitował Drwęcki. - Kiedy to było?

- Dokładnie ósmego listopada 1899 roku. Późnym wieczorem.

- Czy przypadkiem następnego dnia rano nie znaleziono pana nieprzytomnego w zaspię śniegu, tylko w samej koszuli, co przypłacił pan ciężkim zapaleniem płuc?

- Panie Jerzy...

- Po prostu, poważnie traktuję moją pracę i jestem przygotowany do rozmowy. Trudno zresztą nie pamiętać pańskich barwnych opowieści o krakowskich przygodach, które są ozdobą naszych spotkań w Ziemiańskiej. Będzie pan współpracować?

- Cóż, dobrze... - westchnął Boy. - Po odczycie Stacha jak zwykle było dużo wódki. Ja wypilem ponad miarę i źle się to dla mnie skończyło. Poza tym jednak to był prawie że zwykły wieczór... No, jak na nasze krakowskie standardy...

- Czy przypadkiem następstwem tego „prawie że zwykłego wieczoru”, prócz pańskiej choroby, nie było też rozstanie państwa Przybyszewskich i natychmiastowy wyjazd pani Dagny z Krakowa?

Boy milczał długą chwilę.

- Jak mówiłem - powiedział wreszcie - dużo wtedy wypilem i nie pamiętam, co, ani czy w ogóle coś zaszło wtedy pomiędzy Stachem a jego żoną...

Sawilski spojrzał znacząco na Drwęckiego. I dla niego było jasne, że doktor Żeleński nie mówi prawdy. Jerzy nie chciał jednak stawiać sprawy na ostrzu noża i zarzucać Boyowi kłamstwa.

- Rozumiem, że się pan mocno upił - stwierdził nadkomisarz. - Ale skoro mimo to pamięta pan, doktorze, że wskutek przeprowadzonego eksperymentu wytopiły się z czaszek elektrycznie perły, to może również kojarzy pan osobę, dla której mogły mieć one jakieś szczególne znaczenie...?

- Zupełnie nie! - zaprzeczył szybko Boy. W jego oczach błysnęła zawziętość.

- No dobrze, ale gdyby pan sobie coś przypomniał, mogę na pana liczyć?

- Tak, oczywiście, panie nadkomisarzu!

- Wobec tego mam jeszcze jedną przyjacielską prośbę.

- Słucham.

- Czy mógłby pan popytać wśród dawnych znajomych z krakowskich czasów, czy jeszcze ktoś z nich nie dostał takiej przesyłki jak pan?

- Zajmę się tym jeszcze dziś, panie Jerzy.

- Liczę na pana, panie Tadeuszu. Jest pan wolny.

- Ogromnie cieszę się, że mogłem pomóc - chłód głosu przeczył serdeczności słów. -

Do widzenia.

- I co pan nadkomisarz o tym wszystkim sądzi? - zapytał Sawilski, gdy za Boyem

zamknęły się drzwi. - Na mój gust sławny pan literat aż się prosi, żeby go przymknąć za utrudnianie śledztwa. Pozwolę sobie zauważyć, że w takich przypadkach czterdzieści osiem godzin aresztu zazwyczaj czyni cuda...

Drwęcki zignorował propozycję. Wstał zza biurka i podszedł do okna. Długo milczał.

- Co sądzę? - odwrócił się wreszcie. Był posępny jak chmura gradowa. - Jak się tak lepiej zastanowić, co może łączyć morderstwo na Kawęczyńskiej z modernistycznym sabatem sprzed trzydziestu lat, to wyłania się obraz, od którego niejeden satyr rzeczywiście mógłby dostać spazmów...

6. Kresy zachodnie

Wiadomość o śmierci przodownika Kielcewicza nadeszła tuż przed drugą. Obrażenia wewnętrzne okazały się zbyt poważne. Zdaniem lekarzy ofiara przebywała pod prądem znacznie dłużej, niż pierwotnie sądzono. Doszło do wewnętrznego poparzenia naczyń krwionośnych. Stary policjant umarł, nie odzyskawszy przytomności.

Oprócz Drwęckiego i sekretarki w gabinecie byli jeszcze Sawilski i Księżyk. Długą chwilę spoglądali na siebie w ponurym milczeniu. Potem panna Stefania znowu zaczęła chlipać.

- Proszę się dowiedzieć, kiedy pogrzeb - polecił jej Jerzy. Wyjął z portfela dziesięć złotych. - To na wieniec dla Kielcewicza. Obecność całego wydziału obowiązkowa.

- Tak, panie nadkomisarzu...

Sawilski i Księżyk też się dołożyli.

- Pora kopnąć kogoś zdrowo w tyłek! - wycodził przez zęby Księżyk, gdy Stefania wyszła.

- Chyba nawet wiem, kogo... - Drwęcki zacisnął pięści.

- Pewnego inżyniera, który lubi przetrzymywać ludzi pod prądem - dopowiedział Sawilski. - Schemat działania mówi tu sam za siebie. Trochę za wcześnie uwierzyliśmy w jego alibi.

- Pójdzie pan zaraz do ratusza i sprawdzi, czy pan inżynier Bilecki rzeczywiście spędził tam wczoraj cały dzień. Czy przypadkiem, dajmy na to, zamiast grzecznie siedzieć i czekać na audiencję u prezydenta stolicy, nie wyszedł sobie na pół godziny na miasto? Z placu Bankowego na Kawęczyńską będzie taksówką jakieś dziesięć minut w jedną stronę...

- Ktoś na zajezdni musiałby mu pomagać - zauważył Księżyk.

- Zajmiecie się tym - odparł Drwęcki - tylko proszę nie dać się do niczego podłączyć...

- Będę uważał.

- Zaraz proszę mi przynieść wszystkie protokoły z przedwczorajszych przesłuchań. Zdaje się, że ocenialiśmy je dotąd zbyt jednostronnie.

- To znaczy? - zagadnął Sawilski.

- Założyliśmy od razu, że Kielcewicz jest drugą ofiarą zabójcy Czerwonckiego. Zafiksowaliśmy się na motyw seksualny, tym bardziej że zginął mężczyzna, a nie kobieta...

- Coś jakby człowiek pogryzł psa! - rzucił Księżyk.

- Podczas gdy... - Drwęcki uciszył go niecierpliwym machnięciem ręki. - Równie dobrze to mogą być dwie całkiem różne sprawy. Proszę pamiętać, że Kielcewicz dużo wiedział o tym, co się na zajezdni dzieje. Stary pies mógł wywęszyć o jedną woń za dużo...

Po wyjściu podwładnych Drwęcki zagłębił się w przyniesionych papierach. I zaraz pożałował pospolitego ruszenia, które zarządził pod wpływem emocji na wieść o wypadku Kielcewicza. „Śledztwo robi się na jakość, nie na ilość!” - wymyślał sobie w duchu, oddzielając mozolnie ziarno od plew. Ponad połowa jego ludzi, żeby nie podpaść rozdrażnionemu szefowi, spisywała wszystko jak leci, byle więcej, byle była podkładka świadcząca o wytężonej pracy. Mało kto starał się selekcjonować uzyskane informacje. A jednak coś to dało. Po godzinie, w kolejnym z przesadnie drobiazgowych raportów, Drwęcki znalazł wzmiankę, że jednemu z portierów wydawało się, iż widział przechodzącego Bileckiego, zanim znaleziono Kielcewicza. Zaraz jednak wycofał się z tego przypuszczenia, stwierdzając, że widzi pana inżyniera tak często, że na pewno mu się pomieszało i mogło to być wczoraj lub całkiem innego dnia, ale o tej samej porze...

Potem zadzwonił Księżyk. Oznajmił, że siedzi właśnie w księgowości, ma przed sobą rachunki z budowy oraz eksploatacji podstacji i ogromnie ciekaw jest, jaki to metal znajduje się wewnątrz zainstalowanych tam prostowników.

- Rtęć - odparł Drwęcki.

- A mnie się widzi, że złoto, panie nadkomisarzu! - Oznajmił młody policjant bardzo z siebie zadowolony. - Koszta wyglądają na grubo zawyżone, ale inżynier Bilecki zatwierdzał wszystko bez zastrzeżeń. Zdaje się też, że jakąś wojnę tu miał, bo te gąsiory tłukły mu się jak głupie, jeden po drugim przegrzewały albo w trakcie eksperymentów traciły próżnię lub „istotne parametry elektryczne” i trzeba było koniecznie zamawiać u producenta nowe. A przecież nikt normalny nie ma bladego pojęcia, ileż takie cudeńko kosztuje! Wiadomo tylko, że najnowsza technika kosztować musi zdrowo... Mnie się widzi, panie nadkomisarzu, że co jeden taki prostownik to alembik czy inny anator i całkiem niezła alchemia na tej podstacji odchodziła! Czyste złoto z rtęci! I co pan powie?

- Proszę zabezpieczyć te dokumenty i niech zobaczy je biegły rewident.

- Nie bez kozery powiem jeszcze, że, jak mi mówi miła pani księgowa, te papiery widział też świętej pamięci Kielcewicz.

- Jeszcze jeden grzyb w barszczu... - westchnął Drwęcki. - Dobra, Księżyk, róbcie dalej swoje i trzymajcie palce z daleka od kontaktów.

- Nie ma obaw, panie nadkomisarzu - głos Księżyka stwardniał. - Teraz to kogo

innego kopnie! Za przeproszeniem, w same jajca...

Zaraz potem z ratusza odezwał się Sawilski, oznajmiając, że feralnego dnia, krótko po południu, inżynier Bilecki wykonał chytry manewr, polegający na jednoczesnym zameldowaniu się w czterech sekretariatach. Czekając na pana wicedyrektora, zapowiedział nagle, że ma sprawę do przedstawiciela wojewody, z którym musi ustalić jakiś pilny termin, stamtąd z kolei przeniósł się do sekretarza prezydenta, po czym - do samego prezydenta Słonimskiego, skąd uprzednio odesłano go do odpowiedniego wicedyrektora. Większość sekretarek tego kręgu była święcie przekonana, że pan inżynier znajduje się właśnie u szefa jej szefa, ale zaraz zjawi się u niej, a ostatnia w hierarchii, że Bilecki wykonuje zleczone czynności. Żadna nie miała powodu wątpić, że jest inaczej. Dopiero po drobiazgowym sprawdzeniu Sawilski ustalił, że skoro pan inżynier był w czterech miejscach naraz, to równie dobrze mógł być w piątym, czyli na Kawęczyńskiej, i to przez blisko dwie godziny.

- Proszę wracać do urzędu po nakaz aresztowania - powiedział Drwęcki, wysłuchawszy relacji. - Potem odstawi pan Bileckiego na dołek i jest pan wolny. Może pan zawieźć świeżo podpisane Słówka swojej siostrzenicy...

- Jest pan pewien, nadkomisarzu? Będzie afera.

- Sądzi pan, że pańska siostrzenica aż tak się ucieszy? - spytał z przekąsem Drwęcki. - A aferę do kompletu już mamy. Znalazł ją Księżyk.

- Skoro pan tak mówi...

- Powiem jeszcze jedno. Chłopców przodownika Maciewicza strasznie dziś świerzbiją ręce. Gdyby dostali w nie podejrzanego o zabójstwo policjanta... - Drwęcki zawiesił głos.

- Jakież wytyczne, panie nadkomisarzu?

- Chcę, żeby był w stanie zeznawać.

- Kiedy?

- Po czterdziestu ośmiu godzinach.

- Dopilnuję, żeby za bardzo nie skruszał...

- A jutro, jeszcze raz, ale tym razem dobrze, poszukamy współników Bileckiego na terenie zajezdni.

- Obyśmy ich za dużo nie znaleźli, panie nadkomisarzu...

Cały następny dzień sprawa nabierała tempa. Rano spłynęły ekspertyzy specjalistów z elektrowni w sprawie felernego rozłącznika, który nie pozwolił wyłączyć wysokiego napięcia w czasie, kiedy obdukcja zwłok mogła ujawnić jeszcze jakieś inne istotne ślady oprócz zbyt małej liczby kropel stopionych kości. Uszkodzenie urządzenia zakwalifikowano jako spowodowane przez niefachową obsługę, która doprowadziła do zespawania styków przez złe

wygaszony łuk elektryczny. Do tego doszła opinia księgowego rewidenta w sprawie zakupów prostowników. Ten ekspert nie napracował się zbytnio. Wszystko mówiła załączona ulotka reklamowa Siemens, który oferował lepsze urządzenia za trzykrotnie niższą cenę. Prostowniki używane na Kawęczyńskiej pochodziły od producenta krajowego, bazującego na jakiejś podejranej licencji, udzielonej przez rumuńskiego producenta termometrów. Okiennych i spirytusowych, żeby było zabawniej. W dalszej kolejności pozostawało do sprawdzenia, czyim krewnym bądź powinowatym jest polski producent prostowników. Sawilski popadł w nastrój szampański i szedł o każdy zakład, że okaże się nim daleki potomek mistrza Sędziwoja, który opanował ponoć wszystkie arkana przekształcania rtęci w złoto, no, powiedzmy, w złotówki...

Z kolei Księżyk do południa wytypował dwóch osiłków, którym za proste przenoszenie szyn tramwajowych wypłacano premie, jakby to były bele jedwabiu lub perskie dywany, regularnie ratowane z pożaru. Po godzinie osobnego przesłuchania każdy z nich kłął się na grób matki i głowy dzieci, że to ten drugi, na osobiste polecenie inżyniera Bileckiego, założył gumowe rękawiczki, wepchnął Kielcewicza do szafki rozdzielczej i trzymał go tam tak długo, aż nieborak przestał się ruszać.

Tajemnicza i zaplątana sprawa rozjaśniała się teraz i prostowała z godziny na godzinę, z każdym kolejnym krokiem badających ją policjantów. Wydawało się, że zaraz przestanie być zagadką nawet powód zniknięcia elektrycznych pereł oraz to, jakim cudem jedna z nich znalazła się w posiadaniu Boya-Żeleńskiego. Laboratorium kryminalistyczne potwierdziło już zgodność składu chemicznego i struktury mikroskopowej obu pereł. Wszystko szło tak dobrze, iż Drwęcki ani przez chwilę nie podejrzewał, że w istocie znajduje się na profesjonalnej równi pochyłej, na której końcu czeka go betonowa ściana, przybliżająca się coraz prędeziej i prędeziej...

Czwartego dnia od rozpoczęcia sprawy pozostawało już tylko uwięzić ją zdecydowanym przesłuchaniem głównego podejrzanego. Drwęcki gotów był teraz śmiać się ze swoich początkowych obaw, że będzie to zbrodnia doskonała. Kazał przyprowadzić Bileckiego.

Pan inżynier, po dwóch dobach spędzonych pod opieką przodownika Maciewicza i jego ludzi, wyglądał z grubsza rzecz biorąc tak, jak mógł i powinien wyglądać zleceniodawca zabójstwa policjanta po spotkaniu z jego pogrążonymi w żałobie kolegami. Pannę Stefanię, która zgłosiła typowo kobiece zastrzeżenia, poinformowano, że aresztant, próbując się wyrwać strażnikom, spadł ze schodów. Skutkiem tego wypadku stracił tupecik, a wraz z nim szereg innych atrybutów męskiej urody. Sporo tupetu mu jednak pozostało.

- Rzeźnia! - wydyszał Bilecki, patrząc na Drwęckiego przez szparki w zapuchniętych powiekach. - Nie darmo za caratu nazywano to miejsce rzeźnią! Pewne tradycje...

- Skąd panu przyszło do głowy, że to ja jestem tym dobrym policjantem, który życzliwie wysłucha pana skarg? - przerwał mu zimno Drwęcki. - Zabił pan policjanta na służbie, praktycznie więc jest pan już trupem. Gadającym trupem, póki co zatem jeszcze trochę porozmawiamy.

- Ja nikogo nie zabiłem!

- Zna pan Kępkę i Borsuka?

- Nie... - inżynier zbladł. - Znaczy, znam ze słyszenia... może czasem...

- To pracownicy torowi - przerwał wykręty Drwęcki. - Niby słabo wykształceni, ale wbrew pozorom zaznajomieni z najskrytszymi tajemnicami elektryczności. Zamiast pracować na mieście, zgodnie ze swoim oficjalnym stanowiskiem, często pomagali panu na podstacji i w akumulatorowni. Czasem przenieśli jakąś ciężką baterię, czasem kogoś do niej podłączyli... To ich zeznania! - rzucił papiery na stół. - Obciążyli się nawzajem, a przy okazji przyznali do wszystkiego. Zwłaszcza do tego, że zabili Kielcewicza na pańskie polecenie i pod pańskim nadzorem. Kiedy mówili panu, że stary ma już dosyć ładowania, pan nalegał, żeby potrzyмали go jeszcze trochę, aż zacznie świecić... Zresztą przodownik Kielcewicz nie był pierwszy, prawda? Osiem miesięcy temu był jeszcze ten młody, zbyt porządnie wychowany praktykant Wężykiewicz... Uznano to za wypadek, bo kto mógł wiedzieć, że doszło do przetarcia izolacji...

- Chcę adwokata!

- Będzie pan musiał poczekać. Tak długo, że doprawdy nie wiem, czy doczeka go pan w dobrym zdrowiu...

- To sanacyjne bezprawie!

- Myślisz, że się wystraszę oskarżeń mordercy? - Drwęcki nie musiał udawać, że jest wściekły. - Słuchajcie Bilecki, zapewniam, że tutaj nikt nie ma dla was ani krzty współczucia. Niech się pan cieszy - zmienił ton na jadowitą uprzejmość - że jeszcze nie powiesił się pan w celi. Czy chce pan to zrobić jeszcze dzisiaj? Pod wpływem wyrzutów sumienia oczywiście...

- Proszę, nie... - zaskomlał zabójca.

- Powie pan wszystko?

- Tak...

- Pierwsze pytanie mam proste. Jak zepsuł pan rozłącznik wysokiego napięcia w czasie, gdy na przewodach leżały włóki Czerwonckiego?

- Rozwierałem styki powoli... - powiedział jęklonie Bilecki. - Tam jest taka specjalna

dźwignia... żeby zrobić to szybko, jednym ruchem, i momentalnie zgasić powstający łuk elektryczny... Ja zrobiłem to specjalnie jak najwolniej, tak żeby łuk był jak najmocniejszy, krótki, gorący i zespawał styki...

- To się zgadza - skinął głową Drwęcki. - A dlaczego postanowił pan spalić ciało Czerwonckiego?

- Żeby śledztwa nie było za dużo... Ale to później sobie pomyślałem, w pierwszej chwili, jak zobaczyłem, że on się tam pali, to zawiadomiłem naszych strażaków. Mógł wybuchnąć cały transformator... płonący olej... Dopiero jak oni mi powiedzieli, żebym zaraz odcinał prąd, to wtedy pomyślałem, że może przy trupie coś znajdą, będzie większe dochodzenie i się wyda...

- Nadużycia finansowe na podstacji?

Inżynier pokiwał ciężko głową.

- Ale ja nie miałem z jego śmiercią nic wspólnego! - zastrzegł się szybko. - Nie ja go tam zepchnąłem, mógł sam spaść!

- Dlaczego wchodził na pracujący transformator wysokiego napięcia?

- Widać przed jakąś pannicą chciał się popisać... Doszły mnie plotki, że on tam jakieś lafiryndy sprowadza, ale wierzyć nie chciałem w aż taką głupotę...

Towarzyszący im Sawilski chciał coś powiedzieć, ale Drwęcki dał mu znak, by milczał.

- Jak doszło do zabójstwa przodownika Kielcewicza?

- Panie nadkomisarzu, on kompletnie zwariował! Gadał coś o jakiejś szczotce! Że niby jak mu nie dam tej szczotki, to ujawni moje kanty... Najpierw chłopaków, znaczy Borsuka i Kępkę, zaczął straszyć. Ci mnie zawiadomili, bo całkiem nie wiedzieli, o jaką szczotkę chodzi. Myśleli, że staremu dziadowi ze szczętem się pod czapkę pomieszało... Ja też. Jak przyjechałem, to

Kielcewicz tylko ta szczotka i szczotka! I straszył, że jak nie dam szczotki, to zamknie nas i podstację. Wystraszyłem się. Pomyślałem, że on całkiem zwariował, a skoro zwariował, to i wypadek mógł się mu przytrafić... To było w afekcie, panie nadkomisarzu, jak Boga kocham, że w afekcie!

- I dlatego wcześniej, łajdaku, tak starannie przygotowałeś sobie alibi w ratuszu? - bezczelność Bileckiego sprawiła, że Jerzego zaświerzbili ręce. - To się nazywa premedytacja, a nie afekt! Kielcewicz zbyt długo patrzył ci na ręce, miałeś go serdecznie dosyć, więc zaplanowałeś sobie wszystko zawczasu!

- Powiedziałem już wszystko. Z Czerwonckim to był wypadek, a Kielcewicza w

nerwach...

- Niech odprowadzą aresztanta - Drwęcki zwrócił się do Sawilskiego, który poszedł po strażników.

- Czy teraz mi już nic nie robią? - Bilecki błagalnie spojrzał na Jerzego. - Powiedziałem wszystko, jak Boga kocham!

- Boga to ty na pewno nie kochasz - Drwęcki zagryzł wargi. - Ale wierzę, że to faktycznie wszystko, no prawie... Panie Maciewicz! - zwrócił się wchodzącego przodownika. - Ten świadek będzie jeszcze potrzebny.

Mundurowy posępnie skinął głową i wyprowadził więźnia.

- Dlaczego nie przycisnął pan podejrzanego w sprawie zabójstwa Czerwonckiego? - spytał zdumiony Sawilski, kiedy zostali sami. - Mógł mieć taki sam motyw jak w przypadku tego praktykanta. Może Czerwoncki też coś odkrył...

- Brak motywu - uciął Drwęcki. - Myślę, że Czerwoncki był w cichej spółce.

- Czemu pan tak myśli?

- Bo ja na miejscu Bileckiego natychmiast pozbyłbym się z pracy durnia, któremu zamarzyły się amory pod wysokim napięciem. Nie zrobiłbym tego tylko w przypadku, gdyby rzecz dotyczyła nie podwładnego, ale współnika, któremu trzeba wybaczać małe dziwactwa. A gdyby to były porachunki, nie byłoby żadnego powodu zabierać czegokolwiek z miejsca zbrodni, zwłaszcza z tak trudno dostępnego zakątka.

- Radziłbym jednak...

- Nie, panie Sawilski. W tej sprawie mamy dwóch niezależnych zabójców, a jak dotąd złapaliśmy tylko jednego. Wątek elektrycznych pereł nie dotyczy Bileckiego. Wracamy zatem do szczotki... Trzeba jeszcze raz przeszukać podstację, akumulatorownię, a jak będzie trzeba, całą zajezdnię z okolicznymi śmietnikami i zaspami śniegu!

- Jak pan uważa, panie nadkomisarzu - Sawilski skłonił się i wyszedł.

Drwęcki po namyśle postanowił skonsultować się z laboratorium kryminalistyki. Chciał wiedzieć, jak długo zachowują się odciski palców na suchym drewnie porzuconym na mrozie. Odpowiedź była pomyślna. Mrozy, jakie mieli ostatnio w Warszawie, powinny dobrze zakonserwować ślady, i to tak, że trudno byłoby je zetrzeć, gdyby ktoś próbował. Eksperci z laboratorium radzili tylko nie czekać na odwilż...

Godzinę później, kiedy Drwęcki kończył właśnie obmyślać szczegółowy plan działania na jutro, spadł grom z jasnego nieba.

Zadzwoił Wieniawa.

- Serwus, Jerzy! - ton głosu pułkownika Długoszowskiego był znacznie mniej

serdeczny niż słowa.

- Czołem, Bolek! - Drwęcki poczuł lekkie ukłucie niepokoju. - Stało się coś?

- Ano właśnie się stało - stwierdził Wieniawa. - Niezłego bigosu narobiłeś w tej zajezdni tramwajowej.

- Paskudna sprawa - przyznał nadkomisarz tonem filozoficznym.

- I trzeba ją natychmiast zamknąć.

- Jak to, zamknąć?! Posłuchaj... - zdenerwowany Drwęcki zreferował dotychczasowe ustalenia dotyczące roli inżyniera Bileckiego.

- Cieszę się, że masz winnego! - Wieniawa wszedł mu w słowo, zanim Jerzy doszedł do wątku elektrycznych pereł.

Skoro ma na sumieniu dwóch ludzi, to może mieć i trzeciego. Migiem zamykaj sprawę.

- Ale to nie on!

- Jerzy! - zirytował się pułkownik. - Naprawdę nie ma już o czym gadać. Polecenie Komendanta i kropka. Po starej znajomości mogę ci tylko powiedzieć, jak to było, chcesz?

- Chcę.

- Tylko żadnych marzeń! Wczoraj w Spale, na raucie, panowie prezydenci Słonimski i Mościcki zdybali Komendanta w jakimś kącie. Akurat mnie w pobliżu nie było i zdaje się, nie był to przypadek. Śmigły dobrze wybrał moment na audiencję. Jak się zorientowałem, było już po wszystkim. Obsmarowali cię Jerzy przed marszałkiem Polski od góry do dołu. Ze prestiżowe przedsięwzięcie rodzimej myśli technicznej, że elektronika to przyszłość ludzkości, a ty gwizdzesz sobie na to wszystko i sensacji szukasz, dorobek odrodzonego narodu błotem obrzucasz, na dodatek w roku Powszechnej Wystawy Krajowej, kiedy wszystko, co najlepsze, świata pokazywać trzeba. Na dobitkę Śmigły dodał, że zawsze byłeś niesubordynowany i swego czasu nawet myślał, żeby cię przed sądem polowym postawić...

- Jak to?! - jęknął zdruzgotany Drwęcki. - Przecież myśmy nigdy się osobiście nie spotkali!

- Oj, Jerzy, Jerzy... - westchnął Wieniawa. - A co mu szkodziło tak powiedzieć? Za jednym zamachem mógł popisać się kompetencjami przed Komendantem i przypodobać Mościckiemu. Koszt mały, a przyjemność jaka duża! Tyle razy ci mówiłem, że twój ukochany dowódca z bitwy nad Niemnem to dureń i świnia! Gdyby on kiedyś Komendanta miał zastąpić, to doprawdy szkoda gadać, finis Poloniae, i zabawę w zabory i odzyskiwanie niepodległości możemy zaczynać od początku... Może teraz wreszcie mi uwierzysz?

- Miałeś mówić, jak było.

- Dobra. Kiedy do nich podszedłem, Komendant właśnie obiecywał panom prezydentom Rzeczypospolitej i jej stolicy, że sprawa zostanie niezwłocznie załatwiona i ja natychmiast się tym zajmę. Mogłem już tylko spytać, o co chodzi. To powiedzieli.

- Sawilski mnie ostrzegał... - mruknął Jerzy. Wieniawa najwyraźniej nie dosłyszał.

- Potem panowie prezydenci podziękowali uprzejmie i sobie poszli, a Komendant ze Śmigłym zaczęli się zastanawiać, do jakiego diabła cię wysłać. Śmigły był zdania, że najlepsze jest świeże powietrze w Zaleszczykach, na rumuńskiej granicy.

- Pięknie... - Drwęcki poczuł w sercu ukłucie lodowatego chłodu. Właśnie dotarła do niego świadomość, że jego błyskotliwa kariera została złamana.

- Spokojnie, Jerzy, nie jest tak źle. Komendant cię pamięta, i to dobrze pamięta - zaznaczył Wieniawa. - Ot, po prostu Słonimski z Mościckim wzięli go manewrem z zaskoczenia, zanim zdążył się lepiej zastanowić. Zwłaszcza Słonimski z tym swoim bzikiem na punkcie warszawskich tramwajów był absolutnie nie do przegadania. Kiedy jednak zostaliśmy sami i Śmigły dalej zaczął na ciebie wygadywać, to się z miejsca dowiedział, że do Zaleszczyk sam może sobie w czorty jechać, bo marszałek Polski nie chce mieć zaraz pań okultystek, kładących się Rejtanem w progu Belwederu w intencji nadkomisarza Drwęckiego, bo choć i popatrzeć byłoby na co, to jednak wstyd większy, zwłaszcza jak podporucznik. Fedorczyk kolegów z Floriańskiej ruszy... Tak więc Komendant z mety Śmigłego pogonił na wysokie drzewo, a mnie kazał sprawie się lepiej przyjrzeć i dziś rano meldować. Tak i mu zameldowałem...

- Co takiego?

- Wiele filozofii w tym nie było. Starczyło parę telefonów i zaraz wyszło szydło z worka, detalicznie takie, że udziały w fabryce prostowników ma jeden z bratanków Mościckiego.

- Cholera!

- Powiem ci, Jerzy, że Komendant nie mógł wyjść z podziwu, jak się dowiedział, że rtęć też ma kanty... Z kolei prezydent Słonimski robi w tym układzie za pożytecznego idiotę, jak ma wia Lenin. Zapewniał przedsięwzięciu parasol i we wszystkim wierzył temu twojemu Bileckiemu.

- Wobec tego...

- Wobec tego, umarzamy sprawę! - powiedział z naciskiem Wieniawa. - Skoro Komendant obiecał, że koniec, to koniec! Jego słowo nie dym, a przede wszystkim awantura z Mościckim jest mu politycznie nie na rękę, więc na wszystkie wyczyny jego bratanków, pociotków i powinowatych od lat patrzy przez palce. Najwyżej czasem, w cztery oczy, głowę

państwa za nepotyzm obsobaczy. Wobec tego trzeba nam teraz ustalić, jak naj - zgrabniej sprawie łeb ukręcić. Z tego, co powiedziałaś, widzę, że najlepiej razem z szyją inżyniera Bileckiego...

- Tylko co zrobić z Boyem?

- Może odpuścić? - zaproponował Wieniawa. - Tadeusz też skarżył mi się na ciebie, że potraktowałeś go jak zbrodniarza.

- Na spotkanie autorskie go nie prosiłem - odparł ponuro Jerzy. - A ze zbrodniarzami rozmawiamy tu dużo mocniej... Szkopuł w tym, że Tadeusz też jest w tę sprawę wmieszany.

- Żartujesz?!

- Nie dałeś mi skończyć. W Ziemiańskiej okazało się, że... - Drwęcki zreferował rozmowę na schodach i drugi wątek sprawy na Kawęczyńskiej. - Nie możemy puścić wolno drugiego zabójcy, bo to się może źle skończyć dla Tadeusza lub kogoś z żyjących przybyszewszczyków - zakończył relację.

- Psiakrew! - zdenerwował się Wieniawa. - Masz rację, przyjaciół ratować trzeba! Ale z drugiej strony, przecież nie mogę pójść do Komendanta i powiedzieć mu, że kazałeś się całować! Rozkazów się nie dyskutuje. Czekać, muszę pomyśleć...

Myślał ponad minutę, dysząc z irytacją w słuchawkę telefonu.

- Kto tam u ciebie jest ostatnim skurwysynem? - zapytał nagle zimnym głosem. - Najlepszym do brudnej roboty?

- Komisarz Brycki.

- Wobec tego przekażesz tę sprawę komisarzowi Bryckie - mu. On dopilnuje, żeby Bilecki przyznał się do wszystkiego, na wet, że - do diabła! - zjadł te cholerne perły, a potem nie dożył procesu.

- A prawo?

- Na niewinnego nie padło! Zresztą to Bilecki nawarzył tego piwa, podpuszczając na ciebie Słonimskiego, niech więc teraz wypije wszystko do ostatniej kropli!

- Co ze mną?

- Ty pojedziesz do Poznania! - oznajmił stanowczo Wieniawa.

- Więc jednak zsyłacie mnie na Kresy? - burknął Drwęcki. - Tyle że zachodnie...

- Żadna zsyłka, Jerzy, pojedziesz z honorami! - pułkownik odzyskał humor. - Oficjalnie delegujemy najlepszego policjanta w stolicy, aby wzmocnić bezpieczeństwo Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. Oni tam zresztą już prosili o posiłki. O taki wyjazd nikt z twoich wysoko postawionych przyjaciół nie ma powodu się gniewać, a Mościcki ze Słonimskim też będą zadowoleni. Poza tym lepiej, żeby cię w Warszawie nie

było, kiedy ten Brycki będzie wywoził gnój. A jak już będziesz w Poznaniu, to popytasz wśród znajomych Stacha z dawnej redakcji „Zdroju”, czy i oni nie dostali tych dziwacznych pereł. Będziesz miał rękę na pulsie, a ja tu, w Warszawie, załagodzę wszystko najszybciej, jak się da. Co ty na to, Jerzy?

- Wygląda niegłupio...

- Tylko niegłupio?! - obruszył się Wieniawa już całkiem rozluźniony. - Toż to ułański geniusz! Rozkaz Komendanta wykonany, dwaj prezydenci syci, a pan nadkomisarz cały! Ty się Jurek ciesz, że znasz Wieniawę! Inaczej byłbyś już w drodze na te Zaleszczyki! Pakuj się szczęściarzu, a ja dzwonię, gdzie trzeba, i załatwiam ci delegację! Jak już będziesz w Poznaniu, pozdrów ode mnie ślepe ryby! - Przerwał połączenie.

Drwęcki odłożył słuchawkę i powiódł wzrokiem po swoim gabinecie. Całkiem możliwe, że widział go ostatni raz... Potem poprosił pannę Stefanię o herbatę. Popijając, zaczął porządkować papiery, ale zaraz się rozmyślił. Usiadł ze szklanką w ręku i czekał na dalszy rozwój wypadków.

Wieniawa uwinął się naprawdę szybko. Przyszli tuż przed końcem dnia. Sawilski i Brycki. Weszli bez zapowiedzi. Za nimi mignęła Jerzemu twarz panny Stefanii. Sekretarka znowu miała łzy w oczach. Za to komisarz Brycki triumfował.

- Pogratulować wyjazdu na nową odpowiedzialną placówkę, panie Drwęcki - szydził bez ogródek. - Jaka szybka i jakże odpowiedzialna zmiana miejsc! Z Warszawy do Poznania. Ze stołecznego nadkomisarza na samego Galileusza... Cóż za awans! Ale nie ma się czemu dziwić, wszak Powszechna Wystawa Krajowa to najbardziej doniosłe ogólnonarodowe przedsięwzięcie! Doprawdy zaszczyt, by warszawski oficer policji stał tam w bramie i pilnował prawa i porządku, żeby, dajmy na to, pieski nie fajdały...

- Kolego Brycki - rzekł zimno Jerzy - może pan sobie domniemywać, co pan uważa, ale uprzedzam, że jeśli kolega powie coś na temat śliskiego wierzchołka góry lodowej, to będą koledze potrzebne nowe złote zęby! Nie toleruję kiepskich metafor.

- To pan może sobie mówić, co pan chce - odparł wyniośle Brycki. - Ważne, że jutro już tu pana nie będzie!

- Uczciwie pana ostrzegałem... - powiedział z powagą Sawilski.

- Życzę panu powodzenia pod nowym zwierzchnikiem - Drwęcki nie chciał wdawać się w dyskusję. Wystarczyło mu, że w głosie swojego byłego szefa usłyszał wyraźny żal.

- Kto panem marszałkiem wojuje, od pana marszałka ginie!

- Brycki odzyskał dobry humor. - A teraz poproszę klucze, pieczętki i papiery!

Drwęcki wstał zza biurka.

- Komisarzu Brycki - oznajmił Jerzy oficjalnym tonem.

- Niniejszym przekazuję panu moje ostatnie służbowe polecenie... - urwał na chwilę, bo nagle poczuł się jak sędzia orzekający wyrok śmierci. Albo raczej jak Piłat myjący ręce. - Od tej chwili pan prowadzi śledztwo w sprawie zabójstw na Kawęczyńskiej.

- I ślubuję uroczyście nie zawieść zaufania, jakim mnie obdarzono! - Brycki wyszczerzył się wyjątkowo szeroko i paskudnie.

7. *Dwa gatunki Polaków*

Na peronie Dworca Głównego w Poznaniu hulala śnieżna zadymka.

Drwęcki nie kwapił się, by wysiąść z pociągu, choć wszyscy inni pasażerowie z jego przedziału już to zrobili. Pociąg z Warszawy skończył bieg, nie było więc powodu się spieszyć. Przynajmniej jeszcze przez parę minut Jerzy mógł posiedzieć w samotności, ciszy i ciepła, przeżywając gorycz porażki, zanim znajdzie go konduktor i wyprosi na wielkopolski mróz.

Można było optymistycznie uznać, że po fałszywym kroku na Kawęczyńskiej nadkomisarz Jerzy Drwęcki spadł na cztery łapy, ale co zesłanie, to zesłanie. Został zniecka wyrwany z domu i rozdzielony z brzemioną żoną, której przecież nie mógł powiedzieć wszystkiego. W zamian nasłuchiwał się do syta wymówek babci Ireny, która - skądinąd słusznie - stanęła na stanowisku, że w warszawskiej policji pracuje dość młodych kawalerów spragnionych zasług i gotowych do wszelkich poświęceń, aby przyszły ojciec rodziny nie musiał ich wyręczać. Na stwierdzenie „służba nie družba”, babcia wybuchła gniewem, że się na nim zawiodła. Marysia narzekała mniej, ale za nią już tęsknił. Wychodziło na to, że znajomi pokpiwający wesoło z młodego żonkosia mieli całkowitą rację. Pierwsza rozłąka z żoną okazała się zaskakująco silnym dysonansem emocjonalnym. Wystarczyło zaledwie dziesięć godzin spędzonych w pociągu ze świadomością, że naprawdę diabli wiedzą, kiedy pozwolą mu do Marysi wrócić, aby opadła Jerzego irracjonalna myśl, żeby rzucić w cholerę całą tę karierę w policji państwowej i natychmiast wracać do Warszawy.

W końcu katedra logiki profesora Łukasiewicza wciąż na niego czekała. Starczyło tylko zadeklarować chęć zrobienia doktoratu, a zostałby przyjęty jak marnotrawny syn, więc może jednak... Rozsądniej już było pofilozofować sobie w chłopskim stylu na temat istoty nagłych odmian losu. Że im wyżej i szybciej się wejdzie, tym prędzej i mocniej można spaść na zbity pysk...

Dosyć tego rozklejania się! Drwęcki wstał, wziął walizkę. Na peronie czekał przecież jego osobisty wyrzut sumienia - komisarz Michał Witkowiak we własnej osobie, a on jeszcze kazał mu tam marznąć. Jakby mało było kaca moralnego, w który wpędziła Jerzego babcia Irena za porzucanie na pastwę losu młodej żony w stanie błogosławionym, to jeszcze dodatkowo komisarz Witkowiak wielkodusznie puścił w niepamięć fakt, że w Warszawie

Drwęcki wykazał się bardzo wątpliwą gościnnością, skazując delegata poznańskiej policji na nocleg w ciasnym pokoiku i służbową gar kuchnię w urzędzie śledczym, w której, zdaniem bywalców, notorycznie mylono posiłki gotowane dla policjantów z tymi dla złodziei. W zamian za te atrakcje Witkowiak, dowiedziawszy się o przyjeździe Drwęckiego, zaproponował mu stancję u siebie i nie chciał słuchać nieporadnych wymówek. Poznaniak oznajmił, że w przestronnym pięciopokojowym mieszkaniu odziedziczonym po rodzicach mieszka tylko z siostrą i starszą służącą, która na dodatek sypia w kuchni, więc miejsca starczy aż nadto. I poczuje się osobiście dotknięty, jeśli szanowny kolega z Warszawy nie skorzysta z zaproszenia... Do diabła z tym wszystkim!

Jerzy postawił kołnierz i zszedł na poznański peron, wspominając rozmowę z Marysią, w której podsumował swoje dotychczasowe kontakty z Wielkopolanami.

- Wychodzi na to, że mamy w Polsce dwa odrębne gatunki Polaków - mówił żonie z wisielczym humorem. - Krzyżowanie ich z sobą musi dawać bezpłodne potomstwo, całkiem jak konia z osłem. W końcu wszyscy staniemy się narodem mułów... Może lepiej, żeby Mazowsze ogłosiło secesję i znów stało się udzielnym księstwem?

- Wyjaśnij mi jeszcze - parsknęła rozbawiona Marysia - kto tu jest koniem, a kto osłem? Wielkopolanin czy Mazowszanin?

- A jak sądzisz? Do jakiego gatunku może należeć ciężki kretyn, który dał się wysłać do Poznania?

- Trudna zagadka... - Marysia zmarszczyła nos. - Ale zgadłabym bez trudu, gdyby chodziło o Pacanów!

Wspomnienie odpłynęło, a w śnieżnej zamieci zamajaczyła męska sylwetka.

- Pan nadkomisarz Drwęcki? - rozległ się stłumiony przez wiatr głos Witkowiaka.

„Nie, osioł z Warszawy”, chciał powiedzieć Jerzy, ale w porę ugryzł się w język..

- Witam, panie kolego! - wyciągnął rękę do poznaniaka.

- Już myślałem, że pana przeoczyłem. Zasnął pan w przedziale?

- Trochę... - odparł wymijająco Drwęcki.

- Pan pierwszy raz w Poznaniu?

- Tak.

- To proszę za mną. W domu czekają już z parzybrodą...

- Nie ma to jak kapuśniak na tę pogodę - dyplomatycznie zgodził się Jerzy.

- Diabli nadali te sakramenckie mrozy! - niespodziewanie zeźlił się Witkowiak. -

Prace przy Pewuce ledwie idą, wszystkie harmonogramy się walą! Trzy dni temu wzywali nas do popękanych rur wodociągowych przy Hali Przemysłu Ciężkiego, bo wyglądało tak, jakby

w nocy jacyś dranie podłożyli dynamit! A jakby tego mało, właśnie wymarzyli nam topole w alejach Marcinkowskiego. Niby kanadyjskie były, na zimno odporne, a ogrodnicy mówią, że wszystkie do jednej szlag trafił! Teraz, kiedy tylko mrozy odpuszczą, trzeba będzie jeszcze uschłe kikuty wycinać. Więcej szkód jak postępów!

Weszli z dworca i minęli pętlę tramwajową, na której czekał wóz linii 1. Drwęcki, choć słyszał już o tym, z wrażenia zamrugał oczami. Widok zielonego tramwaju zrobił na nim mniej więcej takie samo wrażenie jak widok zielonej kiełbasy. Wyglądało to nieświeżo i absolutnie nienaturalnie...

- Wejźmy na most Dworcowy - Witkowiak pokazał na wznoszące się przed nimi schody. - Tam, na górze, mamy przystanek na Wildę, dziesiątka i siódemka nam pasują...

Na moście, prócz wycia wiatru, doleciały ich zaciekle odgłosy siekier i młotków, dochodzące z lewej, od zachodniego wylotu, z terenu Targów Poznańskich, przekształcanych obecnie w Powszechną Wystawę Krajową. Z tumanów śniegu wyłaniały się chwilami kontury wieży Górnośląskiej, która co rusz całkowicie niknęła w zamieci.

- Jednak się nie poddajecie - zauważył z uznaniem Drwęcki.

- Niby nie - zgodził się Witkowiak. - Ale to już bez mała trzecie powstanie wielkopolskie jest! Magistrat pracuje jak w oblężonej twierdzy, wojsko z mrozem wojuje, a po farach modlą się o odwilż... Sam pan Bóg raczy wiedzieć, czy tym razem damy radę. Tylko tej nocy mieliśmy w mieście osiem śmiertelnych zamarznięć.

Dołączyli do grupki oczekujących na przystanku. Drwęcki odstawił walizkę. Wyglądało na to, że tramwaju nie było już dawno, bo większość obecnych zdążyła solidnie zmarznąć; intensywnie tupali i zacierali ręce. Po dziesięciu minutach czekania Witkowiak i Drwęcki niczym się od nich nie różnili. Ten pierwszy zaczął kłąć, że takie mrozy z Syberii rodem to nic innego, jak skutek tajnego spisku Niemców z bolszewikami, którzy zmówili się, żeby Poznań ośmieszyć doszczętnie przed resztą kraju i całym światem... Jeżeli poznańskie bimby zaczynają chodzić w kratkę, to jest już naprawdę źle!

Naraz tramwajami sypnęło jak z rogu obfitości. Siódemka i dziesiątka, wjeżdżające na zachodni przyczółek mostu Dworcowego z przeciwnych stron, omal nie zderzyły się pod wieżą Górnośląską, po czym rozpoczęły zaciekle pojedynek na dzwonki, usiłując ustalić pierwszeństwo przejazdu. W końcu bardziej zdecydowany okazał się motorniczy siódemki. Na tym jednak nie koniec. Tuż za pierwszą siódemką, najwyraźniej mocno opóźnioną, ze śnieżnej kurzawy wyłoniła się następna i też bezczelnie wcisnęła się przed dziesiątkę, której motorniczy, zdaje się, próbował teraz z całych sił urwać sznur od dzwonka.

- Szpycnij! Dwie bimby jadom do kupy! - wrzasnął piskliwie jakiś młodziak tuż nad

uchem Drwęckiego.

- Tej, na rozgrzywkę dali się w tyte! - krzyknął jego towarzysz.

Wymiana uwag była w tej sytuacji niby normalna, ale wyartykułowana została tak ostrym tonem, że Drwęcki w pierwszej chwili omal nie wyrzucił na odlew w zęby tego, który odezwał się pierwszy. Kiedy zorientował się, że przeciwników jest dwóch, odruchowo sięgnął do kieszeni płaszcza, w której nosił colta.

- Spokojnie, panie nadkomisarzu - szepnął Witkowiak, którego uwagi nie uszedł żaden szczegół. - To tylko niegroźne szczuny.

- Przepraszam, colt mi się w kieszeni odbezpieczył... - wytłumaczył się Drwęcki, dyskretnie pokazując mu pistolet. - Wolałem sprawdzić, zanim wejdziemy w tłok.

- Bardzo słusznie. Wsiadajmy w drugą siódmkę. Będzie luźniej.

Jerzy schował broń i podniósł walizkę.

- Bilet kosztuje dwadzieścia groszy - poinformował go Witkowiak. - Ja mam abonament. A właściwie, to do mnie jest całkiem niedaleko - dodał, kiedy Drwęcki kupił bilet i stanęli z przodu wagonu. - Tylko cztery przestanki. Gdyby nie ta pogoda, zaproponowałbym przechadzkę.

Drwęcki skinął głową i zerknął na swój bilet. Połowę miejsca zajmował napis na niebieskim tle, który pytał: „Chcesz być zdrow? Proszę odwrócić.”

Odwrócił więc i przeczytał: „Zdrowotne piwo słodowe wyrabiane jest z najlepszych surowców i jest napojem pokrzepiającym dla chorych, niewiast i dzieci, specjalnie polecanym dla anemicznych położnic i rekonwalescentów. Dzięki pasteryzowaniu trwałość zagwarantowana. Browary Huggera SP. AKC”. Jerzy uśmiechnął się pod nosem i podniósł wzrok, obserwując okolicę.

Zaraz za mostem wjechali w ulicę Towarową, po czym skręcili w prawo, w Wierzbicice.

- I już jesteśmy na mojej Wildzie! - oznajmił z dumą Witkowiak.

- Ciekawe, bo moja Wola też zaczyna się od ulicy Towarowej - zauważył Jerzy. - Macie tu może jeszcze jakąś Bema?

- Też jest na Wildzie, tylko trzeba dobrze poszukać w okolicach skrzyżowania Drogi Dębińskiej z Bielniki, ale nie każdy znajdzie... - komisarz uśmiechnął się tajemniczo. - Ja mieszkam przy Szwajcarskiej.

- We Lwowie i w Warszawie mieszkałem przy Bema - Drwęcki wyjrzał przez okno. Z przecznicy, do której właśnie dojeżdżali, wyszło dwóch okutanych szalikami chłopców, ciągnących wózek z węglem. Jeden był wyrosnięty nad wiek i niezwykle chudy, czego nie

było w stanie ukryć nawet grube zimowe ubranie. Na widok najeżdżającego tramwaju przyspieszyli kroku, by przebiec Wierzbicice przed bimbą, skutkiem tego ze skaczącego na kocich łbach wózka wypadło na tory kilka bryłek opału. Chłopcy, nie zważając na ryzyko i ostrzegawczy dzwonek, pozbiali je co do sztuki. Motorniczy zwolnił i pogroził im palcem.

- Chwackie ejbery! - powiedział głośno, bez gniewu. - Ma z nich matka pożytek!

- Z Przemysłowej idą - wyjaśniał Witkowiak. - Tam jest składnica opału spółki „Unitas”, do której teraz mrowie ludu przychodzi na zakupy. Musiały smarki ze dwie godziny nastać się w kolejce... No, ale minęliśmy już Żupańskiego! - zreflektował się. - Teraz wysiadamy!

Kiedy stanęli na chodniku, Drwęcki rozejrzał się dookoła. Zabudowa była raczej podmiejska. Domy przeważnie parterowe i jednopiętrowe. Kamienice miały najczęściej dwa, trzy piętra, nie więcej niż cztery. Teraz wszystko tonęło w leżącym i wirującym śniegu.

- Oto dzielnica muzyków i nauczycieli - powiedział jego przewodnik.

- Więc co tu robi policjant? - zagadnął żartem Jerzy.

- Mama nauczycielka, ojciec grał na oboju... - Witkowiak uśmiechnął się po raz pierwszy od początku ich znajomości.

- A na czym gra pańska siostra?

- Na moich nerwach, jak na arfie. Tędy, panie nadkomisarzu! - Skręcili w ulicę Szwajcarską.

Mieszkanie Witkowiaków mieściło się na drugim piętrze trzypiętrowej kamienicy, stojącej prawie naprzeciw Mleczarni Szwajcarskiej, od której, jak wyjaśnił Witkowiak, nazwę wzięła cała ulica.

- Latem to całkiem miłe sąsiedztwo, pachnące kakao i czekoladą - opowiadał komisarz. - Dobrze, że nie mają w ofercie francuskich serów... A tam jest skarpa - pokazał na wschodni kraniec Szwajcarskiej, gdzie widać było krzątające się dzieciaki z sankami - która schodzi do Dolnej Wildy. Glanc się tam zjeżdża, aż żal, że wyrosłem... A ostatnia przecznica przed skarpą to Górna Wilda, tam też bimby chodzą, czwórka i ósemka. Zwykle jadę nimi do roboty.

- Uszanowanie, panu Michałowi! - energicznie machnął czapką stojący przed bramą dozorca.

- Witajcie, Marcinie. To pan nadkomisarz Drwęcki z Warszawy - Witkowiak przedstawił gościa. - Trochę z nami pomieszka.

- Galicjoków u nas nigdy za wiele... - skwitował wyniośle cieć.

- Weźcie walizkę pana nadkomisarza - polecił oschle Witkowiak.

Tak to się zaczęło. Potem było jeszcze ciekawiej. Już w przedpokoju, podczas prezentacji domowników, siostra pana domu, Jadwiga, pannica ostrzyżona w najmodniejszy chiński grzybek, na widok Drwęckiego przybrała postawę zasadniczą, wypinając biust niczym Joanna d'Arc przed plutonem egzekucyjnym.

- Niech żyje pan prezydent Wojciechowski! - zawołała, patrząc wyzywająco na Jerzego.

- Ja też życzę mu jak najlepiej - odparł przytomnie Drwęcki.

- A brat mówił, że pan piłsudczyk... - stropiła się dziewczyna.

- Jadziu! - jęknął zmieszany Witkowiak.

- W Warszawie jeszcze nie, w Poznaniu najwyraźniej tak - skwitował rozbawiony Jerzy.

- Ustąp no mi, aniołyszku! - przegoniła pannę rumiana, zażywna niewiasta w ogromnym czepku z nieprawdopodobną ilością koronek. Niosła tackę, na której stały dwie setki wódki.

- Panowie z drogi, pewno zicher przemorzli!

- A to jest Lunia, nasz domowy „kaczmarken regiment” - przedstawił niewiastę gospodarz.

Drwęcki skwapliwie sięgnął po kieliszek. Mróz, nie mróz, zdecydowanie potrzebował czegoś mocniejszego...

- Jak salceson ze szkiołem! - przepił do Witkowiaka.

- Za piłkarzy Warty! - odpowiedział tamten.

Wypili do dna, co ogromnie ucieszyło gospozię. Jadzia z wyższością zadarła nosa.

- Prosiemy dalej, zaraz parzybrodę fasować bede! - Lunia pokazała drogę do kuchni.

Tam czekał na Jerzego kolejny domownik - „kociamber” Rataj. Drwęcki nigdy nie zdołał dojść, czy kota nazwano tak na cześć marszałka sejmu czy poznańskiej dzielnicy? Pytanie to, z niejasnych powodów, zawsze tak śmieszyło domowników, że nigdy nie zdołali udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Czarny jak smoła, odpasiony do rozmiarów kardynalskich, kociamber był rozpieszczonym ponad wszelkie granice domowym bóstwem Luni, a właściwie Ludmiły Kaczmarek z domu Wutke, rodowitej Bamberki z pobliskiego Dębca. Stary kocur miał półkuliście wystrzępione prawe ucho, jakby kiedyś drasnęła go kula. Nikt nie wiedział, gdzie ani jak się to stało, ale zdaniem jego pani bezwzględnie: „Za powstania to było! Rychtyk, jak pruskiego szczura gonił!”. Innych hipotez zacna Lunia, kultywująca odwieczną niechęć Bawarczyków do Prusaków, absolutnie nie przyjmowała do wiadomości. Z powodu swej bohaterskiej przeszłości kociamber sypiał na poduszce z

generalskim wężykiem, wyhaftowanym tak starannie, jak na oryginalnych polskich pagonach, tylko szerzej. Z równą powagą Lunia szczyliła się tradycjami ze strony świętej pamięci męża, przedstawiciela niezliczonego klanu „pознаńczańskich Kaczmarków”, których regimenty w 1870 roku „prali Francuzów, aż czerwone portki fruwały!”. Co za pokrętną politykę Napoleona bez wątpienia im się należało. Do kompletu fertyczna gosposia była amatorką paleontologii, konkretnie „młododyluwialnych nosorożców”, których czaszki odkopano parę lat temu na Dębcu, co zdaniem Luni uczyniło jej rodzinną dzielnicę sławną na cały cywilizowany świat. Słowo „młododyluwialny” wymawiała z równym nabożeństwem, co kabaliści tajemne imię Boga.

Z kolei Michał i Jadwiga na kochające się rodzeństwo nie wyglądali, ani nawet nie starali się wyglądać. Wcześniej stracili rodziców, a że bliższych krewnych nie mieli, dzieciństwo upłynęło im w sierocińcu sióstr służebniczek Najświętszej Maryi Panny, która to instytucja, sądząc po charakterze Jadzi, musiała być fabryką patentowanych diabłat. Młodsza siostra miała bratu za złe, że zostawił ją na pastwę nawiedzonych siostrzyczek, a sam poszedł sobie postrzelać, najpierw do powstania wielkopolskiego, a później - na wojnę ukraińską i bolszewicką. Byłby poszedł jeszcze na ostatnie powstanie śląskie, lecz kiedy mała Jadwinia na wieść o tym mała nie wydrapała mu oczu, Michał zrezygnował ze służby wojskowej i zajął się porządkowaniem spraw rodzinnych i spadkowych, dzięki czemu zamieszkali w tym domu. Pobożne siostrzyczki też odetchnęły z ulgą, pozbywając się zdeklarowanej zwolenniczki kasaty ich zakonu. Surowa średniowieczna dyscyplina okazała się w konfrontacji z małą Jadzią całkowicie bezsilna. Po pierwszym poście i ciemnicy smarkula uciekła i poszła prosto do redakcji „Kuriera Poznańskiego”, gdzie wyraźnie dała do zrozumienia, że jest drugą Barbarą Ubryk, dręczoną do obłędu w zamurowanej celi przez krakowskie karmelitanki w ubiegłym stuleciu. Pan Bóg raczy wiedzieć, skąd ośmioletnia dziewczuszka znała tę historię, niewątpliwie jednak dodało to wiarygodności jej gotyckim opowieściom, gdyż uznano, że niewinna dziecina nie mogła wymyślić ich sama. Poważna ziemiańsko-katolicko-narodowa redakcja nie nagłośniła skandalu, ale bez zwłoki zainteresowała, kogo trzeba, powodując, że „mała siostrzyczka przelewającego krew za ojczyznę bohatera” dostała kuratora, który surowo dopilnował, by zakonnice, w większości Niemki, nigdy więcej nie ośmieliły się tknąć „polskiego kwiatuszka”. Był rok 1919 i hakata brała wciroy na wszystkich frontach. Dodatkowo, za sprawą tajemnicy poliszynela, parę poważnych osób zagroziło wycofaniem testamentowych zapisów na rzecz zgromadzenia. W efekcie siostra przełożona musiała podobno poddać się egzorcyzmom, popadła bowiem w myślowe natręctwo marząc, by udusić to dziecko poduszką.

Obecnie Jadzia była uczennicą gimnazjum im. Królowej Jadwigi, prowadzonego przez panią Lucynę Sokolnicką przy placu Świętokrzyskim. Szkoła zaliczała się do surowych, ale rozbisurmaniona dzierlatka akurat tam nie sprawiała kłopotów. Uczyła się dobrze i dopiero z chwilą powrotu do domu następowała przemiana w pannę Hyde. W dniu przyjazdu Drwęckiego, kiedy zostało już ustalone, że nadkomisarz jest tylko półpiłsudczykiem, Jadzia nie omieszkała po kolacji zaprezentować się gościowi w swoim gimnazjalnym granatowym berecie z literami GKJ wśród laurowych liści oraz białej bluzeczce ze zdecydowanie niegimnazjalnym dekoltem, a to za sprawą aż czterech nie - dopiętych guzików. Odańczyła przy tym zmysłowy taniec w rytm piosenki ze Słówek Boya:

Dziś czy prosty, czy krzywy, Każdy chce być - szczęśliwy! A to czysta wariacja Ta demokracja!

Wszędzie dziś do narzekań widać tendencję, Wszędzie skargi na mężów im...pertynencję! 5

Był to akt kokieterii, bardzo skutecznie obliczony na zirytowanie starszego brata, którego po prostu zatkało. Michał bowiem bez reszty wszedł ostatnio w rolę złej zakonnicy i cynicznego piłsudczyka w jednej osobie. Kilka tygodni temu zabronił siostrze spotykać się z jakimś młodym żołnierzem, według Jadzi „prawdziwym bohaterem”, który w zamachu majowym walczył „za pana prezydenta i konstytucję”, co postawiło rodzeństwo w stan wojny domowej. O szczegóły Jerzy dyskretnie nie pytał, ale widać było, że krwawy melodramat wisi w powietrzu. Sytuację łagodziła jedynie poczciwa Lunia, potrafiąca jeszcze miarkować erupcje płonącej siarki piekielnego „aniołyszka”. W przypadku kabaretowej improwizacji, zanim pobladły Michał zdołał odzyskać mowę, to właśnie Lunia energicznie zapędziła pannicę z powrotem do sypialni, zapewniając, że takiego zachowania na pewno będzie jej wstyd przed przyszłym mężem.

Sam komisarz Witkowiak, na ile to możliwe w obecnych warunkach, starał się być dostojną głową rodziny. Wszelkie żywe emocje rezerwował wyłącznie na mecze miejscowej drużyny z Dębca, której kibicował od wieku lat trzech, to jest od czasu, gdy ojciec przyniósł go „na barana” na stadion Warty, przy pobliskiej ulicy Rolnej. W przerwach między meczami był statecznym zwolennikiem „filozofii realnej”, jak zwykli mówić o sobie neotomiści. Do poduszki czytywał Sumę teologiczną Św. Tomasza z Akwinu, której opasły egzemplarz leżał na jego nocnym stoliku.

Kiedy Jadzia przestała skandalizować i poszła do łóżka, Michał przy lampce koniaku podjął próbę przekonania Jerzego, że jedynie myśl Tomaszowa zapewnia prawdziwie jasne i realne spojrzenie na świat. Niestety, dyskusja zwiędła po tym, jak Drwęcki zauważył, że

marksiści dialektyczni mówią dokładnie to samo i na dodatek tymi samymi słowy. Z kolei dwuwartościowa logika Arystotelesa i trójwartościowa profesora Łukasiewicza, choć formalnie pokrewne, niemal natychmiast zaprowadziły ich na konwencjonalne manowce definicji aksjomatów. Skutkiem tego obaj dyskutanci czym prędzej doszli do konstruktywnego wniosku, że są bardzo zmęczeni, i poszli spać.

Takiej pobudki Drwęcki nie przeżył od blisko dziesięciu lat, to jest od początku ukraińskiej ofensywy w czerwcu 1919 roku, kiedy Rusini podjęli ostatnią próbę rozstrzygnięcia wojny na swoją korzyść. Jak wtedy artyleria, tak teraz na równe nogi o pierwszym brzasku poderwała Jerzego kolejarska orkiestra dęta, która z całej mocy zagrziała Kiedy ranne wstają zorze.

Zanim wyrwany z głębokiego snu i natychmiast ogłuszony Drwęcki rozpoznał melodię dostojnej pieśni religijnej, przeżył kilka sekund całkowitej paniki, przekonany, że wali się dom. Efekt był tym większy, że muzycy, zamiast stanąć jak zwykle pod oknami, z powodu siarczystego mrozu weszli na klatkę schodową i zajęli stanowiska na podestach. Kamienica omal nie wyleciała w powietrze niczym rakieta kosmiczna wujaszka Hia - cyntusa, Jerzy natomiast nie zapiął pasów... Gdy zdezorientowany nadkomisarz wypadł w piżamie do przedpokoju, zastał tam wszystkich odświętnie ubranych domowników, wychodzących właśnie z kwiatami, by złożyć imieninowe życzenia sąsiadowi z pierwszego piętra.

Skonsternowany Michał, starając się cały czas stać między Drwęckim a rozbawioną do łez Jadzią, wyjaśnił w tonie przepraszającym, że budzenie czcigodnego solenizanta za pomocą wynajętej orkiestry dętej jest utartym miejscowym sposobem wyrażania szacunku i najwyższej sympatii. I że bardzo mu przykro, że zapomniał uprzedzić...

Przy dźwiękach Sto lat, sto lat! sponiewierany fizycznie i moralnie Jerzy wycofał się do swojego pokoju. Tylko nastroszony Rataj okazał zrozumienie, ewakuując się razem z nim.

Zaraz potem jednak kociamber majestatycznie uwalnił się na wygrzanej pościeli, uniemożliwiając nadkomisarzowi powrót do łóżka. Próba walki o miejsce dała jedynie taki rezultat, że Drwęcki został uznany za pruskiego szczura, któremu należy się stanowczy odpór. Znow ogarnęło Jerzego pragnienie natychmiastowego powrotu do Warszawy.

Tymczasem czekała służba. Zaraz po śniadaniu, dla ogólnej orientacji, Witkowiak zabrał warszawskiego kolegę na teren budowy Powszechnej Wystawy Krajowej, nazywanej tu krótko - Pewuką. W chwili obecnej nie przypominało to ani wystawy, ani nawet placu budowy, z wyjątkiem północnozachodniego narożnika, gdzie wznoszono główny wystawowy hotel Polonia. Prace murarskie i tynkarskie szły dzięki baterii sprowadzonych z Anglii agregatów grzewczych. Reszta kojarzyła się raczej z sześćdziesięciohektarowym polem

średniowiecznej bitwy, z dziesiątkami ośnieżonych ruin, setkami dymiących koksowni - ków oraz tłumami zdesperowanych i wściekłych ludzi, kłębiących się wszędzie z ostrymi i ciężkimi narzędziami w rękach. Trudno było o dobry humor robotników w sytuacji, gdy każde dotknięcie lodowatego metalu kończyło się odmrożeniem, gwoździe wręcz przymarzały do palców, a połowę czasu pracy zajmowało odsnieżanie. Dzisiaj było minus dwadzieścia pięć stopni, czyli „cieplej niż zwykle”, jak podsumował z przekąsem Witkowiak.

Takie było pierwsze wrażenie. Po uważnej lustracji w budowlanym chaosie objawiały się zarysy głównych alei i sektorów wystawy, a wreszcie - przyczółki ładu, które tworzyły budynki wzniesione w poprzednich latach. Zakończona była już rozbudowa Palmiarni, która stała się teraz jedną z największych szklarni w Europie. Od roku przy ulicy Bukowskiej stały gotowe Hala Włókiennictwa i Konfekcji oraz Hala Reprezentacyjna z ozdobną wieżyczką. Na Głogowskiej, przy głównej bramie Pewuki, wyszykowano centrum administracyjne i konferencyjne wystawy, wraz z restauracją Belweder. Stare budynki Targów Poznańskich, stojące po bokach Wieży Górnoszląskiej, szczęśliwie były już w większości po rozbudowie i remontach.

Zupełnie niepostrzeżenie Drwęckiego ogarnął podziw. Na dobrą sprawę w Poznaniu należałoby ogłosić stan klęski żywiołowej. Z powodu fali mrozów kulało zaopatrzenie, szwankowała komunikacja, pękały szyny, rury i szyby w oknach, rwały się elektryczne kable, zamrożnięta na głucho Warta groziła zatorem lodowym i powodzią, a już co najmniej zniszczeniem mostów. Tymczasem poznaniacy martwili się tylko o harmonogram robót przy Pewuce, bali wyłącznie utraty twarzy przed resztą kraju i za nic, na przekór wszystkiemu, nie zamierzali się poddać. Witkowiak miał rację, nazywając to, co się tu działo, kolejnym powstaniem wielkopolskim.

Po inspekcji placu budowy pojechali do komendy policji na rogu Ratajczaka i 27 Grudnia. Tu czekał na nich sędzia śledczy Hrabyk, kierujący zaimprovizowanym „zespołem specjalnym” do spraw bezpieczeństwa Pewuki, do którego przydzielono Drwęckiego. Czy raczej utworzono ten zespół specjalnie z jego powodu... Z tego, co mówił Witkowiak, choć starannie unikał wszelkich aluzji, można było wywnioskować, że gospodarze mieli z Jerzym spory problem. Owszem, potrzebowali oficera łącznikowego do usprawnienia kontaktów z Warszawą, ale zdecydowanie nie takiego, który był solą w oku dla własnych przełożonych w stolicy. Z drugiej strony, wiedza poznaniaków o zesłaniu Drwęckiego była nieoficjalna. Formalnie Jerzy nie został w żaden sposób ukarany, wręcz przeciwnie - wyróżniony i obdarzony zaufaniem, a jego wysoki stopień służbowy wykluczał przydzielenie go do pilnowania krawężników i zasp śniegu. Należało więc zrobić dobrą minę do złej gry i znaleźć

nadkomisarzowi Drwęckiemu „zastosowanie specjalne”.

- Witam serdecznie, panie Drwęski! - zza biurka podniósł się na oko rówieśnik Jerzego w doskonale skrojonej ciemnej marynarce.

- Drwęcki... - poprawił go nadkomisarz.

- O, przepraszam najmocniej! Siła nawyku. Mamy tu całą dynastię Drwęckich. Obecny sekretarz prezydenta naszego miasta właśnie tak się nazywa, a wcześniej sam prezydent... Poważnie obawiam się, że jeszcze nie ja jeden w ten sposób się przejęzyczę. Mieczysław Hrabyk! - wyciągnął rękę.

- Sprawa szkieletu znalezionej w piwnicy domu przy Pół - wiejskiej 35 - powiedział Drwęcki, oddając uścisk. - Doskonała robota kryminalna! Proszę przyjąć spóźnione, lecz szczere gratulacje.

- Czuję się zaszczycony pańską pamięcią - sędzia śledczy uśmiechnął się szeroko. - Siadajcie, panowie! Pora na interesy. Panie nadkomisarzu, właśnie otrzymaliśmy ze stolicy instrukcje odnośnie pańskich obowiązków tutaj. Przyznaję, że jestem zaskoczony, ale jak najbardziej pozytywnie...

- Słucham.

- Na terenie wystawy zajmie się pan zabezpieczeniem Pałacu Sztuki. Słyszałem, że będzie to bliskie pańskim dotychczasowym zainteresowaniom, nieprawdaz?

- W istocie... - odparł Drwęcki, zastanawiając się, czy za tym przydziałem stoi chytry plan pułkownika Wieniawy, czy małpia złośliwość generała RydzaŚmigłego.

- Będzie miał pan na głowie, z grubsza licząc, siedmiuset artystów, zamierzających wystawić ponad dwa i pół tysiąca dzieł. Przyznaję szczerze, panie nadkomisarzu, że z prawdziwą ulgą powierzam panu to zadanie. Dotąd zupełnie nie wiedziałem, jak my, prości mieszkańcy wielkopolskiej Beocji, znajdziemy wspólny język z tyłoma tytanami ducha i kochankami muz...

- W żaden sposób nie dało się poznać, czy pan sędzia Hrabyk kpi sobie w żywe oczy, czy naprawdę serdecznie się cieszy.

- Zaczyna pan od zaraz!

8. Związane nitki

Trzypiętrowy gmach Teatru Polskiego do złudzenia przypominał synagogę. Tyle że zamiast gwiazdy Dawida lub tekstu dziesięciu przykazań po hebrajsku na klasycystycznym frontonie pysznił się napis: „NARÓD SOBIE”. Na ten widok Drwęcki stanął jak wryty z wrażenia wywołanego głębią purnonsensu tego napisu. Niby wszystko się zgadzało, ale manifestacja narodowego sobkostwa wręcz powalała. Czyż „NARÓD LUDZKOŚCI” nie brzmiałoby lepiej? Po co zaraz odcinać się od wkładu w światową kulturę? No, chyba że leżało to w zakresie kompetencji teatrów Wielkiego lub Nowego, położonych zdecydowanie bardziej na zachód niż Teatr Polski...

Zanim tu dotarł, idąc odchodzącym od ulicy 27 Grudnia wąskim pasażem, utworzonym z przechodnich podwórek, Jerzy minął kawiarenkę Metropolis oraz cukiernię Ziemiańską, zaczął się więc już czuć prawie jak w Warszawie na Mazowieckiej. I nagle taka niespodzianka... „Idiotyzm!” - zahuczał mu w głowie tubalny głos Franca Fiszera.

Od ulicy ów narodowy zaścianek brały w nawias kina Odeon i Edison, flankujące gmach teatru odpowiednio z lewej i prawej. Chociaż komenda policji była stąd o rzut czapką, a minęły już trzy tygodnie od przyjazdu Drwęckiego do Poznania, nie miał on jeszcze okazji zapuścić się w tę przecnicę. Z poznańskich miejsc historycznych Witkowiak zdążył mu tylko pokazać balkon na pierwszym piętrze kamienicy przy 27 Grudnia 4, skąd pewna jejmość celnie trafiła doniczką pruskiego żandarma usiłującego zerwać polską flagę, rozpoczynając de facto powstanie wielkopolskie.

Brak czasu wynikał stąd, że gospodarze najwyraźniej postanowili stołecznego nadkomisarza sprawdzić i zadbali, by roboty miał naprawdę po łokcie. Na początek Jerzy musiał pilnie zająć się organizacją systemu bezpiecznego przechowywania nadsyłanych na Pewukę prac artystycznych, co prócz ochrony przed kradzieżą lub wandalizmem oznaczało też dopilnowanie, by dzieła, które tego wymagały, przechować w odpowiedniej temperaturze i wilgotności. I nie chodziło tu o jeden system, lecz wiele systemów, tyle, ile było poznańskich muzeów, do których tymczasowo przekazywano obrazy, rzeźby i inne eksponaty. Należało to wszystko zreorganizować, ujednoczyć, a czasem także unowocześnić. Konieczne było również uspokajanie twórców, wystraszonych warunkami panującymi w stolicy Wielkopolski, bo trzaskające mrozy trzymały nadal i niektóre krajowe gazety kładły

już krzyżyk na całym przedsięwzięciu. W grę wchodziły też twórcze ambicje oraz konflikty osobiste. Tu Hrabyc żartował sobie, że jak się panowie artyści pozabijają, to sędzia śledczy i oficer dochodzeniowy będą, jak znalazł, pod ręką... Nie ulegało wątpliwości, że ta uwaga jest aluzją do niejasnych powodów przyjazdu Drwęckiego do Poznania i dyskretnym ostrzeżeniem, że mają go tu na oku.

Tymczasem w domu Witkowiaków gęstniała atmosfera. Panna Jadwiga umyśliła sobie pozbyć się starszego brata za pomocą Drwęckiego, a konkretnie - doprowadzić między nimi do pojedynku. Najpierw były mniej lub bardziej wyzywające próby uwiedzenia, dokonywane pod pretekstem manewrów artystyczno-kabaretowych. Jadzia biegała po domu w samej bieliznie i recytowała Słówka, starając się nie przepuścić żadnej okazji, by zostać z nadkomisarzem sam na sam, ale nie aż tak, żeby Michał naprawdę się nie zorientował. Posunęła się nawet do siadania Jerzemu na kolanach i prezentacji czerwonych podwiązek, jako ilustracji do kupletu:

Mieszczaneczka żyła sobie Pielęgnując białe sadło, Naraz na nią jak w chorobie Objawienie Sztuki spadło!

Wszystkie te karesy Drwęcki konsekwentnie ignorował. Mylił się jednak, sądząc, że to wystarczy. Pannie wcale nie chodziło o to, aby zdobyć wzajemność nadkomisarza, lecz by Michał zaczął mieć wątpliwości co do tego, że między nią a gościem na pewno nic się nie dzieje. Kiedy cień podejrzenia został rzucony, Drwęcki, obudziwszy się tydzień temu, znalazł obok swojego łóżka porzucone majtki Jadwigi, a na prześcieradle - ślady krwi. Tak się składało, że on i Witkowiak mieli tego dnia wstać wcześniej, a Michał obiecał go obudzić. Zrobił to, pukając do drzwi. Gdyby wszedł do pokoju, Drwęcki w żaden sposób nie dałby rady ukryć spreparowanych dowodów „upojnej nocy”. Uratował go czysty przypadek.

Bieliznę dyskretnie podrzucił do łazienki, krew na pościeli wyjaśnił zerwaniem strupa po zadrapaniu przez kota, po czym, przy najbliższej okazji, odbył z młodą intrygantką stanowczą rozmowę w cztery oczy. Jadwiga przyznała się do chęci sprowokowania pojedynku, bo nie może już dłużej znieść tego „tyrana, potwora i golema, który niszczy jej szczęście i młode życie”, no a tyle ciekawych rzeczy nasłuchiwała się o sprawności żołnierskiej „pana Jerzego” oraz jego rozprawach z bandytami... - tu intensywny trzepot rzęs. Zirytowany Drwęcki zapowiedział, że do pojedynku z jej bratem owszem, może dojść, ale nie na skutek rzekomego uwiedzenia, lecz z powodu nad wyraz realnego - zdrowego wiania pannicy pasem na goły tyłek. Taką „erotykę” mogą zacząć uprawiać choćby zaraz! Skończyło się na łzach i przeprosinach, które sprawiły, że Jerzy zdecydował się nie wyprowadzać. Do szukania nowej kwatery i tak - prawdę powiedziawszy - nie miał głowy z powodu nawału zajęć. Panna

Jadwiga w ostatnich dniach jakby się uspokoiła, ale nie było żadnej gwarancji, czy znów czegoś nie wymyśli.

Tymczasem śledztwo w sprawie elektrycznych pereł przez blisko miesiąc leżało odłogiem. Dopiero teraz, opanowawszy przynajmniej z grubsza sytuację w pracy i na stacji, Drwęcki postanowił rozejrzeć się w kręgach poznańskich modernistów.

Wszedł do teatru i zapytał portiera o drogę do gabinetu kierownika literackiego. Emil Zegadłowicz był u siebie. Na widok Drwęckiego czterdziestoletni pisarz z rozmachem cisnął do kosza jakiś manuskrypt, który właśnie wertował (jakby widok policjanta pomógł mu podjąć ostateczną decyzję) i podszedł się przywitać. Znali się z Ziemiańskiej, ale tylko z widzenia. Fiszer przedstawił ich sobie kiedyś mimochodem, podczas przelotnego pobytu Zegadłowicza w Warszawie. Nie było okazji do dłuższej rozmowy, Jerzy mimo to liczył, że pisarz będzie pamiętał spotkanie, i się nie pomylił.

- Komisarz Drwęcki, nieprawdaż?

- Owszem, ale już nadkomisarz... Witam!

- Moje gratulacje!

- I moje też, z okazji świeżego objęcia kierownictwa Poznańskiego Radia.

- A, dziękuję serdecznie! - Zegadłowicz uśmiechnął się kwaśno. - Na czas wystawy krajowej władze miasta starają się trochę rozruszać tutejszą kulturę kartofla łupanego. Wyszło, że ja mam się tym zająć. Słowo daję, orka na ugorze!

- Czyżby poznaniacy nie mieli osiągnąć godnych uwagi? - zdziwił się Jerzy.

- Ależ mają! Wynaleźli ogień i nauczyli się te pyry gotować! Trzeba docenić, że nie każą zreć ich na surowo... - Zegadłowicz najwyraźniej korzystał z okazji, by się wygadać. - Wie pan, ja tu robię za literackiego spowiednika - wskazał plik brulionów na biurku. - Jeszcze drugie tyle mam w radiu, więc dokładnie wiem, co im w głowach siedzi. Aż szkoda gadać! Teatr niby polski, niby przy Pewuce powinienem dać na afisz coś nowego i swojskiego, a wszystko skończy się pewnie Cyranem de Bergerac w charakterze gwoźdźca programu! Ale, co począć, skoro wciąż przysyłają mi sienkiewiczyznę w wersji dla pacholąt i pensjonarek?! Żeby choć - psiakrew! - Weselem się zainspirowali, lecz to już dla nich tureckie kazanie! Tylko jak je gramy, to do teatru czwórkami idą, bo patriotyczny ordnung musi być! Tak naprawdę, największe wzięcie miałaby tu sielanka z życia maszyn rolniczych lub tragedia lokomotyw Cegielskiego, którym zabrakło odpowiedniego stopu na panewki... Panie, po roku w Poznaniu nawet sam Przybyszewski zidiociał i urzędnikiem państwowym został! - pisarz dramatycznie rozłożył ręce. - Tak, cóż, chyba się rozgadałem. Z czym pan nadkomisarz przychodzi?

- Z błogosławieństwem od samego Boga Ojca dla najznakomitszego obywatela Wadowic... - powiedział rozbawiony Drwęcki, zadowolony, że gospodarz wspomniał o Przybyszewskim.

- Stary, dobry Franc! - roześmiał się Zegadłowicz. - Znaczy się, do was, do Ziemiańskiej, już dotarło, że w Wadowicach chcą jedną z ulic ochrzcić moim imieniem? Niechże pan siada!

- Owszem - uśmiechnął się Drwęcki, odsuwając krzesło.

- Ja na miejscu ojców miasta dobrze bym się nad tym zastanowił - mówił pisarz. - Mam właśnie parę pomysłów na bardzo pikantną powieść o erotycznych wtajemniczeniach dorastającego chłopaka z zakoltonionego, prowincjonalnego miasteczka. Jak ją napiszę i wydam, tabliczki z wadowickich murów z hukiem pospadają! Słowo daję, zatańczę sobie kiedyś z nimi wszystkimi jak sukub w kardynalskiej sypialni! Albo inna zmore... Ale, przepraszam - Zegadłowicz spowaźniał. - Pan nadkomisarz do mnie na literacką pogawędkę po starej znajomości, czy może raczej z istotniejszą sprawą?

Jerzy położył na biurku elektryczną perłę.

- Czy przysłano panu ostatnio coś takiego? - zapytał Drwęcki.

Pisarz podniósł perłę do oczu, przyglądał się chwilę, po czym skinął twierdząco głową.

- Dostałem ja i parę innych osób.

- Czy przypadkiem nie są to osoby z kręgu dawnego „Zdroju”, które znały Stanisława Przybyszewskiego?

- Chwileczkę... Rozmawialiśmy już o tym między sobą. Dostał Hulewicz, Kubicy, Wroniecki, Boderski... Praktycznie cały Bunt... - myślał głośno. - Rzeczywiście, oni wszyscy współpracowali ze świętej pamięci Stachem, albo go znali. Co to jest i o co w tym chodzi?!

- To jest kawałek kości zamordowanego człowieka.

Zegadłowicz skrzywił się i natychmiast odłożył perłę na blat biurka.

- O co chodzi, dopiero staram się ustalić - kontynuował Drwęcki. - Otrzymał to także BoyŻeleński.

- Czyżby to jakaś modernistyczna wendeta?! - zaniepokoił się pisarz.

- Pamięta pan, co było w kopercie razem z tym przedmiotem?

- Mała kartka z cytatem ze Stacha. Kilka słów. Bodajże z Synagogi szatana, jeśli mnie pamięć nie myli: „I Antychryst nadszedł”. Psiakrew... - dodał półgłosem, zerkając na elektryczną perłę.

- Czy inni dostali podobne komplety?

- Tak, ale każdy z innym cytatem. Niech sobie przypomnę. Zdaje się Boderski miał: „Szatan jest czymś pozytywnym, wiecznym w samym sobie”, to też z Synagogi szatana. Wroniec - ki tak samo, tylko zabawniej: „Kobiety nosiły na głowach rogi”. Uznaliśmy to za dobry żart i zastanawialiśmy się, czyja to sprawka? A teraz pan mi mówi, że przysłano nam ludzkie kości? Opatrzone na dodatek satanistycznymi etykietami...?

- Proszę się nie denerwować i zastanowić. Czy towarzyszyły tym przesyłkom jakieś groźby? Żądania?

- Chyba nie. Wie pan, co drugi grafoman pisze, że jak mu sztuki nie wystawię, to on niechybnie w łeb sobie palnie albo z mostu do Warty się rzuci, co daj Boże, ale to nie to... Z pewnością nie!

- Zatem, skoro perły przysłano bezinteresownie, musiało chodzić tylko o zwrócenie waszej uwagi. Jak pan sądzi, na co?

- Myśleliśmy, że może chodzi o jakiś wspomnieniowy jubileusz - zadumał się Zegadłowicz. - Wie pan, środowisko starego „Zdroju” jest nadal mocno skłócone. Wszystko rozpadło się lata temu przez rozmaite spory doktrynalne i osobiste. Sądziłem, że ktoś chciał przypomnieć lepsze czasy, zebrać nas znowu razem...

- Zjednoczyć! - podsumował głośno Drwęcki. - Zdaje się, mamy następcę Przybyszewskiego, który chce na nowo objąć modernistyczny rząd dusz. Dziękuję, bardzo mi pan pomógł!

- Żeby tak przed Pewuką zebrać znów grupę „Zdroju” i Buntu? - zmarszczył czoło Zegadłowicz - To ma sens! Słyszałem, że w wystawowym Pałacu Sztuki pierwsze skrzypce ma grać warszawski „Praesens”, może więc kogoś w Poznaniu artystyczna ambicja wreszcie ruszyła?

- Aż tak, że w Warszawie zamordował człowieka, by mieć bardzo oryginalne wizytówki? Swoją drogą, ma pan to jeszcze? Będę potrzebował próbek pisma dla grafologa.

- Gdzieś mi się w domu zapodziało, ale powinienem znaleźć. Za innych nie ręczę, ale jeśli pan chce, mogę spróbować zebrać dla pana te karteluszki z cytatami.

- Bardzo proszę. Jak najszybciej.

- Oczywiście! Myśli pan, że powinniśmy się czegoś obawiać?

- Jeżeli słusznie się domyślam, że chodzi tylko o zwrócenie waszej uwagi, to przynajmniej na razie nic nikomu nie grozi - odpowiedział Jerzy. - Sądzę, że macie być publicznością...

- Do czego?

- Dla serii artystycznych popisów, które nastąpią niebawem. Pewnie po otwarciu

wystawy. Podejrzewam, że nadawca tych przesyłek spróbuje zadziwić dawnych znajomych Przybyszewskiego oraz Polskę i cały świat.

- Chyba powinien pan porozmawiać ze Stasią Przybyszewską.

- Mieszka w Gdańsku - Drwęcki rozłożył ręce. - Nie mogę się stąd ruszyć.

- Ale pisała mi, że przyjedzie na Pewukę. Mamy rozmawiać o wystawieniu jej dramatów w Teatrze Polskim. Akurat pisze coś nowego.

- Sprawę Dantona, Boy wspominał ostatnio w Ziemiańskiej. t

- Jeszcze nie jest pewna, czy na pewno taki będzie tytuł, ale istotnie, rzecz ma być o Dantonie... Zaraz! - zreflektował się nagle Zegadłowicz. - Ale tu, w Poznaniu, może pan porozmawiać z Wackiem Dziabaszevskim! To wiceprezydent Dyrekcji

Poczt i Telegrafów, dawny prawny opiekun Staśki i jej niedoszły narzeczony. Oboje wciąż są w bardzo dobrych stosunkach. Dziabaszevski zajmuje się przekazywaniem jej należnych po ojcu tantiem i honorariów. Ostatnio wspominał też, że pomaga Stasi uzyskać stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i że sprawy są na dobrej drodze. A samego Stacha też znał, kiedy ten zaraz po wojnie pracował na poczcie w Poznaniu.

- Dziękuję. Niezwłocznie się z nim skontaktuję - zapewnił Drwęcki.

- Życzę powodzenia, nadkomisarzu, bo wolałbym, żeby z moich gości nikt nie utoczył takich kulek...

- One nie zostały wytoczone, panie Emilu, tylko wytopione silnym prądem elektrycznym.

- Metoda doprawdy godna modernisty... - zażartował z wysiłkiem poblady Zegadłowicz.

Drwęcki skorzystał z jego telefonu, by umówić się z Dziabaszevskim. Niestety, gdy zadzwonił do Dyrekcji Poczt na rogu św. Marcina i Wałów Zygmunta Augusta, powiedziano mu, że pan prezydent akurat dziś urzęduje na Poczcie Głównej przy Alejach Marcinkowskiego. Aczkolwiek, gdzie dokładnie, rozmówca, który przedstawił się jako praktykant, nie wiedział.

Czując znów kryminalny wiatr w żaglach, Jerzy, po wyjściu z Teatru Polskiego, ruszył prosto na Poczta Główna. Miał do przejścia prawie całą ulicę 27 Grudnia, plac Wolności i kawał Alej Marcinkowskiego, straszących teraz ośnieżonymi kikutami wymarznionych topoli. Mimo sporej odległości, nie rozglądał się za żadnym transportem. Potrzebował się przejść i nie straszny był mu nawet mróz. Teoretycznie obok Banku Cukrownictwa, położonego przy nietypowo zaokrąglonym zbiegu ulic 27 Grudnia i Fredry, mógł złapać tramwaj 5, jadący

przez plac Nowomiejski pod samą Poczta Główną, ale z racji częstych wizyt służbowych w pobliskim Muzeum Mielżyńskich Drwęcki zdążył już poznać tę okolicę na tyle, żeby przezornie tego nie robić. Tory na Nowomiejskim biegły wokół placu, a nie przez jego środek, gdzie na przeszkodzie stały wysokie drzewa oraz fontanna z posągami Perseusza i Andromedy, wyglądającymi teraz jak Kay i Królowa Śniegu. Z powodu tej pary tramwaje musiały pokonywać niezwykle ciasne skręty pod ścianami okalających plac domów, co nawet w normalnych warunkach prowadziło do systematycznych wykolejeń. Teraz, za sprawą mrozów i pokrywającego szyny lodu, na placu Nowomiejskim trwała nieustanna tramwajowa apokalipsa. Mimo największej ostrożności motorniczych himby bimbały sobie na wyznaczonej trasie jazdy i niemal codziennie wyskakiwały z torów. „Kurier Poznański”, wraz z konkurencyjnym „Dziennikiem Poznańskim”, wyjątkowo zgodnie apelował o całkowite zamknięcie tego ryzykownego odcinka. Zdaniem któregoś z felietonistów godnie zastąpi go sprowadzana specjalnie na Pewukę pierwsza w Polsce kolejka górską...

Mijając komendę policji, Drwęcki spotkał wychodzącego stamtąd w pośpiechu Witkowiaka.

- Serwus, Michał! - w międzyczasie wypili bruderszaft. Aczkolwiek nie zbliżyli się jeszcze do siebie na tyle, aby Drwęcki zdobył się na pytanie, co w portfelu Michała robi sfatygowany wizerunek Eligiusza Niewiadomskiego. - Coś się stało? - spytał Jerzy, widząc zaaferowaną minę komisarza.

- Nie, nic. Zwolniłem się wcześniej z roboty. Katarzyna Anna przyjechała dziś do miasta na zakupy i zanim wyjedzie, musimy oboje bardzo poważnie rozmówić się z Jadzią.

- Jest sprawa, o której chciałbym ci opowiedzieć...

- Wybacz, Jerzy, może wieczorem. Muszę biec! - Witkowiak rzucił się w pogoń za dojeżdżającym do przystanku tramwajem linii 8.

Katarzyna Anna Jasińska była narzeczoną, a ściślej mówiąc, niedoszłą narzeczoną Michała. Drwęcki zdążył ją poznać. Miła dla oka, szczupła szatynka, aczkolwiek - jak na gust Jerzego - stanowczo zbyt zasadnicza. Była szlachcianką z tradycyjnej, ziemiańskiej rodziny, mieszkającej w podpoznańskich Przytulicach. Używała na co dzień obu imion, a chwilami wręcz przerażała doskonałością swoich manier. Kiedy się uśmiechała, robiła to z tak wielką godnością, że mogłaby pozować do portretu Madonny. Uśmiech Mony Lisy to był u Katarzyny Anny już ostateczny szczyt frywolności. Do zaręczyn nie doszło z powodu jakichś brewerii Jadzi. Zakłopotany Witkowiak nie mówił, co się stało, Drwęcki nie pytał, ale czuł, że musiał to być wybryk na miarę tego, którego sam niedawno cudem uniknął. Wiedział tylko tyle, że panna Jadwiga absolutnie nie akceptuje przyszłej bratowej. Nazywała ją „drętwą

jaśniewiedźmą” i „szlagoniastą chocholicą”. Niewątpliwie obie reprezentowały skrajnie różne kobiece typy. Żaden wers Słówek nigdy nie przeszedłby przez dystygowane usta Katarzyny Anny, a Michał, choć kandydat na męża, z pewnością ani razu jeszcze nie widział jej łydek.

Odprowadziwszy wzrokiem Witkowiaka, Drwęcki ruszył na przełaj przez plac Wolności, pokryty zlodowaciałymi zaspami, tak wysokimi, że za większością z nich schować się mógł razem z kapeluszem. Było to tymczasowe, lecz wciąż rosnące składowisko śniegu i lodu, których nie wywożono, gdyż priorytetem stało się odśnieżanie terenu przyszłej Pewuki. Po dziesięciu minutach marszu w białym labiryncie Jerzy minął Bibliotekę Raczyńskich, świeżo odnowioną na swoje stulecie, przypadające w tym roku. Chwilę później skręcił w lewo przed frontem Muzeum Wielkopolskiego, w którym ostatnio bywał częstym służbowym gościem, i wszedł w Aleje Marcinkowskiego, w których obecnie, po zmroku, można by kręcić drugą część filmu Nosferatu - symfonia grozy. Czarne, rozcapierzone drzewa, o pniach popękanych od mrozu, jakby rozłupane olbrzymim toporem, i powykręcane pod własnym ciężarem, stanowiły idealną oprawę drogi do zamku wampira. Nie trzeba doświadczonych ogrodnika, by stwierdzić, że tutejsze topole wymarzęły na amen.

Drwęckiemu szczęście dziś jednak dopisywało. Kiedy przyszedł na pocztę, poinformowano go, że wielmożny pan wiceprezydent Dziabaszewski jest w gabinecie na trzecim piętrze. Sekretarka na widok policyjnej legitymacji nie zadawała zbędnych pytań i od razu zawiadomiła szefa. Dopiero sam Waław Dziabaszewski, młody, ale lekko już siwiejący, bardzo poważny urzędnik w nienagannym garniturze, okazał rezerwę. Nie słyszał nigdy o Drwęckim, a powołanie się na Zegadłowicza raczej nie nastawiło go przychylnie do niespodziewanego gościa. Trochę lepiej było w przypadku Boya, ta protekcja jednak okazała się obosieczna.

- Skoro powołuje się pan nadkomisarz na wspólnych znajomych, zamiast na przepisy prawa, czuję się w obowiązku upewnić, czy to aby na pewno jest oficjalne śledztwo? - popatrzył badawczo wiceprezydent Dyrekcji Poczty i Telegrafów.

- Działam nieformalnie - przyznał Drwęcki.

- Zatem nie jestem zobowiązany odpowiadać na żadne pańskie pytania, czyż nie tak? Ani poświęcać mojego czasu...

- Może pan nie odpowiadać, ale proszę o informacje w imię bezpieczeństwa bliskich panu osób. Chodzi zwłaszcza o Stanisławę Przybyszewską.

Gospodarz drgnął zaskoczony.

- To jest argument - przyznał, marszcząc brwi. - Niemniej wszystko zależy od tego, co chciałby pan wiedzieć. Póki nie będzie miał pan sankcji, nie powiem nic o prywatnych

interesach pani Stanisławy. Obowiązuje mnie poniekąd tajemnica adwokacka.

- Czy widział pan kiedyś to?

Dziabaszewski wziął do ręki elektryczną perłę.

- Nie. Pierwszy raz spotykam się z tego rodzaju przedmiotem. Co to ma wspólnego z panią Stanisławą?

- Właśnie staram się ustalić. Proszę mi powiedzieć, czy nie zauważył pan, że ostatnio ktoś próbował się do niej zbliżyć?

- Być może... - skinął głową urzędnik.

- Mogę prosić o szczegóły?

- Cóż... - Dziabaszewski zawahał się. - Gdyby to była tajemnica rodzinna, musiałbym odmówić. Ale nie jest, więc dobrze. Półtora roku temu, krótko po pogrzebie jej świętej pamięci ojca, do pani Przybyszewskiej zgłosił się pewien drobny oszust, podający się za jej przyrodniego brata i życzący sobie uznania go za członka rodziny. Pani Stanisława w pierwszej chwili pomyślała, że może to być któryś z synów nieszczęsnej utrzymanki jej ojca, Marty Foerder, i zwróciła się do mnie o pomoc w wyjaśnieniu sprawy. Nie było to trudne. Naciągacz przedstawił mi sfalszowaną metrykę, zaproponowałem mu zatem układ: więzienie lub rezygnacja z wszelkich roszczeń. Wybrał to drugie i zniknął. Ot i wszystko.

- A jak pan doszedł, że metryka jest fałszywa?

- To właśnie jest tajemnica rodzinna, której ujawniać nie jestem upoważniony.

- A może mi pan powiedzieć, jakie podstawowe dane były w tej fałszywej metryce?

- Mężczyzna ten miał jakoby urodzić się w Krakowie na początku lipca 1900 roku, dokładnej daty nie pamiętam... - Dziabaszewski uśmiechnął się nagle i machnął ręką. - Zresztą, powiem panu! Bo było to oszustwo tak nieudaczne, że aż zabawne. Otóż, ów mały chłopczyk urodził się jako dziewczynka. Co pan na to, panie nadkomisarzu?

- Ciekawe... - zamyślił się Drwęcki.

- Skoro pan tak uważa - wzruszył ramionami Dziabaszewski. - Oszuści próbujący nadużyć procedur pocztowych, to rzecz zwykła w moim fachu. Wielu widziałem już podobnych aferzystów, mniej lub bardziej sprytnych, ale ten, proszę mi wierzyć, był z nich wszystkich najgłupszy. Czy mogę panu służyć czymś jeszcze?

- Podejrzewam, że dopiero wtedy, kiedy uzbroję się we wszelkie właściwe uprawnienia - skwitował Jerzy. - Gdybym, na przykład, potrzebował dokładnego rysopisu tego oszusta...

- Jest pan bardzo przewidującym człowiekiem, panie nadkomisarzu. W dzisiejszych czasach to prawdziwa rzadkość. Odprowadzę pana do drzwi.

- Dziękuję, sam trafię. Zatem, mam tu wrócić dopiero, jeśli ktoś zginie...?

- Pozwoli pan, nadkomisarzu, że będę trzymać się przepisów prawa i realnych faktów, do których z pewnością nie zaliczają się mgławicowe hipotezy śledcze, oparte na jakichś porcelanowych kuleczkach. Moralny szantaż też nieszczególnie mnie porusza. Doświadczam go za każdym razem, gdy schorowana staruszka, biedna sierotka o niewinnym wejrzeniu lub bohaterski inwalida wojenny ze skłonnością do epilepsji przychodzą tu zrealizować fałszywy przekaz pocztowy. A propos wspólnych znajomych! Oczywiście, nie ma pan nic przeciw temu, że niezwłocznie powiadomię o naszej rozmowie doktora Żeleńskiego?

- Oczywiście, że nie mam.

- Miło mi było poznać pana nadkomisarza.

9. Wet za wet

Tymczasem u Witkowiaków rozegrał się kolejny akt rodzinnego melodramatu.

W chwili gdy Drwęcki przekroczył próg, wpadła na niego zapłakana Katarzyna Anna, rzucająca się właśnie do wieszaka z paltami. Za nią truchtała zafrasowana Lunia, wymachując koronkową chusteczką.

- Ależ Gretchen! - wołała gospoia. - Nie idzie tak, na taki zaziąb! Herr Gott! Oczka panienska ganc sobie zmarnuji!

Zdaje się, Katarzyna Anna była zdecydowana ubrać się bez niczyjej pomocy, ale na widok Jerzego górę wzięły wyuczone odruchy. Choć nie mogła wykrztusić słowa, stanęła prosto i łykając łzy, podała mu dłoń do pocałowania. Potem pozwoiliła nałożyć na siebie sobolowe futro oraz podać biały, gronostajowy toczek i mufkę. Gdy tylko Lunia jako tako wytarła jej oczy, skinęła głową i wybiegła. Michał nie pokazał się ani na chwilę.

- Co się stało? - spytał Jerzy.

- Aniołyszek znowu napsocił! - westchnęła ciężko Lunia, podając mu wieszak. - Biedny pan Michał...

- Wcale nie biedny! - buńczucznie wrzasnęła z kuchni Jadwiga. - Jak on mi, tak ja jemu! Wet za wet! - dodała mściwie.

W tym momencie odtworzyły się drzwi do gabinetu Michała. Starszy brat wypadł stamtąd błady z wściekłości. Blizna na czole wyglądała teraz jak świeża rana. Drżały mu wargi. Na ten widok Lunia bohatersko zastąpiła drogę do kuchni. Rozjuszony Michał, mimo wszystko, wykazał więcej rozsądku niż Francuzi pod Sedanem i zrezygnował z samobójczej szarży na „kaczmarken regiment”. Zatrzymał się na środku przedpokoju.

- Tej, będziesz ty cicho, salacho heksowata! - wybuchnął i dopiero teraz spostrzegł Jerzego. Opanował się i wycedził.

- Zrobisz maturę na pensji w Wilnie! Dość tego! Pakuj się, jutro... - zawahał się. - Pojutrze jedziesz! Papiery doślę ci potem!

Jadzia ryknęła płaczem. Drwęcki nie wierzył własnym uszom. Michał wycofał się do siebie i zatrzasnął drzwi. Gospoia, załamując ręce, podreptała do kuchni.

- Lunia słyszy, co ten golem mówi?! - rozslochana panna rzuciła się jej na szyję. - Lunia mu powie...

- Aniołyszku mój! - przytuliła dziewczynę. - Jakże to mam co mówić? Michał tu je hauptman: jak mówi, tak trzeba, aby było. I na co to aniołyszek mu sie tak sprzeciwiał...?

- Wet za wet! - powtórzyła z uporem Jadwiga.

- To ja aniołyszkowi na osłodę jabłecznik upitraszę...

- Nie chce żadnego jabłecznika! - burknęła i siakając nosem, poszła do swojego pokoju.

- A to nic! - powiedziała Lunia do Drwęckiego. - Jak czerstwe dostanie, to zje! - Chwyciła za woreczek z mąką, ale zaraz go odstawiła. - Pan Jerzy pewno głodny! - zreflektowała się.

- Niechże siada, wnet ślepych rybów nalewam!

„Znowu kartoflanka! - jęknął w duchu Drwęcki. - Żeby tak chociaż raz rosół na kościach i wołowej prędze...” Zrezygnowany, poszedł myć ręce.

Witkowiak nie zjadł razem z nim. Lunia zaniósła mu obiad do pokoju, a potem wróciła z pytaniem, czy Jerzy nie zaszedłby do niego po obiedzie na kieliszek. Otrzymałszy twierdzącą od powiedź, zaraz posiała syna dozorca po cały litr wódki. Obaj panowie mieli już za sobą kilka takich wieczornych pogawędek, ale do tej pory w robocie zawsze był koniak, nie więcej niż trzy lampki. Tym razem zanosilo się więc na poważniejsze męskie zwierzenia.

Kiedy Drwęcki wszedł do Michała, kieliszki były już nalane. Obok stał talerz z kawałkami grubo pieprzonego boczku i kiszonymi ogórkami. Po minie gospodarza widać było, że nie ma nastroju na toasty, bez słowa więc przepili do siebie i zakąsili. Jerzy siedział i czekał, aż Witkowiak zacznie mówić.

- Jadwiga mówi, że to jej pierwsza miłość - odezwał się wreszcie Michał, nalewając drugą kolejkę. - A ja tego jej wspaniałego obrońcę pana prezydenta i konstytucji krótko przed nowym rokiem przyuważyłem w burdelu na Kantaka... To i co miałem robić? Zapowiedziałem gnojkwowi, że jak go jeszcze raz koło mojej siostry zobaczę, zastrzelę jak psa! Przecież nie będę im paczki salwarsanu w prezencie ślubnym kupował.

Tręcili się kieliszkami.

- Ale dałeś mu się wytłumaczyć? - spytał Drwęcki.

- Co tu tłumaczyć?! - wzruszył ramionami. - Wiadomo, młody...

- Może był tam przypadkiem? Z opuszczonymi portkami go złapałeś?

- Niby jeszcze nie. Na dole siedział z dwiema melkami na kolanach, decydował się, którą... Zresztą, co ja będę dochodzenie robił, kiedy tu o rodzoną siostrę idzie?! Mało to porządnych chłopaków?

- No, nie wiem. A ty sam, co tam robiłeś?

Michał spojrział na niego spode łba.

- Ja z dziwką nigdy... - syknął. - Przypadkiem spostrzegłem smarka na ulicy, jak do środka wchodził, to zaszedłem za nim. W końcu Kantaka jest zaraz przy komendzie. Widać głupi był, że mi prosto w oczy lał...

- Co mówił?

- A ty, Jurek, jego adwokat, czy co?! - zirytował się Witko - wiak. - Nic nie mówił. Stał i tylko ślepią na mnie wytrzeszczał, jakby ducha zobaczył.

- Mówisz, jakbyś sam policjantem nie był - odparł Drwęcki spokojnie i stanowczo. - Podejrzanego się przesłuchuje i pyta, jakie ma alibi...

- Dla jedynej siostry żadnego podejrzanego nie chcę! - zapalczywie wpadł mu w słowo. - Porządny, uczciwy chłopak ma być! Ze mundur nosi, dobrze! Ze prochu powąchał, jeszcze lepiej! Ale że się za zdzirami ogląda, szlus! Lepszy będzie taki, co się nie ogląda. Siostrę jedną mam i takiego jej znajdę! Zresztą jedna z tych melek od razu się wygadała, że pan podchorąży nowy rok już nie jako prawiczek pragnąłby zacząć. Nie przeczył, tylko na gębie bardziej czerwony się zrobił, aż w modre wpadło...

- Jadzi mówiłeś?

- Mówiłem. Nie uwierzyła. Dla niej to ideał. Tłumaczenia na nic. To im zakazałem spotkań, ale wiem, że przez jej koleżanki miłosne liściki wymieniają. Jakby tego nieposłuszeństwa było mało, urządziła mi scenę przed rodziną Katarzyny Anny... - napił się wódki i szybko sobie dołał. - To miał być pierwszy karnawałowy bal z zaręczynami, a wyszedł skandal i chryja... - znów podniósł kieliszek. - Jak przyszło do wymiany pierścionków, Jadźka zaczęła wrzeszczeć, że mnie kocha nad życie i nigdy, za nic, nie będzie dzielić się mną z żadną kobietą! Zrobiła dziką scenę zazdrości. Całkiem jak nie siostra... rozumiesz, co mam na myśli? Rodzice Katarzyny Anny pewnie Bóg wie co sobie powyobrażali, że my, no wiesz... Ech, poleję jeszcze!

- Nie za szybko?

- Nieważne! Termin zaręczyn odroczone, oficjalnie z powodu złego stanu nerwów mojej siostry. Tak naprawdę, przysłym teściom od początku nie za bardzo podobało się moje nazwisko i zawód, to skorzystali z okazji, żeby mezaliansowi łeb ukręcić. Następnego dnia rano musiałem po tym wszystkim je chać do ciebie, do Warszawy. Zupełnie nie byłem w nastroju do żartów.

- Jasne... - Drwęcki czym prędzej sam się napił. - A co na to Katarzyna Anna?

- Mówi, że mi wierzy, że siostrzyczka się tylko wygłupiała, ale chce być posłuszna rodzicom. Dziś chcieliśmy we dwoje rozmówić się z Jadźką, żeby dłużej nie stawała nam na

drodze i przyznała przed rodzicami Katarzyny Anny, że to był tylko głupi żart. A tej się szantażu zachciało! Powiedziała, że odwoła swoje, jak ja zgodzę się, żeby znowu mogła spotykać się z tym chłystkiem. A jak ja jej nie pozwolę, to ona mi też nie pozwoli. Wet za wet - sam słyszałeś, jak krzyczała.

- Ale chyba najważniejsze, że Katarzyna Anna to słyszała i już wie, jak było naprawdę - zauważył Jerzy.

Michał bez słowa wychylił kolejny kieliszek.

- Tej, co z tego, skoro dla niej posłuszeństwo rodzicom ważniejsze? Mówi, że chce, żeby wszystko między nami było takie czyste, święte, doskonałe i z błogosławieństwem...

- To niby co jest dla niej ważniejsze? Za doskonałość ma wyjść czy za ciebie?

- Coś w ten sam deseń jej odpowiedziałem. To się popłakała i wybiegła.

- Widziałem.

- Do diabła z babami! A tej małej żmii udusić nie mogę, bo mi Lunia nie da, to przynajmniej do Wilna gadzinę wyślę! Znajomy dał mi adres gimnazjum. Jutro przeniesienie telegrafem załatwię.

- To raczej wątpliwości rodziców Katarzyny Anny nie usunie, wręcz przeciwnie - zauważył Drwęcki.

- To niby co?! - uniósł się gniewem Michał. - Miałem siksie ustąpić?! Na układ z nią iść? O, niedoczekanie!

- Trafiła kosa na kamień. Z obu stron.

- Jurek, ja myślałem, że mi coś doradzisz. W końcu tobie podobno lepiej się z tą płcią niewieścią układa. A jak nie doradzisz, to przynajmniej zrozumiesz...

- Rozumiem tyle, że ty i Jadwiga jesteście do siebie bardziej podobni, niż można by sądzić po pozorach. Nie miej do mnie żalu, że patrząc na to wszystko z boku, widzę sprawy bardziej obiektywnie.

- Ech, myślałem, że się od serca napijemy - westchnął ciężko Witkowiak. - A dzisiaj to już nawet wódka nie idzie! - zakorkował butelkę, w której została jeszcze ponad połowa.

Drwęcki wstał. Nie miał w tej sprawie nic mądrego do powiedzenia, a na dodatek czuł, że to zupełnie nie na jego głowę. Od takich problemów były matki, babcie i ciotki. Ale, niestety, nie w tej rodzinie...

- Miałeś mi o czymś powiedzieć - przypomniał Michał.

- Nieoficjalnie prowadzę tu sprawę, którą zacząłem w Warszawie, akurat w dniu twojego przyjazdu - zaczął Jerzy.

- Tak żeśmy sobie z Hrabym od początku myśleli - skinął głową gospodarz. - I co

dalej?

- Spodziewam się, że na Pewuce pojawi się zabójca. Może nawet wielokrotny...

- Też coś! - Witkowiak najwyraźniej za dużo wypił i było mu zupełnie wszystko jedno. - Będzie pan prezydent i pan Marszałek! Będą panowie generałowie, ministrowie, biskupi i sto tysięcy Anglików na dodatek! Wiadomo też, że kurwy z całej Polski już rezerwują sobie łóżka na poznańskich melinach. Do tego doliniarze, złodzieje hotelowi, alfonsi, szulerzy i wszyscy inni, których Pan Bóg w łaskawości swojej raczył stworzyć, żeby na świecie było ciekawiej, a tacy jak my mieli na chleb i popitkę. Tej, czemuż by nie miał przyjechać pocziwy seryjny morderca?! Serdecznie witamy w Poznaniu na pierwszej i jedynej, niepowtarzalnej Powszechnej Wystawie Krajowej!

- Pogadamy, jak będziesz miał lepszy nastrój - Drwęcki wyszedł.

W przedpokoju pachniało pieczoną szarlotką.

Jerzy postanowił napisać list do Marysi. Bogiem a prawdą, im też niespecjalnie się układało. Z początku Drwęcki dzwonił do żony co drugi, trzeci dzień, ale rozmowy te stawały się ostatnio coraz bardziej nerwowe. Marysia chciała koniecznie wiedzieć, kiedy wróci do domu, a było to dokładnie ostatnie pytanie, na które Jerzy był w stanie odpowiedzieć. Miał nadzieję, że pozwolą mu wrócić we wrześniu, gdy skończy się Pewuka, lecz nawet co do tego nie miał stuprocentowej pewności. Z kolei Marysi wrzesień zupełnie nie mieścił się w głowie, sądziła, że ta delegacja trwać będzie dwa, góra trzy tygodnie. Tak więc ona coraz bardziej naciskała, a on coraz bardziej kluczył. Ostatnim razem, pięć dni temu, otwarcie się o to pokłócili. Żeby nie denerwować niepotrzebnie żony w odmiennym stanie, Jerzy postanowił zmienić formę kontaktu i zacząć pisać listy, ale dotąd nijak nie mógł się za to zabrać. Pisanie zawsze wychodziło mu raczej średnio, a od kiedy zaczął obracać się w towarzystwie literackich geniuszy z Ziemiańskiej, wręcz unikał brania pióra do ręki. Miał wrażenie, że każda napisana linijka doszczętnie ośmiesza go w oczach choćby takiego Tuwima. Dzisiaj jednak pora była się wreszcie przełamać. Napić kawy i sięść nad przerażająco czystą kartką papieru...

Nie zdążył.

Zadzwoił telefon. O tej porze dzwoniły zwykle koleżanki Jadzi, więc to ona wyszła z pokoju, by odebrać. Niespodziewanie z jej głosu zniknęło przygnębienie.

- To naprawdę pan?! - zawołała. - Ojej, jak się cieszę! To cudownie! Ja, proszę pana, znam na pamięć prawie całe pana Słówka! Czy mogę panu zacytować mój ulubiony fragment?

Drwęcki odstawił filiżankę i ruszył do przedpokoju. Zanosilo się na kolejną w dniu

dzisiejszym ciężką przeprawę.

- Tak, rozumiem... - Z Jadzi uszedł cały entuzjazm. - Już proszę... Panie Jurku! - zajrzała do kuchni. - Telefon do pana. Dzwoni...

- Domyśliłem się, dziękuję. - Przejął słuchawkę. - Drwęcki, słucham!

- Żeleński! - Boy wymienił swoje nazwisko tonem sekundanta przybywającego z wyzwaniem na pojedynek. - Dzwonił do mnie Wacek Dziabaszewski z wiadomością, że był pan dzisiaj u niego...

- Przepraszam, skąd pan ma mój aktualny numer?

- Od Wieniawy - odparł krótko Boy. - Ma pan jakieś zastrzeżenia, panie nadkomisarzu?

- Ależ skąd, panie doktorze! Czemu się pan tak denerwuje?

- Pan się jeszcze pyta... - głos Boya, wbrew jego intencjom, opadł do ledwie słyszalnego szmeru. Była to anomalia typowa dla rozmów międzymiastowych. Musieli chwilę odczekać, aż wzmacniaki na linii telefonicznej wrócą do normalnego stanu.

- Halo, mówi się?! - rozległ się głos telefonistki.

- Tak, mówi - zapewnili jednocześnie obaj rozmówcy.

- Panie Jerzy, powiem wprost! - oznajmił Boy, odczekawszy, aż telefonistka się wyłączy. - Gdyby tu chodziło o kogo innego, stanąłbym na głowie i użył wszystkich moich znajomości, żeby panu zaszkodzić. Jednak Wieniawa radził, abyśmy się po starej przyjaźni dogadali.

- Słucham, doktorze.

- Jestem oburzony wplątywaniem w tę sprawę córki świętej pamięci Stacha!

- Tylko sprawdzam, czy nic jej nie grozi - rzekł oschle Drwęcki. - I byłbym zobowiązany, gdyby pan, doktorze, nie utrudniał mi śledztwa.

- Niechże mi pan oczu nie zamydla, panie nadkomisarzu! - zdenerwował się Żeleński.

- Tę sprawę panu odebrano i zamknięto! Myśli pan, że o tym nie wiem?!

- Ale czemu się pan tak unosi?

- Czuję się w obowiązku bronić dobrego imienia świętej pamięci Stacha! Naprawdę, dosyć już obrzucano go błotem za życia i po śmierci. Nie życzę sobie, aby tę sprawę znów wywlekano na światło dzienne...

- Jaką sprawę?

- Tę, której pamiątką są elektryczne perły.

- To doprawdy interesujące, co pan mówi, doktorze. Mogę prosić jaśniej?

Boy zaklął pod nosem.

- Dobrze... - wycodził po dłuższej chwili. - Tylko przez wzgląd na Wieniawę! Czy uwierzyłby pan, gdyby powiedziano, że Stanisław Przybyszewski osobiście odprawiał czarne msze?

- Szczerze mówiąc, doktorze, raczej bym się nie zdziwił.

- No właśnie! I nie tylko pan! W tym rzecz, że taka plotka byłaby niezwykle wiarygodna i szkodliwa. Ale najzupełniej nieprawdziwa, daję słowo honoru! Stach, owszem, bardzo interesował się szatanem, ale nie do tego stopnia, aby go czcić. Jako artystę fascynował go tragizm absolutnego buntu przeciw Bogu, jednak nic więcej, zapewniam. Zresztą wielokrotnie podkreślał swoją cześć dla religii katolickiej i na swój sposób ją okazywał. To znaczy, okazywał, hm... nie zawsze na trzeźwo.

- Dobrze już, wierzę panu, doktorze, ale proszę mówić jaśniej i do rzeczy.

- Chodzi o ten inscenizowany odczyt Synagogi szatana, podczas którego doszło do wytopienia elektrycznych pereł. Jak już mówiłem, paru ekstrawagantów z fakultetu medycznego chciało zadziwić Stacha dekadencją scenografią. To nawet im się udało, ale dodatkowo narobili smrodu. Dosłownie, bo palone kości cuchną wprost niemożliwie, trzeba było zrobić przerwę na wietrzenie pokoju, a co gorsza, także metaforycznie. Ktoś nieżyczliwy postanowił potem zaszantażować Stacha, że jak nie dostanie pieniędzy, to rozpowie po Krakowie, że była to czarna msza, na której objawił się sam szatan. Mogłoby dojść do linczu!

- Pod warunkiem że byłoby coś, co by tę plotkę uwiarygodniło - zauważył Drwęcki. - Samo głupie gadanie wystarczy wyśmiać albo oficjalnie zdementować...

- Takim uwiarygodnieniem był fakt, że pani Dagny właśnie wtedy zabrała dzieci i odeszła od męża - odpowiedział szybko Boy. - A to był czysty zbieg okoliczności.

- Zony odchodzą od mężów nagminnie i z reguły nie pociąga to za sobą pomówień o praktykowanie satanizmu. Co pan ukrywa, panie doktorze?

- Nic...

- Pozwoli pan, że zachowam sceptycyzm?

- Panie Jerzy - głos Boya zabrzmiał teraz błagalnie. - Wtedy, w Krakowie, załatwiliśmy tę sprawę, jak należy. Zgodnie z prawem! - zastrzegł szybko. - Stach był najzupełniej niewinny i to powinno panu wystarczyć. Wszyscy przyjaciele obecni na tym nieszczęsnym odczycie uzgodnili, że na wszelki wypadek nie będą o nim opowiadać ani nigdzie pisać. I tak było. Jednak teraz, po trzydziestu latach, ktoś nagle usiłuje znowu odgrzebać tę historię, a pan mu w tym nieświadomie pomaga. Dlatego proszę, żeby się pan opamiętał.

- Zamordowano człowieka - przypomniał Drwęcki.

- Tak, wiem, ale proszę, na litość boską, nie wciągać w to Stasi!

- A jeśli jej coś grozi?

- Wacek Dziabaszewski i ja nie pozwolimy jej nikomu skrzywdzić! Chyba pan już zauważył, że dobrze strzeżemy dziedziczki talentu wielkiego Stacha?

- Rzeczywiście, nieźle - przyznał Drwęcki. - Lecz jeśli to nie wystarczy?

- Wtedy zwrócimy się do pana, ale nie wcześniej. A tym bardziej, nie w tej chwili, to rozmowa nie na telefon.

- Dobrze, skoro pan nalega, chwilowo mogę przystać na taki układ. Przynajmniej do czasu następnego zabójstwa. Mam szczerą nadzieję, że to nie będzie pan, doktorze...

- Nie martwię się tym. Gdyby pan wiedział, ile codziennie dostaję listów z pogrózkami i ekskomunikami od jakichś prowincjonalnych proboszczów, kanoników czy innych niedzielnych proroków. Istny kabaret teologiczny! Więc doprawdy, to mi nie pierwszozna. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Na koniec chciałbym panu powiedzieć, że nadal pana cenię i szanuję, panie nadkomisarzu. Pomimo tego okropnego przesłuchania, które mi pan urządził w Warszawie. Czułem się doprawdy jak ostatni zbrodniarz!

- Przykro mi...

- Do widzenia, panie Jerzy.

- Halo, mówi się?! - wtrąciła się telefonistka, wykazując doskonale wyczucie chwili.

- Już nie - Drwęcki odłożył słuchawkę i dopiero teraz spostrzegł uchylone drzwi do sypialni Jadzi. Zajrzał tam szybko i zobaczył szeroko otwarte oczy i oniemiałą z wrażenia buzię.

Smarkuła podsłuchiwała!

- Panno Jadwigo - powiedział półgłosem, ale stanowczo. - Oczekuję, że wszystko, co panna usłyszała, zachowa panna wyłącznie dla siebie.

- A przekona pan Jerzy brata, żeby mnie nie odsyłał?

- Przekonam, żeby odesłał pannę Jadwigę do zakładu poprawczego zamiast na pensję, jeżeli się panna natychmiast nie opamięta! Wet za wet...

Nadąsana pannica poszła do kuchni i zaczęła wypytywać Lunię, kiedy jabłecznik będzie gotowy.

Drwęcki był teraz dokładnie w ostatnim nastroju, żeby pisać serdeczny list do żony. Ale co począć? I tak już zwlekał zbyt długo... Mimo to stał nadal w przedpokoju i z mozołem drapał się w głowę. Jak powinien zacząć? „Kochana Marysiu!” Czy to aby nie zbyt trywialne? Może jakoś cieplej, ale tak bez przesadnej egzaltacji... To znaczy, jak? Po minucie

intensywnego myślenia Jerzy był bliski załamania. A gdyby tak poprosić o pomoc Tuwima? Znaczący się, Zegadłowicz miał rację, że bez Cyrana w Poznaniu ani rusz... Ty bałwanie skończony!

Na schodach rozległy się jakieś głosy i kroki. Drwęcki zmartwiał, nie wiedząc dlaczego. Zaczął nasłuchiwać. Jego niedowierzanie rosło do momentu, w którym przenikliwie rozbrzęczał się dzwonek do drzwi.

- Ależ, ida! Ida! - zawołała Lunia, wychodząc z kuchni. Majestatycznie przeszła przez przedpokój i otworzyła. - Paniusia do kogo?

- JERZYK!!! - Zanim się obejrzał, trzymał na rękach zarumienioną od mrozu Marysię. Rzuciła mu się na szyję z takim impetem, że musiał się oprzeć o ścianę. Zaczęła obcałowywać go jak szalona.

- Maryś, ty tutaj?! - nie potrafił wykrztusić nic mądrzejszego. - Jak ty tu...?

- Aeroplanem! - oznajmiła babcia Irena, wchodząc do mieszkania. - Boże, mój Boże! Co ja przeżyłam! Co tylko wspomnę, zaraz mi się słabo robi. O, właśnie! - szybko wyjęła z torebki flakonik z solami trzeźwiącymi, przystawiła go sobie do nosa, wzdrygnęła się i mówiła dalej: - Prosiłam i błagałam tego pilota, żeby leciał nisko i powoli, a ten nic, tylko się śmiał!

- Ale kiedy... jak?... - bredził oszołomiony Jerzy.

Marysia przytuliła się mocno i niczego nie chciała wyjaśniać. Wyszedł Michał i na widok starszej pani zaczął dopinać rozchełstany kołnierzyk. Jadzia patrzyła na Marysię ze śmiertelnym przerażeniem w oczach. Z kolei Lunia pomagała rozebrać się babci Irenie, która mówiła dalej.

- Do męża! I do męża! Taka ciężowa zachciewajka ją naszła i cóż było robić?! Siedzimy sobie spokojnie u pani dyrektorowej Zasławskiej, pijemy kawkę ze śmietanką, a ta smarkuła nagle w ryk, że chce do męża! I to koniecznie już, zaraz! I co takiej poradzisz? Całkiem nas wszystkie wystraszyła! Wszak od takich nerwów u matki dziecko lękliwe i ze skłonnością do spazmów lub innej kołowaczyny być może! Potem jeszcze jaki dekadent albo co gorszego wyrośnie. No to dyrektorowa zaraz laps za telefon i na lotnisko dzwoni. Okazało się, że aeroplan do Poznania za pół godziny odlataje, od razu więc wezwała swojego kierowcę i zanim się obejrzała, jak już żeśmy leciały... Trzy razy mało nie umarłam ze strachu! Żeby się chociaż pomodlić, ale gdzie tam! Książeczka w domu została! Różaniec, litanie, akty strzeliste, wszystko z tych nerwów całkiem mi się pomieszało!

- To czemu babcia poleciała? - spytał z głupia frant Jerzy.

- A co, samą miałam ją puścić?! A gdyby tak z aeroplanem coś się stało?! -

przygwoździła go kobiecą logiką.

- Wujaszek powiedział to samo - odezwała się wreszcie Marysia.

- Wujaszek też tu jest?! - zdumiał się Drwęcki.

- Na dole, za taksówkę płaci - wyjaśniła babcia Irena.

- Już jestem na górze! - W progu stanął wujaszek Hiacyntus w przyprószonym śniegiem mundurze powstańca styczniowego. - Przecież nie mogłem naszych pań samych na taką eskapadę puścić.

- Dzień dobry panu! - Jadzia dygnęła z wielką gracją, unosząc palcami sukienkę. Sądząc po minie Michała, widział to po raz pierwszy w życiu.

- Dzień dobry, moje dziecko! - skinął jej głową staruszek. - Mówię ci, Jerzy, bardzo ekscytująco się leciało tym holenderskim Fokkerem F VII IM - z namaszczeniem wyrecytował pełną nazwę typu - ale rakieta kosmiczną byłoby dużo prędzej.

- Ja bym umarła! - oświadczyła stanowczo babcia Irena.

- Tak i rodzina w komplecie - podsumował wujaszek Hiacyntus.

- Jak rozumiem, państwo jeszcze nie zaplanowali noclegu w Poznaniu? - zapytał przytomnie Witkowiak.

- Ano, nie było okazji - przyznała babcia Irena. - Wszystko tak łapucapu! Pan Michał, prawda? - podeszła się przywitać.

- W takim razie - pocałował staruszkę w rękę - będę zaszczycony, jeżeli państwo zatrzymają się u nas. Miejsca wystarczy na pewno! - spojrzał koso na siostrę.

- Ależ, nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu...

- Nicht frasunek! - oświadczyła stanowczo Lunia. - Zaraz jeszcze jeden pokój wyrychtują i panu Jerzemu i jego żonce nową pościel dam.

- Jutro wieczorem przyjedzie pociągiem nasza Karolinka z bagażami - powiedziała Marysia.

- Panna pokojowa? - upewniła się Lunia. - Pomieścimy Gretchen w pakamerze przy kuchni. Tu dla służby miejsca dosyć! - zapewniła i dodała ucieszona: - Herr Gott, znów będzie ruch, jak za życia świętej pamięci państwa, rodziców Michałka i Jaziuni! A i jabłecznik ganc już doszedł! Aniołyszek pomoże fasować, a ja herbatki zaparzę!

- Może byś mnie rozebrał? - powiedziała Marysia do Jerzego-
Szybko zdjął jej okrycie.

- Nie tylko z palta... - szepnęła. - Bo ja tak bardzo, bardzo... - dokładnie sprecyzowała, na co ma ochotę.

Jadzia znów podsłuchiwała, skutkiem czego spiekła raka po koniuszki uszu.

10. Zaszłości poznańsko-mazowieckie

Przez następne dwa dni w kuchni Witkowiaków trwał proces ustalania damskiej hierarchii. Zaczęło się od jadłospisu.

- Pyrki z gzikiem na obiad?! - zdumiała się babcia Irena. - Moja pani, przecież to nie wielki post, ani nawet zwykły piątek, żeby zdrowym, dorosłym mężczyznom ziemniaki z twarogiem dawać! Mój Boże, jak wyście mieli siłę to powstanie robić?! Skwarek trzeba nasmażyć, moja pani! Gdzie tu świeżą słoninkę i boczek można kupić? I wołową pręgę na rosół!

- Na rynku Wildeckim, niedaleko, szpek dobry... - odparła oszołomiona Lunia.

Pierwszym zaskoczeniem dla gospośi Witkowiaków była doskonała znajomość niuansów poznańskiej kuchni, zaprezentowana przez babcię Irenę. Broniąc swojej pozycji, Lunia dała rano popis kuchennej grypsery, licząc zapewne, że starsza pani popadnie w konfuzję i zacznie się pytać, co jest co, siłą rzeczy uznając w Luni swą mentorkę. Babcia Irena jednak spokojnie podjęła dyskusję na temat wyższości galartu nad leberką na wątrobiance, bo Michał, Jerzy i Hiacyntus to w końcu poważni panowie na stanowiskach. Zgodziła się, że dla Marysi i Jadzi trzeba kupić świeżych szneków i czekolady z „Goplany”, a w niedzielę rzeczywiście może być kaczka z pyzami, buraczkami i modrą kapustą, jednak gzik na drugie danie dostał stanowcze weto. Babcia wyjaśniła mimochodem, że w dwudziestym roku stołowali się u niej na Wielkiej podoficerowie wielkopolskiej armii, którzy mieli życzenie jeść po domowemu, oraz jeden sierżant starozakonny, który tylko koszerne i gęsi smalec uważał, zatem nic, co ludzie jedzą, nie jest jej obce. Co nie znaczy jednak, żeby zaraz własną rodzinę tym karmić! A tak poza tym wszystkim, jakież to dorodne kocurzynsko! Czymże to moja pani go karmi, że mu się sierść tak pięknie błyszczy? Słowem, staruszka wygrała pojedynek przez nokaut techniczny.

O ile krytykę babci Ireny Lunia przełknęła bez większych oporów i podporządkowała się osobie od siebie starszej, równie doświadczonej w kucharskim rzemiośle, a na dodatek żonie styczniowego weterana, o tyle Karolinka nie miała aż tyle szczęścia. Dziewczyna próbowała z początku stawać okoniem, ale gospośia Witkowiaków bez ceregieli wzięła ją w karby.

- Nie będą mi Niemce rozkazywać! - odpyskowała pokojówka podczas pierwszej i

ostatniej scysji.

- My, bambry, jesteśmy Niemce proszone, a więc na swo - jem i u siebie -
odpowiedziała Lunia z kamiennym spokojem. - Jak mi zaraz Gretchen nie zacznie tego
pieprza tłuc, to ja jej tu ajn moment taki Tannenberg zrobią, że przez miesiąc żaden kawaler
na nią ani spojrzy... - szybko i fachowo skręciła mokrą ścierkę. - Robi czy nie?!

Karolinka obejrzała się na swoich państwa, szukając u nich ratunku, ale Jerzy i
Marysia zachowali całkowitą neutralność. Pili poobiednią kawę, udając, że nic nie słyszą,
aczkolwiek nie obyło się bez wymiany łobuzerskich uśmieszków.

- Już dobra, dobra... - odburknęła Karolinka.

Uporawszy się z kuchnią, babcia Irena swoim zwyczajem zaczęła przejmować rządy
w całym domu. Bez wahania między innymi zawróciła ze schodów Michała, zauważywszy,
że ten wychodzi na mróz bez szalika, bo „jeszcze taki rozgogolony jaką grypę do domu
przyniesie”. Ponadto wymogła na nim zobowiązanie do stawienia się na obiad o wyznaczonej
godzinie.

- Jacusiu, kosy na sztorc zostawiamy w przedpokoju! - usłyszał wujaszek Hiacyntus,
kiedy spróbował małżonkę mitygować, napomykając, że przecież nie są u siebie. - Tu jest
dom, a nie stacja leśnej partii! Tu są niewinne panienki i niewiasty przy nadziei! Spokój,
zdrowie i porządek muszą być, po bożemu, jak się należy, a nie zamęt jak przed bitwą czy
wymarszem!

Pocziwa Lunia obserwowała tę matriarchalną rewolucję z rosnącą fascynacją, aż
końcu wyraziła zdumienie faktem, że można tak stanowczo postępować z męskimi głowami
rodziny.

- Moja pani, a jakże inaczej?! - odparła bez wahania babcia Irena. - U nas na
Mazowszu chłopcy w domu jak od święta. Ledwie posiedzą, zaraz na wojnę idą, a jak pójdą, to
potem, moja pani, albo mogiła, albo Sybir. Jeszcze te co młodsze i bardziej zakochane za
swoimi za Ural pojechały, a dom pełen drobiazgu i starych został. Trzeba było sobie radzić.
Mnie po powstaniu styczniowym babki i starsze siostry chowały, potem ja ich dzieci po
bułgarskiej wojnie, a wnuki po japońskiej. A jeszcze po wojnie światowej małą Marysię
trzeba było na ludzi wyprowadzić, co tak Bogiem a prawdą nie całkiem się udało, skoro na
stare lata przyszło mi aeroplanem latać! Bo w naszej rodzinie, moja pani, ojcowie i synowie w
większości wojskowo służyli, żeby wolna Polska zawsze gotowych żołnierzy miała. Ciągłe
tylko wojen po świecie szukali! Jeden z kuzynów to nawet, moja pani, zaciągnął się do
angielskiej armii kolonialnej i w 1898 roku, pod Omdurmanem, dzikich bisurmanów bijąc,
Stasia i Nel pomścił! Jednak przez to wszystko dość było powszednich zmartwień, żeby

jeszcze tym naszym ślubnym pozwolić sobie na głowę włączyć i w domu koszarowe porządki zaprowadzać. Jak nie mają pod ręką jakiej bitwy, niech sobie panowie mężowie do kawiarni albo kabaretu idą, byle w domu nie zawadzali. Wojna to wojna, a dom to dom!

Tyle teorii. Do praktyki przyszło wieczorem, kiedy Michał wszedł nagle do pokoju Jadwigi, by zawiadomić ją o postępie uzgodnień w sprawie zmiany szkoły, i przyłapał siostrę w trakcie odpisywania na tajny list od ukochanego. Dziewczyna zbyt pospiesznie i nieudolnie ukryła papiery, a rozgniewany brat nie zamierzał okazywać dyskrecji i przystąpił do bezwzględnej konfiskaty korespondencji.

Jadzia wprost oszalała.

- Oddaj to, ty potworze!!! - wrzasnęła na całe mieszkanie. - Golemie z dziurawą głową! TYYY...!!!

Zaalarmowani krzykiem domownicy wybiegli do przedpokoju i zobaczyli Michała wychodzącego z pokoju siostry z nią samą na plecach. Jadwiga oplatała go w pasie nogami, tłukła pięściami po głowie i wrzeszczała bez opamiętania. Na widok gości, zwłaszcza starszych państwa, Michał stanął jak wryty, nie wiedząc, jak się znaleźć w obliczu takiego skandalu. Jadzia zreflektowała się dopiero po chwili. Ucichła i zlązła z brata, ale nadal patrzyła na niego nienawistnie.

- Moi państwo - wkroczyła babcia Irena. - A to co za krzyki? Czemu panna się tak wydziera?

- Zabral mi list! - warknęła Jadzia.

Michał zbladł, ale w oczach błysnęła mu patriarchalna stanowczość.

- Zabroniłem mojej siostrze utrzymywać wszelkich kontaktów z pewnym młodym człowiekiem - oświadczył.

- Uważa pan Michał, że sercu można rozkazywać, a rodzoną siostrę traktować jak aresztanta czy rekruta?

- Proszę pani, to moja siostra...

- Co pan Michał zamieruje z tym listem zrobić? - babcia Irena zignorowała aluzję, by nie mieszać się w cudze sprawy.

- Przeczytam go - oświadczył Witkowiak i powstrzymał siostrę próbującą wyrwać mu papier.

- Czy to ładnie?

Zamiast odpowiedzieć, Michał podniósł papier do oczu. Wściekłość na twarzy Jadzi ustąpiła miejsca czarnej rozpacz. Jakby nagle coś w niej pękło. Z kolei zaciętość Michała przeszła w zdumienie.

- Czy ty... naprawdę...? - spojrzał na siostrę.

- Nie pojedę do Wilna - powiedziała głucho. - Nie rozdzielisz nas. Za nic. Wolę nie żyć - mówiła martwym, wypranym z emocji głosem.

Przeżrana Lunia przeżegnała się szybko.

- I co, zwiążesz mnie teraz? Zakujesz tymi swoimi kajdankami? Pistoletem zmusisz, żebym żyła? - kontynuowała Jadzia, patrząc spod opuszczonej głowy i cofając się do pokoju. Zamknęła się u siebie i zgasiła światło.

- Ona mu pisze, że się dla niego otruje... - jęknął zmieszany Michał, po czym spojrzał niepewnie na babcię Irenę. - Żeby nigdzie nie jechać... Naprawdę może to zrobić?

- Może tak, może nie - odparła staruszka. - A pan Michał nie powinien czytać cudzych listów, jeśli to nie służbowa rzecz.

- To co ja mam robić, proszę pani?

- Pan Michał nie wie, jak ma z rodzoną siostrą postępować? - spytała przekornie staruszka.

- Przepraszam panią, ja już naprawdę nie wiem, jak sobie z tą salachą radzić.

- Na pewno nie jak ze zbrodniarką, panie Michale. Mam się panną zająć?

- Będę wdzięczny - westchnął ciężko.

- Panienska tu przyjdzie! - powiedziała głośno babcia Irena. - Potem się panienska będzie zabijać!

Uchyliły się drzwi i wyjrzała nadąsana Jadzia. Patrzyła jednak z nadzieją.

- Z tym zabijaniem się, proszę braciszka i siostrzyczki, to czasem tak bywa, że naprawdę to się tego wcale nie chce, ot, tylko żeby kogoś przestraszyć jakiegoś świństwa się łyka, ale potem już za późno i odratować nie można. I dopiero strach wielki, bo naprawdę umierać trzeba! Mało to samobójców jak już ratunku nie ma, krzyczy i prosi, żeby ich ratować? - staruszka spojrzała na Michała, który skinął twierdząco. - A panienska sobie zapamięta, że jak się zacznie bawić w samobójstwa, to się może zabić naprawdę, że już o grzechu śmiertelnym nie wspomnę. A teraz proszę mówić, o co wam poszło? Najpierw pan Michał!

Speszony obecnością tylu świadków Witkowiak powtórzył to, co wczoraj mówił Jerzemu, pomijając aferę z Katarzyną Anną.

- To nieprawda! - wykrzyknęła Jadzia, ledwie brat skończył. - Mój Karolek wszystko mi napisał! Poszedł tam, bo mu kazali. Miał odszukać starszego oficera i powiedzieć, że w koszarach na niego czekają!

- Akurat... - syknął Michał. - Słyszałem, co one mówiły! Że...

- Panie Michale! - uciszyła go babcia Irena.

- Ten oficer jeszcze był, no... bardzo zajęty... - zaczerwieniła się Jadwiga. - To Karolkowi kazali czekać, a wtedy te lafiryndy zaczęły go zaczepiać i namawiać. Ale on żadnej nie chciał, bo tylko ja się dla niego liczę - dumnie zadarła nosa. - Dlatego one z zemsty, jak Michał przyszedł, zaczęły o Karol - ku te wszystkie kłamstwa opowiadać. A jemu na widok Michała zrobiło się tak głupio, że nie wiedział, jak się bronić.

- A pan Michał widział się z tym oficerem, na którego kawaler Jadzi niby czekał? - spytała staruszka.

- Co się miałem z głupim przez ścianę macać?! - zirytował się Witkowiak. - Oficera pewnie już po wszystkim sobie wymyślił, bo wtedy w porę na to nie wpadł. Zamiast tego widać było na kilometr, jak mu się do tych... za przeproszeniem, pań, ślepia świecą.

- Pan Michał chciałby wydać siostrę za księdza? - odezwał się wujaszek Hiacyntus. - To chyba dobrze, że kawaler gorącą krew w sobie ma...

Witkowiak zaniemówił z wrażenia.

- Stary i siwy, a jak co powie, to tylko ręce załamywać! - ofuknęła męża babcia Irena.
- Ja się zapytam raczej, komu pan Michał wierzy bardziej, jakiejś ladacznicy czy przyszłemu szwagrowi?

- Nie chcę takiego szwagra, przez którego musiałbym się nad tym zastanawiać!

- Szwagra panu Michałowi to już siostra wybierać będzie - odparowała babcia Irena. - Taki już pana brata los...

- Chciałbym jednak mieć pewność.

- Słowo honorowe panu Michałowi wystarczy?

- Jak się na żołnierski honor zaprzysięgnie, zgoda. Ciekawe tylko, czy się smark odważy?

- Ano, zobaczymy. On teraz w domu czy w koszarach? Ma panna telefon do tego kawalera?

- W domu! Już daję! - ucieszyła się niedoszła samobójczyni.

- Jak miała na imię wasza świętej pamięci matka?

- Eleonora - odparł Michał.

W asyście całego zgromadzenia domowników babcia Irena wykręciła numer.

- Halo? Czy mogę mówić z panem podchorążym Karolem Beyme?... Pani jest matką? Ogromnie się cieszę! Tutaj Irena Fedorczyk, stryjeczna babka kuzynki szwagra ciotecznej siostry nieodżałowanej Eleonory, matki Jadzi Witkowiakówny - zaimprovizowała bez zajknięcia. - Z Jadzią umawia się pani syn i chciałabym o tym z kawalerem porozmawiać...

Tak, owszem, interesują mnie zamiary, jakie pani syn żywi względem mojej krewniaczki sierotki... Tak czekam... Młody człowieku! - bezbłędnie powtórzyła autoprezentację. - A w jakichże to miejscach kawaler pozwala się widywać?! Proszę się natychmiast wytłumaczyć! - Słuchała długą chwilę. - Czy kawaler da na to słowo honoru bratu panny Jadzi przy poważnych świadkach?... Dobrze. Wobec tego w niedzielę, przed obiadem... Oczywiście, może kawaler przyprowadzić dwóch kolegów, którzy za niego poręczą. Pod warunkiem, że to młodzieńcy naprawdę godni zaufania i z dobrych domów... O pierwszej. Zegnam kawalera!

Gdy babcia Irena odwróciła się od telefonu, Jadzia z radosnym piskiem rzuciła się jej na szyję.

- No, już dobrze, dobrze, tylko proszę mi więcej tak się nie zachowywać - staruszka pogłaskała ją po głowie. - Starszemu bratu szacunek się należy.

- Znaczy, w niedzielę obiad na dziewięć osób? - Lunia z widoczną ulgą podjęła znajomy temat.

- Na dwanaście - poprawi! ją wujaszek Hiacyntus. - Jak mają być poważni świadkowie, to jeszcze i ja dwóch kolegów bym przyprowadził. Tak się składa, że tutaj na Wildzie akurat obaj mieszkają. A może pan Michał zna? Kazio Ziółkowski na Żupańskiego pod dwudziestym drugim i Michał Michalski na Strumykowej pięć. Razem żeśmy w dwudziestym trzecim roku przed marszałkiem Fochem defilowali. Wtedy to sobie Poznań całkiem dobrze zwiedziłem.

- Z widzenia i ze słyszenia obu panów oficerów znam - skinął głową Michał, po czym przypomniał sobie, że teoretycznie to on tu jest panem domu. - Będę zaszczycony, podejmując ich na obiedzie - dodał szybko.

- Rychtyk kacuzszków trzeba pół tuzina! - podliczyła Lunia. - A nie lepiej to, aby trzy gąski upiec?

- Racja, moja pani, trzy gąski lepiej, byle przy kości były i dobrze odkarmione - zgodziła się babcia Irena.

- To nam w sobotę z rana zaraz na wildecki rynek trzeba! - oznajmiła gospoia, zacierając ręce.

Michał spojrzał posępnie na Jadwigę.

- Odwołam twoje przeniesienie do szkoły w Wilnie - oznajmił. - Ale proszę sobie zapamiętać, że z panną jeszcze nie skończyłem!

- Ja... - zmieszana Jadzia opuściła wzrok.

- Wszystko w swoim czasie - powiedziała spokojnie babcia Irena.

Przed niedzielą doszło jednak nie tylko do zakupów na uroczysty obiad.

Następnego dnia przed południem, kiedy Drwęcki wizytował magazyny muzeum wojska przy Artyleryjskiej, odszukał go śmiertelnie poważny posterunkowy.

- Pan sędzia śledczy Hrabyk i komisarz Witkowiak pilnie proszą pana nadkomisarza na oględziny miejsca wypadku - oznajmił policjant. - Automobil czeka na ulicy.

- Co się stało?!

- Bimba miała karambol na placu Nowomiejskim, proszę pana nadkomisarza. Tej, całkiem jak w dwunastym roku na Starym Rynku! Co gorsza, gadajom, że teraz to jakby nie wypadek... Łe, nie moja w tym głowa! Tam już panu nadkomisarzowi wszystko detalicznie powiedzą.

Zdumiony Drwęcki ruszył za mundurowym. Dojechali po pięciu minutach. Kordon policji toczył zaciętą walkę z ogromnym, rozkołysanym zbiegowiskiem. We wszystkich oknach okolicznych domów widać było twarze. Gapie powchodzili na drzewa, rosnące na środku skweru z fontanną. Niewiele brakowało, aby tej już nie było. Pierwszy raz w historii Poznańskiej Kolei Elektrycznej bimba przejechała przez środek placu Nowomiejskiego, powalając przy tym trzy drzewa, z dwu następnych odzierając wielkie płaty kory. Jak wynikało z pierwszych wyjaśnień, tramwaj jadący od ulicy Mielżyńskiego, zamiast zwolnić przed wjazdem na plac, gwałtownie przyspieszył. W tej sytuacji nie było mowy, aby wóz zdołał wejść w ostry, i tak już bardzo ryzykowny, zakręt w prawo. Tramwaj natychmiast wyleciał z szyn i popędził na przełaj przez skwer, łamiąc pierwsze napotkane drzewa jak zapalki. Odbił się dopiero od dwóch ostatnich i kręcąc na bruku szalone piruety, zgruchotał wyjeżdżającą z ulicy 3 Maja dorożkę, zabijając na miejscu konia i ciężko raniąc pasażera i woźnicę. Po tej kolizji tramwaj, wciąż nie tracąc morderczego impetu, wpadł na chodnik, zabijając przypadkowego przechodnia, i zakończył jazdę na fasadzie kamienicy pod numerem dziewiątym, a mówiąc dokładniej - w witrynie znajdującego się tu zakładu pogrzebowego. Subiekt i dwóch interesantów w żałobie zostało poranionych odłamkami szyby wystawowej i trumien. W zdemolowanym wagonie na miejscu zginął motorniczy, a wszyscy pasażerowie odnieśli rany, z tego siedmiu - ciężkie. Szczęście w nieszczęściu, że bimba była bez przyczepki.

Kiedy Drwęcki dotarł na miejsce, karetki pogotowia już odjechały z rannymi. Jak mu potem powiedziano, udzielanie po mocy poszło bardzo sprawnie, bo pomogły załogi zablokowanych wozów, przeszkolone zawczasu w udzielaniu pierwszej pomocy ofiarom wypadków na torach. Jedynie rosnący wciąż tłum gapiów groził wymknięciem się spod kontroli. Trudno było się dziwić, bo sensacja była ogromna i nader pikantna, o czym Jerzy przekonał się minutę później.

Prócz zbiegowiska dojazd na miejsce zdarzenia tarasował martwy koń z nienaturalnie wykręconą szyją i pogruchotanymi nogami oraz poniewierające się wokół szczątki dorożki. Dalej Drwęcki musiał iść na piechotę. Na pokierszowanym chodniku, obok zgniecionej jak kartonowa zabawka, białego praktycznie w dom wagonu, leżały dwa ciała przykryte czarnym brezentem. Nad tym wszystkim kołysał się naderwany szyld z podkasaną tancerką i napisem: „Kabaret Trocadero”. Tak się bowiem składało, że przybytek rozrywki oraz zakład pogrzebowy w jednym stały domu. Umierający ze śmiechu mogli liczyć na kompleksową obsługę... Obecni na miejscu dziennikarze wprost odchodzili od zmysłów, szamocząc się z mundurowymi, blokującymi im dostęp do materiału na pierwszą stronę.

Przy wraku tramwaju stali Witkowiak i Hrabyk, w towarzystwie kontrolera biletów z ręką na temblaku i prowizorycznie zabandażowaną głową. Konduktor mówił coś, gestykulując zawzięcie zdrową ręką. Na widok Drwęckiego sędziego śledczy uciszył mężczyznę machnięciem ręki i ruszył na spotkanie nadkomisarza.

- Myślę, że nadszedł czas na poważną i szczerą rozmowę, panie Drwęcki - rzekł sucho Hrabyk zamiast powitania. - W związku z tym, co tutaj zaszło, pora wyjaśnić, co naprawdę robi pan w naszym mieście.

- To nie był wypadek? - upewnił się Jerzy.

- Poznaje pan? - Hrabyk wyjął z kieszeni białą chustkę i rozwinął ją ostrożnie.

Ukazał się kawałek skręconego drutu z bardzo jasnego metalu, zdaje się srebra. Kiedy Drwęcki przyjrzał się lepiej, serce zabiło mu mocniej. Zwoje drutu, rozszerzające się najpierw na wzór spirali opisanej na stożku, a potem zwężające w ten sam sposób, tworzyły małą klateczkę, w której kołatał się okrągły mały przedmiot... Elektryczna perła! Równie jasna i czysta jak ta, którą nosił przy sobie Jerzy, a którą zdążył już pokazać Witkowiakowi.

- Wizytówka pańskiego sprawcy, prawda? - zagadnął Hrabyk.

Drwęcki milczał i czekał na wyjaśnienia.

- Z powodu częstych wykolejeń na placu Nowomiejskim - zaczął sędzia śledczy - postanowiono udoskonalić regulację prędkości w wozach obsługujących linię numer 5 poprzez dodanie dodatkowej sekcji oporników, włączanych dopiero w chwili wjazdu na plac dla łatwiejszego pokonywania tutejszych zakrętów. W tym przypadku jednak, panie nadkomisarzu, zamiast drutu oporowego z chromonikieliny, ktoś nawinął czyste srebro, które - jak pan zapewne wie - przewodzi prąd dużo lepiej od miedzi. W efekcie, zamiast łagodnie zwolnić, wóz nabrał nagle maksymalnej prędkości, co doprowadziło do tragicznych i osobliwych zarazem skutków, które pan tu widzi... - obejrzał się na zrujnowany zakład pogrzebowy i zdefasonowaną pantografem reklamę kabaretu. - Dalibóg, życie potrafi

zaskakiwać, ale - do rzeczy! Kiedy wysłuchaliśmy zeznań konduktora i obejrzelśmy ten nieszczęsny regulator prędkości, okazało się, że na końcu zabójczego uzwojenia ze srebrnego drutu znajduje się ta oto pamiątka. Komisarz Witkowiak skojarzył ją z osobliwym artefaktem, który wcześniej widział u pana nadkomisarza. Ma pan to przy sobie?

Drwęcki bez słowa rozpiął palto i sięgnął do kieszeni marynarki.

- Wyglądają bardzo podobnie... - stwierdził po chwili Hrabyk. - Ale, niech jeszcze potwierdzi to laboratorium. Skąd pochodzi pańska perła?

Nadkomisarz krótko zreferował wydarzenia w warszawskiej zajezdni.

- Dziwne... - zamyślił się sędzia śledczy. - Sprawca jakby sam pokazuje na siebie palcem. Przecież teraz wystarczy nam porównać listy pracowników zajezdni w Warszawie, którzy zwolnili się od początku roku, z tramwajarzami przyjętymi ostatnio do pracy w Poznaniu. Nie sądzę, aby było wiele osób, spełniających oba te warunki naraz... Jeśli nawet zmienił nazwisko, to pozostaje rysopis bardzo łatwy do ustalenia... Nie będziemy tu jednak marznąć! Dokończymy tę rozmowę w moim gabinecie. - Hrabyk obejrzał się. - Komisarzu Witkowiak! Z której zajezdni przyjechał ten wagon?

- Z Gajowej, panie sędzio.

- Proszę pojechać tam i przesłuchać człowieka, który zbudował i zainstalował ten nieszczęsny regulator prędkości. A także wszystkich, którzy go dotykali lub mogli dotykać. Jeżeli okaże się, że któryś z tych ludzi przeniósł się niedawno z Warszawy, proszę go natychmiast zatrzymać!

- Tak jest, panie sędzio - skinął głową Michał.

- A ja rozmówię się z naszym drogim gościem - Hrabyk zamaszystym gestem zaprosił Drwęckiego do samochodu.

Kwadrans później siedzieli na komendzie przy 27 Grudnia, w biurze sędziego śledczego. Sekretarka postawiła przed nimi parujące szklanki herbaty i wyszła. Milczący Hrabyk podał Drwęckiemu cukiernicę.

- A teraz - powiedział, gdy Jerzy skończył słozić i mieszać

- proszę wszystko szczegółowo i po kolei. Zresztą panu nie muszę chyba tego tłumaczyć. Zamieniam się w słuch!

Drwęcki przymknął oczy, wyteżył pamięć i zaczął opowiadać. Powoli, metodycznie, starając się nie pominąć żadnego drobiazgu. Kiedy doszedł do bezpośrednich powodów zesłania do Poznania, Hrabyk niespodziewanie mu przerwał.

- Potem mi pan opowie, jak został pan ofiarą sanacyjnych stosunków - oznajmił. - Teraz proszę mi powiedzieć, jak wyobraża pan sobie zajście, w którym doszło do śmierci

Wacława Czerwonckiego?

- Wszystko wskazuje na to - odparł Jerzy, upiwszy herbaty - że denat umówił się na nader egzotyczną schadzki z kobietą.

- Miał zamiar obcować cielesnie na szczycie pracującego transformatora wysokiego napięcia? - pytanie było rzeczowe. Ton głosu sędziego śledczego nie zdradzał jakiegokolwiek osobistego stosunku do domniemanego zdarzenia.

- Wszystko na to wskazuje - skinął głową Drwęcki. - Przygotowania do aktu musiały być zaawansowane, skoro ofiara spadła na przewody z opuszczonymi spodniami...

- Z kolei naszemu motorowemu wieko od trumny urwało głowę - zauważył Hrabyk z nieprzeniknioną miną Sfinksa. - Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

- Istotnie... - zadumał się Jerzy.

- Nie wiem, czy pan wie, nadkomisarzu, ale u nas, w Poznaniu, podstacja z prostownikiem rtęciowym działa już od pięciu lat, i to bez żadnych spięć seksualnych. Zaczynam wierzyć, że Warszawa jest w istocie Paryżem Północy... Może powinienem kiedyś wybrać się prywatnie?

- Panie sędzio... - do Drwęckiego dotarło wreszcie, że jego rozmówca jest zdecydowanym zwolennikiem przeniesienia stolicy Polski ze zdeprawowanej Warszawy do Poznania.

- Proszę wybaczyć, panie nadkomisarzu, mój iście beocki brak polotu w zakresie fantazji erotycznych. To nie jest sprawa na poznański rozum, ale człowiek podobno uczy się całe życie... Dobrze, już wracam do tematu. Zatem, w krytycznym momencie widziano na terenie podstacji młodą mężczyznę, a Czerwoncki nie wykazywał skłonności do osób tej samej płci, czy tak? - upewnił się Hrabyk.

- To jest właśnie największa trudność w tej sprawie - przyznał Drwęcki.

- Rozplączemy ją powolutku, krok po kroku, panie nadkomisarzu - zapewnił sędzia śledczy z tym samym niezmaconym spokojem, jaki wypada zachować wobec absurdów przekraczających ludzkie pojęcie. - Jeżeli było tak, jak pan mówi, to znaczy, że Czerwoncki musiał być absolutnie pewien, iż ma do czynienia z kobietą. Jakże tam było z oświetleniem?

- Panował półmrok. Klosze żarówek były wprawdzie brudne, nie na tyle jednak, żeby pomylić kobietę z mężczyzną.

- Chyba że najpierw usłyszał głos kobiety - zauważył Hrabyk. - Dobiegający z mroku, namiętny, znajomy szept, proponujący mu słodkie bezceństwa... Zasluchany w ów syreni śpiew Czerwoncki wspina się na transformator. Podniecenie rośnie. Może nawet dostrzeżę jakąś skuloną postać, ale jego uwaga skupiona jest na własnym pasku od spodni. W końcu

trzeba się spieszyć! Kiedy Czerwoncki dostrzega swoją pomyłkę, staje kompletnie osłupiały, spodnie wymykają mu się z rąk, co jeszcze bardziej pogarsza jego sytuację, bo ze skrepowanymi w ten sposób nogami nie sposób się bronić, a zwłaszcza zachować równowagi na wąskim pomoście...

- Przepraszam, panie sędzio, ale to się nie zgadza - zaproponował Drwęcki. - Moim zdaniem w takiej sytuacji każdy normalny mężczyzna skupiłby się przede wszystkim na natychmiastowym podciągnięciu spodni.

- Racja! - zafrasował się Hrabyk. - Ale gdyby to było tak... - pomyślał chwilę. - Jak by pan zareagował, gdyby zobaczył pan nagle mężczyznę, mówiącego głosem kobiety?

- Istotnie, byłbym bardzo zaskoczony - przyznał Drwęcki.

- Ta koncepcja jednak wydaje mi się zbyt naciągana.

- Dlaczego naciągana? - zdziwił się Hrabyk. - Proszę zaufać logice! To mógł być przecież eunuch, wszak na wojnie zdarzają się bardzo różne okaleczenia... Mało to młodych chłopców posłaliśmy w swoim czasie na front? A przy okazji mamy od razu motyw zabójstwa, czyli zazdrość o sprawność seksualną. Jurny Czerwoncki mógł mocno drażnić kogoś, kto nigdy nie zaznał fizycznej miłości kobiety...

- Brzmi dobrze, ale motyw się nie zgadza. Moim zdaniem celem tego morderstwa było zdobycie elektrycznych pereł.

- Jedno nie wyklucza drugiego, panie nadkomisarzu. Satysfakcjonujące trofeum z kości ofiary może być namiastką erotycznego spełnienia. Co pan na to?

- Zatem uważa pan sędzia, że sprawca powinien być mężczyzną mówiącym nienaturalnie wysokim głosem? Do tego mocno zaburzoną psychicznie?

- A ponadto przyjechać z Warszawy i kilka tygodni temu zatrudnić się w zajezdni na Gajowej. W związku z Pewuką nasze przedsiębiorstwo tramwajowe przyjmuje ostatnio bardzo wielu nowych pracowników. Sprawca musiał mieć czas, by zorientować się w tutejszej sytuacji i wybrać na miejsce zamachu akurat plac Nowomiejski. Swoją drogą myślę, że teraz już władze miasta na dobre zamkną tę pechową linię. Ale do rzeczy! Będę musiał poprosić o informacje w pana dawnym wydziale. Do kogo powinienem się zwrócić?

- Najodpowiedniejszym człowiekiem będzie podkomisarz Księżyk. Można polegać też na komisarzu Rybczyńskim.

- Rozumiem, że lepiej będzie nie wspominać oficjalnie o pana udziale w moim śledztwie?

- Tak, panie sędzio. Nie byłbym mile widziany...

- Proszę się nie martwić, jako ofiara sanacji może pan liczyć w Poznaniu na pełny azyl

polityczny - Hrabyk uśmiechnął się po raz pierwszy w dniu dzisiejszym.

- Panie sędzio! - w drzwiach stanęła sekretarka. - Dzwoni komisarz Witkowiak.

- Proszę łączyć - gospodarz podał Drwęckiemu dodatkową słuchawkę. - Słucham, Hrabyk na linii.

- Mam warszawiaka, panie sędzio! - oznajmił podekscytowany Witkowiak. - Zatrudniony trzy tygodnie temu jako elektryk. Nie modernizował akurat tego wozu, ale pracuje w tym samym warsztacie elektrycznym...

- Ile ma lat? - podszepnął pytanie Drwęcki.

- Sprawdziliście jego papiery, komisarzu?

- Maciej Laszczak, syn Mateusza, urodzony w Siedlcach w 1892 roku.

- Wiek się nie zgadza - stwierdził półgłosem Drwęcki. - Za stary...

Hrabyk skinął głową na znak, że rozumie.

- Jak on mówi? - zapytał Witkowiaka.

- A jak ma mówić, panie sędzio? - zdziwił się komisarz.

- Mówi jak wszyscy...

- Nie za cienko? Może jakby kobieco...

- Nie, no skąd! Normalnie... Mam go drutować?

- Spiszcie zeznanie i zostawcie tego człowieka w spokoju - westchnął ciężko Hrabyk.

- Macie może innych kandydatów?

- Nie, panie sędzio. Sprawdziłem już wszystkich przyjętych od początku roku. Czy mam jechać jeszcze do zajezdni przy Łazarskiej?

- Możecie wracać, komisarzu - sędzia śledczy odłożył słuchawkę i spojrzał posępnie na Drwęckiego. - Co pan o tym myśli?

- Sprawca prowadzi z nami jakąś wyrafinowaną grę.

- Zgadzam się. I podejrzewam, że jeżeli szybko tej partii nie zakończymy, będziemy mieć na Pewuce serię jeszcze bardziej spektakularnych katastrof niż ta dzisiejsza... - Hrabyk znowu podniósł słuchawkę. - Proszę natychmiast łączyć z ratuszem! Tak, z sekretariatem pana prezydenta Ratajskiego! - polecił.

- Bardzo pilne!

11. Kuchnia kryminalna i domowa

Drwęcki i Witkowiak wracali do domu w podłych nastrojach, ze świadomością zmarnowanego dnia. Michałowi przeszedł koło nosa zaszczytny tytuł tego, który znalazł klucz do sprawy. Skojarzył z sobą obie elektryczne perły, wytypował sprawcę i wszystko na nic! Jerzy miał jeszcze większe powody do niezadowolenia, gdyż sędzia Hrabyk, po rozmowie z prezydentem miasta, całkowicie stracił zainteresowanie seksualnym tłem sprawy. Co więcej, porzucił ten wątek z nieukrywaną ulgą.

- Zdaniem pana prezydenta Ratajskiego jest to sabotaż, za którym stoi niemiecka agentura! - oświadczył z miną człowieka szczęśliwie uwolnionego od niemieszczących się w głowie nie dorzeczości. - Ja ze swej strony nie mam najmniejszego powodu, aby panu prezydentowi oponować. Zresztą, panie nadkomisarzu, to przecież musiał być spisek co najmniej dwóch osób! Czerwoncki umawiał się z kobietą, a zabił go mężczyzna, co do tego chyba nie ma wątpliwości? Skoro były dwie osoby, nic nie stoi na przeszkodzie, by mogło być ich więcej. Myślę, że zbytnio zasugerował pan mnie i siebie tymi nieszczęsnymi spodniami. W końcu całe ubranie spłonęło, zanim znaleźliście trupa. Pańskie wnioskowanie oparte jest na miejscu znalezienia kluczy, prawda? Przyznaję, że stoi za tym pewna racja logiczna, ale gdyby tak klucze odrzucił jakiś łuk elektryczny? Metal w chwili silnego zwarcia paruje wręcz wybuchowo! I co wtedy zostaje z pańskich dywagacji na temat, czemu to Czerwoncki rozbierał się przed mężczyzną? Szukanie jakiegoś eunucha jest w tej sytuacji po prostu śmieszne! Nie sądzi pan?

Hrabyka nie przekonała nawet informacja o elektrycznych perłach przesłanych znajomym Stanisława Przybyszewskiego.

- Zwykła dezinformacja i mydlenie oczu! - oświadczył stanowczo sędzia śledczy. - Jeżeli mamy do czynienia ze szpiegowskim spiskiem, to tworzenie fałszywych tropów, prowadzących do dochodzenia na manowce, jest więcej niż pewne. A czy to tak trudno było ustalić, że po pracy zwykł pan przesiadywać w kawiarniach ze znanymi literatami? Przecież chyba nigdy się pan z tym nie krył? Cóż zatem szkodziło posłać stopione szczątki pańskim znajomym? Na pewno w końcu któryś by panu pokazał swoją perłę, a pan by chwycił trop... Artyści to malownicze persony, mają z reguły różne ciekawe grzeszki na sumieniu, można to zgłębiać latami, prawda? Zwłaszcza w kontekście ich wielkiej i skandalicznej twórczości...

Pan Przybyszewski w tym względzie, jak znalazł! A tymczasem, kiedy my tu za pańską radą będziemy zajmować się historią literatury polskiej, ktoś skompromituje przed światem Poznań i całą Rzeczpospolitą, robiąc nieobliczalne szkody na Powszechnej Wystawie Krajowej! Zatem patriotyczna powinność przede wszystkim!

Najbardziej irytowało Jerzego to, że w rozumowaniu sędziego Hrabyka nie znajdował żadnej luki. Nie da się ukryć, że ktoś mógł rozmyślnie manipulować nadkomisarzem Drwęckim, wykorzystując jego powszechnie znane i komentowane stosunki towarzyskie. Hipoteza dewiacji seksualnej sprawcy oparta była rzeczywiście na zbyt wątych podstawach. Ale stała za nią intuicja oraz to, że Jerzy Drwęcki, w przeciwieństwie do Mieczysława Hrabyka, był na miejscu zbrodni i widział te nieszczęsne klucze, leżące poniżej kolan spalonego nieboszczyka. Zatem Sawilski zdjęciami z pewnością nie manipulował. Jeśli nie można wierzyć własnym oczom, to czemu? Z drugiej strony, pomysł, że tkwiące głęboko w kieszeni klucze odrzuciło jakieś silniejsze spięcie, był mało prawdopodobny, ale jednak wprowadzał niedający się łatwo usunąć margines wątpliwości. Co prawda pan sędzia Hrabyk, wbrew regułom sztuki kryminalnej, dopasowywał fakty do koncepcji śledczej, zamiast odwrotnie, ale to jeszcze nie był rozstrzygający argument. Tak samo jak zarzucanie mu, że szedł na rękę prezydentowi miasta, który tę spiskową koncepcję na poczekaniu wymyślił. Potrzebne były dodatkowe dowody, których Drwęcki nie miał. Na tym etapie śledztwa należało przyznać, że faktycznie, mogło być tak, jak mówi Hrabyk, nie pozostawało więc nic innego, jak siedzieć cicho i grzecznie potakiwać.

Na koniec spadł miecz Damoklesa.

- Tak więc, moi panowie, po konsultacjach z panem prezydentem Ratajskim postanowiłem jutro rano przekazać sprawę kontrwywiadowi wojskowemu. Oni jeszcze raz wezmą pod lupę tego Laszczaka. Nawet dobrze się składa, że nie został aresztowany, bo jeśli jest winny, to teraz poczuje się pewniej. Natomiast panowie wracają do swoich rutynowych obowiązków. Dziennikarzom o elektrycznych perłach ani słowa! Zresztą i tak zaraz skonfiskujemy im artykuły. Bimba rozjeżdżająca kabaret w zakładzie pogrzebowym to nie jest stosowna reklama dla naszego miasta w roku Powszechnej Wystawy Krajowej. Pozwolimy zamieścić tylko krótkie notatki na podrzędnych stronach, że na placu Nowomiejskim doszło do kolejnego wypadku. Oficjalnie przyczyną był błąd motorowego, który przez pomyłkę przyspieszył, zamiast zwolnić. Nie żyje, nie zaprzeczy, a rodzina z ratuszowej kasy dostanie parę złotych ekstra na otarcie łez. To wszystko! Serdecznie dziękuję panom za pomoc w dniu dzisiejszym i życzę miłego wieczoru!

Gdyby dostali po łbach czymś ciężkim w ciemnym zaułku, wcale nie czuliby się

gorzej. Na schodach zrezygnowany Witkowiak wspomniał, że ma już serdecznie dosyć pedantycznego puszgowania kryminalnych szprotek i sardynek, że zawsze marzył o sprawie oryginalnej, jak biały wieloryb, która trafiłaby do podręczników kryminalistyki, po czym zamilkł, jakby zawstydzony własnymi marzeniami. Nie odzywali się do siebie przez całą drogę do domu.

Dopiero na schodach Drwęcki przytrzymał kolegę za rękaw.

- Głowę daję, że to nie jest niemiecki spisek! - oświadczył.

- Sami rozpracujemy tę sprawę. Jesteś zainteresowany?

- Tak, tylko jak przekonać Hrabyka? - spytał Michał.

- Moim zdaniem on ma rację, sądząc, że sprawców jest dwoje, kobieta i mężczyzna, którzy działają razem i kryją się wzajemnie. Będzie duży kłopot z podważeniem alibi i wskazaniem motywu...

- Oboje łączy niewątpliwa znajomość tajników tramwajarskiego rzemiosła, fascynacja elektrycznością i futuryzmem - dodał Jerzy. - I ciekawe, co jeszcze, skoro ten mężczyzna jest jakby nie do końca mężczyzną...

- Może są rodzeństwem? - rzucił sarkastycznie Michał. - Jednak pierwsze, co powinniśmy teraz zrobić, to wyeliminować z kręgu podejrzeń wątek szpiegowski. Jak?

- Daj mi kilkanaście godzin.

Otworzyła im Jadzia. Była cała w skowronkach, a ponadto pozapinana na wszystkie guziki, co, jak Jerzy sięgał pamięcią, raczej się jej nie zdarzało.

- Dobry wieczór, panie Jerzy! Dobry wieczór, kochany braciszku! Po szkole wysłałam do państwa Jasińskich list z wyjaśnieniem i przeprosinami. Zaraz będzie kolacja... - pobiegła do kuchni.

Drwęcki zdjął palto i ruszył myć ręce. W połowie drogi do łazienki zreflektował się, że Witkowiak dziwnie ucichł, obejrzał się więc zaintrygowany.

Michał, trzymając się za guzik, którego nie dokończył rozpinąć, stał na środku przedpokoju, osłupiały niczym żona Lota.

Rano, przy śniadaniu, Jadzia gadała jak nakręcona. Szybko znalazła wspólny język z niewiele starszą Marysią, której Jerzy przezornie nie wspomniał o erotycznych wybrykach pannicy.

- Miałam czternaście lat, jak poznałam Karolka - opowiadała podekscytowana. - Z początku to wcale nie myślałam, że będzie z tego jakaś miłość. Czułam się tak, jakbym miała jeszcze jednego starszego brata. Dopiero w zeszłym roku, kiedy na Karolka spojrzałam, zrobiło mi się tak jakoś dziwnie...

- A jak się poznaliście? - spytała Marysia.

- Na defiladzie, pani Marysiu! Kiedy jego 57. Pułk Piechoty wrócił po zamachu majowym. Naprawdę niewiele brakowało, żeby mój Karolek, razem z kolegami, tego strasznego Piłsudskiego przepędził na cztery wiatry! - Jadzia aż dostała wypieków. - Był strajk kolejarzy, a oni mimo to już 13 maja rano przebili się do Warszawy z pomocą panu prezydentowi! Mój Karolek był wtedy plutonowym w kompanii pana kapitana Chodźki. Zaraz szturmem odbili Okęcie, potem odparli wszystkie ataki rebeliantów i na koniec poprosili pana prezydenta Wojciechowskiego, żeby wsiadł w samolot i przeniósł stolicę do Poznania. Ale pan prezydent - dziewczyna posmutniała - nie chciał wojny domowej przedłużać i wolał się poddać, bo panu prezydentowi bardziej dobro Polski na sercu leżało niż temu całemu Piłsudskiemu.

- Wiesz, Jadziu - powiedziała z powagą Marysia. - Ja myślę, że gdyby prezydent Wojciechowski przeniósł stolicę do Poznania, to wtedy marszałek Piłsudski by się poddał, właśnie żeby wojny domowej nie przeciągać.

- Jak to?! - stropiła się dziewczyna. - To znaczy, że pan prezydent za wcześniej się poddał?

- Myślę, że wygrał prawdziwy mężczyzna - odparła pani Drwęcka. - Kiedyś Jadziu na pewno to zrozumiesz...

Jadwiga ucichła na chwilę z szeroko otwartymi oczami.

- No, ale... - wykrztusiła - ale mój Karolek jest prawdziwym bohaterem!

- Ależ oczywiście, że jest! - zapewniła Marysia. - Bardzo chętnie go poznam. To jak było z tą defiladą?

- Kiedy wrócili z Warszawy - Jadzia znów się ożywiła - cały Poznań przyszedł witać bohaterów. Oni defilowali na placu Sa - pieżyńskim, a dziewczęta rzucały im kwiaty. Ja też rzucałam, no i... - spieszyła się - trafiłam Karolka łodyżką w samo oko, tak że aż zmylił krok i musiał z szeregu uciekać, żeby innym nie przeszkadzać. Koledzy potem strasznie się z niego śmiali, że w walce to nawet nie draśnięty, a po wszystkim poległ od dziewczynskiego kwiatka... Ja się okropnie wystraszyłam, uciekłam Michałowi i pobiegłam za Karolkiem, żeby go przeproszać i spytać, czy nic mu się nie stało. Przez to jeszcze zgubiłam się w tłumie, więc Karolek potem mnie do domu odprowadził. Pani Marysiu, ależ byłam wtedy dumna! Pierwszy raz szłam pod ramię z chłopcem, do tego w mundurze, i to jeszcze z prawdziwym bohaterem!

- A oko?

- Trochę go bolało i było dwa dni zaczerwienione, ale przeszło. Teraz Karolek mi

mówi, że żadna dziewczyna nigdy tak mocno w oko mu nie wpadła... A jak szliśmy wtedy razem, to jedna pani zaczęła mnie strofować, że ja taka młoda, a już z mężczyznami się prowadzam! Ja odpowiedziałam, że to mój starszy brat. A ona na to, że skoro tak, to panienka nie będzie miała nic przeciw temu, jak jej braciszka wycaluję? I zaraz pocałowała Karolka w oba policzki, a potem w same usta. Chłopcy z 57. pułku strasznie mieli wtedy powodzenie... Dzisiaj byłabym już zazdrosna! Żadnej bym tak nie pozwoliła!

- A jak to się stało, że to dziewczynskie zauroczenie panience nie przeszło? - wtrąciła się do rozmowy babcia Irena.

- Albo i on nie zapomniał? Przecież panna Jadzia była wtedy jeszcze zupełnym dzieckiem, a pan Karol - już prawie dorosły. Trudno takie narzeczeństwo traktować poważnie.

- Karolek jak mnie poznał, miał dziewiętnaście lat, ale wyglądał młodziej. A potem to było tak, że jak u nas w gimnazjum były tańce, na które można było z chłopcem przyjść, to ja zawsze prosiłam Karolka. Koleżanki strasznie mi zazdrościły! On dopiero niedawno powiedział, że mnie kocha.

- Wnet się przekonamy, czy młody kawaler innym pannom tego samego nie mówił - oznajmiła wojowniczo staruszka.

- Na pewno nie! - poczerwieniała Jadzia.

Drwęcki podziękował i wstał od stołu. Nadeszła odpowiednia pora na telefon do dawnych podwładnych. Zamówił międzymiastową z Warszawą i podał numer swojego gabinetu na Daniłowiczowskiej. Zgodnie z jego oczekiwaniami odebrała Stefania, już pani Lewandowska. Po ślubie miała się zwolnić z pracy, ale nie minął jej jeszcze termin wypowiedzenia.

- Drwęcki, dzień dobry, moje najlepsze życzenia na nowej drodze życia.

- Pan nadkomisarz! - ucieszyła się.

- Proszę ciszej, pani Stefania, lepiej żeby Brycki nie dowiedział się, że dzwonię.

- Bryckiego nie ma...

- To dobrze! - nie dał jej skończyć. - A jest Księżyk?

- Tak.

- Wobec tego proszę go dyskretnie poprosić do telefonu i przełączyć rozmowę na jego biurko.

- Zaraz, panie nadkomisarzu... - Minęła długa chwila ciszy.

- Mówi się? - odezwała się telefonistka.

- Zaraz będzie się mówić - zapewnił Drwęcki.

- Czołem, szefie! - rozległ się radosny głos Księżyka. - Nie znudziły się panu jeszcze te pyry na śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację?

- Aż tak źle nie jest. Słuchajcie, Księżyk, mam pilną sprawę, tylko Brycki nie może się niczego dowiedzieć.

- Na pewno się nie dowie, szefie, bo go zesłali do Brześcia - odparł młody policjant. - To pan nadkomisarz nic nie wie?

- Nie wiem.

- A ja właśnie chciałam powiedzieć - wtrąciła się Stefania ze swojego aparatu. - Ale mi pan nadkomisarz nie dał dojść do słowa.

- Przepraszam. To jakie macie nowiny?

- Mówi się? - spytała telefonistka.

- Na trzy głosy, droga pani - oznajmiła Stefania. - Mogłaby pani nie podsłuchiwać? To urzędowa rozmowa i do odpowiedzialności za naruszenie tajemnicy państwowej pociągniętym być można!

- Ja tu też słucham urzędowo! - obraziła się telefonistka.

- Moje panie... - zmitygował je Drwęcki.

- Przepraszam, już się wyłączam.

- Wcale pani nie wierzę - rzucił Księżyk.

- Uspokoicie się wreszcie?

- Już mówię, panie nadkomisarzu - powiedziała Stefania.

- To może lepiej ja - przerwał jej Księżyk. - Poszło o to, że inżynier Bilecki powiesił się u nas w celi...

- Świeć panie nad jego duszą! - westchnęła Stefania.

- Amen - wyrwało się telefonistce. - Przepraszam... - rozległ się szczeł przerywanego połączenia.

- Jesteście tam? - zaniepokoił się Drwęcki.

- Jesteśmy! - odpowiedział szybko Księżyk.

- Chwilowo sami - dodała z przekąsem sekretarka.

- Szkopuł w tym, że założył sobie pętlę na szyję rękami złamanymi w sześciu miejscach, więc na Oczki nie chcieli uznać samobójstwa i zaczęli nalegać na śledztwo.

- Co na to Brycki?

- Ze jakby Bilecki nie miał rąk złamanych, to pewnie nie dałby się powiesić...

- Kawał bydlaka! - syknął Drwęcki.

- Gdyby pan nadkomisarz tu był, na pewno do czegoś tak okropnego by nie doszło! -

oznajmiła oburzona Stefania.

Drwęckiemu zrobiło się bardzo głupio.

- Powinni Bryckiego aresztować - kontynuował Księżyk.

- Ale on znowu się wykpił. Przenieśli go na stanowisko strażnika więziennego w twierdzy w Brześciu. Chodzą słuchy, że ściągają tam z całej Polski maniaków i sadystów, ciekawe tylko po co? Nie wie pan może?

- Nie wiem - odparł Drwęcki. - Kto teraz jest szefem wydziału?

- Komisarz Rybczyński - odparła Stefania - ale tylko jako pełniący obowiązki do pańskiego powrotu.

- Sawilski coś mówił, że pana akcje znów idą w górę - dodał Księżyk. - To kiedy pan wraca, szefie?

- Jeszcze nie wiem. - Drwęcki uznał, że nie ma czasu zastanawiać się nad znaczeniem tych wiadomości. - Słuchajcie, Księżyk, dzwonię w sprawie zabójstw w zajezdni na Kawęczyńskiej.

- Śledztwo zostało zamknięte przez Bryckiego - przypomniał podkomisarz.

- To je teraz dyskretnie uchylcie. Chodzi mi o zdjęcia zrobione na miejscu pierwszego morderstwa.

- Przepraszam, mam telefon na drugiej linii - oznajmiła sekretarka. - Wylączam się, do widzenia, panie nadkomisarzu!

- Dziękuję i do widzenia. - Drwęcki odczekał parę sekund.

- Lepiej, żeby Stefania tego nie słyszała. Potrzebuję potwierdzenia faktu, że denat Czerwoncki spadł na przewody z opuszczonymi spodniami.

- Szefie, czy to wypada robić nieboszczykowi taki despekt?

- To ważne! - uciął nadkomisarz. - Denat w kieszeniach spodni powinien mieć jeszcze jakieś metalowe drobiazgi, które się nie spaliły, może bilon, guziki, resztki klamry od pasa, cokolwiek!

- Tam, na podłodze, widać tylko jakieś czarne śmieci, może resztki szmat.

- Zróbcie powiększenie tego zdjęcia razem z siatką fotogrametryczną i sprawdźcie, czy nie ma czegoś na tej samej głębokości obrazu co klucze.

- A szef nic nie widział, kiedy sam tam był?

- Nie, bo wtedy te śmieci leżały w kałuży gorącego ludzkiego tłuszczu. Miałem w nią wleźć?! - Drwęcki zdał sobie sprawę, że irytacją maskuje to, że faktycznie powinien był tak postąpić. Jego awersja do kontaktów z ludzkimi szczątkami znów splątała mu paskudnego figla. O ileż łatwiej było analizować logicznie raporty napisane przez kogoś innego...

- Dobrze - powiedział Księżyk - dam zdjęcie do powiększenia i jak coś wyjdzie, zaraz do pana nadkomisarza dzwonię.

- Zapiszcie sobie... - podyktował numer Witkowiaka.

- Czy mam meldować Rybczyńskiemu?

- Nie, ale jeśli on sam coś zauważy, powiedzcie mu wszystko.

- W porządku, szefie.

Drwęcki odłożył słuchawkę i zaczął się zbierać do pracy. Do Pałacu Sztuki przysła akurat nowa dostawa obrazów, które trzeba było gdzieś przechować...

Niedzielne przedpołudnie było popisem kulinarnego kunsztu starszych pań. Lunia i babcia Irena, wróciwszy z rannej mszy w kościele Maryi Królowej przy rynku wildeckim, zabrały się za opracowanie przeznaczonych na obiad gęsi. Pracowały jak para zgranych chirurgów przy stole operacyjnym. Wszyscy inni domownicy dostali stanowczy zakaz wstępu. Wyjątek stanowił Rataj, który z pełnym profesjonalizmem doświadczonego kuchennego kocura, polując na okrawki i podroby, z podniesionym ogonem kręcił się obu paniom pod nogami, manewrując tak zwinnie, że ani razu nie naraził się na niecierpliwe „a psik!”.

Podczas solenia i przyprawiania gęsiich tuszek rozmowa zeszła na ulubiony temat Luni, czyli młododyluwialne nosorożce.

- Moja pani, a czemuż to one wyginęły?! - zdziwiła się babcia Irena. - A bo to im na naszej polskiej ziemi czego brakowało?

- Powiadają, pani weteranowo, że lodowiec je zgładził.

- Jakże to?! Przecież, moja pani, taki lodowiec nie pociąg. A nie mogły się te nosorożce trochę posunąć?

- Może kiedyś lodowce rychlejsze bywały?

- Ja tam nie wiem, moja pani, ale mnie całkiem co innego świta...

- A co, pani weteranowo?

- Słyszałam kiedyś, moja pani, że Chińczycy z rogu nosorożca lekarstwo na męską niemoc robią.

- Chińczyki trzymają się mocno - oświadczyła z powagą Lunia. - Myśli pani weteranowa, że to od tych rogów? Bo u nas w Poznaniu to jest jeden Chińczyk, w kinie Apollo za biletera służy. On się całkiem fest trzyma, nawet w naszym powstaniu był. Ba, i Murzyn lotnik też z naszymi chłopcami Prusaków bił!

- Co też pani powie! - wykrzyknęła babcia Irena. - Ale gdyby tak lepiej pomyśleć... - zmarszczyła brwi. - Skoro, moja pani, Polska jest Chrystusem Narodów, przecież nic

dziwnego, że z całego świata na jej obronę waleczni się zbiegają!

- Święta prawda, pani weteranowo! - przeżegnała się z powagą Lunia. - Lecz ja względem młododyluwialnych nosorożców chciałbym zapytać, to niby czemu one durch wyginęły?

- Podobnież wtedy prócz nosorożców żyły te... jak im tam? Neandertalczyki, takie półmałpy, półludzie...

- Tej, że coś takiego i do mnie doszło - zgodziła się Lunia.

- To ja myślę, moja pani, że neandertalczyki dla tych rogów wszystkie nosorożce wybiły, żeby swoją małpią chutliwość zaspokajać.

- A tej by się, pani weteranowo, rychtyk zgadzało! - wykrzyknęła podekscytowania gosposia. - Bo w tych czaszkach, co je na Dębcu odkopali, już żadnych rogów nie było, tylko same dziury!

- Widzi, moja pani! Jak dobrze pomyśleć, zaraz mądra odpowiedź się znajdzie.

- Znakiem tego, pani weteranowo, jak nosorożców zabrakło, to i neandertalczyki sami wyginęli, bo się już bez tych lubczyków z rogów zicher mnożyć nie poradzili?

- Pewnie jak ci morfiniści, co bez morfiny całkiem rozum tracą i z sił opadają. Zresztą, moja pani, co tu dużo mówić! Niepobożne to wszystko było, toteż i nic dziwnego, że ich Pan Bóg zachować nie raczył... A pani nadkomisarzowa co mi tu na przeszpiegi przysła?!

- Ja, babciu, chciałabym zapytać, czy w czymś nie pomóc?

- Bóg ci, dziecko, zapłać, ale poradzimy sobie. Jeszcze takie stare nie jesteśmy! Ty musisz dbać o siebie. Idź, usiądź sobie w spokoju, i jakąś książkę poczytaj. Zaraz ci Karolinę z ciepłym mlekiem przyślę.

- Już czytałam, babciu.

- A co?! - staruszka spojrzała podejrzliwie.

- Nic o Lucyferze, babciu - zastrzegła się szybko Marysia. - Romans kryminalny Leo Belmonta, czyli mecenasa Blumenta - la, pod tytułem Konieczność, przypadek czy wolna wola? To historia pewnego profesora filozofii, który zamordował ukochaną kobietę, by dowieść sobie, że wolna wola naprawdę istnieje. Wczoraj wieczorem długo dyskutowaliśmy o tym z Jerzym.

- Dyskutować z mężem twoje prawo, tylko mi proszę w trakcie tych dyskusji na brzuch uważać!

- Herr Gott! - wykrzyknęła Lunia. - To już i profesory za mordowanie się biorą?! Jak zwykle zyndry? Świat na klejtery schodzi!

- To tylko taki wymyślony problem filozoficzny, proszę pani.

- Najpierw wymyślą, potem rychtyk zrobią! - zagniewała się Lusia. - Lepiej by baczyli, co myślą, bo wnet jakie nieszczęście na świat sprowadzą!

- W tej książce było i o tym, jak będzie wyglądał świat w 1943 roku. Jeden z bohaterów cytował proroctwo francuskiego pisarza Wiktora Margueritti, że wtedy „stare świństwa wśród nowych wynalazków będą się mnożyć”.

- Skoro wynalazki nowe, to czemu świństwa miałyby być tylko stare? - wzruszyła ramionami babcia Irena. - Oj, pewnie jakie nowe świństwa też wtedy wymyślą... Ale my tu gadugadu, a piekarnik czas nagrzać!

12. Sedno i rak polskości

Jadzia była uosobieniem dziewczęcej skromności i niewinności. Biała bluzeczka, granatowa spódnica za kolana, cieliste pończoszki. Aczkolwiek Jerzy przysięgłby, że szelma założyła też czerwone podwiązki... Babcia Irena w długiej czarnej sukni z koronkowym kołnierzem i mankietami, jako strażniczka cnoty i obyczaju, prezentowała się tak przekonywująco, że smok wawelski na jej widok niechybnie porzuciłby myśl o pożeraniu dziewic i wycofałby się do swojej jamy z podkulonym ogonem. Marysia ubrana była w niebieską suknię z przepastnie głębokim dekoltem, który uchodził tylko młodym mężatkom. Ponieważ była już prawie matką Polką, babcia posadziła ją na krześle, a dekolt kazała przysłonić tiulowym szalem. W drugiej linii stały Karolinka, wykrochmalona do ostatniej falbanki czepka i fartuszka, oraz Lunia w odświętnym, haftowanym kolorowo kaftanie i monumentalnym bamberskim czepcu, zaopatrzonym w większą ilość falban i koronek niż miały na sobie wszystkie pozostałe panie razem wzięte.

Honorowe miejsca w gabinecie Michała zajęli trzej weterani powstania styczniowego w mundurach z amarantowymi wyłogami. Na tym jednak kończyły się podobieństwa między nimi. Wujaszek Hiacyntus był gładko ogolony i w zwykłej rogatywce, natomiast jego poznańscy koledzy imponowali rozłożystymi siwymi brodami i sumiastymi wąsami, a na głowach mieli wyniosłe jak wieże wielkopolskie rogatywki najstarszego wzoru, przy których nawet „infuła” gospodarza wyglądała niepozornie. Michał założył swój wyświechtany w polu, „biskupi” mundur z dystynkcjami porucznika i Krzyżem Kawalerskim *Virtuti Militari*. Obok orderu Drwęcki wypatrzył nie do końca sprany ślad krwi z rozciętej swego czasu bagnetem głowy. Sam Jerzy był w zwykłym garniturze, a ponieważ nie pasował do mundurowego towarzystwa, babcia Irena kazała mu stanąć za krzesłem Marysi i oprzeć dłoń na ramieniu żony.

Taki oto żywy obraz zastali goście wprowadzeni przez Karolinę, która natychmiast zajęła swoje miejsce. Podchorąży Karol Beyme był drobnym blondynem o rysach cherubina. Rzeczywiście, mógł podobać się dziewczętom, które dopiero co wyrosły z modlitw do świetlistego anioła stróża na obrazku zawieszonym nad dziecinnym łóżkiem. Młodemu żołnierzowi towarzyszyli: drugi podchorąży - piegowaty, jaskrawy rudzielec, rówieśnik Karola, oraz lekko utykający porucznik w wieku około trzydziestu lat. Wszyscy trzej mieli na

piersiach Krzyże Walecznych, przy czym porucznik - podwójny. Jadzia zdążyła już wcześniej wyjaśnić z dumą i zgorszeniem naraz, że „jej Karo - lek” Krzyż Walecznych dostał za walki na warszawskim Okęciu w obronie legalnego rządu, ale wniosek o odznaczenie zatwierdził mu sam „buntownik Piłsudski”, co uważała za absolutny szczyt sanacyjnego cynizmu i przewrotności.

Na widok styczniowych weteranów młodzi żołnierze pobledli z wrażenia, jednak najstarszy stopniem natychmiast opanował sytuację.

- Drużyna, równaj szereg - zakomenderował półgłosem.

- Bacność! - Równo strzelili obcasami. - Cześć i chwała sędziwym obrońcom ojczyzny! - zasalutowali regulaminowo, po czym natychmiast unieśli ramiona w rzymskim pozdrowieniu.

- Niech żyje Wielka Polska! - zawołali chórem.

Staruszkowie i Michał oddali honory w zwykły sposób.

- Przepraszam najmocniej - odezwał się wujaszek Hiacyń - tus. - Panowie z Obozu Wielkiej Polski prezesa Dmowskiego?

- Co do jednego, szanowny panie podporuczniku! - zapewnił dowódca, po czym sam przedstawił się z lekkim ukłonem.

- Porucznik Andrzej Garczyński!

- Podchorąży Rafał Smoliński! - powiedział rudzielec.

- Podchorąży Karol Beyme! - Sprawca całego zamieszania zerknął na Jadzię, która posłała mu promienny uśmiech.

Wzajemne prezentacje zajęły kilka następnych minut. Ponieważ na cywila żonkosia młodzi wojskowi patrzyli z góry, Witkowiak natychmiast przedstawił Drwęckiego jako obrońcę

Lwowa i swojego towarzysza broni z czasów wojny ukraińskiej i bolszewickiej, skutkiem czego wyniosłe uśmiešky natychmiast szczyły. Potem weterani usiedli z godnością, a gospodarz stanął obok nich.

- Panowie kawalerowie! - Babcia Irena dała znak do rozpoczęcia właściwej części ceremonii. Razem z Jadzią podeszła do Michała. Dziewczyna skromnie spuściła wzrok. Drwęcki, patrząc na nią, z trudem zdołał zachować poważny wyraz twarzy. Ni stąd, ni zowąd przyplątał mu się motyw tej samej piosenki Boya, przy której Jadzia objawiła mu się w swych czerwonych podwiązkiach: „I wianuszek straci dziewczę, ale światopogląd zyska!”.

- Za pozwoleniem łaskawej pani - porucznik Garczyński sięgnął do kieszeni munduru i wyjął kopertę. - Na początek chciałbym wręczyć bratu panny Jadwigi, jako jej prawowitemu

opiekunowi, poręczenie za kolegę Beyme, podpisane przez nas i naszych najznakomitszych kolegów, w tym kolegę Jędrzeja Giertycha, który, niestety, nie mógł przybyć osobiście...

Michał przebiegł wzrokiem pismo, po czym podał je weteranom, którzy po krótkiej naradzie oznajmili, że uważają poręczenie za godne zaufania.

- Podchorąży Beyme, wystąp! - zakomenderował Garczyński.

Zmieszany i zaczerwieniony po uszy Karolek znalazł się sam na środku pokoju. Wszyscy patrzyli na niego ze śmiertelną powagą. Jadzia nie podnosiła oczu.

- Czy pan podchorąży zdaje sobie sprawę - powiedział surowo wujaszek Hiacyntus - że krzywoprzysięstwo wobec zebranych tu świadków, dam, kolegów, panów oficerów i weteranów, dożywotnio pozbawi go honoru oraz prawa noszenia polskiego munduru?

- Całkowicie, panie podporuczniku - młodzieniec wziął głębszy wdech. - Jednak sumienie mam czyste.

- Czy kawaler życzy sobie przysięgać na coś świętego? - spytała babcia Irena.

- Jeśli można, proszę łaskawej pani...

Lunia natychmiast podała staruszce mały krucyfiks.

- Zatem słuchamy, co pan podchorąży ma do powiedzenia bratu panny Jadwigi - oznajmił wujaszek Hiacyntus.

- Panie poruczniku Witkowiak! - Karolek przełknął ślinę. - Przysięgam na honor żołnierski, że moje uczucie do pańskiej siostry jest uczciwe i czyste. W wiadomym czasie i miejscu znalazłem się, wykonując rozkazy moich przełożonych. Nie zrobiłem nigdy nic, czym mógłbym sprzeniewierzyć się pańskiej siostrze, wobec której żywię najwyższy szacunek i uwielbienie. Przysięgam na honor i tak mi dopomóż Bóg!

Babcia Irena podsunęła mu krucyfiks do pocałowania.

- Co na to odpowie brat panny? - styczniowy weteran zwrócił się do gospodarza.

- To samo, co powiedział Valerius o Scypionie - uśmiechnął się Michał. - Et juvenis fuit, et coelebs, et victor!

- Był młodym i dziewiczym, i zwycięzcą - przetłumaczył z łaciny weteran Ziółkowski.

- Czy to znaczy, że pan porucznik przyjmuje słowo podchorążego Beyme?

- Tak.

- Wobec tego, panowie, podajcie sobie ręce - polecił wujaszek Hiacyntus.

- Przepraszam za niesłuszne posądzenie - Michał wyciągnął dłoń.

- Rozumiem, że miał pan na uwadze przede wszystkim dobro panny Jadzi - podchorąży oddał uścisk. - Ale jest jeszcze jedna sprawa...

- Jaka? - Michał popatrzył podejrzliwie.

- Panie poruczniku Witkowiak - podchorąży Beyme znów przybrał postawę zasadniczą. - Proszę o pozwolenie oświadczenia się pańskiej siostrze!

Jadzia gwałtownie wciągnęła powietrze i poderwała głowę. Oczy się jej zaświeciły.

- Słucham...? - Michałowi zabrakło słów.

- Skoro publicznie ujawniłem moje uczucia wobec pańskiej siostry, nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić następny krok.

Oczywiście, weźmiemy ślub, gdy Jadzia zda maturę. Do tego czasu proszę o zaszczyt tytułowania panny Jadwigi moją narzeczoną.

Michał obejrzał się na siostrę. Słowa nie były potrzebne. Mimo to jeszcze chwilę zbierał się w sobie.

- Zezwalam - oznajmił wreszcie.

Rudzielec przyniósł z przedpokoju bukiet szklarniowych róż i podał Karolowi. Podchorąży przyklęknął na jedno kolano.

- Jadziu, czy zostaniesz moją żoną? - Wręczył jej kwiaty i wyjął z kieszeni pudełko z pierścionkiem.

- Tak, Karolku! - odparła bez wahania.

Rozległy się brawa.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy! - zawołała babcia Irena, kiedy narzeczeni się pocałowali. - A teraz prosimy panów do stołu! Karolinko, proszę podawać rosół!

- Już biegnę, proszę starszej pani!

Przeszli do salonu, gdzie czekał zastawiony stół. Po drodze Lunia odebrała od wojskowych nakrycia głowy i precyzyjnie, według godności, rozmieściła całą kolekcję czapek na specjalnie przygotowanym wieszaku. Formalnie najstarszy szarżą był Michał, gdyż jego Virtuti dawał mu pierwszeństwo nad równym stopniem Garczyńskim, jednak styczniovym weteranom, choć byli tylko podporucznikami, zwyczajowo przyznawano większe honory, więc to ich czapki znalazły się na szczycie stojaka. Reszta zawisła w zwykłym porządku orderowym i regulaminowym.

Gorący rosół z domowymi kluskami zjedzono w milczeniu. Rozmowy zaczęły się dopiero, gdy na stół trafiły półmiski z pieczoną gęsiną i pyzami oraz trzy butelki złocistego, półsłodkiego tokaju.

- No, to kochajmy się! Zdrowie narzeczonych! - wujaszek Hiacyntus wzniosł pierwszy toast.

- Za Jadzię i Karola! - Michał był wyraźnie wzruszony.

- Za narzeczonych i Wielką Polskę! - odpowiedzieli chórem młodzi endecy.

Następnie wypito zdrowie pań. Potem wujaszek Hiacyntus, patrząc wymownie na Marysię, wznosił toast za małego kosyniera, który za pięć miesięcy doszłusuje do szeregów. Pozostali staruszkowie poderwali się z miejsc i razem z wujaszkiem marsowo odśpiewali zarumienionej przyszłej matce Oto dziś dzień krwi i chwały!

Następnych toastów nie dało się już jednak uzgodnić z przyczyn politycznych.

- Oby jak najszybciej urzeczywistniły się wielkie wizje pana prezesa! - zawołał w pewnej chwili rozochocony porucznik Garczyński.

- No, ja nie wiem, młody człowieku, czy to aby na pewno dobry pomysł - stwierdził wujaszek Hiacyntus, odstawiając kieliszek. - Wolałbym raczej wypić za projekty pana Marszałka.

Zapanowała konsternacja. Jadzia wyraźnie chciała coś powiedzieć, ale tym razem zabrakło jej śmiałości.

- Pan weteran jest piłsudczykiem?! - zgorszył się Garczyński.

- Nie angażuję się w bieżącą politykę, ale pana Marszałka cenię wysoko - odparł spokojnie staruszek.

- A niby za co?! - obruszył się porucznik. - Za obalenie legalnego rządu i podeptanie konstytucji?!

- Za odrodzenie Rzeczypospolitej i utrwalenie jej niepodległości oraz granic.

- To jest przede wszystkim zasługa prezesa Dmowskiego i jego działań dyplomatycznych na konferencji w Wersalu! - zaperzył się podchorąży Smoliński.

- Pan jest bardzo młody, ale chyba o wojnie bolszewickiej pan słyszał? - spytał ironicznie weteran. - Kto wtedy poprowadził naród do zwycięstwa, podczas gdy prezes Dmowski załamał ręce i wycofał się z Rady Obrony Państwa? Stracił ducha, rzucił wszystko tuż przed decydującą bitwą o Warszawę i pojechał sobie na wyuczasy do Poznania! Jakież przywódca tak postępuje? Tymczasem Piłsudski, ów „skończony wariat”, jak wasz prezes był łaskaw się o nim wyrazić, przygotował i poprowadził ofensywę znad Wieprza!

- Cud nad Wisłą... - wzruszył ramionami Garczyński. - Więcej szczęścia niż rozumu!

- Pan ma Krzyż Walecznych za wojnę dwudziestego roku - zauważył Jerzy.

- Przeszedłem Wkrę z karabinem nad głową i byłem ranny pod Ciechanowem - odparł wyniośle porucznik.

- Wobec tego nie rozumiem, dlaczego nie potrafi pan właściwie ocenić wodza, który poprowadził pana do zwycięstwa i nie zmarnował pańskiej żołnierskiej krwi - powiedział Drwęcki, nie kryjąc irytacji. - Nie rozumiem, jak zawodowy żołnierz może nie podziwiać rozmachu i precyzji uderzenia znad Wieprza? Tak doskonałego zgrania oddziałów, idących

na przestrzeni kilkuset kilometrów! Tłumaczy pana właściwie tylko jedno... Czy pod tym Ciechanowem postrzelili pana w głowę?

- W nogę - burknął Garczyński.

- Ja myślę, że jednak w głowę - skwitował złośliwie wujaszek Hiacyntus. - Ale to był postrzał ideologiczny...

- Moje panie! - zawołała babcia Irena. - Panowie mają zamiar się kłócić, wobec tego my zjemy deser w kuchni. Proszę za mną!

- Ale ja... - zaczęła Jadzia.

- Panno Jadwigo - powiedziała babcia Irena łagodnie i stanowczo, jak do krnąbrnej klaczki. - Natychmiast.

- Idę...

Panowie wstali, by pożegnać wychodzące kobiety. To na chwilę przygasiło spór, ale zaraz wybuchł on z jeszcze większą siłą.

- Takie są skutki, kiedy ideologię narodową zaczyna wymyślać specjalista od morfologii wymoczków włoskowatych! - pod nieobecność małżonki wujaszek Hiacyntus bez ceregieli postawił kosę na sztorc. - Kto wie, może dla wymoczków idea Wielkiego Stawu jest w sam raz, ale byłoby lepiej, aby pan Dmowski poprzestał na swych studiach biologicznych i do spraw Polaków się nie mieszał, bo więcej z tego szkody niż pożytku.

- Polska nie staw... - porucznik Garczyński poczerwieniał jak burak.

- Otóż i ja o tym właśnie! Ale, jak kto orla od wymoczka nie odróżnia...

Zapachniało sądem honorowym.

- Ależ, szanowny panie podporuczniku - do dyskusji włączył się podchorąży Beyme z wyraźną intencją złagodzenia sporu. - Rozumiem, że pan, jako żołnierz powstania styczniowego, może mieć do pana prezesa żal za politykę ugody z caratem...

- Mało powiedziane - wtrącił cierpko weteran Ziółkowski.

- Jednak pragnąłbym zauważyć - kontynuował świeżo upieczony narzeczonego - że studia biologiczne pana prezesa oraz idea społecznego bioorganicyzmu idą tu z sobą w parze. Trzeba nam brać przykład z narodów, które zorganizowane są właśnie jak zdrowe organizmy. Za przykład pan prezes wskazuje nam Japończyków.

- Znaczący, jak nie stawem, to Polska drugą Japonią ma być? - spytał z przekąsem wujaszek Hiacyntus.

- Winniśmy docenić siłę moralną Japończyków, płynącą z zatarcia się indywiduum w zespole społecznym i państwowym - oznajmił z egzaltacją podchorąży Smoliński.

- Indywiduum nasze powinno się zatem wtopić w narodową tkankę i podporządkować

organizacji całego ustroju, czy tak? - podpytywał dalej weteran.

- Oczywiście - trzej endecy zgodnie pokiwali głowami.

- Cóż, panowie narodowcy, to wy chyba całkiem Polaków nie znacie! - roześmiał się staruszek. - Ten naród ma całkiem inny charakter...

- Być może w Galicji i Kongresówce - wydał wargi Garczyński - dominuje skłonność do anarchii i sobiepaństwa. Dlatego właśnie to my, tutaj, w Poznańskim, wykuwamy nową Polską tożsamość narodową! U nas tkanka narodowa jest najbardziej jednolita, bez żadnych ciał obcych, jak Żydzi czy Rusi - ni. a przynajmniej jest tego niewiele, dlatego w Wielkopolsce tworzy się świadomość prawdziwego, nowoczesnego Polaka, zdolnego zając godne miejsce wśród europejskich narodów. Dokładnie tak samo, jak było przed tysiącem lat!

- Ja nie mam nic przeciw temu, aby Poznań stał się drugim Tokio - wujaszek Hiacyntus nie dał się zbić z tropu. - Gejsze to ponoć niczego sobie bestyjki... Wszakże, jak rozumiem, aby ten projekt urzeczywistnić i nową Japonię w całej Rzeczypospolitej zaprowadzić, Żydów trzeba z jej granic wyrzucić? - zapytał znów jakby od niechcienia.

- Bezwzględnie! - potwierdził podchorąży Smoliński.

- W ten sposób, jak wylicza pan prezes, zyskamy trzy miliony warsztatów pracy dla polskich rzemieślników i ich rodzin.

- A co z prawem własności? - wtrącił się nagle Witkowiak.

- Chcecie rabunków w bolszewickim stylu?

- Pan był kiedyś jednym z nas! - rzucił oskarżycielsko Garczyński. - Jak to się stało, że nagle zaczął pan bronić wrogów Polski?!

- Zostałem policjantem - odparł rzeczowo gospodarz. - Co oznacza, że nauczono mnie prowadzić śledztwa, odróżniać winnych od niewinnych i ścigać tylko tych pierwszych. Jako policjant stwierdzam, że nie znajduję potwierdzenia zarzutów, które stawiacie Żydom. Polegam też na realnej filozofii Tomaszowej, która rzeczywiste fakty i logikę stawia ponad ideologicznymi rojeniami.

- Brawo, panie Michale! - zawołał wujaszek Hiacyntus.

- A teraz ja zapytam, czy to brak Żydów był przyczyną polskiej potęgi za ostatnich Jagiellonów? Czy Kazimierz Wielki zaszkodził Polsce, przygarniając Żydów z całej Europy?

- Wtedy nie było ruchu syjonistycznego - zaoponował Karol.

- Ale był ten sam żydowski spisek, tyle że do spółki z czarownicami i szatanem, w który ciemni ludzie wierzyli - odparował weteran. - Tu dochodzimy do sedna sprawy...

- Pan się po prostu okazał za miękki! - przerwał mu Garczyński, zwracając się do Michała. - To nie przez żadną policję, tylko pański kręgosłup ideowy nie wytrzymał śmierci

tego masona Narutowicza!

- To prawda... - Witkowiak sięgnął po portfel i wyjął z niego wizerunek zabójcy pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej.

- Nikczemnego mordercę, strzelającego w plecy bezbronnemu człowiekowi, ogłosiliście narodowym świętym! Stale noszę to przy sobie na dowód, że to nie był tylko zły sen. Jako żołnierz, policjant, katolik i obywatel Rzeczypospolitej, słowem, jako człowiek kierujący się w życiu honorem oraz prawem boskim i ludzkim, nie mogłem i wciąż nie mogę uwierzyć w to, że mieliście czelność posunąć się do takiej apoteozy łajdaka i szaleńca - uderzył palcem w podniszczony obrazek.

- Przepraszam! - powiedział szybko Jerzy. - Ja myślałem...

- Zgaduję, co - rzekł cicho Michał. - Należała mi się taka pokuta za to, że byłem kiedyś jednym z wyznawców prezesa Dmowskiego, że razem z nimi wygadywałem na „niepolskiego prezydenta”, więc jego krew i na moją głowę spadła. Dzięki temu, że porządni ludzie czasem źle o mnie pomyślą, ten grzech młodości nie pozwala mi o sobie zapomnieć.

- Ale to przecież Piłsudski nasłał Niewiadomskiego! - zaperzył się podchorąży Smoliński. - Jego wywiad, cały wydział drugi o wszystkim wiedział!

- Czy to znaczy, że wbrew pozorom endecja była wtedy w sojuszu z Piłsudskim? - zagadnął ironicznie Drwęcki i spoważniał. - Śledztwo wykazało, że Eligiusz Niewiadomski działał sam, trudno więc było komukolwiek dowiedzieć się zawczasu, co mu w głowie siedzi. A plotek, że ktoś chce lub chciałby zabić pana prezydenta, były wówczas tysiące.

- Moi drodzy! - powiedział surowo wujaszek Hiacyntus.

- Jeżeli jeszcze raz mi przerwiecie, to się naprawdę pogniewam! Może trochę szacunku dla mojej siwej głowy?

- Przepraszamy... - wybąkali wszyscy zainteresowani.

- Najpierw to względem Żydów chciałbym zauważyć - podjął temat weteran - że ładnie byśmy w dwudziestym roku wyglądali, gdyby pan Naczelnik oglądał się na to, skąd jego żołnierze przychodzą, kto z nich jest Polak, a kto nie całkiem, i który ma prawo ojczyzny bronić, a kogo z góry, nie patrząc na jego intencje, za wroga uznać trzeba i siłą wepchnąć w ramiona bolszewików. Wtedy klęska byłaby pewna! Stąd też taka polityka jak wasza, moi panowie narodowcy, która dla jakiejś wydumanej ideologicznej chimery dzieli naród, zamiast go jednoczyć, wprowadza właśnie i rozdziewiki, wynajduje nierealnych wrogów, w niczym Polski nie wzmocni, a wręcz przeciwnie, osłabiacie naród jak choroba, którą zaraz wam tu zdiagnozuję. Mówiliście coś o zdrowiu społecznej tkanki narodu?

- Owszem - potwierdził porucznik Garczyński.

- Przez was ta tkanka się wynaturza i rakowacieje. To, co za waszą sprawą rośnie na poznańskim gruncie, to jest rak, a nie żaden nowoczesny naród! Nowotworowy przerost polskości! I nie daj Bóg, aby to dzieło pana Dmowskiego dało przerzuty do innych dzielnic kraju! Bo żadnej wielkiej Polski z tego nie będzie na pewno. Przeciwnie, śmiertelnie chorą ojczyznę sąsiedzi znów rozerwą na strzępy.

Słowa te zrobiły takie wrażenie, że przez dłużą chwilę nikt nie wydobył z siebie głosu. Potem koledzy wujaszka Hiacyntusa popatrzyli na siebie i w zadumie pokiwali głowami. Michał bezgłośnie dał brawo weteranowi. Na ten widok endecy zbledli, ale wciąż jeszcze nie wiedzieli, jak zareagować.

- Według mnie - odezwał się Jerzy, próbując rozluźnić nastrój - w dorobku pana prezesa Dmowskiego znajduje się jedno zdanie, z którym wszyscy Polacy powinni się zgodzić bez zastrzeżeń.

- Tak? Jakie?! - przyszedł mu sukurs Karolek.

- „Kobiety w Paryżu okropnie są drogie”. To było w liście do Żeromskiego.

- Panowie podchorążowie, myślę, że na nas już czas! - wstrząśnięty Garczyński poderwał się od stołu. - Proszę przekazać paniom nasze podziękowania za znakomity obiad.

- Pan Karol, jeśli chce, może oczywiście jeszcze zostać z narzeczoną - powiedział Michał.

- Dziękuję, zostanę.

- Proszę bardzo, panie Karolu. A pan podchorąży? - porucznik zwrócił się do Smolińskiego.

- Idę z panem!

Michał i Jerzy wyszli odprowadzić ich do przedpokoju. Tam Drwęcki usłyszał, jak rudzielec szepcze do porucznika:

- Chyba jednak kolega Giertych ma rację, że to Prusacy zorganizowali powstanie styczniowe, żeby nas zniszczyć jako naród...

Po wyjściu urażonych endeków dyskusja ustała. Karol i Jadwiga usiedli w jej pokoju, trzymając się za ręce, przy czym babcia Irena nie pozwoliła im zamknąć drzwi. Weterani pograżyli się w kombatanckich wspominkach, a Michał z obowiązku gospodarza dotrzymywał im towarzystwa. Jerzy zastanawiał się właśnie, czy wypić z żoną popołudniową kawę, czy przez grzeczność kolejny raz wysłuchać analizy taktycznej bitwy pod Grochowiskami, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrała Lunia.

- Panie Jerzy, proszą pana z Warszawy - oznajmiła po chwili.

Drwęcki podszedł szybko.

- Czołem, szefie! - usłyszał wesoły głos Księżyka. - Mam dla pana całe dwadzieścia groszy!

- Znaczy?

- Kazał pan szukać bilonu - przypomniał podkomisarz. - I jest! Na powiększeniu zdjęcia, pomiędzy kawałkami spalenizny, pokazała się dwudziestogroszówka. Trochę przypalona i nadtopiona, ale ujdzie. Leży na odpowiednim poziomie głębokości obrazu, na pewno więc była w spodniach ofiary. Chociaż raczej w przeciwnej kieszeni niż klucze.

- A nie leżała już wcześniej na posadzce?

- Nie, szefie. Widać wyraźnie, że moneta leży na resztkach zwęglonej tkaniny. Spadła w trakcie zdarzenia.

- A klamra od pasa denata? - zagadnął Jerzy.

- Ustaliłem, że Czerwoncki nosił klamrę z szylkretu. Spaliła się. Od biedy można dopatrzeć się jej kształtów w tych zwęglonych resztkach, ale to się nie nadaje na dowód.

- Dobra robota, Księżyk! Wyślijcie to wszystko jak najszybciej do Poznania na nazwisko Mieczysław Hrabyk, sędzia śledczy.

- Zrobi się, szefie! Mogę o coś zapytać?

- Pytajcie.

- Co szef właściwie robi w tym Poznaniu?

- Jestem kustoszem muzealnym.

13. Strzępy Stówek

Nadesłane z Warszawy zdjęcia leżały rozłożone w wachlarz na biurku sędziego śledczego. Hrabyk przyjrzał się im kolejny raz, z rezygnacją pokiwał głową, po czym podniósł ciężki wzrok na Drwęckiego

- Zatem udowodnił pan, panie nadkomisarzu - podsumował zde gustowany - że prawdziwy warszawiak robi to wszędzie, byle z kobietą.

- W pociągu, na drągu, w przeciagu... - Jerzy miał świetny humor. Nie była mu go w stanie popsuć nawet świadomość faktu, że na miejscu zdarzenia nie było i nie mogło być żadnej kobiety. Najprawdopodobniej zabójców było dwoje, ale to nie stanowiło problemu na teraz. Ważniejsze, że sędzia śledczy wydawał się wyraźnie pogodzony z myślą, że trzeba będzie porzucić wątek spiskowy.

- Przyszaję, że wolałbym, aby tło tej sprawy nie było aż tak niesmaczne obyczajowo - powiedział Hrabyk. - Nie, żeby w Poznaniu żyły same anioły, ale mimo wszystko u nas występki bywają bardziej konwencjonalne... - machnął ręką. - Lecz cóż, nie mogę udawać, że mnie pan nie przekonał. Proszę wobec tego prowadzić dalej swoje dochodzenie w środowiskach artystycznych. Jeszcze dziś otrzyma pan wszelkie niezbędne pełnomocnictwa. Zadania związane z zabezpieczeniem dzieł sztuki przejmie od pana kto inny.

- Dziękuję, panie sędzio.

- Jednak najciekawsze pozwoliłem sobie zachować na koniec. Teraz ja pana zaskoczę, panie nadkomisarzu Drwęcki. Otóż Maciej Laszczak, ten elektrotechnik z zajezdni na Gajowej, rzeczywiście jest niemieckim szpiegiem. Wydział drugi nie musiał długo szukać... - Hrabyk wyjął z szuflady raport. - Zwerbowany przez Niemców w 1915 roku, zaraz po zajęciu Warszawy. Początkowo jako zwykły konfident. Ma na sumieniu czterech zadenuncjowanych i rozstrzelanych członków POW. Powinien za to wisieć, ale w osiemnastym roku, w zamian za życie, zręcznie pohandlował niemieckimi dokumentami, które wykradł w zamieszaniu, jakie zapanowało w Warszawie po wybuchu niemieckiej rewolucji i podczas rozbrajania Niemców. Były tam cenne dla nas podówczas informacje, Laszczak więc awansował na szpiega podwójnego. Rozpracowywał kontakty bolszewików z niemieckimi komunistami, potem bolszewicką agenturę sabotażową w Warszawie. Tak doszedł do rangi prowokatora. Oficjalnie zatrudniony w warszawskich tramwajach. Najpierw zajezdnia na Woli, potem, od

1923 roku, na Pradze przy Kawęczyńskiej. Jego specjalność to podżeganie do wypadków przy pracy. Jeden sprowokował tak skutecznie, że się udał, zginął młody robotnik...

- Roman Kiełcewicz?

- Zgadza się. Wydział drugi zatuszował sprawę.

- Nie do końca - Drwęckiego opuścił dobry humor. - Jego ojciec, stary policjant, do końca życia starał się wytropić zabójcę syna.

- Co się z nim stało?

- Zginął na służbie, prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa Czerwonckiego. Natknął się na wątek aferowy sprawy na Kawęczyńskiej.

- Który okazał się sięgać tak wysoko - odpowiedział Hrabyk - że skutkiem tych powiązań trafił pan do Poznania, choć niektórzy życzyli sobie widzieć pana w miejscu znacznie mniej cywilizowanym. Tak, wiem. Też mam znajomych w stolicy. Swoją drogą, te warszawskie tramwaje to ciekawa instytucja - podsumował sarkastycznie. - Można się na nich nieźle przejechać...

- A jak w Poznaniu znalazł się Laszczak? - Drwęcki zmienił temat.

- Zdziwi się pan. Załatwiono mu przeniesienie w ramach wywiadowczego zabezpieczenia Powszechnej Wystawy Krajowej.

- Czyżby teraz znowu przesadził z prowokacją?

- W szpitalu wojskowym przy Cieszkowskiego zmarły dwie następne ofiary wypadku na placu Nowomiejskim - zakomunikował chłodno sędzia Hrabyk.

- Przykro mi, panie sędzio. Zatem Laszczak jest winny czy nie?

- Niemcy wciąż uważają go za swojego człowieka, który na dodatek wkradł się w łaski naszego wywiadu. Nie zdziwiłbym się, gdyby to samo zdanie miało na jego temat sowieckie OGPU i francuska Svreté. Jeśli na Marsie jest życie, Laszczak może pracować również dla nich. To całkowicie bezideowy łajdak, dla którego nie ma nic świętego. Niemniej ludzie z dwójki go potrzebują, razem więc z powyższymi informacjami dano mi grzecznie do zrozumienia, aby policja kryminalna nie mieszała się w gry operacyjne wojskowego wywiadu.

- Zamykać Laszczaka nie musimy, ale mieć go na oku nie zaszkodzi - zauważył Drwęcki. - Trzeba by sprawdzić jego alibi na czas zabójstwa Czerwonckiego.

- To już zbadał na moją prośbę podkomisarz Księżyk - odparł Hrabyk. - Dostałem wiadomość tuż przed pana przyjściem. Laszczak nie ma alibi w tym sensie, że nikt go nigdzie nie widział. Jednak wasz świadek, Żurek, który zna Laszczaka, jest pewien, że to nie jego widział w krytycznym momencie wchodzącego do budynku podstacji. Jest jeszcze coś.

Pewnie Witkowiak nie zdążył panu powiedzieć. W szufladzie warsztatu Laszczaka znalazł kawałek srebrnego drutu. Taki sam jak w wykolejonym tramwaju. Niecałe trzy centymetry, równie dobrze więc można go było tam zostawić przez nieuwagę, jak

AL i A i niepostrzeżenie podrzucić... Dlatego jeszcze nie pytaliśmy, skąd go miał.

- Chwileczkę, panie sędzio! - powstrzyma! go Drwęcki. - Czy z tego, co pan mówi, wynika, że sprawa na Kawęczyńskiej została oficjalnie wznowiona?

- Owszem - skinął głową Hrabyk. - Bezpieczeństwo Pewuki to priorytetowa sprawa wagi państwowej, pańscy wysoko postawieni wrogowie zostali więc poproszeni o rezygnację z prywatnych porachunków. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, kto kogo i jak prosił, podejrzewam, że moje sumienie i kariera mogłyby od tej wiedzy ucierpieć, ale w każdym razie pańskie wygnanie się skończyło. Teraz robi pan w Poznaniu dokładnie to, co napisano w pańskiej oficjalnej delegacji. Dziwię się tylko, że dowiaduje się pan tego od mnie. Pańscy wpływowi znajomi jeszcze nie zadzwonili z tą dobrą wiadomością?

- Widocznie chcieli mi zrobić niespodziankę - odparł wymijająco Jerzy. - Może skupmy się na śledztwie. Jak mogło dojść do sabotażu i uszkodzenia regulatora prędkości?

- Niestety, zbyt łatwo - westchnął Hrabyk. - Nikt nic nie podejrzewał, więc po modernizacji ten tramwaj stał w hali remontowej przez cały wieczór i noc. Praktycznie niepilnowany. Dużo ludzi pracuje teraz po godzinach lub przychodzi do pracy wcześniej. Przed Pewuką mamy mnóstwo remontów taboru. Zdaniem fachowców usunięcie opornika i zastąpienie go zwornikiem ze srebrnego drutu to kwestia dziesięciu minut. Doświadczonemu elektrotechnikowi, takiemu jak Laszczak, wystarczyłoby trzy. Oczywiście, nikt nie zwrócił uwagi na pracownika zajezdni, w służbowym kombinezonie, dłubiącego coś w skrzynce rozdzielczej wozu. Każdy pilnował swojej roboty i każdy mógł zrobić sobie małą przerwę na sabotaż. Słowem, jeśli nie Laszczak, to mamy siedmiuset podejrzanych. Do tego trzeba by dodać jeszcze sto kilkadziesiąt kobiet, konduktorek i kandydatek na konduktorki, które mają pracować przy Pewuce. To przeważnie krewne pracowników zajezdni, które starają się lepiej poznać tramwajarski fach, żeby wiosną, kiedy zacznie się właściwy werbunek, dobrze wypaść podczas starań o pracę. Kręciły się ich po zajezdniach bez mała całe wycieczki, wprowadzane na zakład przez ojców czy braci. Istny pasaż Apollo! Teraz te wizytacje zostały ukrócone, ale to musztarda po obiedzie. Portierzy na bramach starali się spisywać wszystkich wchodzących, jednak nie dadzą głowy, czy ktoś się nie przemknął. Ma pan na to jakiś pomysł nadkomisarzu?

- Drut z czystego srebra, grubości trzy i pół milimetra... - zastanowił się głośno Drwęcki. - Używa się go na zajezdni?

- Nie, bo jest za drogi. Tylko przewody miedziane. Ze srebra są jedynie końcówki różnego typu styczników i przekaźników. Taki drut widziano, tam po raz pierwszy.

- O ile wiem, to jest półprodukt do wyrobu biżuterii. Można go kupić w sklepach zaopatrujących warsztaty jubilerskie. Nie ma takich wiele. Może z dziesięć w Warszawie i Poznaniu razem.

- Sprawdzimy - skinął głową Hrabyk.

- Jeżeli ktoś wrabia Laszczaka, to jest osoba, która przyjechała za nim z Warszawy i doskonale zna tramwajarskie realia. Niewykluczone, że się znają. Dobrze byłoby go wziąć na spytki!

- Wydział drugi - przypomniał Hrabyk.

- Choćby nieoficjalnie.

- Dobrze, ale muszę tę sprawę z nimi skonsultować. Jeżeli Laszczak ma być przynętą lub prowokatorem, to policja nie może wciąż się przy nim kręcić. Bardzo na to nalegali. Na razie proszę znaleźć sposób, by zredukować liczbę podejrzanych tramwajarzy i niedoszłych konduktorek. Witkowiak wyeliminował wstępnie ponad trzysta osób. Proszę to z nim omówić i zastanowić się, jak sprawdzić pozostałe pięćset.

- Mamy to robić tylko we dwóch? - zdumiał się Jerzy.

- Jeżeli będzie potrzeba, przydzielę wam do pomocy jeszcze ze trzech młodych policjantów, ale na więcej nie liczcie. U nas, w komendzie, też młyn przed Pewuką. Staramy się w miarę możliwości pokończyć stare sprawy i utrzymać półświatek pod kontrolą. Tymczasem cała warszawsko-lwowska szkoła doliniarzy wybiera się do Poznania na gościnne występy. Podobno także kasiarze planują u nas ogólnopolską konferencję i wymianę doświadczeń, a wszystkiego pewnie jeszcze nie wiemy.

- Rzeczpospolita pokaże światu to, co ma najlepszego... - uśmiechnął się Drwęcki.

- Niech pan już idzie, panie nadkomisarzu, bo zaraz zacznę żałować, że to jednak Warszawa nie jest gospodarzem Powszechnej Wystawy Krajowej!

Niebawem Drwęcki pożałował, że skończyła się jego przygoda z dziełami sztuki współczesnej. Następne trzy dni wypełniła mu mozolna i niewdzięczna dłubanina śledcza, która dość, że nie przyniosła żadnych sensownych rezultatów, to jeszcze rozmnożyła zagadki. Sprawdzając krok po kroku alibi kilkuset osób, zmniejszyli liczbę podejrzanych do pięćdziesięciu dwóch, ale nie było gwarancji, czy ta droga ma jakikolwiek sens. Coraz bardziej prawdopodobne wydawało się, że sprawca albo posługuje się fałszywymi dokumentami, albo przedostał się na teren zajezdni niepostrzeżenie.

Drugiego dnia wydawało się im, że chwycili trop. Na teren zajezdni przy Gajowej

weszła młoda kobieta, kolejna kandydatka na przyszłą konduktorę, podając fałszywy adres zamieszkania - ulicę Siemiradzkiego 12, róg Kossaka. Witkowiak szybko skojarzył, że nie ma tam żadnego domu, tylko pusta parcela. Niestety, portier przy bramie nie zapamiętał niczego, a pracownik, który wprowadził dziewczynę na teren zakładu, podał cudzy numer służbowy, zmyślane nazwisko i podpisał się nieczytelnym gryzmołem. Ustalenie tych faktów zajęło im cały trzeci dzień, który zakończyli w nastroju dużego rozczarowania.

Do kompletu Jadzia zerwała z Karolem.

Kiedy Michał dowiedział się o tym po powrocie do domu, zażądał trucizny i oświadczył, że własnoręcznie, natychmiast napoi nią siostrę.

- Tej, po coś ty, salacho jedna, robiła tyle zamętu?! - wydarł się na dziewczynę, jak zwykle w nerwach przechodząc na gwarę.

- Nie mogłam inaczej! - Jadzia przezornie schowała się za Lunię. - Pan Jerzy powie mojemu bratu!

- Niby co mam powiedzieć, panno Jadziu? - zdumiał się Drwęcki, odchodząc od wieszaka z ubraniami.

- Że pan doktor Żeleński wielkim poetą jest! Przecież pan Jerzy go zna!

- Co ma do tego wszystkiego doktor Żeleński?! - gorączkował się Michał.

- Poszłam dzisiaj po szkole do cukierni z Karolem i jego kolegami - wyjaśniła Jadzia.

- W czasie rozmowy wspomniałam coś o Słówkach, a wtedy ten rudy Rafał zawołał, że Boya trzeba by rozstrzelać za deprawowanie narodu! Albo co najmniej obić...

- To panna Jadwiga nie wie, że w domu powieszzonego nie rozmawia się o sznurze, a z endekami o wolnej miłości i Boyu - - Żeleńskim? - spytał Drwęcki.

- Ale jak można nie lubić piosenek pana Boya?! - obruszyła się Jadzia. - Przecież one są takie śmieszne...

- Nieprzyzwoite - oświadczył surowo Michał. - Myślałem, że po zaręczynach trochę spoważniejesz.

- Tak jak pani Marysia i pan Fedorczyk? - spytała podchwytliwie Jadzia.

Starszy brat zaniemówił, a Drwęcki też zmilczał przezornie. Nie dalej jak wczoraj jego żona, Jadzia i wujaszek Hiacyntus, ku zgorszeniu starszych pań odśpiewali sobie w kuchni na głosy: „Gdy się człowiek robi starszy, wszystko w nim po trochu parszy... wieje!”.* Przy czym pani Drwęcka i panna Witkowiakówna, tuląc się do boków weterana, całkiem udatnie odegrały rolę miłosnych wspomnień sędziwego podmiotu lirycznego, który: „Z żalem rozważa w swej nędzy, Każde nicniebyłomiędzy... nami!”. Puenty zwrotek zawodzili żałościwie zbolalymi głosami, aż się Rataj nastroszył. Z kolei czerwona jak piwonია Lunia

wytrzymała do miejsca:

* cytowane fragmenty za: Tadeusz Boy-Żeleński, Słówka, Wydawnictwo Literackie. Kraków 1954.

Gdybyż, ach, snów wskrzeszona mara, Dziergana w rozkoszy ara... beski!

Gdybyż bodaj raz, ach, gdyby

Sycić swą CHUC jak sam Przyby... szewski!

Po czym w popłochu uciekła z kuchni. Nawet Michał, wbrew wszystkim paragrafom, regulaminom służby oraz zasadom katolicyzmu integralnego, uśmiechnął się na ten widok. Słowem, argument Jadzi był nad wyraz celny.

- Ale przecież Boy nie każdemu się podoba - spróbował replikować gospodarz. - Niektórych gorszy...

- Jak się nie podoba, można nie czytać - zgodziła się Jadzia. - Ale oni mówili tak, jakby panu doktorowi naprawdę jakąś krzywdę chcieli zrobić. A potem... - głos dziewczyny zdrzął z oburzenia - ten wredny rudzielec spojrział na mnie z góry i powiedział, że porządne polskie kobiety nie czytają Boya! I wiecie co Karol na to?!

- Ciekaw jestem... - mruknął Michał.

- Nic! Właśnie że nic! Najpierw Karol wcale mnie nie bronił, a potem, jak wyszliśmy z cukierni i odprowadzał mnie do domu, powiedział, że tak właściwie on się z kolegą Rafałem zgadza! - wybuchła dziewczyna. - Ze niby ja nieporządna jestem?! Że jako narzeczona Polka powinnam kierować się w życiu bardziej moralnymi zasadami... To rzuciłam mu w twarz tym zakichanym pierścionkiem! Niech sobie szuka tej prawdziwej narzeczonej Polki na końcu świata, na biegunie, a choćby i na Madagaskarze! Nienawidzę go! W ogóle nienawidzę mężczyzn! Nie pójdę za męż! - oświadczyła, a w oczach błysnęły jej łzy egzaltacji.

- A gdzie to mój aniołuszek pójdzie, jak nie za męż? - zainteresowała się rozbawiona Lunia.

- Zostanę wybitną matematyczką! - oznajmiła Jadzia ze śmiertelną powagą. - Jak pani Kowalewska!

- To dopiero będzie kabaret - skwitował Jerzy. - Wśród całek w czerwonych podwiązkach...

Wszyscy parsknęli śmiechem. Michał rechotał najgłośniejszym, bo miał najwięcej do odreagowania. Jadzia pobladła i zacięła wargi.

- Jutro z Karolem porozmawiam i jakoś to załagodzę - oznajmił jej brat, gdy zdołał złapać oddech.

- Ja mu nie wybaczę! - oświadczyła surowo Jadzia.

- Nie będziesz nic wybaczać, tylko go przeprosisz za swoje dziecinne zachowanie.

- Ja?! Ja mam przepraszać...? - zaperzyła się. - Nigdy!

- Wolisz, żeby mówili o tobie, że jesteś smarkata gęś, która nie wie, czego chce?

Zamiast spodziewanego wybuchu złości, w postawie i wyrazie twarzy Jadzi zaszła trudna do opisania, ale wyraźna zmiana.

- Jestem młodą kobietą, która oczekuje od swojego narzeczonego obrony w każdej sytuacji - powiedziała z godnością, tonem, jakiego nigdy dotąd nie słyszeli. - Nie wyjdę za mąż za mężczyznę, na którym nie mogę się oprzeć.

Powiedziawszy to, poszła do siebie, a Michał i Jerzy patrzyli tak, jakby zobaczyli ją pierwszy raz w życiu.

- Herr Gott! - Lunia aż się przeżegnała. - Zicher jakbym waszą nieboszczkę matkę słyszała! Jakby duch pani Eleonory przez naszego aniołyszka przemówił...

- Jadzia właśnie dorosła - podsumował Jerzy.

Michałowi opadła szczęka.

Telefon od Hrabyka poderwał ich z samego rana. Nie zdążyli zjeść śniadania. Zanim przyjechał samochód przysłany przez sędziego śledczego, Drwęcki i Witkowiak wypili tylko gorącą kawę. Lunia i babcia Irena w ekspresowym tempie zrobiły kanapki, które wcisnęły im do kieszeni płaszczy. Nie było wymówek, tylko całkowite zrozumienie sytuacji.

Mieli trupa.

Na Łazarzu, w kamienicy przy Siemiradzkiego 2. Blisko, ale musieli objechać teren budowy Pewuki i obszar rozciągającego się tuż obok parku Wilsona.

Kamienica, przed którą się zatrzymali, była wyższa od domu Michała o jedno piętro i co najmniej dwie mieszczańskie kasty, które Drwęcki ostatnio nauczył się rozpoznawać, patrząc na frontowe ściany realności jak na wojskowe szarże. Randze mieszkańców równie precyzyjnie i jednoznacznie, co liczba pasków i gwiazdek na pagonach, odpowiadał rozmiar nadokiennych wykuszy oraz bogactwo ich zdobień. Tutaj, by wesprzeć masywne ozdoby nad oknami, ze śniegu pokrywającego gzymsy wylaniały się prawdziwe, pełne kolumny, a nie tylko ich symboliczne, tynkowe imitacje. Na liście lokatorów należało zatem spodziewać się co najmniej jednego prezesa banku lub izby przemysłowo-handlowej oraz papieskiego szambelana. Profesorów - minimum trzech. W kosmopolitycznej i demokratycznie rozwichrzonej Warszawie te mieszczańskie dystynkcje nie były aż tak wyraźne.

Sędzia Hrabyk czekał na nich w bramie w towarzystwie trzech mundurowych. Jeden z policjantów oglądał akurat zamek kutej bramy, klnąc z cicha, bo zmrożony metal parzył mu palce. Było minus dwadzieścia pięć stopni.

- Witam panów! - zaczął, buchając z ust kłębem pary. - Ofiara to profesor Brunon Koziółkowski, starszy radca Kuratorium Szkolnego. Uprzedzając pańskie pytanie, nadkomisarzu: zmarły w zaciśniętej dłoni trzymał elektryczną perłę. Zastanowiła mnie również zbieżność z nazwą ulicy, którą podała wasza tajemnicza kandydatka na konduktorę. Dlatego pozwoliłem sobie panów wezwać.

- Jak zginął? - spytał Drwęcki.

- Od noża i elektryczności naraz. Lepiej, aby panowie zobaczyli to na własne oczy. Chodźmy na górę i proszę nie dotykać poręczy!

Mundurowi stali na wszystkich podestach. Lokatorów najwyraźniej zmuszono do korzystania ze schodów kuchennych. Stylowa poręcz schodów z kutego żelaza, poczynając od półpiętra nad parterem, była pokryta białym nalotem, miejscami jeszcze mokrym, przypominającym śluz ślimaka. Drwęcki nie spytał, co to jest, postanowił zaczekać na wyjaśnienia. Kiedy minęli pierwsze piętro, usłyszeli stłumiony kobiecy płacz.

Ciało profesora leżało na schodach, twarzą do dołu, tuż przy podeście drugiego piętra. Było nienaturalnie skurczone, przyciśnięte do balustrady. Nad zwłokami pochylał się lekarz w białym kitlu. Obok krzątał się technik kryminalistyki, szukający odcisków palców. Na schodach leżały melonik, laska oraz szalik ofiary, częściowo wciśnięty w kapelusz. Zmarły w ostatnich chwilach przed śmiercią musiał czuć się bezpiecznie i właśnie zaczynał się rozbierać.

- Zginął pod drzwiami własnego mieszkania - poinformował Hrabyk, wskazując otwarte drzwi, zza których dobiegał płacz. - Najprawdopodobniej wieczorem około jedenastej. Całkowicie zeszywniałe zwłoki znaleziono dopiero przed siódmą rano.

- Czemu tak późno? - zdziwił się Drwęcki.

- Służba nie korzysta z tej klatki schodowej. Ofiarę znaleźli dopiero lokatorzy wychodzący do pracy na wpół do ósmej. Ale proszę spojrzeć na to... - sędzia śledczy wskazał lampę oświetlającą podest.

Żarówka nie było. Zamiast niej w oprawkę wkręcono tak zwaną złodziejkę, z której wychodziły dwa przewody. Jeden biegł nisko, po podłodze, i przytwierdzony był do żelaznej balustrady. Drugi kabel prowadził do leżącego na podeście, zakrwawionego noża o rękojeści owiniętej grubo parcianą taśmą izolacyjną.

- Co to jest, u licha?! - zdumiał się Witkowiak.

- Dobrze przemyślana metoda na to, aby umierająca ofiara nie zdołała wydać z siebie głosu - odezwał się lekarz. - W chwili gdy zadano pierwszy cios, denat opierał lewą dłoń o poręcz, a w prawym ręku trzymał swoje rzeczy. Gdy tylko ostrze przebiło ubranie, nastąpiło

porażenie prądem, które zatrzymało pracę serca i jednocześnie nastąpił skurcz mięśni, tak że nieszczęśnik nie zdołał oderwać ręki od poręczy. Podejrzewam, że umarł już wtedy. Mimo to pchnięto go jeszcze sześciokrotnie, z tego trzy razy w plecy, po tym jak osunął się na kolana. Kiedy znaleziono ciało, palce lewej ręki były nadal zaciśnięte na balustradzie, oderwano je, próbując udzielić pomocy. Poza tym proszę spojrzeć na czoło...

- Jest bardzo zimno - przerwał mu Drwęcki. - Denat powinien mieć na dłoniach rękawiczki.

- I ma je nadal, proszę spojrzeć, panie...

- Nadkomisarz Drwęcki.

- Doktor Szpringer, miło mi, na ile to możliwe w tych okolicznościach. - Lekarz przyklęknął przy zeszywniałych zwłokach i z pomocą jednego z mundurowych uniósł je na tyle, by można było zobaczyć podkurczone przy piersiach ręce.

Nieboszczyk miał rękawiczki, bardzo eleganckie, z zamszowej skóry.

- Więc jak poraził go prąd? - zdumiał się Jerzy.

- Odpowiedź znajduje się na poręczy schodów, panie nadkomisarzu - powiedział Hrabyk.

- Sądząc po smaku i zapachu, to chyba pasta kalomelowa - odezwał się technik kryminalny. - Dobrze przewodzi prąd, a sprawca starannie pokrył nią poręcz. Ofiara, zanim tu doszła, opierając się lewą ręką o poręcz i przesuwając ją w miarę wchodzenia, wtarła sobie w rękawiczkę dość chlorku rtęci, aby zniknęły izolujące własności zwierzęcej skóry. Z tego samego powodu na nic zdała się również mahoniowa wykładzina na wierzchu balustrady.

- Sprawca wszystko precyzyjnie przygotował - stwierdził Hrabyk. - Musiał wiedzieć, że inni lokatorzy są w swoich mieszkaniach od wpół do dziesiątej wieczór, a służba korzysta z odrębnych schodów, więc wbrew pozorom jest to doskonałe miejsce na zasadzkę. Po wykręceniu żarówek tutaj i piętro niżej zabójca mógł długo, bez obawy dekonspiracji, czekać w ciemnościach na ofiarę, wracającą ze służbowego zebrania połączonego z kolacją. Skoro zaś czuł się tak pewnie, to znaczy, że musiał wcześniej obserwować ten dom i profesora Koziółkowskiego.

- Czyżby lubił zabijać elektrycznością? - myślał głośno Michał.

- Sądzę raczej, panie komisarzu, że sprawca jest osobą wątłą fizycznie - odezwał się lekarz. - Silny mężczyzna bez trudu jedną ręką przydusiłby ofiarę, a drugą zadawał ciosy. Sprawca wolał jednak nie ryzykować walki nawet ze starszym człowiekiem. Całkiem prawdopodobne zatem, że zabójcą jest kobieta.

- Konduktorka... - mruknął zamyślony Witkowiak.

- Czy pasty kalomelowej używa się w zajezdniach tramwajowych? - spytał Drwęcki.

Sędzia śledczy spojrział pytająco na Witkowiaka.

- Tak, i to często - odparł komisarz. - Na przykład do smarowania styków akumulatorów, żeby uzyskać lepsze przewodzenie.

- A jak zabójca zdołał dostać się tu z ulicy? - kontynuował Jerzy.

- Późnym wieczorem ktoś kawałkami gwoździ zablokował zamek w bramie - odparł Hrabyk. - Dozorca spostrzegł to dopiero o dziesiątej, kiedy wyszedł ją zamknąć na noc. Ponieważ było późno, ciemno i zimno, zrezygnował z natychmiastowej naprawy, odkładając to do rana. Uznał, że przez jedną noc nic się nie stanie. Teraz straci za to posadę i wróci tam, skąd przyszedł... Jednak pan, nadkomisarzu, chyba przeoczył rzecz dla pana najciekawszą. Dobrze przyjrzał się pan ciału?

Drwęcki poczuł, że się rumieni. Znow podświadomość spletała mu profesjonalnego figla, sprawiając, że zbyt szybko odwrócił wzrok od trupa. Darował sobie jednak wszelkie tłumaczenia.

- Na czole ofiary wycięto pentagram - oznajmił lekarz. - Proszę podejść bliżej, panie Drwęski - zwrócił się do Jerzego. - Nie mogę odchylić głowy z powodu stężenia pośmiertnego...

Drwęcki nie zareagował na przekręcenie nazwiska i przyklęknął przy zwłokach. Pięcioramienną gwiazdę próbowano zrobić jednym cięciem noża, ale sprawca nie był na tyle zręczny. Ostrze obsuwało się i nie wszędzie przecięło skórę. Mimo to rysunek był wystarczająco czytelny.

- A w dłoni denat miał elektryczną perłę? - upewnił się jeszcze nadkomisarz.

Lekarz bez słowa podał mu artefakt. Perła była taka jak jego.

- Czy zabity miał coś wspólnego ze Stanisławem Przybyszewskim? - zapytał Drwęcki, wstając.

- O, tak - zapewnił Hrabyk. - To ogólnie znana historia. Szczególnie w bliskich panu kręgach artystycznych.

- To znaczy?

- Profesor Koziolkowski razem z kilkoma innymi wpływowymi osobami utracił kandydaturę Przybyszewskiego, kiedy ten zaraz po wojnie starał się objąć kierownictwo jednego z naszych teatrów, bodajże Polskiego. Powodem były agitacyjne broszury, które pan artysta w czasie wojny pisywał dla Niemców.

- Pisał je, by mieć z czego żyć - odparł Drwęcki, przypominając sobie, co na ten temat mówił Boy w Ziemiańskiej.

- My, tu, w Poznaniu, zwykliśmy gardzić niemieckimi sprzedawczykami - odparł zimno Hrabyk. - Przybyszewski mógł sobie pisać, co chciał, ale wara mu od stanowisk w poważnych instytucjach kulturalnych. Byłaby to zniewaga dla pokoleń naszych wielkopolskich patriotów, którzy nie sprzedawali duszy za miskę pruskiej zupy! Powinien się cieszyć, że w ogóle dostał szansę poprawy i pracy w służbie ojczyzny.

- Widzę, że pan sędzia nie lubi Przybyszewskiego?

- O takich zmarłych wypada milczeć, ale skoro pan pyta, odpowiem. Szczerze nim gardzę, panie nadkomisarzu. Z wierzchu artysta z gębą pełną frazesów o sztuce dla sztuki, pod spodem sprzedajny błazen i kabotyn bez zasad. Świętej pamięci profesor Koziółkowski - Hrabyk skłonił głowę, spoglądając na zwłoki - razem z innymi godnymi szacunku obywatelami naszego miasta pokazali panu Przybyszewskiemu, gdzie jest jego właściwe miejsce. Nie na kulturalnym świeczniku, lecz za okienkiem na poczie. I nikt nie może im zarzucić, że skazali wielkiego artystę na nędzę i brak środków do życia.

- Trzeba by ostrzec pozostałych - wtrącił Witkowiak.

- O ile mi wiadomo, pan profesor był ostatnim żyjącym z tego zacnego grona - stwierdził sędzia już spokojniejszym głosem.

- Zatem mamy motyw zemsty i wyraźne przesłanie pod adresem żyjących przyjaciół i współpracowników Przybyszewskiego - stwierdził Drwęcki. - Oto jest ktoś, kto pomścił zniewagę uczynioną wielkiemu prorokowi modernizmu.

- Powinniśmy lepiej przyjrzeć się zajezdni na Gajowej - Hrabyk nie zareagował na prowokację.

- Za pozwoleniem, panie sędzio! - odezwał się technik, który od dłuższej chwili przysłuchiwał się wymianie uwag, wyraźnie chcąc coś powiedzieć.

- Tak, słucham.

- Znalazłem na podłodze to... - technik podał mu przedmiot, przypominający mały śrubokręt z czarym, bakelitowym uchwytem.

- Co to? - spytał Hrabyk, obracając narzędzie w palcach.

- Co tam jest w środku?

- Lampka z gazem neonowym, panie sędzio. To jest próbnik napięcia. Zaczyna świecić, kiedy metalową końcówką dotyka się przewodu pod napięciem, a palcem tego styku na końcu rączki. Zabójca nie przypadkiem podłączył fazę do noża, a przewód zerowy do poręczy schodów. Gdyby było odwrotnie, ofiara mogłaby wcześniej otrzymać niegroźny wstrząs elektryczny, który zniechęciłby ją do dotykania poręczy. Dzięki temu urządzeniu sprawca mógł dokładnie rozróżnić, który przewód jest który. Ale proszę spojrzeć tu, na

obudowę...

- PKE - odczytał sędzia. - Poznańskie Koleje Elektryczne!

- Każdy monter elektryk używa czegoś takiego - dodał technik. - Służbowy sprzęt, panie sędzio, a panowie wspominali o bimbach...

- Laszczak! - wykrzyknęli jednocześnie Michał i Jerzy.

- Panowie, proszę ze mną do samochodu! - rozkazał Hrabyk.

- A pan, doktorze - dodał na odchodne - może już zabierać ciało. mmm

Wszyscy trzej pospiesznie zbiegli na dół.

- Na Gajową! - poleci! kierowcy podekscytowany Witkowiak.

- Nie - powstrzyma! go Hrabyk. - Za wcześnie na to.

- Powinniśmy jak najszybciej przesłuchać Laszczaka - stwierdził stanowczo Jerzy. - Dowody co prawda nie wskazują wprost na niego, ale on musi znać sprawcę, może nawet całkiem dobrze.

- Raczej sprawczynię - poprawił go Michał.

- Najpierw muszę odbyć męską rozmowę z mocodawcami Laszczaka - odparł sędzia śledczy. - Obiecałem im, że nie będziemy mieszać się w ich wywiadowczą robotę, muszę więc uzgodnić warunki przesłuchania. Nalegali, by więcej nie nachodzić Laszczaka w zajezdni. Ja się tym zajmę, a panowie zaczekacie na wiadomość ode mnie. Wolicie czekać w komendzie czy w domu?

Witkowiak i Drwęcki popatrzyli na siebie z namysłem.

- Zdaje się, że nie pozwoliłem panom zjeść dzisiaj śniadania, zatem dom - zdecydował za nich Hrabyk. - Najpierw jedziemy na Szwajcarską! - polecił kierowcy.

Pod domem spotkali wujaszka Hiacyntusa w mundurze powstańca styczniowego z czarną krepą na ramieniu. Staruszek wychodził właśnie na pogrzeb kolegi weterana Oskara Calliera, potomka francuskich hugenotów, autora słowników polsko - - francuskich i prezesa poznańskiego Towarzystwa Uczestników Powstania 1863 roku, zmarłego przed dwoma dniami, czyli dwudziestego trzeciego lutego. Sędzia śledczy natychmiast zobowiązał się podwieźć weterana do kościoła garnizonowego przy placu Działowym.

Na górze zaś Jadzia tonęła we łzach. Nie poszła do szkoły, bowiem konsylium w osobach Luni i babci Ireny orzekło, że dziewczyna powinna się dobrze wypłakać, gdyż to najlepiej robi na kłopoty sercowe. Przez noc z panny Jadwigi wyparowały całkiem duma i gniew, a pozostało tylko złamane serce. Rano w ogóle nie wstała z łóżka. Starsze panie nosiły jej do pokoju mleko i czekoladki, i z miejsca spacyfikowały Michała, surowo zabraniając mu robić siostrze jakiegokolwiek wymówki. Zaraz potem komisarz Witkowiak został zapędzony do

biurka i zmuszony do poświadczenia nieprawdy, czyli napisania usprawiedliwienia do szkoły, że Jadzia jest cierpiąca na żołądek. Michał próbował się powoływać na swój integralny katolicyzm, ale to było nic w porównaniu z integralnością obu niewiast, które oświadczyły, że żaden smarkaty kawaler nie będzie ich uczył zasad świętej wiary rzymskokatolickiej! Zresztą Jadzia nie miała ochoty na śniadanie. Po pięciu minutach takiej perswazji pierwszy moralny kompromis w życiu Michała stał się faktem dokonany.

Drwęcki zajął do żony. Marysia dopiero co się obudziła. Leżała zarumieniona, emanując ciepłem i kobiecością. Jerzy usiadł na łóżku i wziął ją za rękę.

- Jaka ty jesteś piękna! - powiedział, patrząc na nią z zachwytem.

- Dzidziuś mnie obudził - uśmiechnęła się - tak mocno kopie. Dotknij... - pociągnęła jego dłoń pod kołdrę.

- Rzeczywiście, mocno... - Wspomnienie niedawnego widoku śmierci rozpląnęło się gdzieś w niebycie. Coś ścisnęło Jerzego za gardło.

- Wiesz, słyszałam wczoraj tutejszą fraszkę - szepnęła.

- Jaką?

- „Wiarę mu dała, miłość mu dała i przy nadziei sama została...”

- Uważasz, że jestem aż takim draniem? - puścił oko.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że nie boję się zostać sama.

- Czemu mi to mówisz? - spoważniał.

- Miałam niedobry sen. Nie pamiętam go, ale wiem, że był niedobry i dotyczył ciebie.

- Ależ, kochanie... - pocałował jej dłoń.

- Nie boję się. Chcę, żebyś to wiedział. Co to był za rwetes? - zmieniła temat i spojrzała na drzwi pokoju.

- Jadzia cierpi z miłości, a Michał z powodu upadku moralnego, bo jego wzniosły neotomizm właśnie dotknął ziemi... - rozbawiony Jerzy opowiedział, co zaszło.

- Wobec tego teraz moja kolej, żeby trochę popocieszać Jadzię. Daj mi szlafrok. Ty pewnie już jadłeś śniadanie?

- Nie. Możemy zjeść razem.

Siedzieli w kuchni aż do popołudnia. Najpierw zjedli pierwsze śniadanie, potem drugie. Właściwie to pojadali przez cały czas, rozmawiając z sobą i drocząc się z babcią Ireną, która utrzymywała, że Marysię przed rozwiązaniem trzeba lepiej od - karmić, bo jest stanowczo za chuda i może jej zabraknąć pokarmu dla dziecka. W związku z tym staruszka cały czas podsuwała wnuczce jakieś frykasy, których i mąż musiał koniecznie spróbować. Mimochodem Drwęcki starał się przypomnieć sobie, kiedy to ostatni raz miał takie wolne

przedpołudnie? Pal licha trupa z samego rana! Czuję, że teraz naprawdę odpoczywa.

Przed godziną drugą, kiedy Lusia zabrała się za gotowanie obiadu, z podwórka doleciał śpiew. Właściwie nie tyle śpiew, co raczej deklamacja. W każdym razie już pierwsze wersy sprawiły, że Marysia i Jerzy z uwagą nadstawili uszu.

„Była sobie raz dziewczynka, A zwała się Ernestynka!”⁶ - zabrzmiało donośnie w studziennym podwórzu.

„Jeden miała smutek wielki, Bo ojciec robił serdelki” - głos wydał się Jerzemu znajomy.

„A przeciwnie, za to ona, Była bardzo wykształcona!” - Drwęcki poznał Karola i razem z obecnymi w kuchni paniami podszedł do okna.

Na podwórku stał porzucony narzeczony i starając się odzyskać względy panny Jadwigi, recytował publicznie zgniłą twórczość deprawatora narodu.

„Wciąż czytała, co się zmieści, Śliczne francuskie powieści”.

- Panno Jadziu, prosimy szybko do nas! - zawołała Marysia w głąb mieszkania. - Pan Karol przyszedł z przeprosinami!

„Mówili o niej bógwico, Ze jest tylko półdziewicą!” - deklamował bohatersko podchorąży Beyme.

- I on tak w mundurze?! - Zamiast Jadzi do kuchni wpadł oburzony Michał.

- Nie - odparł Jerzy - jest po cywilnemu.

- Bogu dzięki!

„Nie każda jest taka święta, żeby zaraz mieć bliźnięta!”

- A pójdiesz ty zboreźniku jeden! - krzyknęła na Karola jakaś kobieta. Jednak chłopak okazał się wart swojego Krzyża Walecznych.

„Raz ją ojciec przez to złapał, Bo jej narzeczony chrapał”.

- Stary Marcin jak nic zaraz da mu miotłą po łbie! - skwitował Witkowiak.

Dozorca faktycznie włączył się do dyskusji, ale zupełnie bez sensu. Głośno poinformował Karola, że zaraz zawiadomi policję...

„Straszny krzyk się zrobił w domu, Ze tak czynią po kryjomu!

Każdy wrzeszczał o czym innym, Jak zwykle w życiu rodzinnym!”

- Z tej mąki jednak będzie chleb! - orzekła fachowo babcia Irena.

W progu kuchni stanęła rozczochrana czerwonoooka strzyga w koszuli nocnej. Trzeba było dużej dozy wyobraźni, by poznać, że to Jadzia. Na zapuchniętej od płaczu twarzy dziewczyny malowały się szczęście i zachwyt, co w sumie dawało efekt zdecydowanie upiorny.

- Mój Boże, jak on panienkę kocha! - rozczuliła się Karolinka.

„Ojciec najgorsze wyrazy, Powtarzał po kilka razy!”

- Ja ci zaraz powtórzę! - wydarła się ta sama kobieta. - Nocnik na łeb wyleję!

Jadzia rzuciła się do lufcika.

- Pani Sobielakowa! Pani nie leje! Mój ci jest!!!

- Kocham cię, Jadziu! - wrzasnął podchorąży Beyme.

- Ja też ciebie kocham, Karolku!

- Zawrzyj ten luft aniołyszku, bo zapalenia płuc dostaniesz! - pogoniła dziewczynę Lunia. - A kawalera prosiemy na górę!

- Panna Jadzia biegnie się przebrać, bo wygląda jak dzikie straszdyło! - dodała babcia Irena. - Zaś pan Michał może już w kościele na zapowiedzi dawać...

- „W tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz!” - zaskoczył wszystkich poważny i stateczny komisarz Witkowiak.

Zadzwoił telefon.

Michał i Jerzy natychmiast ruszyli do przedpokoju. Odebrał gospodarz.

- Tak jest, panie sędzio - powiedział po dłuższej chwili i spojrzął na Drwęckiego. - Jedziemy! Zaraz będzie po nas samochód.

- Gdzie tym razem?

- Na Chwaliszewo. Mamy się spotkać z Laszczakiem w nowej magistrackiej kamienicy przy Ciasnej. Powinieneś wiedzieć, gdzie, bo ten twój Zegadłowicz tam mieszka.

- Ciekawe sąsiedztwo... - mruknął Drwęcki.

- Nic nadzwyczajnego. Jeden z należących do miasta lokali magistrat przekazał do dyspozycji wydziału drugiego - wyjaśnił Michał. - Reszta mieszkań jest dla przyjezdnych pracowników poznańskich instytucji. Mieszka tam też jedna aktorka z Warszawy, bodajże Wysocka. Pora na nas!

- Wróćcie na obiad? - spytała Marysia.

- Raczej nie, kochanie - odparł Jerzy.

Do mieszkania wpadł zdyszany Karol. Na widok Michała otworzył usta, ale nie zdołał dobyć głosu.

- Jadzia się ubiera - powiedział Witkowiak, mijając go w progu.

Na miejsce dotarli po dziesięciu minutach jazdy samochodem. Tym razem nie musieli nic objeżdżać. Przemknęli Górną Wildą, potem Wałami Jagiełły i Kazimierza Wielkiego, i niebawem znaleźli się przed wzniesionym niecałe trzy lata temu budynkiem. Styl architektury był nowoczesny, podobny do warszawskiej kamienicy Jerzego przy Bema, dlatego tym

razem po fasadzie nie dało się odczytać, jakie znakomitości zamieszkują tę realność.

Musieli wejść schodami na najwyższe piętro.

- Gdyby było trzeba tego Laszczaka przycisnąć - odezwał się Drwęcki - proponuję amerykańską zabawę w dobrego i złego policjanta...

- Ja będę tym dobrym - zastrzegł Michał.

Zgodnie ze starym żołnierskim nawykiem nie stanęli wprost przed wejściem do mieszkania, jak zwykli goście, ale odruchowo zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Drwęcki z prawej, Witkowiak z lewej. Dopiero po sekundzie zdali sobie sprawę z tego manewru i popatrzyli na siebie z uśmiechem.

- Dobra, osłaniaj... - zażartował Jerzy i nacisnął przycisk dzwonka.

Kula ognia wypchnęła z muru drzwi razem z framugami.

Jak w zwolnionym filmie, drzwi rozpadły się na pojedyncze deski, które gdzieś odleciały. Kula ognia wciąż rosła i rosła. Nie zmieściła się w dziurze po drzwiach i zaczęła wyłamywać otaczające ją ściany, jakby te były z tektury, nie z cegieł. Drwęcki zdziwił się, że nie słyszy huku. Tylko jakaś niewidoczna dłoń ścisnęła go i zmięła niczym kartkę papieru. Zdał sobie sprawę, że leci plecami na schody, ale nie potrafił się ruszyć, by upaść w sposób kontrolowany. Biernie tylko rejestrował wydarzenia. Przede wszystkim to porwany wybuchem ogromny kawał ceglaneanego muru zbliżał się ku niemu coraz szybciej i szybciej...

W pewnej chwili wszystko kompletnie się przemieszało. Błysk, ból, huk i znów ból, ogień, huk... Zakotłowało się w gwałtownym wirze. Ostatnia świadoma myśl była nedorzecznym cytatem z Boya: „Wciąż mężniej sobie poczywał, Aż łóżko wpadło w urnał”.

Wstrząs. Ciemność.

14. Fakty i wątpliwości

Zaszemrały jakieś glosy, wyjaśniało, lecz po sekundzie znów zapadła ciemność. Nagle wyłoniły się z niej białe kafelki. Drwęcki poczuł słodkawy zapach, znajomy, nim zdążył jednak go rozpoznać, ciemność zapadła po raz enty. Potem trochę się rozjaśniła i znów zgęstniała. Pojawił się ból, który zaraz odpłynął. Jerzy stwierdził, że pochłania go głęboki, bezmierny, nie - prześniony sen.

- Proszę pani, proszę unikać nadmiaru wzruszeń. Niech pani myśli o dziecku.

- Nie ja pierwsza i nie ostatnia - usłyszał ochryply obcy głos. - Jerzyk, słyszysz mnie?!

Otworzył oczy. Kobieta w czerni. Marysia? Zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widział jej w czerni. Ktoś umarł? Babcia? Wujaszek? Spostrzegł na sukni jaśniejsze aplikacje. Więc to chyba jednak nie żałoba...

- Siostro! Mój mąż odzyskał przytomność!

Pochyliła się nad nim zakonnica w rozłożystym koronie.

- Zawiadomię doktora - cofnęła się.

- Cco się... stało?

- Był wybuch gazu. Przysypał cię gruz - wyjaśniła rzeczowo, zupełnie bez emocji. - Jesteś w szpitalu sióstr szarytek przy placu Bernardyńskim. Najbliżej od miejsca wybuchu, dlatego tu was przywieźli.

- Michał?

- Jeszcze nie odzyskał przytomności, ale żyje. Jest przy nim narzeczona.

- Jestem zmęczony...

- Odpoczywaj, kochany.

Znów pociemniało.

- Jak się pan czuje? - Przy łóżku stanął doktor z krótką szpakowatą bródką.

- Boli, kiedy oddycham.

- Musi boleć, panie Drwęcki. Ma pan złamane pięć żeber i prawą kość udową, do tego zwichnięte prawe biodro. Ponadto wstrząs mózgu, wybity lewy bark, płuca i wątroba pokaleczone odłamkami żeber, Bogu dzięki, niezbyt głęboko. Krwotoki wewnętrzne już udało się nam opanować. Właściwie miał pan wielkie szczęście. Ta ściana, która pana przygniotła, mogła zmiażdżyć pana jak muchę lub co najmniej połamać kręgosłup. Zamiast tego osłoniła

pana przed ogniem i największym impetem wybuchu. Podobnie zresztą jak pańskiego kolegę.

- Co z nim?

- Konieczna była trepanacja czaszki. Pacjent Witkowiak wciąż nie odzyskał przytomności, ale nie tracimy nadziei. Dobrze, że nie stanęliście przed drzwiami, bo w żaden sposób nie zdołalibyśmy dojść, gdzie zaczyna się jeden, a kończy drugi...

Kiedy Drwęcki obudził się następnym razem, znów zobaczył przy łóżku Marysię w czerni. Dostojną i wyniosłą, bez śladu smutku na twarzy. Wyglądała tak, jakby zeszła z którejś z rycin Grotgera, przedstawiających czasy narodowej żałoby.

- Jesteś taka spokojna... - stwierdził zdumiony.

- Byłam gotowa - odpowiedziała, ściskając jego rękę. - Babcia mówiła zawsze: „Kochaj, póki możesz!”. Więc kochałam. Kochałam w każdej chwili, pamiętając, że to może być ten ostatni raz.

- A jednak dostaliśmy jeszcze dokładkę czasu...

Wtedy dumna żona Polka z narodowej ikony rozbeczała się wniebogłose.

- Lekarze mówią, że będzie pan znowu chodzić - sędzia Hrabyk przysunął sobie krzesło. - Ogromnie się cieszę!

- Ale najwcześniej za dwa miesiące... - westchnął ciężko Drwęcki.

- Proszę odpoczywać i zdrowieć, panie nadkomisarzu. Tę sprawę ma pan już szczęśliwie za sobą.

- Jak to?! Co się właściwie stało?

- W zrujnowanym mieszkaniu znaleźliśmy zwłoki Laszczaka oraz pochodzącej z Warszawy prostytutki, niejakej Marianny Wickiej. Ona pracowała kiedyś w zajezdni tramwajowej na Kawęczyńskiej jako sprzątaczką. Nie szukał pan może kiedyś jakiejś szczotki, panie nadkomisarzu...? Dodam jeszcze, że Wicka w chwili śmierci miała na sobie męskie ubranie. Czy była także ostrzyżona po męsku, tego się już nie da stwierdzić. Ustaliliśmy tylko, że w ogóle miała włosy...

- Ale jak doszło do wybuchu? Wydział drugi?

- Zaklinają się, że to nie oni, i chyba można im wierzyć. Wicka zabiła Laszczaka podczas kąpieli, wrzucając mu do wanny włączoną lampkę nocną. Potem popełniła samobójstwo, wkładając głowę do piekarnika kuchenki i odkręcając gaz. Do czasu waszego przyjazdu stężenie gazu w mieszkaniu osiągnęło poziom wybuchowy. Starczyło, że nacisnął pan dzwonek.

- Znów elektryczność...

- Właśnie. Całe szczęście, że wcześniej ktoś z naszego magistratu trochę pomyślał i

przydzielając lokal wydziałowi drugiemu, przewidział, że może tam kiedyś coś wybuchnąć. Dlatego wybrał mieszkanie narożne, przy szczytowej ścianie, na najwyższym piętrze. Większość siły wybuchu uszła na zewnątrz przez okna i dach. Inaczej zawaliłoby się pół kamienicy. Byłoby na pewno więcej niż dwie ofiary śmiertelne i nie doszlibyśmy, co zaszło przed waszym przyjściem. Ponadto przy zwłokach Wickiej znaleźliśmy woreczek z trzema elektrycznymi perłami, kolejny kawałek srebrnego drutu oraz egzemplarz Synagogi szatana Przybyszewskiego. To wprawdzie nie wyjaśnia wszystkiego, ale jednak kończy sprawę.

- Jaki Wicka miała powód, żeby zabijać Laszczaka i siebie?

- Tego możemy się tylko domyślać. Przyjeliśmy, iż wpadła w panikę na wieść, że idziecie do Laszczaka. Doszła do wniosku, że wszystko się wydało, i postanowiła sama zakończyć sprawę.

- To dość naciągana interpretacja - stwierdził Drwęcki.

- Innej nie mamy.

- Czy z tego mieszkania było drugie wyjście?

- Owszem, kuchenne schody, jak wszędzie. Te drzwi w chwili wybuchu były jednak zamknięte na klucz.

- Od wewnątrz czy z zewnątrz?

- Tego nie wiemy. Przyjeliśmy, że z wewnątrz.

- Nikogo nie widziano na schodach kuchennych?

- Owszem, widziano mnóstwo osób. Dostawców, domokrażców, plotkujące kumy, narzeczonych kucharek i pokojówek, Cyganki z wróżbami. Akurat Cyganów na Chwaliszewie nam nie brakuje. Nie ma jednak żadnego powodu, by sądzić, że ktoś trzeci wszedł do feralnego mieszkania.

- Myślę, że jednak wszedł - odparł Drwęcki. - Zabójca postanowił zatrzeć za sobą ślady! Ciało Wickiej garnirowano dowodami aż do przesady...

- Panie nadkomisarzu - Hrabyk pokręcił głową. - To nader błyskotliwa hipoteza śledcza, ale obaj doskonale wiemy, że to nie wystarczy, aby kontynuować dochodzenie. Nie stać nas na gdybanie i dzielenie włosa na czworo, zwłaszcza teraz, gdy musimy przygotować się na wiosenny najazd przestępców. Dowody są jednoznaczne i nie możemy podważać ich na podstawie czysto subiektywnych przeczuć. Oficjalna wersja wydarzeń jest równie możliwa, co pańska. Nawet bardziej prawdopodobna, chyba pan to przyzna? Pasują do siebie wszystkie elementy zagadki...

- Z dużym luzem - zauważył Jerzy.

- Jeśli są jakieś nieścistości, musimy przyjąć, że ich wyjaśnienie Laszczak i Wicka

zabrali z sobą do grobu. Kwestii niedających się wyjaśnić nie ma. Krótko mówiąc, panie nadkomisarzu, pańska misja w Poznaniu dobiegła końca. Jesteśmy ogromnie wdzięczni za pomoc i poświęcenie, czemu nie omieszkamy dać wyrazu w oficjalnym piśmie. Kiedy tylko pan wydobrzeje, może pan wracać do Warszawy. I oczywiście prywatnie zapraszamy na Pewukę. Mrozy nareszcie puściły, powinniśmy więc dotrzymać majowego terminu otwarcia wystawy.

- Dziękuję i do zobaczenia - westchnął Drwęcki. - Jednak najpierw muszę znowu nauczyć się chodzić...

- Nie wątpię, że pan sobie z tym poradzi. Mam jeszcze małą prośbę - sędzia śledczy wstał. - Komisarz Witkowiak wprawdzie już odzyskał przytomność, ale na razie rozmowa zbyt go męczy. Proszę w dogodnym momencie przekazać mu oficjalne ustalenia.

- Oczywiście - powiedział Jerzy.

Siedzieli w fotelach na tarasie szpitala, grzejąc się w pierwszych promieniach wiosennego słońca. Nie było jeszcze zieleni, szpitalny ogród tonął w barwach sepii, ale ten brak życia z nawiązką nadrabiała rozczwierkane wróble. Jedna z siostrzyczek, by chorzy mieli rozrywkę, rozrzuciła przed tarasem kilka garści ziarna i wygłodzone przez zimę ptaki odgrywały istną bitwę pod Grunwaldem.

Witkowiak prócz urazu głowy miał złamaną prawą rękę i oba obojczyki. Tkwił więc w czymś na kształt gipsowej kamizeli. Dla odmiany Jerzy miał na sobie rodzaj gipsowych spodni z jedną tylko nogawką. Pokpiwali sobie zatem, że gdyby jeszcze dosiadł się do nich ktoś z zagipsowaną lewą nogą, mieliby kompletny garnitur.

Czarne humory generalnie dopisywały.

- Nie jest źle - zauważył Witkowiak. - Mogliśmy tak oberwać już dziesięć lat temu...

- Lepiej późno niż wcale - mruknął Drwęcki.

- Teraz Jadzia ma rację, że jestem golemem - stwierdził wesoło Michał. - Mam w głowie dziurę, do której może mi wkładać petycje i instrukcje.

- Lepiej jej na to nie pozwól, bo zaraz napcha tam tyle makulatury, że ci oczy na wierzch wyjdą...

- Mam nadzieję, że nie sforsuje tej platynowej płytki, którą mi tam wstawili. Zresztą Jadzka ma teraz chyba inne zajęcia. Po tym, jak zobaczyłem ją ostatnio tutaj z Karolem, zaczynam oswajać się z myślą, że niedługo zostanę wujkiem. Zrobili dobry Uzytek z parawanu na mojej sali.

- Nie żartuj!

- Tylko się całowali.

- Korzystają z każdej okazji, bo Lunia i babcia Irena na pewno dobrze smarkaczy pilnują, nie masz więc co się martwić. A co z Katarzyną Anną? Wiem, że cię odwiedzała, bo i do mnie zajrzała parę razy.

- Chce wyjść za mnie za mąż - oznajmił Michał takim tonem, jakby chodziło o rozwód. - Postawiła rodzicom ultimatum, że albo ja, albo klasztor. Istna Oleńka Kmicicowa, tylko na opak - skwitował ironicznie.

- Nie cieszy cię to? - zdziwił się Jerzy.

- Gdyby nie ten wybuch, pewnie dalej miałyby muchy w nosie i opowiadała o doskonałej czystości i posłuszeństwie. A tak, wypadało się jej zameldować u łóżka rannego narzeczonego, no bo co pomyślą ludzie?! Tylko obowiązek, żadnych własnych uczuć ani woli.

- Miała poczekać, aż wyzdrowiejesz i wyjdiesz ze szpitala?

- Nie wiem! - machnął zdrową połową lewej ręki. - Zupełnie już nie wiem, co ona tam do mnie czuje...

- No, jak to - uśmiechnął się Jerzy - przecież powiedziała, że albo ty, albo Bóg. Brzmi nieźle!

- Mówisz? - mruknął Michał bez przekonania.

- Katarzyna Anna okazuje uczucia tak, jak umie i jak ją nauczono. Chciałbyś, żeby stanęła na głowie i recytowała ci Boya pod oknami?

- Chyba mnie przekonałeś! - parsknął śmiechem Witkowiak.

- Poza tym, skoro o Potopie mowa, spójrz na to z innej strony...

- No, z jakiej?

- Katarzyna Anna jak najbardziej jest godna rany twoje całować!

- Na razie drapie mnie słomką pod gipsem...

Śmiali się dłuższą chwilę.

- A co ze sprawą? - zagadnął Michał, poważniejąc. - Nie odpuścisz?

- Nie - odparł Drwęcki. - Chociaż nie wiem, od czego zacząć.

- Powinieneś szczerze porozmawiać z Boyem - zauważył Witkowiak. - On na pewno wie coś istotnego. Myślałeś o tym?

- Myślałem. Obaj mamy tu dużo czasu na myślenie. Napisałem nawet do Żeleńskiego list w tej sprawie.

- I co? Odpisał?

- Jak najbardziej. Serdecznie życzy mi powrotu do zdrowia i w ramach rekonwalescencji poleca dobrą francuską literaturę w swoim tłumaczeniu. Na zachętę przysłał

mi nawet Kubusia Fatalistę z zamaszystym autografem...

- Diderota?

- Nie, własnym. A co się tyczy sprawy, to jest szczęśliwy, że nareszcie została oficjalnie zamknięta, i uprzejmie mi radzi, aby się tego trzymać. Przypomina łaskawie, to mianowicie, że nadmierne myślenie wciąż na ten sam temat może być przyczyną nerwic i obsesji... Jedno jest pewne, że w żaden sposób nie zmuszę go do współpracy.

- Może go postraszyć? Przecież jeśli twoje podejrzenia są słuszne, to zabójca jest człowiekiem niezwykle niebezpiecznym, bezwzględny i przebiegły. Ma na sumieniu już osiem osób, jest na wolności i nawet się go nie tropi. Może teraz zrobić wszystko.

- Ale Żeleńskiemu nie zrobi krzywdy, bo on był przyjacielem Przybyszewskiego. Boy nie musi się zatem niczego obawiać. Może nawet jest zabójcy do czegoś potrzebny?

- Do czego? Twoim zdaniem, jakie są jego motywacje?

- Zakładam roboczo, że to jest nieślubny syn Przybyszewskiego, który nie może dowieść pokrewieństwa, bo coś mu pomieszano w papierach. Być może zamieniono płeć w metryce, wnioskuje z tego, co mówił prezydent Dziabaszewski. Wobec tego zabójca za wszelką cenę chce dowieść, że łączy go z domniemanym ojcem to, że są równie wielkiego ducha. Tylko Żeleński mógłby to ogłosić publicznie. Wątpię, aby to zrobił, ale sprawca być może właśnie coś w tym rodzaju sobie uroił. Powiedzmy, wielki powrót geniusza z zaświatów...

- Przybyszewski, o ile wiem, nikogo nie zabił.

- Do paru śmierci niewątpliwie się przyczynił. Ponadto dużo mówił i pisał o tym, że artysta stoi ponad wszelką moralnością. W końcu ktoś zaczął ten artystyczny program realizować...

- Tylko gdzie tu sztuka?

- Popatrz na nas. Czy nie wyglądamy przypadkiem jak rzeźby ekspresjonistów? Dalej, wykolej tramwaj pełen ludzi, ale tak, żeby jeszcze wjechał w zakład pogrzebowy i kabaret jednocześnie... Ileż w tym modernistycznej dekadencji! Wytop perły z ludzkich kości i zabijaj tak, żeby policja była bezradna, a futuryści zachwyceni, najlepiej elektrycznym nożem... Każdy artysta ci powie, że zbrodnia doskonała jest dziełem sztuki.

- Sądysz, że te wypadki były aż tak dokładnie zaplanowane?

- Ten na placu Nowomiejskim - bez wątpienia. Analizowałem plan sytuacyjny. Tramwaj jadący prosto z zajezdni przy Gajowej, ulicą Mielżyńskiego, musiał włączyć ten dodatkowy obwód po raz pierwszy w ściśle określonym miejscu przed wjazdem na plac. Dom numer dziewięć, w którym mieszczą się zakład pogrzebowy i kabaret, znajduje się niemal

dokładnie na przedłużeniu linii hamowania. Wcześniej było kilka podobnych wykolejeń, żaden tramwaj jednak nie zapędził się aż tak daleko. Wystarczyło sprawić, by wypadający z szyn wóz miał znacznie większą prędkość. Co prawda nie było gwarancji, że tramwaj trafi akurat w witrynę zakładu pogrzebowego, ale uderzenie w samą kamienicę było już wysoce prawdopodobne. Zdjęcie w gazecie z dużą pewnością objęłoby wrak i oba szyldy. Realne zdarzenia przebiegły lepiej, niż myślał. My to superata.

- Wobec tego, co zamierzasz?

- Czekać na jego następny ruch. On na pewno chce sławy, a poznańskie gazety zdecydowanie zawiodły go pod tym względem. Nie tylko nie powiązały ostatnich wydarzeń z jednym sprawcą, lecz wręcz je zbagatelizowały.

- My, tubylcy, nie lubimy zbytnio chorobliwych sensacji. Zresztą sędzia Hrabyk mocno w tym zbożnym dziele panom redaktorom dopomógł.

- Wobec tego zobaczymy, czy teraz on nie wyleci w powietrze...

- Panowie mają gości! - oznajmiła zakonnica niosąca tacę z dwiema szklankami gorącego mleka, z tego jedną ze słomką.

- Przyniosłam panom coś na wzmocnienie kosteczek...

- Bóg zapłać, siostrzyczko! - Drwęcki z obrzydzeniem popatrzył na mleko.

- To mój przyszły teść - obejrzał się Michał, a zakonnica wcisnęła mu w lewą dłoń szklankę ze słomką. - Jak zwykle, elegancja z Mosiny... - stwierdził z przekąsem.

Podszedł do nich wąsaty, jowialnie uśmiechnięty jegomość w jasnoszarym surducie i butach do konnej jazdy. W dłoniach obracał słomkowy kapelusz z szerokim rondem.

- Jakże zdrowie szanownych panów policmajstrów?!

- Pan dziedzic Zbigniew Andrzej Jasiński, ojciec Katarzyny Anny, nadkomisarz Jerzy Drwęcki - przedstawił ich sobie Witkowiak.

- Z tych Drwęckich? - zagadnął uprzejmie gość.

- Drwęcki - Jerzy przesylabizował własne nazwisko.

- O, przepraszam uniżenie! - starszy mężczyzna wyciągnął dłoń. - Takoż tak... Drwęcki... Drwęccy... - szukał w pamięci.

- Znad Drwęcy, czy Drwęcłowa?

- Znad Wisły.

- A niech tam! - pan Jasiński machnął ręką. - Będzie jeszcze czas o koligacjach pogadać. - Panowie, jak widzę, takoż tak grzecznie przy mleczku sobie siedzą...

- Niestety, w karcie wybór jest żaden - stwierdził z przekąsem Jerzy.

Pan Jasiński nieznacznie odchylił kapelusz, pokazując meta - lową piersiówkę.

- Wiśniowy kirsz dwa razy pędzony - zareklamował półgłosem. - Wszystko, co zemdlałe, migiem podnosi...

Michał starannie wydmuchał ze słomki resztki mleka. Pan Jasiński usłużnie nachylił piersiówkę. Chwilę później Drwęcki z przyjemnością przełknął płynny aromatyczny ogień.

- Oj, wymęczyli was tutaj, wymęczyli... - skwitował ze współczuciem gość. - No i ja dla towarzystwa... - zadarł głowę, osłaniając twarz kapeluszem. - Takoz tak...! - odsapnął i przysiadł na niskiej balustradzie naprzeciw obu pacjentów. - Moja Kasiula Anula mówiła, że za parę dni wyjmują was z tego gipsu i znów każdy będzie w jednym kawałku. Zgadza się?

- Tak, ale to jeszcze daleko nie koniec kuracji - odparł Michał. - Trzeba będzie powoli stawy rozruszać, mięśnie wzmocnić. Zwłaszcza Jerzy będzie miał z nogą duży kłopot...

- Takoz tak i ja w tej sprawie - skinął głową gość. - Z doktorem już mówiłem. Pan Jerzy na rehabilitację do Warszawy się wybiera?

- Nie ma jak w domu - odparł Drwęcki.

- Niby tak, tak niby... - pokiwał głową pan Jasiński. - Ale to, takoz tak, przecież nie cała prawda! Pociągami do stolicy trza ponad pół dnia się tłuc, a gdy człek niezdrów, to przecież niewygoda duża. Nadto moja córka, po tym jak się z szanowną małżonką pańską tutaj spotykała, mówiła, że ten wasz dom w Warszawie z dużymi schodami. Martwiła się, jakże to pan Jerzy po tych schodach z taką nogą radzić sobie będzie? A do tego kamienica przy ulicy, po której bimby jeżdżą, spokoju nie ma...

- Tak źle nie będzie - mruknął Jerzy.

- Takoz tak, to ja już lepiej do rzeczy przejdę - oznajmił gość. - Do nas, do Przytulic serdecznie prosimy!

- Ależ...

- Czym chata bogata! Starszych państwa weteranostwa już prosiłem, tylko oni się na pana Jerzego oglądają. Ja i moja jejmość uradziliśmy, że trzeba nam pana Michała dla Kasiuli Anuli do wesela na nogi postawić, to i jakże o jego dawnym koledze z wojska, a obecnym towarzyszu niedoli mielibyśmy zapomnieć?

- Serdecznie dziękuję, ale...

- Damy pokoik na parterze, to nie będzie pan Jerzy nogi forsował. Ogród tuż za oknem, a jak matka natura zaraz życiowe soki puści, to i człowiekowi wnet wszystkie siły wrócą. A przecież i szanowna małżonka zdrowia przed rozwiązaniem powinna nabrać. Sam widziałem, że zmizerniała ostatnio nieboga, oj, zmizerniała...

- Dobrze, przekonał mnie pan - powiedział Drwęcki. - Dziękuję bardzo!

- Odkarmimy was po bożemu, świeżego wiejskiego powietrza się nałykacie. Jest

jezioro, jest las, a i inne atrakcje w okolicy się znajdują... - zapewnił ucieszony pan Jasiński. - Kiedy zaś powszechną wystawę otworzą, zaraz do Poznania zjedziemy podziwiać te wszystkie cuda i cudeńka!

- Lekarz mówił, że będzie nam potrzebny dobry masażysta... - zauważył Michał.

- Spokojna głowa, przyszyły zięciu! Nasz konsyliarz z kowalem już nie takich połamańców z bożą pomocą na nogi stawiali! Choćby Felka organistę, po tym jak ten po pijaku z dzwonnicy zleciał i tak gruchnął, że aż dziurę w poświęconej ziemi zadkiem wygniótł... Ale, co tam! I dla waszego masażysty miejsce w oficynie się znajdzie! Chociaż wątpię, czy którykolwiek będzie tak w masowaniu biegły, jak nasze dziewczuchy z czworaków... Hm... także tak... - pan Jasiński spostrzegł, że się stanowczo zagalopował. - Ja słyszałem, że pan Jerzy człowiek uczony - dyplomatycznie zmienił temat - to i niejedna ciekawa książka u nas we dworze się znajdzie. Czytało się za młodu to i owo, oj, czytało... Ba, nawet „Życie” z Krakowa w swoim czasie prenumerowałem.

- Ma pan może coś Przybyszewskiego? - zagadnął Drwęcki.

- Bóg mi świadkiem, całego! - zawołał radośnie stary szlachcic. - Dwa razy za kawalerskich czasów, przed wojną, kochanego Stacha się gościło, a co się siwuchy przy tym polało! Do tej pory wszystkie baby i dziewczuchy w Przytulicach wiedzą, co to naga dusza... Tylko, także tak, jak moją Emilię, matkę Kasiuli Anuli poznałem, no to ustatkować się wypadało. Żeby młodej żonki ani bogobojnych teściów nie gorszyć, zaraz po ślubie cały modernizm do kuferka spakowałem i na strych wyniosłem. Także tak, jak mi spuszczele Stacha nie zeżarły, to jest caluteńki! Jeszcze po maluchu?

15. Sąsiek wieszczą Adama

Zajechali do Przytułic w połowie kwietnia imponującą karawaną złożoną z jednego samochodu oraz czterech bryczek, która uformowała się przed dworcem kolejowym w Mosinie. Dystyngowanym Austro-Daimlerem 1910, należącym do pana Jasińskiego, przyjechali z Poznania Michał i Jerzy. Dla nikogo innego miejsca już nie starczyło, bo sam Drwęcki zajmował całe tylne siedzenie. Inaczej nie dało się ułożyć osobliwego szczudła z dwoma zawiasami, w które zamieniła się jego prawa noga. Michał, z zeszywniającą prawą ręką na temblaku, zmieścił się obok kierowcy.

Marysia i pozostali dotarli do Mosiny pociągiem, po czym przesiedli się w przysłane z Przytułic bryczki. W pierwszej zasiadły żona Jerzego i Katarzyna Anna, pełniąca rolę przewodniczki oraz dowódcy konwoju, w drugiej - babcia Irena i wujaszek Hiacyntus, w trzeciej - Jadzia z Karolem. Siostra Michała miała przez dwa dni „odetchnąć wiosną”, by lepiej poszło jej wkuwanie do nadchodzącej matury, a potem przyjeżdżać co niedziela.

Na końcu jechali Karolinka z felczerem Stanisławem, którego polecono w szpitalu siostr szarytek jako bardzo zręcznego rehabilitanta i masażystę. Felczer był łysy jak kolano, nosił bokobrody w stylu cesarza Wilusia i przedstawiał się jako potomek miejskich katów. Potwierdzeniem tych genealogicznych roszczeń były jego ręce, a właściwie łapska, o rozmiarach piekarskich szufli. Podczas pierwszego masażu Jerzy nieomal wpadł w panikę, pewien, że Stanisław połamie mu udo jak wykałaczkę. Zwłaszcza że masaż wcale nie był delikatny. Felczer miał dokładnie tyle wyczucia, żeby nie złamać świeżo zrosłych kości, i dozował siłę precyzyjnie do tej granicy, nic mniej. Gruba kość gięła się pod jego naciskiem jak łuk, a na Drwęckiego biły zimne poty. „Inaczej kościec i muskulatura, proszę wielmożnego pana, nie będą miały dość bodźca, coby się żywo wzmacniać”, zwykł odpowiadać masażysta na lękliwe protesty. Pomijając zbędne szczegóły, Karolinka pożerała Stanisława wzrokiem w całości od pierwszego wejrzenia, a felczer nie pozostał na ten bodziec obojętny i obiecywał przy okazji rozmasować jej wszystkie kosteczki, aż się szpiczek zagrzeje...

Lunia została w Poznaniu, chociaż ją też zapraszano. Wymówiła się przez wzgląd na Rataja, twierdząc, że stare kociambry nie lubią zmieniać miejsca.

Z Mosiny wyjechali na Stęszew, by następnie skręcić w prawo, w piaszczystą drogę

biegnącą skrajem lasu. Tu kierowca przystanął, by poczekać na ciągnące z tyłu bryczki, a przy okazji złożył dach Austro-Daimlera. Michał i Jerzy odetchnęli rozkwitającą wokół wiosną. Jasno świeciło słońce, a skowronki pitoliły jak oszalałe. Rzeczywiście chciało się żyć i odżywać!

Katarzyna Anna miała jeszcze troje starszego rodzeństwa, a na przyjazd gości pan Jasiński zarządził mały zjazd rodzinny, więc jakieś półtora kilometra przed Przytulicami dostali jeszcze malowniczą i rozhukaną konną eskortę, złożoną z braci i młodych kuzynów narzeczonej Michała. Wymuskanym paniczom towarzyszyło kilkoro wiejskiej smarkaterii, siedzącej boso i na oklep na ojcowych chabetach, ale wszyscy w czystych koszulach.

Państwo Jasińscy oczekiwali przed dworem w otoczeniu gromadki wnucząt, w wieku od dwóch do sześciu lat. Jak się okazało, całe powitanie zorganizowano z myślą o wujaszku Hiacyntu - s'ę, jako najgodniejszym z przybywających. Jerzego oraz Michała sprawnie i bez ceregieli wyładowano z samochodu, po czym usadzono z boku w wiklinowych fotelach. Natomiast gdy nadjechała bryczka ze starszym państwem, pojawiły się chleb i sól. Wujaszek Hiacyntus, ogarnawszy wzrokiem sytuację, wyrównał styczniowy mundur i podał ramię babci Irenie.

- Serdecznie witamy w Przytulicach! - zaczął gospodarz, występując naprzód z bochnem chleba, który goście z powagą ucałowali i skubnęli po kawałku.

- Dzieciaczki! - zwrócił się następnie pan Jasiński do wnucząt. - Ucałujcie rękę, która broniła Polski w najczarniejszą noc niewoli!

Maluchy ustawiły się w kolejkę do weterana. Wujaszek Hiacyntus, najwyraźniej przyzwyczajony do takich ceremonii, celebrował swoją rolę z całą powagą, pytając kolejno okazujące mu szacunek dzieci o imię, wiek, a na koniec kładąc każdemu na czole pocałunek i krzyżyk.

Drwęckiego zaintrygował fakt, że miejscowy pleban, który obowiązkowo też został zaproszony, trzyma się wyraźnie z dala od gospodarza, chociaż zgodnie z niepisaną ziemiańską etykietą powinien mu towarzyszyć w odległości nie większej niż pięć kroków. Wyniknęło z tego trochę drobnych niezręczności podczas dalszego ciągu powitań, kiedy goście, po spotkaniu z gospodarzami, zwyczajowo kierowali się do osoby duchownej, ale tej musieli szukać dopiero w drugim szeregu domowników, z konieczności omijając część pierwszego. Oczywiście nikt nic po sobie nie pokazał, ale przytulicka hierarchia społeczna z jakiejś przyczyny była bardzo wyraźnie zwichrowana.

Wreszcie państwo Jasińscy zabrali się za rozmieszczenie gości na kwaterach. Pani domu zajęła się staruszkami, Katarzyna Anna Michałem, a gospodarz z felczerem

Stanisławem poprowadzili odpowiednio Marysię i Jerzego. Zgodnie z obietnicą Drwęccy dostali pokój na tyłach dworku z osobnym wyjściem do ogrodu. Za ledwie wniesiono bagaże, Jerzy zaczął niecierpliwie dopytywać się o książki Przybyszewskiego i poprosił o zniesienie kuferka ze strychu.

- Przepraszam, wielmożnego pana dziedzica - niespodziewanie wtrącił się do rozmowy Stanisław. - Wiele to schodów jest na tutejszy strych?

- Na pięterko dwadzieścia dwa, a do tego będzie jeszcze czternaście do lamusa na górcie - odparł zdziwiony gospodarz.

- A czemuż to pytacie, dobry człowieku?

- Pokornie proszę pana dziedzica o wybaczenie, ale proszę tego kuferka nie znosić - powiedział felczer. - Wielmożny pan nadkomisarz musi się sam pofatygować.

- Ależ nie dam rady! - zirytował się Drwęcki.

- Jak wielmożnemu panu nadkomisarzowi tak bardzo zależy, tym szybciej radę sobie da...

- To zajmie całe tygodnie! - zaprotestował Jerzy.

- A chciałbym...

- Kochanemu panu Jerzemu dokądś pilno? - zapytał gospodarz z życzliwą ironią. - Gdzieś to, tak, pan Jerzy zaraz stąd wybiec zamierza...?

- Kochanie - Marysia położyła mu rękę na ramieniu. - Panowie mają rację. Naprawdę nie ma się gdzie spieszyć...

I tak czas zaczął biec całkiem innym rytmem.

Wyznaczały go pory posiłków - dwa śniadania, obiad, podwieczorek, kolacja, a kiedy przybyło dnia, doszedł jeszcze pod - kurek. Tymczasem Marysia przesiadywała z książką w kwitnącym sadzie, Katarzyna Anna i Michał chodzili na długie spacery do lasu i nad jezioro, a wujaszek Hiacyntus i babcia Irena czynili honory sąsiadom państwa Jasińskich i przyjmowali zaproszenia na drugie śniadania lub podwieczorki.

Dla Jerzego najważniejszymi punktami dnia stały się poranny i popołudniowy masaż, po którym następowały spacer, codziennie wydłużane o parę kroków. Drwęcki od początku odmówił używania kuli, opierał się tylko na lasce, co Stanisław Pochwalał, ale w pierwszym tygodniu często sam musiał mu służyć za żywą kulę. Już trzeciego dnia Jerzy spróbował wspiąć się na schody prowadzące do kuferka z książkami, jednak wspinaczka zakończyła się całkowitym fiaskiem. Utknął na piątym stopniu, i to tak, że nawet nie dał rady zejść o własnych siłach. Stanisław musiał wystąpić w roli górskiego pogotowia.

Do kompletu pan Jasiński, niewątpliwie z podszeptu felczera, zbywał uśmiechem

sfinksa wszystkie pytania Drwęckiego o szczegóły zawartości kuferka oraz swą dawną znajomość z Przybyszewskim. Zagadywany o modernizm gospodarz szybko zmieniał temat na romantyzm i zaczynał opowiadać o Mickiewiczu, który też zaszczyił jego rodowy majątek. Ponoć było to latem 1831 roku, kiedy poeta, krążąc po Wielkopolsce, udawał, że szuka sposobów dołączenia do powstania listopadowego, a faktycznie chętnych i urodziwych muz wszelkiego stanu, co ostatecznie zaowocowało Panem Tadeuszem oraz bliżej nieokreśloną liczbą nieślubnych potomków wieszczka.

- Niedługo będzie sto lat, jak nasze Przytułice gościły wieszczka Adama - oświadczył gospodarz przy kolacji pod koniec pierwszego tygodnia pobytu. - Takoż tak, najwyższa pora, aby zdarzenie to wreszcie uczcić należycie!

- Katarzyno Anno, jesteś jeszcze panienką, proszę wyjść! - zawołała poczerwieniała pani Jasińska.

- Tak, mamu - dziewczyna posłusznie wstała od stołu. Michał wyszedł za nią.

- Przepraszam państwa najmocniej, ale małżonek mój znowu, swoim zwyczajem, zbereżne facecje opowiadać zamierza.

- Gospodyni zwróciła się do Marysi. - Pani nadkomisarzowa mogłaby poczuć się zgorszona...

- Myślę, że nie - Marysia z uśmiechem pogładziła się po wydatnym brzuchu. - Jestem już mężatką i chętnie posłucham.

- A także tak, doprawdy jest o czym! - zapewnił pan Jasiński, nalewając wszystkim wina. - Od pokoleń konserwujemy sasek w stodole przy naszym folwarku, w którym rzecz cała miała miejsce. Uważacie, moi państwo, wieszcz Adam z trzema dziewczkami naraz na sianie całą noc figlował...

- Teraz to się nazywa, że cierpiał za miliony - rzekł z kamienną twarzą wujaszek Hiacyntus.

- Jacusiu! - zamiast Marysi zgorszyła się babcia Irena.

- Ależ, duszko, w podręcznikach dla młodzieży tak piszą czarno na białym, choć może rzeczywiście kwestia jest artystycznie i pedagogicznie przesadzona. Ja bym powiedział raczej, że nasz Adaś dokazywał za trzech...

- Ja się jednak pójdę przejść! - oświadczyła staruszka.

- Wieczór taki ładny, słowików może sobie posłucham.

- Z miłą chęcią dotrzymam towarzystwa pani weteranowej - podniosła się gospodyni. - Słowicze trele to prawdziwa poezja!

- A dla tej poezji każda samiczka główkę traci... - skwitował wesoło pan Jasiński. - I

prosto w otwarte skrzydełka leci!

Jego małżonka wyniosłe zacięła usta. Drwęcki widywał wcześniej taki sam grymas u Katarzyny Anny, ale teraz musiał przyznać, że córka gniewa się jednak z większym wdziękiem niż matka.

- Marysiu! - babcia znacząco spojrzała na wnuczkę.

- Ja mogę być potrzebna mężowi... - położyła Jerzemu głowę na ramieniu.

- Jak uważasz, moja droga - staruszka ustąpiła niechętnie.

- Wieść gminna głosi, że skutkiem tej poetycznej improwizacji dwie z naszych dziewczynek zaciążyły - powiedział pan Jasiński, gdy starsze panie wyszły. - Po prawdzie, to ponoć wszystkie trzy w swoim czasie zdrowych chłopaczków powiły, ale mówi się, że ta trzecia to wcześniej z kim innym...

- I cóż się z tymi żywymi sonecikami stało? - spytał wujaszek Hiacyntus, unosząc kieliszek.

- Takoz tak, dziad mój, świętej pamięci Stefan Albert, dołożył wszelkich starań, aby dorobek wieszcz, choć nieprawy, jednakowoż nie zmarniał. Osobiście bękarciątka do chrztu trzymał, obowiązkowo dano im Gustawus i Konradus, chociaż pleban się boczył, że pańskich imion wylegańcom dawać nie uchodzi. Pierwszy dożył swoich lat u nas, w Przytulicach. Po bożemu wnuków i prawnuków się dochował. Drugi za młodu jakiejś kołowacizny na rozumie dostał i powiesił się w lesie. Widać zmoгло go dziedzictwo ducha i krwi, świeć mu panie. Znaleźliśmy nieboraka dopiero po dwóch latach, jak go już kwitnący powój bardzo pięknie obrósł. Ot i cały romantyzm, takoz tak! Rzecz na tyle znana była, że zajrzał nawet do nas, pod koniec wieku, syn wieszcz, Władysław, incognito ma się rozumieć. Podobieństw w rysach twarzy szukał, ale koniec końców uznania za krewnych odmówił. U nas jednak do dziś woła się na nich „Mickiewiczaki”, choć w papierach mają Gustawscy. Najmłodszy z nich konno państwu w drodze tutaj asystowali, honorowo i społem z moimi dziećmi i powinowatymi, bo tamto kumostwo jeszcze do dziś we dworze i we wsi za obowiązujące uznajemy.

- I to chciałby pan uczcić? - zapytał Drwęcki.

- Nie jakieś tam byle obłapki w stodole na sianie, ale wielką ideę jurności narodowej, panie Jerzy! - zawołał z uniesieniem gospodarz. - Takoz tak, przecież gdyby nie owa jurność, zaborcy zmoглиby nas doszczętnie! Tyłu poległych w wojnach i powstaniach trzeba było nowymi Polakami zastąpić, co się udało i czemu to zawdzięczamy? Jurności! Pan weteran przyzna, że szczerą prawdę mówię!

- Jak najbardziej! Zdrowie Marysi i Jerzego! - zawołał wujaszek Hiacyntus.

Wypili do dna.

- Sąsiek, w którym rzecz miała miejsce, z pietyzmem od pokoleń konserwujemy - powiedział pan Jasiński. - Nic prócz siana składać w nim nie wolno. Ale, także tak, przyznacie państwo, że to jednak lichy symbol dla idei, której cały naród ocalenie i egzystencję zawdzięcza. Trzeba czegoś godniejszego! Także tak, myślałem zatem od dawna, żeby stodołę wyburzyć, a na jej miejscu wznieść monument falliczny...

- Czy tej idei nie podsunął panu aby czasem sam Przybyszewski? - wtrącił Drwęcki.

- Nie potwierdzam i nie przeczę, drogi panie Jerzy. Także tak, znalazłem już nawet kamieniołom, gdzie dostać można odpowiedni marmur z różowymi żyłkami...

- Śmiała myśl - stwierdziła rozbawiona Marysia. - Ale co na to pani Jasińska?

- Jejmość moja, proszę łaskawej pani nadkomisarzowej, także tak, pewnie w końcu oczy by przymknęła i po cichu na wszystko przystała, nawet by monument był na koszt własny. Ech, powiadam państwu, jak ona za młodu pięknie oczka przymykać potrafiła! Całkiem ją to odmieniało... Także tak, od tego przymykania ocząt czwórka zdrowego potomstwa nam się wzięła, bynajmniej nie z powściągliwości przesadnej... - gospodarz otrząsnął się z rozmarzenia, a na jego twarzy odmalował się gniew. - To nasz pleban, z Bismarka jego mać, kryptohakatystą się okazał! Narodu polskiego nie szanuje ani sił żywotnych jego! Zagroził, że do biskupa napisze na mnie doniesienie, a potem z ambon całej diecezji moje nazwisko szargać będą, a rodzinę wytykać. Tego już moja jejmość się przelęknęła i postawiła weto. Ale, jakem Jasiński z Przytulić, ja jeszcze coś wymyślę! - huknął pięścią w stół. - Także tak, po wielkopolsku rzecz wyfasuję, aż się sama Warszawa ze swoją kolumną króla Zygmunta w kozie róg schowa!

Trzy tygodnie później Drwęcki wdrapał się o własnych siłach na pierwsze piętro przytułickiego dworku. Co prawda o lasce i opierając się mocno o poręcz, ale jednak prawa noga wyraźnie znowu zaczęła służyć. Przy ostatnich stopniach biodro zaczęło boleć, jednak dało się wytrzymać.

- Bardzo dobrze, panie nadkomisarzu - pochwalił go Stanisław. - A teraz proszę na dół.

- Nie! - Jerzy odszukał wzrokiem schodki prowadzące na strych. Były znacznie bardziej strome i wąskie... - Idę wyżej!

- Ale będę pana asekurował - zastrzegł felczer.

Jerzy pokuszył się do następnych schodów. Tu, z braku miejsca, nie było jak korzystać z laski, więc Drwęcki musiał ją oddać. Co gorsza, pochyły sufit i poręcz były tak nisko, że należało się głęboko schylić, a przy tym cały ciężar ciała oprzeć na osłabionej nodze.

- Jeżeli pan nadkomisarz będzie wchodzić na czworakach, to się nie liczy - zaznaczył

Stanisław. - Wtedy nie damy książek!

- Dobrze - syknął Jerzy. Biodro bolało go coraz bardziej.

Chwycił poręcz i oparł się lewą ręką o ścianę, obciążając kontuzjowany bark. Teraz miał tylko jeden wybór: postawić na pierwszym stopniu nogę lewą albo prawą. Jeśli lewą, to przez chwilę musiałyby stać na prawej. Jeśli prawa, to wręcz musiałyby się na niej podźwignąć... Wybrał lewą, ale to tylko odwlekło zasadniczą próbę. Stojąc na pierwszym stopniu, musiał teraz podnieść prawą nogę, a potem unieść na niej całe ciało...

Zrobił to! Biodro eksplodowało bólem, aż Jerzemu pociekły łzy. W następnej chwili zdziwił się, że Stanisław nie próbuje go powstrzymać. To paradoksalnie sprawiło, że uwierzył w siebie. Teraz trzeci stopień... i... czwarty...

Zostało jeszcze dziesięć! Zmęczony mięsień uda zaczął drżeć. Pięć... sześć... Czerwone płatki zawirowały Jerzemu przed oczami. Ból promieniował od kolana do krzyża. Siedem... osiem... Coś jęknęło. Drwęcki zdał sobie sprawę, że to on stęka z bólu. Ale Stanisław milczał. Bez słowa postępował za rekonwalescentem. Jerzy zacisnął zęby. Dziewięć... dziesięć... Zdał sobie sprawę, że stoi tylko na lewej nodze.

- Proponuję, aby zaczął pan schodzić.

- Nie teraz, do cholery! - wybuchnął Drwęcki i zebrał siły.

Jedenaście... dwanaście... Niespodziewanie osłabło lewe ramię, którym zapierał się o ścianę. Musiał je odciążyć. Stał teraz na szczycie stromych schodków jak paralytyk po Heine-Medina. Zachwiało nim...

- Może pan bez obaw spadać, złapię pana - poinformował rzeczowo Stanisław. - Przykro mi, ale dwóch ostatnich stopni na pewno pan nadkomisarz już nie poradzi.

- TRZYNAŚCIE!!! - wykrzyknął Drwęcki na całe gardło. Poczul się tak, jak niegdyś we Lwowie, gdy zrywał się do pierwszego w życiu ataku na bagnety.

Zbiegli się domownicy.

- CZTERNAŚCIE!!! Dawajcie te cholerne książki!!!

Drzwi do strychu były zamknięte na klucz.

- Otworzymy, ale musi pan nadkomisarz teraz sam zejść...

Drwęcki obrócił się do felczera, dysząc nienawiścią. Plastiknie wyobraził sobie, jak wypruwa mu flaki bagnetem... I ruszył.

Stanisław spokojnie cofnął się o dwa stopnie.

- Bardzo dobrze, panie nadkomisarzu, widzę, że zapomniał pan o bólu. Bardzo dobrze...

- Ty łajdaku! - cedził przez zęby Drwęcki.

- Proszę się nie krępować, panie nadkomisarzu. Proszę wyrzucić z siebie całą złość...

- Ugrrr.J - Nie wiedział, jakim cudem wyciągnął przed siebie obie ręce. Myślał tylko o tym, by chwycić Stanisława za gardło i udusić. Z tym zamiarem po prostu zszedł ze schodów i dopiero na ostatnim stopniu zorientował się, że stoi na własnych nogach, bez żadnego podparcia...

- Ależ ma pan przekrwione oczy - dogadywał felczer, wciąż się cofając. - Wygląda pan całkiem jak ten wampir Nosferatu albo jaki inny wilkołak...

Marysia zaczęła bić brawo. Za nią państwo Jasińscy, babcia Irena, wujaszek i Katarzyna Anna z Michałem. Ten ostatni krzywił się przy każdym swoim klaśnieciu, ale idąc za przykładem Jerzego, bił brawo coraz mocniej. Zrobił się z tego mały aplauz.

- Nic już nie stoi na przeszkodzie, aby pan nadkomisarz sam łaskawie raczył udać się do ogrodu - oznajmił Stanisław i po prostu sobie poszedł.

Trzy minuty później zlany potem Drwęcki siedział w fotelu Marysi, ustawionym pod przekwitającą jabłonką. Białe płatki kwiatów spadały mu na twarz, doskonale komponując się z czerwonymi mroczkami latającymi przed oczami. Zona zaczęła ocierać mu czoło, on nie miał nawet siły, by podnieść rękę i pogłodzić ją po brzuchu. Całe ciało pulsowało bólem, jednak tym razem był to ból przyjemny.

Pan Jasiński i Stanisław przytaszczyli zakurzony i opajęczniony kuferek, po czym z namaszczeniem ustawili go u stóp Jerzego. Gospodarz wyłamał wieko dłutem, bo przez dwadzieścia lat gdzieś zapodział mu się klucz.

- Wygląda dobrze - ocenił zawartość. - Tylko trochę pożółkło. Takoz tak, proszę, cały mój Stach jest do pańskiej dyspozycji!

- Może jakiś toaścik? - zagadnął wujaszek Hiacyntus.

- Z miłą chęcią, zaraz każę dać półtoraka! - pan Jasiński ruszył z powrotem do domu.

Marysia ostrożnie klękała przy kufierku i zaczęła głośno odczytywać tytuły książek.

- Homo sapienes... Z cyklu Wigilii... Androgyne... Taniec miłości i śmierci...

- Co powiedziałaś?! - Drwęcki oprzytomniał nagle i usiadł prosto. - To przedostatnie!

- Androgyne - powtórzyła Marysia i uniosła książkę.

- Kiedy wydane? - zapytał gorączkowo.

- W 1900 roku, czemu pytasz?

- Na pewno?!

- Ależ tak - na wszelki wypadek spojrzała jeszcze raz na stronę tytułową.

- Zgadza się! - wykrzyknął Drwęcki w nagłym olśnieniu.

- Boże, to androgynia! Teraz wszystko się zgadza!

- Co się zgodza? - spytał zdziwiony wujaszek Hiacyntus.

- Mój zabójca! Nieokreśloność płci, problemy z metryką i tożsamością... - myślał szybko. - To jest właśnie to, co Boy chciał przede mną ukryć! Gdybyż powiedział mi wcześniej...

- A cóż takiego? - zagadnął powracający gospodarz. Niósł tacę z kieliszkami i omszałą glinianą butelką. - O, Androgynia - spojrzał Marysi przez ramię. - A nie czytał pan tego? Niczego sobie poemacik.

- Nie. Jakoś mi umknął. Teraz dopiero sobie przypominam, że w Ziemiańskiej to był temat tabu. Jak raz w rozmowie napomknięto o tym, doktor Żeleński natychmiast zmienił temat. Jednak, po kolei! Uporządkujmy myśli... Boy był lekarzem pediatrą! Niemowlęta o nieustalonej płci rodzą się wszędzie, co jakiś czas... Jedno mogło zatem urodzić się w Krakowie w lipcu 1900 roku! Matka musiała być niezamężna, bez środków do życia, ale niegłupia i przebiegła. Musiała słyszeć o Przybyszewskim, jego złej sławie i satanistycznych zainteresowaniach... Wpadła jej w ręce ta książka, skojarzyła więc wszystko razem i postanowiła Przybyszewskiego zaszantażować. Ze uczestniczyła w jego czarnej mszy jako ołtarz i stąd urodziła takiego antychrysta... Musiała być jednak dość blisko krakowskiego towarzystwa Stacha, żeby wiedzieć o odczycie Synagogi szatana, podczas którego palono prądem czaszki...

- Była robotnicą z fabryki cygar. One często przychodziły na artystyczne biesiady - pan Jasiński ostrożnie odstawił tacę na stolik. - Znam tę historię od samego Stacha, opowiadał mi o tym przy wódce, ale dałem szlacheckie słowo, że nikomu nie powiem. Skoro jednak pan Jerzy już sam do wszystkiego doszedł, nie ma czego taić. - Także tak, było tak, jak pan nadkomisarz mówi. Stach tej dziewczuchy ani palcem nie tknął. Chyba nawet wcale na oczy jej nie widział, ona wszystkiego się od swoich koleżanek wywiedziała. Jak się jej dziecko urodziło nie takie, jak trzeba... O, przepraszam najmocniej panią Marysię! Zaraz w niemalowane odpukamy! Także tak, szczęśliwie, jabłonka pod ręką... Puk, puk! - z powagą odczynił zły urok i podjął przerwany wątek. - Na domiar złego jeszcze ten, co jej tego cudaka sprokurował, do ojcostwa przyznać się nie chciał, tak i zdesperowana nieboga wykoncypowała całkiem zgrabny szantażyk, że jak jej Stach pieniędzy na to dziecko nie da, to ona z nim wszystkie krakowskie kościoły obejdzie, o czarnych niszach i antychryście rozpowie, aż Stacha wyświęcą z miasta, albo co gorszego.

- W tamtych czasach to niemalże pewny lincz... - zauważył Drwęcki. - A co najmniej śmierć cywilna.

- Także tak, Stach się zdrowo wystraszył. Najpierw pieniądze dał, ale ona chciała

jeszcze. Zaczęła grozić, że do Dagny, znaczy żony, napisze. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby nie pan Żeleński, który świeżo upieczonym doktorem będąc, wyszperał w szpitalnych papierach, co trzeba, i prawdziwego ojca odnalazł. Potem formalnie u notariusza zeznania za twierdził i pod groźbą więzienia przymusił szantażystkę do milczenia. Ale dziwne, że teraz, tak, po tylu latach, wszystko nagle znów wylazło na wierzch?

- Widać dziecko dorosło i postanowiło upomnieć się o schedę po ojcu...

- Myśli pan nadkomisarz, że mu matka prawdy nie powiedziała?

- Panie Zbigniewie, muszę pilnie zadzwonić do Warszawy!

- Zaraz dam znać kierowcy, żeby pana Jerzego na pocztę w Mosinie zawiózł. Przez obiadem obróćcie.

- Szeffie, jak słowo daję, szef to ma pomysły! Trzeci raz to samo śledztwo mamy odgrzewać?

- Do trzech razy sztuka, Księżyk! Wreszcie znalazłem punkt zaczepienia! Trzeba poszukać na zajezdni pracownicy biurowej, która zwolniła się po dziesiątym stycznia, a przed piętnastym lutego.

- I wyjechała do Poznania?

- Tak, chociaż tego raczej nie rozgłaszała.

- I ta kobieta to będzie ta, jak jej tam, androgenia? - spytał sceptycznie młody policjant. - Czy szef trochę nie przesadza?

- To androgyne - poprawił go Drwęcki. - Wiem, jak to brzmi, ale nie upadłem na głowę! To jest obojnak, który w zależności od potrzeb może wyglądać i mówić jak kobieta lub mężczyzna. Mamy zabójcę, którego płci nie można określić jednoznacznie, stąd sprzeczności w zeznaniach świadków. Zabójstwa przygotowuje jako kobieta, a zabija jako mężczyzna. Nie jest silny fizycznie, nie mógł więc zatrudnić się w zajezdni na męskim stanowisku, a konduktorek jeszcze w warszawskich tramwajach nie mamy. Wobec tego musiał być księgową, dyspozytorką albo sekretarką. Sprawdźcie to, do cholery!

- Kurcze, gdybym szefa nie znał, to bym sobie pomyślał, że szef ma coś z głową po tym całym wybuchu...

- Takie są fakty! - uciął Drwęcki. - Skupicie się na nich, a nie własnych uprzedzeniach.

- Jak sobie szef życzy. Weźmy więc tego nieszczęsnego Czerwonckiego...

- Halo, mówi się? - wtrąciła się telefonistka.

- Tak, mówi - odparł Księżyk. - Policja państwowa, rozmowa służbowa, proszę nie przeszkadzać.

- Przepraszam.

- Ustaliliśmy, że Czerwoncki był pies na baby, było mu więc dokładnie wszystko jedno, gdzie, byle tylko dopiąć swego - zaczął tłumaczyć Drwęcki. - Dlatego dał się zwabić na ten transformator. Wyobraźcie sobie teraz, Księżyk, że kiedy oni już zaczęli świntuszyć...

- Po francusku, szefie?

- Wygląda na to, że tak, bo Czerwoncki musiał tam stać z opuszczonymi spodniami. Wtedy nagle androgyne zmienia się na twarzy i zaczyna gadać męskim głosem... Chłop zgłupiał kompletnie, starczyło go lekko popchnąć. Z wrażenia mógł nawet sam zlecieć.

- Niby wszystko się zgadza, szefie, ale w głowie się to nie mieści...

- Nie tylko wam, Księżyk! Poznaniacy są jeszcze bardziej zgorszeni, ale obudźcie się wreszcie, do cholery! Na tym właśnie polega doskonałość tego morderstwa! Ze przebieg zdarzeń nie mieści się w głowie normalnego człowieka, nawet policjanta śledczego, który niejedno w życiu widział. Dlatego każdy mimowolnie zaczyna odsuwać od siebie prawdziwy przebieg zdarzeń i gubi trop.

- Przepraszam, szefie, przekazuję słuchawkę.

- Rybczyński, dzień dobry, panie nadkomisarzu.

- Podśluchiwał pan?

- Od początku, panie nadkomisarzu. Chciałbym powiedzieć, że jako pański zastępca nie otworzę ponownie tej sprawy. Musi Pan zrobić to sam, kiedy pan już wróci z urlopu zdrowotnego, czego wszyscy panu nadkomisarzowi serdecznie życzymy.

- Dlaczego? Znajduje pan jakąś lukę w moim rozumowaniu? Przecież pracował pan wcześniej w obyczajówce, więc nie z takimi ekscesami miał pan do czynienia...

- Rozumowanie pana nadkomisarza jest bez zastrzeżeń, ale mamy jeszcze nieformalną opinię służbową. Będę szczery, obawiam się ośmieszenia. Niech będzie, że na tym polega mechanizm doskonałości tego morderstwa, ale oficjalne postawienie takiej hipotezy śledczej to cywilne samobójstwo. Ja go nie popełnię.

- Uważa pan komisarz, że ja się lepiej nadaję?

- Pan nadkomisarz ma znacznie lepsze stosunki towarzyskie - zauważył Rybczyński. - Być może taka ekstrawagancja łatwiej panu ujdzie płazem...

- Szefie, proszę sobie wyobrazić rekonstrukcję tych wydarzeń przed sądem - dodał Księżyk. - Publiczność i dziennikarze zjedzą na surowo każdego prokuratora czy świadka, który na sali sądowej zacznie opowiadać o obojnaku i francuskiej miłości na włączonym transformatorze... A jakie używanie będzie miała obrona!

- Sąd to pół biedy - powiedział Rybczyński. - Jeśli będą żelazne dowody, sąd to jakoś

przełknie, choćby na rozprawie przy drzwiach zamkniętych. Mnie rozchodzi się o to, panie nadkomisarzu, że zanim pan te żelazne dowody znajdzie, rozejdzie się fama niezwykle szkodliwa dla kariery, mojej lub pańskiej.

- Ale fakty... - zaczął Drwęcki.

- Do takich faktów nasza epoka jeszcze nie dorosła - odparł stanowczo Rybczyński. - Może kiedyś, kiedy Słówek pana Boya będą uczyć dzieci w szkołach, o ile w ogóle do tego dojdzie, oby nie... Na razie to ja wolę dbać o własne dobre imię i panu nadkomisarzowi też tak radzę. Oczywiście, podporządkuję się każdej pańskiej decyzji, kiedy wróci pan do Warszawy i oficjalnie przejmie obowiązki zwierzchnika. Na razie non po - ssumus, panie nadkomisarzu!

- Cóż, dziękuję za szczerość.

- A jak zdrowie pana nadkomisarza?

- Właśnie zacząłem chodzić o własnych siłach... - powiedział z rezygnacją Jerzy.

- To doskonale! A zdrowie szanownej małżonki?

- Dziecko mocno kopie.

- Wspaniale! To na pewno będzie syn! W imieniu całego wydziału życzę państwu wszystkiego najlepszego! Teraz pozwoli pan nadkomisarz, że wrócimy do naszych zajęć. Zazdroszczę panu, że może pan cieszyć się wiosną w sielskim otoczeniu.

- Do widzenia - Drwęcki odłożył słuchawkę i wyszedł z pocztowej rozmównicy. Cały czas stał, teraz więc, gdy zrobił pierwszy krok, ugięły się pod nim kolana. Fiasko rozmowy też zrobiło swoje.

Michał chciał mu pomóc, ale miał jeszcze zbyt słabe ręce. Wywróciliby się obaj, gdyby w porę nie zareagował ich kierowca oraz jeden z interesantów.

- Odmówili ponownego wszczęcia sprawy - oznajmił Drwęcki, kiedy sytuacja została opanowana i szczęśliwie usiedli w samochodzie. - Uważają, że jest zbyt drażliwa obyczajowo...

Witkowiak odetchnął z wyraźną ulgą.

- Ty też?! - parsknął niemile zaskoczony Jerzy. - Przecież chciałeś mieć sprawę godną podręcznika kryminalistyki!

- Ale nie taką... - pokręcił głową Michał. - Wybacz, że nie powiedziałem tego wcześniej, ale twoja teoria śledcza trochę mnie ogłuszyła. Uganiać się za czymś takim... Nie, przepraszam, wybacz. Nie mogę narażać nazwiska przed ślubem z Katarzyną Anną. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem... - burknął Drwęcki. - Jedźmy już na ten obiad!

Dzień minął w minorowym nastroju, a wieczorem Jerzy omal nie pokłócił się o to z Marysią.

- Mam puścić wolno mordercę?! - wybuchnął, kiedy żona też wzięła stronę Witkowiaka. - Nie łapać go, bo to zbyt pachnie skandalem?

- Ależ, Jerzy, nie to miałam na myśli - usiadła obok niego na łóżku. - Spróbuj znaleźć inny sposób. Na pewno potrafisz. Wiem, że tak.

- Może masz rację. Muszę coś wymyślić...

- Masz na to dużo czasu - szepnęła. - Wiesz, co mi się marzy...? - zrobiła przymilną minkę.

- Co?

- Prawdziwe siano... Może byśmy odwiedzili ten sąsiek wieszca Adama... Za parę dni, kiedy będziesz lepiej chodzić.

- Czemu nie - Jerzy odsunął od siebie ponure myśli.

Minął kolejny tydzień. Przez ten czas Drwęcki zaczął już prawie normalnie chodzić. Stanisław odradzał jeszcze bieganie, ale rehabilitacja postępowała szybko. Laska przydawała się tylko podczas wchodzenia po schodach. Także Michał wracał do sił. Podczas gimnastyki zaczął już robić pompki i ostatnio doszedł do pięciu.

Na niedzielę przyjechała Jadzia z Karolem. Z kolei Katarzyna Anna i Michał chodzili od soboty z tajemniczymi, acz bardzo szczęśliwymi minami. Sprawa wydała się, gdy na obiad zaczęli zjeżdżać się sąsiedzi i rodzina państwa Jasińskich. Zaplanowano zaręczyny. Ścisłej mówiąc, ich drugą próbę...

Ten fakt sprawiał, że większe od przyszyłych narzeczonych zainteresowanie gości wzbudzała sprawczyni poprzedniego skandalu. Nie wszyscy orientowali się w szczegółach rozwiązania konfliktu między rodzeństwem, inni zaś liczyli na kolejny melodramat z siostrą Michała w roli głównej. Ze swej strony Jadzia była cicha jak mysz pod miotłą i starała się schodzić wszystkim z oczu. Cały czas trzymała się blisko Karola, wręcz za nim chowała. Wydawało się, że będzie tak do końca, ale Michał i Katarzyna Anna nie odmówili sobie małego triumfu moralnego.

Kiedy pan Jasiński zapowiedział tonem uroczystym, że za chwilę ogłoszone będzie „coś ważnego”, komisarz Witkowiak niespodziewanie wywołał siostrę na środek salonu, w którym zbrali się wszyscy zaproszeni goście.

Jadzia stanęła na oczach zgromadzonych i w przedłużającej się ciszy czerwieniła coraz bardziej. Odczekawszy bezlitośnie długą chwilę, Michał wziął Katarzynę Annę za rękę i z pełną powagą podeszli do onieśmielonej delikwentki. Zbliżywszy się, oboje gruchnęli

przed pannicą na kolana.

- Siostrzyczko, pobłogosław! - zawołał Michał z patosem i dodał ciszej. - Proszę, zastąp naszą matkę.

Po salonie przeszedł szmer uznania. Panna Jadwiga w widoczny sposób bliska była omdlenia. Jeszcze bardziej niewątpliwie widać było, że zapomniała języka w otwartej z wrażenia buzi. A młodzi z uniesionymi w górę głowami patrzyli na nią wyczekująco.

- Ale... ale ja... - zdołała wreszcie wykrztusić dziewczyna. - Ja nie mam nic świętego...

- Państwo pozwolą! - Z tłumy gości wystąpił wujaszek Hiacyntus. Rozpiął mundur pod szyją. - Proszę, oto szkaplerzyk mego dziadka z wojny 1809 roku... - zdjął i z lekkim ukłonem podał Jadzi rodzinną relikwię. - Już panienka ma czym błogosławić! - cofnął się z powrotem pod ścianę.

Panna Jadwiga z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Braciszku... - zaczęła drżącym głosem. - Ppanno Katarzyno Anno... W imieniu moj... naszej mamy błogosławię wam na nową drogę życia... - Zrobiła znak krzyża, po czym podała szkaplerzyk do ucałowania bratu i przyszłej bratowej.

- Tak wygląda Poskromienie złońnicy po polsku! - powiedział głośno Drwęcki.

Gruchnął śmiech i brawa. Potem do błogosławieństw przystąpili rodzice narzeczonej i nastąpiła wymiana pierścionków.

Jerzy i Marysia wymknęli się dwie godziny później, kiedy zaręczynowa biesiada nabrała senności, a goście porozsiadali się w małych grupkach i nikomu już nie chciało się chodzić i patrzeć, gdzie kto przebywa. Dyskretnie zgarnęli ze stołu butelkę cydru, trochę wędlin i chleba. Marysia wyniosła pled z ich Pokoju, po czym chichocząc, przytuleni, wtopili się w księżycową noc.

Drogę do folwarku oraz sąsiek wieszczą Adama obejrzeni sobie zawczasu za dnia, dotarli więc bez błądzenia. Już mieli się rozgościć w tym historycznym miejscu, pachnącym świeżym sianem z pierwszego tegorocznego pokosu, gdy Jerzy w księżycowym blasku, wpadającym przez świetlik pod sufitem, dostrzegł dla siebie godniejsze wyzwanie. Opodal stała drabina, prowadząca na pięterko stodoły, gdzie też składowano siano.

- Wejdziemy tam - pokazał.

- Ojej! - zawołała z udawanym przestraczem. - Będę musiała podkasać spódnicę, a wcale nie mam majtek...

- To wchodź pierwsza! - Pocałowali się namiętnie.

Marysia, chichocząc, wspięła się na drabinę, niosąc koc i koszyk z jedzeniem. Z przyjemnością patrzył z dołu na jej białe nogi, poruszające się w srebrnoszarym półmroku.

Wiedziała, że mąż nie spuszcza z niej oczu, starała się więc stąpać po szczeblach z prowokującą kokieterią kabaretowej tancereczki. Po chwili Jerzy ruszył za nią.

Na szczycie przeżył chwilę niepokoju, schodząc bowiem z drabiny, musiał przez sekundę balansować na uszkodzonej nodze i biodro zaćmiło bólem. Marysia jednak pewnie chwyciła go za koszulę na piersiach i pociągnęła na siano. Przez chwilę szukali się wzajemnie. Jerzy podwinął jej koszulę i zaczął całować obrzmiałe piersi.

- A dzidzius śpi... - szepnęła zmysłowo. - Jak nie będziesz trząść i hałasować, to się nie obudzi...

- Będę bardzo delikatny... nawet sama nie zauważysz...

- Naprawdę? - spytała z przekornym oburzeniem. - Jak to nie zauważę?!

- Bo nie będziesz wiedziała, co się z tobą dzieje...

- Oo!... Zaczekaj! Ktoś idzie!

W tej samej chwili on również usłyszał ściszone głosy. Za moment w drzwiach stanęły dwie przytulone postacie.

- Jadziu, ale naprawdę jesteś pewna?

- Tego, że z tobą Karolku, tego że tutaj i tego, że teraz...

- Tutaj, gdzie wiesz Adam?

- Tak, Karolku... Chodź... zdejmij ze mnie to wszystko... i z siebie też...

W historycznym sąsiedku ożywiły się cienie.

- O smarkacze... - szepnął Jerzy. - Oni też wymknęli się z przyjęcia...

- A mówią... - Marysia delikatnie ugryzła go w ucho - że młodzież nie szanuje tradycji...

- Jadziu, ty naprawdę pierwszy raz...?

- A cożeś myślał?! - w dole zanosło się na kłótnię kochanków.

- Boże, to takie cudowne!

- Nie gadaj tyle, tylko pocałuj... aau... i tu... i tu... ach... aaa...

- Pamiętasz naszą noc poślubną...? - Jerzy delikatnie wsunął się w żonę.

- Nie każda jest... taka święta... - westchnęła Marysia, poruszając lekko biodrami - żeby zaraz... mieć bliźnięta...

- Teraz... Karolku!

Ruchliwa jasna plama splatających się w dole ciał przybrała kształt wielkiego białego motyla, który szeroko rozłożył skrzydła.

- Jadziu, boli?

- Tak... nie... nieważne... proszę... tak...

- Jadziu... jesteś taka piękna... taka cudowna... tak cię kocham...
- Masz mnie całą...
- Calutką... - szepnęła półprzytomnie Marysia. - Lecę... lecę... lecę...
- Jadziu... aż mi się w głowie kręci...
- Mi też... Trzymaj mnie mocno! Mocno... mocniej...
- Jadziu!
- Jerzyk... czuję się, jakbym była nią...
- Ja... chcę tylko ciebie...

Na długą chwilę góra i dół stały się niezależne i zajęte tylko sobą.

- Było ci dobrze?
- Cudownie, Jadziu...
- To chodźmy, zanim złączą nas szukać.
- Tak, dobrze, Jadziu. Pójdziemy jeszcze na spacer?
- Tak, Karolku.

Jadzia i Karol ubrali się w pośpiechu i wybiegli ze stodoły. Marysia uniosła się na łokciu i popatrzyła za nimi.

- Wiesz, chyba jestem strasznie staroświecka... - powiedziała w zadumie. - Ja bym się jednak nie odważyła zrobić tego z tobą przed ślubem.

- Po ślubie też było wspaniale - zapewnił Jerzy. - Ale coś straszny tu ruch...

- Nic dziwnego! - parsknęła Marysia. - Wiesz Adam czuł ducha narodu naprawdę do głębi! Tak mówiła moja pani polonistka. Ciekawe, skąd ona sama to wiedziała...? Jak myślisz, Jerzyk?

- Może lepiej chodźmy stąd, Maryś, bo jeszcze wpadnie tu Michał z Katarzyną Anną, a ja zwątpię w katolicyzm integralny...

- Ależ, Jerzyku, uwierz w poezję Mickiewicza!

- Raczej Boya... Zjemy gdzieś po drodze?

- Mały romantyczny piknik w świetle księżyca, czemu nie? - zgodziła się skwapliwie.

- Może z Jadzią i Karolem? Ale nic im nie powiemy... Cicho sza! Chodźmy ich poszukać!

Kiedy Marysia i Jerzy wyszli, w kącie stodoły poruszyło się siano.

- Aj, jak to dobrze, że pani nas nie spostrzegła! - Karolinka poprawiła ramiączko halki i rozczesała palcami włosy. - Dopieroż by było! Mogłabym jeszcze stracić posadę...

- Wszystko dobre, co z dobrym zakończeniem, proszę panny Irenki. Ma panna ochotę na jeszcze jeden masażyk pupy? - zapytał felczer Stanisław.

- Ooo... tak, ale... - rozejrzała się niespokojnie. - A co będzie, jeśli przyjdzie tu jeszcze

pan Michał z narzeczoną?

- Proszę się nie obawiać - położył jej dłoń na kolanie. - Ja, proszę panny, wierzę w katolicyzm integralny...

- Och, panie Stanisławie!

16. Z otchłani na brzeg

Babcia Irena poprawiła okulary i podniosła wczorajszą gazetę. Odchrząknęła i zaczęła czytać głośno zamieszczone na pierwszej stronie przemówienie prezydenta Mościckiego, wygłoszone z okazji otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej.

„Niesiono przez szereg miesięcy na PWK wszystko, co Polska miała najlepszego: przebogate skarby ziemi, wydobyte ręką polskiego górnika, wyroby przemysłu i rzemiosła, plony ziemi, zebrane spracowaną dłonią rolnika, wielki dorobek kultury i umysłowy. Jeżeli samo dzieło PWK jest wymownym przykładem, czego może dokonać skoncentrowany wysiłek i wola oraz zmysł organizacyjny, to z drugiej strony treść tych setek pawilonów pozwoli nam uzyskać głęboki wgląd w szarą, codzienną pracę naszego narodu, pozwoli nam docenić wielkość bogactw tą pracą wytworzonych, a zarazem zdać sobie sprawę z tych wszystkich braków i zaniedbań, których naprawienie musi być naszym nakazem i hasłem na najbliższą przyszłość”.

- Święte słowa! - wtrącił pan Jasiński. - Za Niemca to, także tak, niejedno bywało lepiej urządzone...

Staruszka skinęła głową i doczytała:

„Wystawiony przed nami dorobek pracy polskiej, dorobek wielki, umocni w szerokich masach szacunek dla rodzimej produkcji, stanie się potężną dźwignią zwiększania jej tempa, stanie się dla młodego pokolenia najlepszą szkołą poszanowania Pracy i jej zrozumienia”.

Wrócili z Przytulic do Poznania późnym wieczorem, 17 maja, dzień po otwarciu Pewuki. Gazety kupiła Lunia, ona też dokonała pierwszego rekonesansu i teraz z przejęciem opowiadała o salwach artylerii, ludziach tańczących na Głogowskiej Poloneza, o tym, jak wyły wszystkie parowozy na Dworcu Głównym i o milionach sprowadzonych z Holandii tulipanów, którymi obsadzono cały Poznań. Dzień przed otwarciem wystawy Lunia wzięła udział w pospolitym ruszeniu poznańskich gospodyń, które przeprowadziły wielkie sprzątnięcie wszystkich pawilonów i alejek.

- A wieczorem, żebyście państwo widzieli, nad placem Wolności zapalili taki ogromny neon reklamowy! „J. A. BACZEW - SK1 OSRAM LAMPE” - wyrecytowała z namaszczeniem.

Pierwsza zaczęła chichotać Karolinka. Po niej beztrąsko parsknęli śmiechem wujaszek

Hiacyntus, Jerzy i Marysia. Z kolei babcia Irena, Lunia, Katarzyna Anna oraz pani Jasińska zachowały wyniosłą powagę dam, którym pewnych rzeczy wiedzieć nie wypada. Tym sposobem Michał, Jadzia i Karol oraz pan Jasiński znaleźli się między dyplomatycznym młotem a kowadłem.

- Przepraszam uprzejmie, z czego państwo się śmieją? - zapytała z niewinną miną narzeczona Michała. - Reklama, jak reklama.

- To taki niuans językowy... - komisarz Witkowiak gorączkowo szukał rozwiązania godnego salonu.

- Michałku, wytłumaczysz mi?

- Może innym razem, skarbie.

Pan Jasiński przestał udawać powagę, pacnął się dłonią w udo i zadudnił rubasznym śmiechem.

- Skoro mój mąż śmieje się w taki sposób, to ja już wcale nie chcę wiedzieć! - oznajmiła stanowczo pani Jasińska.

Karol szepnął coś na ucho Jadzi, skutkiem czego dostał kuksańca łokciem pod żebra.

- To ja pójdą fasować jabłecznik - stwierdziła skołowana Lunia. - Zanim się te fajerwerki zaczną...

- No właśnie! - Michał z ulgą zmienił temat i otworzył szeroko balkon. - To już za parę minut!

- Czy nie powinniśmy jednak podjechać bliżej? - zaniepokoiła się pani Jasińska.

- Ognie bengalskie, proszę mamy, będą wystrzeliwać nad Areną, a to jest w linii prostej tylko dwa kilometry od nas - od powiedział Michał. - Mamy balkon skierowany we właściwą stronę i na dobrej wysokości, a do tego Arena i cały teren E Pe - wuki są położone na stoku wzgórza, nachylonym w naszą stronę, będziemy więc widzieć wszystko jak w kinie.

- Może lepiej pogaszę światła? - zaproponował Karol.

- Byłe szybko! - Michał spojrział na zegarek. - Luniu! Później Lunia pokroi!

Stłoczyli się wszyscy na balkonie. Na sąsiednich balkonach było to samo. Po przeciwnej stronie ulicy ludzie powychodzili na dachy. Zaludnił się nawet dach pobliskiej fabryki czekolady. Mrok gęstniał z każdą chwilą.

Najpierw, jako zapowiedź widowiska, na zachodzie, ponad halami zakładów kolejowych i domami Łazarza, błysnęło kilka pojedynczych rac. Iskry opadły i zgasły. Przez kilkanaście sekund nic się nie działo, a potem gwałtowny błysk rozświetlił całą dzielnicę.

Rozpryskujące się iskry wykreśliły na niebie olbrzymi portret marszałka Piłsudskiego, zwróconego profilem na południe. Szczególnie krzaczasto wypadły brwi i wąsy...

- O, mammo! - jęknęła Jadzia. - Monstrum nad miastem!

Wujaszek Hiacyntus zasalutował z powagą. Karol po sekundzie wahania poszedł za przykładem weterana. Jadzia popatrzyła na narzeczonego ze zgorzeniem, ale kiedy wszyscy wokół zaczęli bić brawo, też przyłączyła się do oklasków.

Po portrecie Marszałka załopotał nad Poznaniem ognisty polski orzeł, nad którym wybuchające race utworzyły napis: „Powszechna Wystawa Krajowa”. Jako następny zaświecił wizerunek prezydenta Mościckiego. Entuzjazm, jak okiem sięgnąć, ogarnął całą ulicę Szwajcarską. Po tym uroczystym wstępie zaczął się już zwykły pokaz sztucznych ogni. Lusia i babcia Irena zaczęły rozdawać kawałki szarlotki, a Michał otworzył szampana.

- Imponujące! Doprawdy, imponujące! - entuzjazmował się paszek Hiacyntus.

- Takoz tak, przyznaję, że jeszcze czegoś podobnego nie widziałem! - sekundował mu pan Jasiński. - Nawet nie sądzi - tem, że to możliwe.

- Panowie, szampana? - podeszła do nich Karolinka z tacą.

- Chętnie, chętnie, moje dziecko...

Zadzwoił telefon, odebrała Jadzia.

- Mieszkanie państwa Witkowiaków... - Słuchała dłuższą chwilę i marszczyła się coraz bardziej. - Panie Jerzy! - oznajmiła na koniec grobowym głosem. - Sanacja do pana.

Drwęcki podszedł szybko.

- Zdziorna bestyjka! - podsumował dziewczynę Wieniawa. - Czołem, Jerzy, jak noga?

- Całkiem dobrze, dziękuję za telegram z życzeniami zdrowia.

- Wybacz, że nie dzwoniłem wcześniej, ale zamiast gadać, wolałem działać. Już po twoich kłopotach, mam nadzieję, że ci przekazali? Nie masz aby czasem czegoś do załatwienia w Warszawie?

- Owszem, znalazłoby się kilka spraw...

- To wysyłam samochód! Za półtorej godziny z Ławicy odlatuje rządowy samolot, jest miejsce dla ciebie.

- Coś pilnego?

- Boy prosił, żebym ja to załatwił, bo mu samemu teraz cholernie głupio.

- Rychło w czas!

- Mam przekazać, że ogromnie mu przykro i że chodzi o Stasię Przybyszewską...

- Jadę - zdecydował Jerzy.

- To w porządku. I jak będziesz się widział z Boyem, lepiej mu odpuść. Franc już tak mu nagadał, że naprawdę nie chciałbyś być w jego skórze... Pozdrów żonkę i do zobaczenia w

Warszawie!

Drwęcki odłożył słuchawkę.

- Dokąd jedziesz? - zainteresowała się Marysia.

- Do Warszawy. - Pomyślał chwilę. - Na trzy, cztery dni. Masz pozdrowienia od Wieniawy.

- Dziękuję. Kiedy wyjeżdżasz?

- Jeszcze dzisiaj. Właściwie to polecę samolotem.

- W takim razie... - Marysia podeszła do telefonu - muszę dać znać Karolinie Gryfkowej, żeby przygotowała nasze mieszkanie. Potem cię spakuję.

Usłyszawszy nowinę, babcia Irena bardzo się zdenerwowała.

- Jacusiu, szkaplerzyk! - zawołała gorączkowo do męża. - Trzeba natychmiast pobłogosławić Jerzego na to całe latanie po nocy, żeby, nie daj Bóg, na jaki komin nie wpadł! Nie macie no może jakich relikwii?!

- Tylko ocet święcony, proszę pani - odparła wesoło Jadzia. - Bo Lunia kiedyś niechcący, przed wyjściem do kościoła, pomyliła flaszeczki... Potem głupio było do galartu zużyć...

- A, dobrze! - babcia Irena zupełnie nie była w nastroju do żartów. - To go nawet lepiej zakonserwuje!

Wsparty na lasce Drwęcki wdrapywał się po schodach urzędu śledczego, zmierzając do swego gabinetu. Nigdy dotąd nie podejrzewał, że to aż tak wysoko i daleko. Jak na triumfalny powrót wypadło to dosyć pokracznie. Witający go podwładni i znajomi demonstrowali raczej mieszane uczucia. Jedni szczerze cieszyli się na jego widok, inni najwyraźniej nie wierzyli własnym oczom.

Dobrze, że do tych pierwszych zaliczali się przynajmniej najbliżsi współpracownicy. Przed gabinetem uformował się komitet powitalny, na którego czele stali Rybczyński i Stefania z bukietem czerwonych goździków.

- Panie nadkomisarzu, serdecznie witamy z powrotem w Warszawie! - zaczęła sekretarka.

- A ja bardzo się cieszę, widząc panią wciąż z nami - Jerzy Przełożył laskę z prawej do lewej ręki, by móc pocałować jej dłoń.

- Postanowiłam, że jeszcze trochę dla pana popracuję - uśmiechnęła się, podając kwiaty.

- Wszędzie dobrze, w domu najlepiej - wyciągnął rękę Rybczyński.

- A szef, jak zwykle, pod prąd! - podsumował radośnie Księżyk. - Kiedy wszyscy do Poznania, szef z Poznania! Chyba nie było tam aż tak źle?

- Oberwałem gorzej niż we Lwowie, ale poza tym całkiem, całkiem - uśmiechnął się kwaśno Jerzy. - Panowie, mam z wami do pomówienia!

- Spodziewaliśmy się tego - odparł z powagą Rybczyński.

Przed Drwęckim stanął Sawilski.

- Panie nadkomisarzu, niech mnie diabli wezmą, ale cieszę się, że pana widzę!

- Na miejscu diabłów bym tego nie robił, bo sam Lucyfer skończy w Poznaniu jako portier na Pewuce... Dziękuję państwu za serdeczności, a teraz proszę wracać do swoich zajęć! Pierwszy w moim gabinecie zamelduje się podkomisarz Księżyk.

- Tak jest, szefie!

Drwęcki wszedł do siebie i odetchnął głęboko. Zapach był inny... Po namyśle uznał, że to kwestia marki tytoniu. On palił raczej mało wykwintne płaskie, co było nawykiem jeszcze z czasów obrony Lwowa, gdzie nazywało się je „psideptane”. Komisarz Rybczyński delektował się znacznie bardziej ekskluzywnymi cygarami Batory z fabryki w Rawiczu. Ale, mniejsza o to! Jerzy usiadł za biurkiem i polecił Stefani prowadzić Księżyka.

Podkomisarz wszedł razem z Rybczyńskim, obaj z papierami w rękach.

- Szefie, wiedzieliśmy, że pan nie odpuści, więc rozejrzeliśmy się trochę nieoficjalnie - oznajmił Księżyk.

- Oczywiście, liczymy na to, że pan nadkomisarz dobrze się zastanowi, zanim nada tym rewelacjom bardziej formalny bieg - dodał Rybczyński.

- Co macie? - Drwęcki nie miał ochoty dyskutować.

Księżyk bez słowa położył mu na biurku zdjęcie poważnej kobiety pod trzydziestkę, niezbyt ładnej, o włosach ułożonych w najmodniejsze krótkie loki, z przedziałkiem biegnącym przez środek głowy. Być może wrażenie niedostatku urody stwarzał brak uśmiechu. W jej rysach, czy też grymasie, było coś niepokojącego. Jakby jakiś rodzaj zaciętości... Dopiero wiedząc, czym była w istocie, można było dopatrzeć się ukrytych pod kobiecością cech twarzy męskiej. Z równą pewnością mogła to być jednak tylko autosugestia, na której nie należało polegać.

- Tylko jedna kobieta zwolniła się z pracy na zajezdni w okresie, o którym pan mówił, i zaraz potem wyjechała z Warszawy - powiedział Księżyk. - Księgowa, Ewelina Białozimska, urodzona 10 lipca 1900 roku w Krakowie, ojciec nieznan, matka Marcelina, robotnica fabryczna, zmarła 23 marca 1916 roku. Z tego, co pan mówił, to musi być ona, czy raczej ono... te androgyne, czy jak mu tam. To zdjęcie zrobiono w grudniu 1927, przy okazji

kolacji wigilijnej tramwajarzy. Zbiorowo, ale kazałem wyodrębnić i powiększyć twarz Białozimskiej. Chyba nieźle wyszło, co szefie?

- Rzeczywiście... Dziękuję podkomisarzu Księżyk.

- Ja z kolei popytałem wśród moich dawnych kolegów z obyczajówki - oznajmił Rybczyński. - Sprawdziłem znajomości tej Wickiej, która zginęła w wybuchu. prostytutki zwykle trzymają się razem, więc dotarłem do jej znajomych i sute - nera. Opowiedzieli mi ciekawą anegdotę. Podobno Wicka miała jakąś koleżankę cichodajkę, która nigdy nie dała się zarejestrować, bowiem jak przychodziło do obławy, ta bardzo skutecznie zaczynała udawać mężczyznę, klienta Wickiej, który uwalniał się od kłopotów zwyczajową łapówką. Ostatnio zaś podobno jakaś koleżanka załatwiła Wickiej melinę w Poznaniu °a czas Pewuki, o czym marzą wszystkie uliczne panny w Rzeczpospolitej.

- Nie mają czego zazdrościć... - mruknął Drwęcki. ~ Wszystko wskazuje na to, że Wicka, jak mawiają w wydziale drugim Ministerstwa Spraw Wojskowych, była „człowiekiem konserwą”. Ciekawe, co łączyło Białozimską z Laszczakiem?

- Ten wybuch bardzo skutecznie zatarł jej przeszłość - zauważył Księżyk.

- Skoro Laszczak był co najmniej podwójnym agentem, ja na jego miejscu zostawiłbym jakiś atut wyłącznie dla siebie... - myślał głośno Jerzy. - Może była to znajomość z Białozimską, obdarzoną bardzo pożyteczną zdolnością damsko-męskiej metamorfozy?

- To tylko przypuszczenia i wiedza operacyjna - zastrzegł Rybczyński. - Zupełnie nie mamy z czym iść do sądu. Nie zmusimy, zwłaszcza Białozimskiej, żeby na nasze zawołanie przekształciła się w mężczyznę... Jeżeli to w ogóle jest prawda - dodał z naciskiem.

- Niestety, ma pan rację, komisarzu - westchnął Drwęcki. - Niemniej warto by ustalić, gdzie ona teraz jest. Dziękuję panom, to wszystko! Proszę po drodze polecić panie... ehm... pani Stefanii, żeby zamówiła międzymiastową z Poznaniem i połączyła mnie z komisarzem Witkowiakiem.

- Przepraszam, czy pan nadkomisarz ma zamiar wracać do Poznania? - zdziwił się Rybczyński.

- Owszem, panie komisarzu, jeszcze trochę mnie pan tu pozastępuje...

- Pięknie! A myślałem, że teraz ja będę mógł zwiedzić wystawę krajową...

- Ma pan czas do końca września, w kwestii urlopów jakoś się porozumiemy, a na razie, do widzenia.

Pół godziny później Stefania zapowiedziała połączenie z Witkowiakiem.

- Wysyłam ci zdjęcie i podstawowe dane podejrzanej - zakomunikował mu Drwęcki i streścił najnowsze ustalenia.

- Najpierw prostytutka, potem księgowa, teraz artystka zabójczym... - podsumował Michał. - To by wskazywało na nielichą ambicję, inteligencję i spryt.

- Skutki jej sprytu obaj poczuliśmy na własnej skórze - zauważył Jerzy.

- Ciekawsze jest co innego - odparł Witkowiak. - Mam znaleźć kobietę, która może być mężczyzną, wśród milionów zwiedzających Pewukę? Jesteś pewien, że wiesz, czego chcesz?

- Liczę na twój poznański spryt...

- Bierzesz mnie pod włos? Ha! Tej, poruty nie będzie!

Drwęcki wszedł do Ziemiańskiej. Natychmiast podbiegł do niego rozentuzjasmowany kelner.

- Jak miło znów widzieć pana nadkomisarza! Mogę prosić o okrycie? Doktor Żeleński już czeka na pięterku!

Jerzy z namysłem popatrzył na schody i razem z kapeluszem i płaszczem oddał do szatni także laskę. Wziął głębszy wdech, po czym zaczął wchodzić na górę, starając się stąpać z taką samą swobodą jak kiedyś. Wymagało to zdecydowanego napięcia woli przy każdym podnoszeniu prawej nogi, mimo to jednak utykania nie dało się ukryć.

Boy na jego widok wstał od stolika. Umówili się na spotkanie i męską rozmowę pół godziny przed resztą towarzystwa. Żeleński był blady i wahał się podać rękę. Drwęcki wyciągnął ją pierwszy, po czym usiadł bez słowa.

- Czuję się winny pańskiego wypadku... - zaczął Boy.

- Powinien pan mieć wyrzuty z powodu śmierci co najmniej pięciu niewinnych ludzi - odparł oschle nadkomisarz. - Gdyby od razu powiedział mi pan wszystko, co pan wiedział, to byłaby najzupełniej rutynowa sprawa kryminalna. Mielibyśmy wytypowaną podejrzaną, zarządzili natychmiastowe przeszukanie jej mieszkania i jeśli znaleźlibyśmy tam elektryczne perły, teraz już sam pan prezydent Mościcki zastanawiałby się, czy to „coś” zasługuje na ułaskawienie. W najgorszym razie zatrzymalibyśmy Białozimską w Warszawie i nie dopuścili, aby narobiła szkód w Poznaniu, a na pewno nie pozwolili jej zatrzeć za sobą śladów. Mógłby pan odpowiadać za utrudnianie śledztwa... Ale dobrze, dość o tym! Teraz ja spokojnie wysłucham pana, przez wzgląd na Wieniawę.

- Myślę, że jeszcze mogę pomóc... - Boy spuścił wzrok.

- Opowiadając mi o szantażu dokonany na Stanisławie Przybyszewskim w Krakowie, na początku wieku, za pomocą androgynicznego niemowlęcia?

- Więc już się pan dowiedział...

- Za późno, jak mówiłem. Ciekaw jestem tylko, dlaczego teraz postanowił pan zmienić

front?

Boy sięgnął do kieszeni kamizelki i położył na stoliku trzy elektryczne perły. Były oznaczone cyframi 5, 6 i 7, napisanymi chemicznym ołówkiem, a przez to nieco już rozmazanymi.

- Od pięciu tygodni zaczęły przychodzić do Stasi Przybyszewskiej - wyjaśnił cicho Żeleński. - W porządku malejącym, od numeru siedem, w nieregularnych odstępach czasu, ale czwórka powinna chyba już być w drodze... I jeszcze jedno, dwa pierwsze znaczki miały stempel poznańskiej poczty. Trzeci - gdańskiej.

- Czy razem z perlami przysłano jakieś wiadomości?

- Tylko z numerem siódmym, krótki łaciński tekst: „de pro - fundis ad ripa”.

- „Z otchłani do brzegu” - przetłumaczył półgłosem Drwęcki. - Jednoczesna parafraza biblijnego psalmu i zarazem aluzja do tytułu dzieła Przybyszewskiego, poświęconego związkom kazirodczym... - zmarszczył brwi. - Może to zatem oznaczać miejsce, z którego przysłano perły, powiedzmy; otchłań zbrodni, albo jest to zapowiedź przybycia ich nadawcy... Raczej drugie, zważywszy malejącą numerację. Aluzji do bliskiego pokrewieństwa też nie można pominąć...

- Tak, panie nadkomisarzu - Boy nabrał śmiałości. - Mnie też to przyszło do głowy, ale wydaje się, że wszystkiego jednak pan nie wie.

- Czego? - zainteresował się Drwęcki.

- Zetknąłem się z Białozimską nie tylko wtedy, gdy ona była niemowlęciem o nieustalonej płci, a ja początkującym lekarzem pediatrą. Potem, w czasie wojny widziałem ją w cyrku. Pracowała tam...

- Jako kobieta z brodą? - wtrącił z przekąsem Drwęcki.

- Prawie pan zgadł. Na oczach publiki zamieniała się z kobiety w mężczyznę, a dokładniej mówiąc, zmieniała głos i rysy twarzy. To drugie robiła mniej więcej na takiej zasadzie, jak my grymasy, co nie wydaje się dziwne, zważywszy, że jest obdarzona typem kośćca i muskulatury pośrednim między obiema płciami - To samo z krtanią. Zainteresowani tym fenomenem mogli zbadać bliższe szczegóły anatomiczne za godziwą opłatą na tyłach cyrku. Podobno nawet uskutecznić coś więcej ponad tę amatorską antropologię...

- Wiem, że była prostytutką - odparł Drwęcki. - Cenna jest dla mnie informacja, że wcześniej pracowała w cyrku. Znaczy to, że trenowała swoje przemiany i ma w tym dużą wprawę, ale także powinno się znaleźć wielu świadków, którzy ją widzieli w męskiej formie, może nawet jakieś zdjęcia.

- Proszę - Boy sięgnął za pazuchę i wyjął fotografię. - Jednak obawiam się, że czas

zrobił swoje...

Drwęcki zmuszony był przyznać mu rację. Sfatygowane zdjęcie przedstawiało parę nastolatków, dziewczynę i chłopca, ubranych w tę samą sukienkę. Dziewczyna wykazywała wprawdzie pewne podobieństwo do osoby na zdjęciu dostarczonej przez Księżyka, ale rysy obojga maskował skutecznie krzykliwy, egzotyczny makijaż, bodaj z okolic Wyspy Wielkanocnej czy innego Tobago. Na dodatek był to ewidentny fotomontaż dwóch fotografii „przed” i „po” przemianie. Nawet gdyby świadek Żurek rozpoznał w owym cudaku robotnika, którego widział wchodzącego do podstacji, dla sądu byłby to żaden dowód. Pierwszy lepszy aplikant adwokacki ośmieszyłby doszczętnie prokuratora, usiłującego zbudować oskarżenie na: „Absolutnie sensacyjnym i pierwszym w historii ludzkości wizerunku egzotycznych bliźniąt syjamskich z Wyspy Dziewiczej na Oceanie Pacyficznym, posiadających jedno ciało na dwie dusze odmiennej płci”, jak głosił bombastyczny podpis pod zdjęciem. „Maja jest dziewczęciem, dusza chłopca ma na imię Katho, w zależności od tego, które z nich bierze ciało w posiadanie, zmieniają się widoczne cechy płciowe”. Tekst ten przestawał być niedorzeczny dopiero wtedy, gdy patrzyło się nań jak na dyskretną ofertę sutenera...

- Na swoje usprawiedliwienie - powiedział Boy - mogę dodać, że aż do pańskiego wypadku nie przyszło mi do głowy, iż sprawcą tych zabójstw może być dziecko będące przedmiotem tamtego szantażu. Myślałem, że to ktoś całkiem inny. Nawet teraz mam co do tego niejaki wątpliwości...

- Dziabaszewski nie mówił panu o kłopotach z metryką pewnego oszusta, podającego się za brata Przybyszewskiej?! - zirytował się Drwęcki. - Proszę, niechże się pan przynamniej nie tłumaczy! A za Kubusia Fatalistę jak najbardziej dziękuję!

- Pomówmy lepiej o bezpieczeństwie Stasi w Poznaniu.

- Niech lepiej siedzi w Gdańsku i nie przyjeżdża na Pewukę.

- To wykluczone! Stasia koniecznie chce się spotkać z Emilem w sprawie wystawienia swoich dramatów w Teatrze Polskim. Na dodatek, w związku ze staraniami o stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, wypada jej pokazać się na PWK, zwłaszcza w Pałacu Rządowym, gdzie będą wysoko postawione osoby, pan rozumie...

- Rozumiem. „Wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego, jest zapisane w górze”*. - Drwęcki zacytował z przekąsem.

* Denis Diderot, Kubuś Fatalista i jego pan, tłum. Tadeusz Żeleński Boy, Wydawnictwo „Książka”, Warszawa.

- Na litość boską, panie nadkomisarzu!

- Mam nadzieję, że się już pogodzili! - dobiegł z dołu tubalny głos Fiszera.

Razem z myślicielem na pięterko wchodzili właśnie Wieniawa i Tuwim.

- Panie Jerzy! - Fiszer był w doskonałym humorze. - No, niechże pana uściskam! - szeroko rozłożył ramiona. - Powiadają, że w tym Poznaniu przygniółł pana worek pyrów, ale pan się jakoś wygrzebał i obrał je ze skórki co do jednego!

- Niezupełnie tak było... - uśmiechnął się Drwęcki.

- Ale teraz ja pana pomszczę i zjem je wszystkie!

- Pan Franciszek wybiera się na Pewukę?

- Miałożby mnie zabraknąć na wystawie największych osiągnięć krajowych?! - obruszył się myśliciel i poklepał po brzuchu. - Zresztą, wszyscy jedziemy! Nawet Stasię zabieramy z sobą. Tadek panu nie mówił?

- Jeszcze nie było okazji - odparł Wieniawa, witając się z Drwęckim. - Właśnie teraz mieliśmy się naradzić w tej sprawie. Rzecz jasna, jeśli panowie już skończyli?

Boy i Jerzy wymienili posępne spojrzenia.

- Właściwie tak - stwierdził Drwęcki i ruszył przywitać się z Tuwimem. Potem zebrał ze stołu ponumerowane perły i fotografię. - Pan Tadeusz bardzo mi pomógł, ale nie wspomniał, że będzie z nami jechać córka Stacha...

- Nie zdążyłem - mruknął Boy.

- Jak rozumiem, mam zapewnić jej bezpieczeństwo?

- Obecność pana Jerzego z pewnością nie zaszkodzi - stwierdził Fiszer.

- Przepraszam, panie Franciszku, to teraz ja skorzystam z okazji. Czy mówi panu coś nazwisko Ewelina Białozimska?

- Kim u licha miałyby ona być?!

- Powiedzmy, że artystka...

- Czekaj, czekaj, panie Jerzy, coś jakby mi świta!

- To przypadkiem nie ta grafomanka? - podsunął Tuwim.

- Kiedyś dla śmiechu czytałeś mi Franc jej pseudofuturystyczne poezje...

- A, rzeczywiście! - przypomniał sobie Fiszer. - Jakże to było... „śmierć w fabryce”? Nie, chyba „fabryki śmierci”...?

- I strasznie dużo o elektrycznych krzesłach! - dodał Tuwim. - Literalnie elektryczny sklep meblowy! Ewidentny bzik na punkcie elektryczności i przemysłowego umierania...

- Nie macie może rękopisów? - spytał Drwęcki.

- Gdzie tam! - machnął ręką Fiszer. - Dobrze pięć lat temu Pofrunęły do kosza. Ta Białozimska kręciła się jakiś czas przy Skamandrze, ale niczego jej nie wydrukowali. A co,

teraz wydała jakiś tomik?

- Raczej zaczęła inscenizować - odparł Drwęcki. - Podejrzewamy ją o serię zabójstw, inspirowanych futurystyczną poezją.

- No, no, no, więc jednak nie grafomanka... - pokiwał głową Fiszer.

- Tadeusz obawia się, że może nastawać na życie Stanisławy - powiedział Wieniawa. - Dlatego tak' zależało nam na obecności Jerzego. I trzeba by jeszcze zastanowić się, jak zaradzić kłopotom Julka...

- Jakim kłopotom? - Drwęcki chętnie zmienił temat. Nie miał zamiaru robić ze swojego śledztwa przedmiotu kawiarnianych dyskusji.

- Nie ja mam kłopoty, tylko raczej chciałbym je komuś sprawić - sprostował Tuwim z uśmiechem. - Mam ochotę odplacić poznańskim endekom pięknym za nadobne!

- Za co, panie Julianie?

- Ogłosili, że nie jestem poetą polskim, tylko „polskojęzycznym”!

- Ma pan już jakiś plan? - Drwęcki popatrzył badawczo. - Wierzę, że zgodny z prawem...

- Ależ, oczywiście! Pamięta pan nadkomisarz tę historię z posłami z Beludżystanu? Bodaj dwa lata temu to było...

- Chodzi o tych trzech kabaretowych przebierańców, którzy nabrali władze Poznania i przez dwa dni podejmowani byli ze wszystkimi honorami przez prezydenta Ratajskiego?

- Właśnie, panie Jerzy! Chciałbym zrobić coś w tym samym stylu. Oczywiście, na drugą egzotyczną delegację oni tam już nie dadzą się złapać.

- I dlatego mieliśmy tu coś uradzić! - zadudnił Fiszer. - Ale przecież nie o suchym pysku! Gdzie ta kawa?!

- Już niosę, proszę Boga Ojca! - zawołał kelner, wchodząc z tacą po schodach.

Na kilka minut wszyscy skupili się tylko na zawartości filiżanek.

- Pomyślałem sobie - wrócił do tematu poeta - że na Powszechną Wystawę Krajową mogliśmy przywieźć jakiś niezwykle interesujący eksponat...

- Ciekawy dla endeków? - zamyślił się Fiszer. - To najlepszy będzie Chińczyk nawrócony na judaizm! Wyobraźcie sobie tylko: żółty żywioł i syjonistyczny spisek w jednym...

- Jeszcze parę takich eksponatów i można by zorganizować przy Pewuce narodowy gabinet grozy... - Tuwim doprecyzował pomysł Fiszera.

- Czekać, no! - powstrzymał ich Wieniawa. - Bo ja jeszcze nie powiedziałem Jerzemu najistotniejszej rzeczy. Pojutrze będzie szedł pociąg specjalny do Poznania. Na

polecenie Komendanta mam zawieźć na wystawę parudziesięciu fajdanajów z BBWR. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby dołączyć salonkę i dla naszego towarzystwa z Ziemiańskiej...

- Pan Marszałek też jedzie? - zagadnął Jerzy.

- Nie - pokręcił głową Wieniawa. - Komendant w ogóle się na PWK nie wybiera. Wie, że w Poznaniu najchętniej ugotowaliby go żywcem w kartoflance, i nie chce zadrażniać.

- Mamy się pospolityzować z panami posłami na Sejm?! - obruszył się Fiszer. - Z nimi miałbym gadać o metafizyce i rzeczach wyższych?!

- To żaden kłopot - odparł Wieniawa. - Pomiedzy naszą salonką a pulmany posłów damy wagon bufetowy, obsługujący obie strony. To nas skutecznie od siebie rozgrodzi.

- Jeżeli tego baru nie wezmą, to jestem za! - zgodził się Fiszer.

- Dobrze tę twierdzę opatrzymy... - obiecał Wieniawa.

- Stasia jutro przyjeżdża do Warszawy i zatrzyma się u mnie - poinformował Boy. - Potem zabierzemy ją na wystawę krajową i razem będziemy mieli na oku.

- Dobrze - machnął ręką Drwęcki. - Przecież nie odmówię Pomocy damie w niebezpieczeństwie...

- Niby piechur, a mówi jak ułan! - ucieszył się Wieniawa. ~ Skoro mamy to już ustalone, zajmijmy się teraz figlem Juliana - Wolałbym nie mieszać do tego polityki, spróbujmy więc z innej beczki... Co może być na całym świecie najbardziej niedorzecznego i niepotrzebnego?

- Szklana lokomotywa! - odparł natychmiast Tuwim.

- Czemu by nie zaprząć jej do naszego pociągu? - zaproponował Fiszer.

- Czekaście! - zatarł ręce Wieniawa. - Zrobimy tak! Najnowsze osiągnięcie narodowych konstruktorów, demonstrowane pierwszy raz na Powszechnej Wystawie Krajowej! Ziszczony sen Żeromskiego! Lecz nie szklany dom, a lokomotywa z pancernego szkła!

- Trzeba by podkreślić jakieś jej zalety... - podsunął Drwęcki.

- Nierdzewna! - zawołał Tuwim.

- Szkło mocniejsze od stali, ale od niej lżejsze... - myślał głośno Boy.

- Nie uwierzą - stwierdził ponuro Fiszer.

- Uwierzą we wszystko, jak dostaną wiadomość z pewnego źródła - odparł Wieniawa.

- Jutro zrobię przeciek z Ministerstwa Spraw Wojskowych. Telegram niby od jakiegoś endeka do kogoś z otoczenia samego Dmowskiego, donoszący o nadzwyczajnym sukcesie polskiej myśli technicznej. Zasugeruję, żeby zorganizowali na dworcu w Poznaniu godne powitanie...

- Jak się wyda, to nas tam zamordują! - prychnął Boy.

- Dlatego policję państwową zawiadamiamy zawczasu - Wieniawa skłonił się w stronę Drwęckiego.

- Tylko parowóz powinien jednak wyglądać jakoś niezwykle... - zauważył Jerzy. - Żeby już z daleka nie było widać, że to mistyfikacja.

Wieniawa namyślał się dłuższą chwilę.

- Pomalujemy go szkłem wodnym! - oznajmił.

17. Szklana lokomotywa

- I on naprawdę kazał ją pomalować?
- Pewnie! Zdejmiesz tę koszulę?
- Już... ummm...
- Jesteś jędrna jak pomidorek...
- Raczej dynia!
- Jak garść pomidorków... Uwielbiam cię pieścić!
- Uwielbiam, kiedy mnie pieścisz... mmm... Ale najpierw mi opowiedz!
- Co mam ci opowiedzieć?
- Jak pan nadkomisarz Drwęcki jechał pociągiem do Poznania.
- A jeśli będziesz się bała?
- To się bardzo mocno przytulę...

Specjalny pociąg rządowy podstawiono przy Dworcu Gdańskim, na ustronnej bocznicy, skrytej w cieniu drzew porastających skarpe od strony ulicy Inflanckiej. Prowadziła tu niepozorna, gruntowa droga, stanowiąca przedłużenie zaułka Kłopot, którą co chwila zjeżdżały dystyngowane limuzyny z zaproszonymi na Pewukę posłami. Na zaimprovizowanym peronie ruchem przybywających kierowało kilku umundurowanych oficerów, w tym dwóch kapitanów, znanych już Jerzemu z widzenia. Oni z kolei musieli znać wszystkich bywalców Ziemiańskiej, bo wskazywali drogę bez zbędnych pytań.

Spotkanie ze Stanisławą Przybyszewską mocno Drwęckiego rozczarowało. Tyle nasłuchał się o wielkiej artystce i duchowej sukcesorce sławnego ojca. Liczył, że dowie się czegoś istotnego, co posunęłoby śledztwo do przodu. Zwłaszcza że mieli spędzić w pociągu wiele godzin i był czas na wnikliwą rozmowę - Zależało mu też na kopertach, w których przysłano elektryczne perły. Tymczasem, nic z tego! Spotkał głupkowato rozchichotaną damulkę, z którą nie dało się zamienić ani pięciu sensownych słów. Co chwila zmieniała temat i nie była w stanie ustać ani usiedzieć w miejscu. Dopiero uważne spojrzenie w jej oczy wyjaśniło sprawę. Miała źrenice jak łebki szpilek. Morfina. W końcu zdołał z niej wyciągnąć tyle, że koperty wyrzuciła albo zostały w Gdańsku, albo w Gdańsku zostały wyrzucone... Hi, hi hi!

- Panie Jerzy, nie wiem, jak mam pana przeproszać! - kajał się Żeleński, gdy Drwęcki

przyjechał zabrać ich na dworzec swoim służbowym samochodem. - Mówiłem Stasi, żeby nic nie zażywała przed rozmową z panem. Obiecała mi to i sądziłem, że można jej zaufać...

- Od kiedy ufa pan narkomanom? - wzruszył ramionami Drwęcki. - Doprawdy, widać postęp artystyczny! Ojciec alkoholik, córka morfinistka...

- Kokainkę też lubię! - zapewniła Przybyszewska, pakując się do samochodu z otwartą parasolką, skutkiem czego strąciła Maniewskiemu czapkę i omal nie wybiła tylnej szyby.

Trochę potrwało, zanim przywołali artystkę do porządku.

- Naprawdę nie wiedziałem, że sprawy zaszły tak daleko - Boy wrócił do tematu, gdy dojechali na miejsce. - Obiecuję, że poważnie z nią porozmawiam, jak tylko dojdzie do siebie.

Drwęcki podniósł wzrok na Przybyszewską, która, wymachując parasolką, tańczyła właśnie obok pociągu i kokietowała pilnujących porządku oficerów.

- Na razie niech pan dopilnuje, żeby nie zobaczył jej żaden z posłów związanych z Ministerstwem Oświecenia, bo będą nici z jej stypendium twórczego.

- Tak, ma pan słuszność! - Żeleński przyspieszył kroku. - Stasiu! Proszę, pozwól tu ze mną... - chwycił ją stanowczo za łokieć i zaprowadził prosto do drzwi wagonu towarzystwa z Ziemiańskiej.

Przybyszewska jednak ociągała się z wejściem do środka. Co weszła na najwyższy stopień, to z chichotem zeskakiwała z powrotem na peron, udając, że skacze ze spadochronem, za który służyła parasolka.

- Co? - z okna salonki wychylił się Fiszer. - Ta idiotka, znowu?!

- Niestety... - westchnął Boy z rezygnacją.

- Zaraz powiem Julkowi i Antkowi - brodata głowa z o dwa numery za małym melonikiem na ciemieniu cofnęła się do środka.

Za moment w drzwiach salonki pojawili się Tuwim ze Słonimskim. Gdy Przybyszewska spróbowała zeskoczyć kolejny raz, poeci sprawnie i stanowczo wciągnęli ją do środka. To się pani dramaturg nie spodobało.

- Łapy precz od sztuki mego ciała! - wrzasnęła na cały wagon.

- Absolute nelegeblal - odpowiedział jej Tuwim w esperanto.

- Sam jesteś nie do czytania!

Boy szybko wdrapał się do środka, by załagodzić awanturę.

- To już wszyscy? - zagadnął Drwęcki, gdy Fiszer znowu pokazał się w oknie.

- Na parę osób jeszcze czekamy - odparł myśliciel.

- To ja pójdę zobaczyć, co Wieniawa majstruje przy parowozie.

- Tylko niech pan uważa na garnitur, panie Jerzy - przestrzegł go Fiszer. - Tam chlapią

jak wariaci, a plama ze szkła wodnego jak wyschnie, to niczym się jej nie wywabi.

- Wiem, panie Franciszku - Drwęcki ruszył w kierunku czoła pociągu.

W kłębach spuszczonej co chwila pary trzech pracowników kolejowych, z minami ludzi, którzy nigdy nie dziwią się niczemu, szczotkami na długich trzonkach energicznie pacykowało parowóz przezroczystym roztworem nabieranym z dwóch wiader. Na kominie i gorących fragmentach kotła woda parowała niemal natychmiast i znaczna część czarnych blach parowozu była już pokryta połyskującym w słońcu, białym nalotem. Bardziej przypominało to sól niż szkło, ale z daleka i w ruchu powinno należycie podziałać na urobioną wcześniej wyobraźnię widzów. Patrząc na przygotowania do kawału, Jerzy odzyskał dobry humor, który zepsuła mu Przybyszewska.

- Gdyby ktokolwiek o to pytał, odpowiadać „tajemnica wojskowa”! - surowo instruował Wieniawa pracowników kolei. - Wam - zwrócił się do roześmianego maszynisty i jego pomocnika - wytłumaczę wszystko, jak ruszymy. Na razie powiem tyle, że w grę wchodzi ułańska fantazja...

- Tego pan pułkownik mówić nie musi! - zapewnił maszynista. - Ja też ułan! I ciekawym, kiedy wreszcie pan pułkownik mnie pozna...?

- Od początku myślałem, że twarz jakby znajoma... Czekajcie, no...! Rarańcza?

- Nie, panie pułkowniku. Kielce i Sokołów.

- Wasilewski! Niech ja skonom! Kopę lat!

- Jak pan pułkownik widzi, przesiadłem się na ognistego konia.

- Ech, powspominamy sobie po drodze! Powspominamy...

- Ile będziemy jechać? - zagadnął Drwęcki.

- Jak pan pułkownik nie każe postojów robić, to w siedem godzin w Poznaniu staniemy.

- Znaczy, czasu mamy w sam raz... - podsumował Wieniawa i spojrział na zegarek. - Wsiadaj, Jerzy, bo zaraz skończą malować i od razu ruszamy!

- Podobno jeszcze nie wszyscy dojechali - powiedział Drwęcki.

- Parowóz dziejów na nikogo nie będzie czekać! - oświadczył stanowczo pułkownik. - Jak komu nie pilno tworzyć historię, może tarabanić się osobowym przez Łódź Kaliską.

- To prawie jedenaście godzin - zauważył maszynista i sięgnął po swój rozkład czasów przejazdu trasy. - Według grafika, panie pułkowniku, możemy ruszyć już za trzy minuty albo dopiero po czterdziestu...

- Aż tyle na pewno nie będziemy czekać! - zdecydował Wieniawa. - Dajcie no, Wasilewski, trochę pary w gwizdek, żeby przestali się guzdrać!

- W takim razie wsiadam! - oznajmił Jerzy.

Parowóz zagwizdał, aż zadzwoniło w uszach. Drwęcki pokuśtykał szybko do salonki. Stojący w drzwiach Słonimski podał mu rękę i pomógł wejść po stromych schodkach. Jerzy znalazł się w literackim rajku. Pisarze i poeci siedzieli na pluszowych sofach, pomiędzy którymi krążyli dwaj kelnerzy w białych frakach, roznosząc wódkę, szampana i grzanki z kawiozem.

- Wieniawa naprawdę się postarał! - podsumował z uznaniem Słonimski. - To rezerwowa salonka prezydenta Rzeczypospolitej.

- Panie Jerzy, zapraszam do mnie! - zawołał Fiszer, przed którym stała osobna taca z grzankami.

Drwęcki, zanim skorzystał z zaproszenia, odszukał wzrokiem Przybyszewską. Siedziała opodal, razem z Boyem i Lechoniem, już znacznie spokojniejsza. Tuwim dotrzymywał towarzystwa Broniewskiemu, który - co widać było z daleka - zaczął ten dzień bardzo wcześnie, pewnie nawet wczoraj... Byli też Makuszyński i młody Gombrowicz, który pomachał Jerzemu z ironicznym uśmiechem. Nad obsługą kwiatu narodu czuwał kapral Mostowiak, ordynans Wieniawy.

- Zanim dojedziemy do Poznania, zrobi się tu całkiem wesoło - Fiszer mrugnął znacząco. - Teraz jednak chciałbym pana zapytać, panie Jerzy, co pan sądzi o aeropikturze?

- Chwileczkę, panie Franciszku... - Drwęcki wziął z podsunętej mu tacy literatkę z wódką i wychylił ją duszkiem. - Uch, teraz możemy rozmawiać! - odstawił pustą szklaneczkę i sięgnął do kieszeni marynarki. - Aeropiktura to obrazy z lotu ptaka? - upewnił się.

- Ostatni krzyk mody - skinął głową Fiszer.

- Proszę - Drwęcki podał mu plan zatytułowany Powszechna Wystawa Krajowa w roku 1929. Widok z lotu ptaka. - Organizatorzy dostosowali się do najnowszych trendów w sztuce...

Pociąg ruszył.

- Moi drodzy! - zawołał Fiszer, zmieniając na chwilę temat. - Niniejszym przenosimy stolicę do Poznania! Chcieli, to mają!

Odpowiedziały mu brawa i wzniesiono stosowny toast. Potem większość obecnych podeszła do ich stolika, pochylając się nad rozłożonym planem Pewuki.

- Toż to całe miasto! - zdumiał się Fiszer i wpatrzył uważnej - - Teren A... teren B..”C, D, E... Pięć dzielnic? Ileż to można zwiedzać?! Nigdy w życiu tyle nie chodziłem! Nie, to nie ‘a ludzi! - oświadczył zde gustowany.

- Tutaj, w parku Wilsona - pokazał Jerzy. - Teren C, pawilon 37, ma pan Franciszek,

„Restaurację Centralną”. To powinna być dobra baza wypadowa...

- Może, może - zmarszczył się sceptycznie myśliciel i zaczął głośno czytać objaśnienia w prawym, górnym rogu planu:

- Kurniki, chlewnia, obora... znaczy się, „Gospodarstwo Wzorcowe”, a do tego „Mleczarstwo i Jajcarstwo”...

- Ale tu, pod 26 teren B, ma pan „Pałac Sztuki”! Zaś 108 E to „Restauracja Okocim”!
- reklamował Drwęcki.

- Dobrze, już dobrze! - burczał Fiszer - Znajdźcie mi pawilon, gdzie najlepiej mógłbym się wystawić!

- Może „Akwawit - Baczewski - Rektyfikacja Warszawska”? - podsunął usłużnie Słonimski. - To będzie pawilon 109, teren E. Polecałbym też „Przemysł Spożywczy”, na 61 E...

- Raczej Al „Ciężki Przemysł” - poprawił Gombrowicz. - Albo 38 C, „Palmiarnia”...

- Ciebie Witeczku oddamy do pawilonu „Tanich Kuchni”! - odgryzł mu się Fiszer. - Względnie na „Melioracje”, żebyś miał gdzie osuszyć pieluchy... Zapisz sobie, młokosie, adresy: pawilon 80 i 82, teren E.

- Ja bym go lepiej dał do „Jedwabnictwa” - stwierdził Tuwim. - Również na E 100.

- Czemu tam? - zdziwił się Gombrowicz.

- Boś jeszcze larwa!

- Tak? To ty Julek możesz już prosto do „Paszteciarni”, pod 110 E! A Kornel tak leje wodę, że „Państwowy Instytut Meteorologiczny” na 83 E będzie dla niego jak znalazł! Albo nie! Jeszcze lepiej E 69, „Przemysł Cukrowniczy”, bo słodzi...

- Czekaj no, literacka boćwino! - zezłościł się Makuszyński i pochylił na planem. - Zaraz na miejscu odstawimy cię za nagrodą tam, skąd żeś uciekł... O, pawilon 79 E, „Doświadczalnictwo Rolnicze”! A Tadeusz będzie jak znalazł na 44, teren C, tam jest „Wystawa Pracy Kobiet”...

- Dajcie mi jeszcze pawilon 90 E, czyli „Ziemianki i Włościanki” - odparł Boy rozmarzonym głosem. - A kogo by tu dać do „Nawozów sztucznych”? Władek, co ty na to?

- Ja idę na B 30, „Centralny Ośrodek Sanitarny”... - oświadczył ponuro Broniewski, wstając z miejsca.

Zabawa w dobieranie pawilonów wystawowych do cech charakteru, twórczości i samopoczucia obecnych rozkręcała się w najlepsze.

Tymczasem pociąg przemknął obwodnicą kolejową, wzdłuż Tatarskiej i Bema, mijając kamienicę Drwęckiego, w której oknie mignęła Jerzemu Karolinka Gryfkowa. Z

samym Gryfkiem Drwęcki nie zdążył się spotkać w ostatnich dniach. Lwowiak miał akurat dyżur techniczny na terenie radiostacji w Raszynie, gdzie zatrudniono go do konserwacji masztów antenowych. Chwilę później wjechali na rozjazdy kolejowe w rejonie ulicy Tunelowej i wytoczyli się na magistralę w kierunku Poznania.

Zabawa z planem Pewuki, jak można się było spodziewać, szybko przekształciła się w równie wesołą biesiadę, podczas której alkohole z rezerwy pana prezydenta Mościckiego lały się strumieniami. Zaraz po południu podano gorące przekąski, a po nich wytworny obiad z pułardami i sandaczami do wyboru oraz kremem cytrynowym na deser. Po tym wszystkim pluszowe kanapy zrobiły swoje i całe towarzystwo gremialnie się pospało.

Drwęckiego obudziło łagodne potrząsanie za ramię. Otworzył oczy. Nad nim pochylał się kapral Mostowiak. Było już Późne popołudnie.

- Przepraszam najmocniej, panie nadkomisarzu - powiedział zafrasowany ordynans - ale mamy, że tak powiem, kłopot...

- Jaki?

- Nie wie pan może, czy jedzie z nami maszynista...?

- Słucham?!

- Ciszej, panie nadkomisarzu... - syknął kapral. - Po co za - raz wszystkich denerwować? Pan pułkownik z maszynistą i je go pomocnikiem zlegli sobie w węglarce. Nie posłuchali, jak radziłem, żeby nie mieszała szampana ze śliwowicą łąką...

- Lokomotywa jedzie sama? - do Drwęckiego właśnie dotarło, że od czasu, kiedy ruszyli, Wieniawa ani razu nie pokazał się w salonce.

- Na razie tak, panie nadkomisarzu - potwierdził Mosto - wiak ze stoickim spokojem. - Jednak dobrze by było, żeby ktoś, że tak powiem, dopatrzył tych tam przyrządów... Nie zna pan tu kogoś, kto by się na tym znał?

Sądząc z szybkości przesuwania się widoków za oknem, jechali jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę... Drwęcki odsunął od siebie panikę i zaczął się zastanawiać.

- Proszę obudzić doktora Żeleńskiego - polecił po namyśle. - On pracował kiedyś jako lekarz kolejowy, więc powinien coś o tym wiedzieć...

Boy zaznajomiony z sytuacją przyjął to dużo spokojniej niż Drwęcki. Znać było, że ma znacznie większe obycie z ekscesami w wykonaniu artystów.

- Pomoże mi pan, panie Jerzy? - zapytał, wstając z kanapy.

Wyszli razem z salonki i przedostali się do kabiny parowozu, mijając po drodze śpiących na węglu ułanów. Boy zajął miejsce maszynisty i zaczął drapać się w głowę.

- Niechże sobie przypomnę... - myślał głośno. - To jest przepustnica... to - gwizdek... a

to - nawrót... Zdaje się, że ciśnienie spadło. Da pan radę dosypać węgla, panie Jerzy?

- Powiniennem... - Drwęcki odwiesił marynarkę, podwinął rękawy, chwycił szufłę i stanął pewniej na nogach.

Boy otworzył mu drzwiczki paleniska, a sam wczytał się w rozkład przejazdu.

- Z tym będzie kłopot - stwierdził po chwili. - Nie mogę dojść, czy jesteśmy na niedoczasie czy odwrotnie... Ale, proszę sypać! Zakładam, że jednak zwolniliśmy.

- No, to jazda! - Jerzy rzucił w ogień pierwszą szufłę węgla-

Żeleński na początek użył gwizdka, licząc, że obudzi oszołomionego maszynistę, ale Wasilewski tylko machnął ręką, jakby opędzał się od muchy.

- Wiele mogę zrozumieć, ale to jest już absolutnie karygodne! - oznajmił zirytowany Boy. - Ten człowiek nie miał prawa upić się na służbie!

- Ech, ci ułani! - Drwęcki sypnął drugą szufłę. - Czyż to nie Polska właśnie?

- Wypiański by się wściekł - zapewnił Boy. - Ale teraz mniejsza o to! Muszę tu trochę popraktykować...

Opanowanie zasad obsługi parowozu zajęło Boyowi pół godziny. Przez ten czas Drwęcki szuflował bez przerwy, skutkiem czego jedną z pierwszych diagnoz doktora Żeleńskiego było to, że mają za dużo ognia pod kotłem i prędkość lokomotywy zaczyna ryzykownie wzrastać.

- A nie możemy jechać szybciej? - zagadnął Drwęcki.

- Właśnie tego nie wiem, panie Jerzy. Mogą nie zdążyć ustawiać dla nas zwrotnic...

- Jesteśmy pociągiem na specjalnych prawach - zauważył nadkomisarz. - Zatem nadzór ruchu powinien mieć nas cały czas na oku. Jeśli przyspieszymy, dadzą znać telegrafem do stacji po drodze.

- Skoro pan tak uważa, to damy więcej na tłoki... - Boy rozkręcił przepustnicę.

Lokomotywa rażno skoczyła do przodu. Olśniewająco biała, wręcz oślepiająca słonecznymi refleksami i rozmazująca się w oczach w szalonym pędzie, musiała robić na postronnych obserwatorach niesamowite wrażenie, napawając wszystkich zawiadowców i dróżników słuszną dumą z narodowego sukcesu. Niedługo potem wynikła jednak nowa kwestia.

- Warto by wiedzieć, gdzie my właściwie jesteśmy? To powinna już być dobrze ponad połowa drogi... - Drwęcki wychylił się z okna, wypatrując szyldu najbliższej mijanej stacji.

Chyba dojeżdżamy do Wrześni... stwierdził po dłuższej chwili. - Czy tam przypadkiem nie ma rozjazdów?

- Obawiam się, że są, i to dużo - zafrasował się Boy. Trzeba by jednak jakoś zwolnić...

Nie zdążył rozwiązać tego problemu. Września zjawiała się °wiem znacznie szybciej. W następnej chwili Drwęcki zobaczył zwrotnicowych, zmykających na boki z ich toru jak króliki. Boy też to spostrzegł.

- Zdążyli ustawić czy nie zdążyli? - zapytał tonem Hamleta. - Oto jest pytanie...

- Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród! - Jerzy uznał, że w tej sytuacji pozostaje im już tylko czarny humor.

Wpadli na rozjazd z prędkością co najmniej trzy razy za dużą, niż powinni. Na złączach szyn huknęło, aż zadzwoniły zęby. Ciężki parowóz nie porzucił ziemi i utrzymał się torów, ale o wagonach już nie dało się tego powiedzieć. Pofrunęły nad szynami jeden po drugim i opadły przy akompaniamencie łoskotu, w którym przepadłoby solidne przygotowanie artyleryjskie. Ostatni wagon nie wcelował w tor i przez kilka stawiających włosy na głowie sekund toczył się i podskakiwał po samych podkładach, aż kolejny podrzut oraz impet reszty składu wciągnęły go z powrotem na szyny. Drwęckiemu wydało się, że słyszy chichot Przybyszewskiej, ale raczej był to skowyt naprężonego metalu. Z tylnego pulmana wyleciała większość szyb, a także, jak się potem okazało, nie jeden poselski żołądek gwałtownie zmniejszył swoją objętość...

- Jakby się pan pytał, panie Jerzy, to tak właśnie wygląda prawdziwy cud! - oznajmił z ulgą Boy, gdy wściekły harmider zmienił się znów w miarowy stukot.

- Lepiej nie myśleć... - Drwęcki otarł pot z czoła.

Nad węglarką pojawiła się pozieleniała twarz Tuwima.

- Tadzik, wszystko w porządku?! - zawołał wystraszony poeta.

- Fraszka, igraszka, Juleczku! - odrzyknął mu Boy, kontemplując manometr.

Hałas, wstrząsy, a szczególnie niewygodne węglowe podło że obudziły wreszcie beztroskich biesiadników. Wieniawa usiadł, masując sobie plecy, a maszynista Wasilewski chwiejnym krokiem zbliżył się do Boya.

- Pan tu prowadzi...? - prawda docierała powoli.

- Ktoś musiał - skwitował Żeleński.

- O Jezu, będę rzygał! - maszynista otworzył szybko drzwi kabiny.

Jerzy przytrzymał go za pasek od spodni.

- Dziękuje, ppanie...

- Nadkomisarz Drwęcki.

- Eee, panie władzo... my tylko po maluchu...

- Dobra, dobra, potem pogadamy!

- Wszystko biorę na siebie! - oświadczył Wieniawa.

- Także zgubienie na trasie zaplecza politycznego rządu? - zagadnął go Drwęcki.

- Co?! - wystraszył się pułkownik. - Urwało nam fajdanajów?!

- Niewiele brakowało - odparł Jerzy. - Aleście dali ułański popis...

Przez węglarkę przedostał się kapral Mostowiak.

- Melduję posłusznie, panie pułkowniku, że panowie posłowie, że tak powiem, złożyli interpelację w sprawie...

- Do diabła z nimi! - warknął Wieniawa. - Przynieście tu zaraz najmocniejszej kawy! Ale, migiem!

- Wedle rozkazu!

- Mamy rannych? - spytał Drwęcki ordynansa.

- Czterech troszkę od szkła, panie nadkomisarzu - odparł Mostowiak. - Paru się, że tak powiem... tego, no... całkiem jak pan Marszałek mawia... za przeproszeniem, ofajdało... Ale ogólnie powinno być dobrze. Panowie posłowie też dali sobie zdrowo po czajnikach... stąd, że tak powiem, w każdą oficjalną wersję powinni uwierzyć...

- Coś się wymyśli! - stwierdził Wieniawa. - Do Poznania Jeszcze kawałek, zdążymy się ogarnąć. Cholera, muszę zmienić mundur po tym węglu...

- Przypominam, że przed nami jeszcze główny punkt programu! - powiedział Jerzy.

- O szlag, prawie bym przez to wszystko zapomniał!

- Panie nadkomisarzu... - zajęczał maszynista, gryziony Przez sumienie. - Ja nigdy więcej...

- Przestańcie skomlić Wasilewski! Trzymać ułański fason! - zgromił go Wieniawa. - Napijcie się kawy i białoczerwona w górę! Flagę na dach, reszta potem.

- Tak jest, panie pułkowniku!

Drwęcki i Boy wrócili do salonki. Większość obecnych niespecjalnie przejęła się hałaśliwym rozjazdem i wróciła już do przerwanej biesiady. Zwłaszcza Tuwim przy butelce wódki intensywnie leczył chorobę lokomocyjną. Fiszer spał jak dziecko. Tylko kelnerzy wyrzekali, że potłukła się reprezentacyjna prezydencka zastawa. Z tyłu składu pewnie było gorzej, ale Jerzy nie zamierzał tam wchodzić. Zamknął się w łazience, usiłując domyć ręce i twarz z węglowego miazgu. Potem z grubszą doprowadził do porządku własne ubranie i wyszedł napić się kawy z Żeleńskim.

Tak doczekali wjazdu do Poznania. Wasilewski zdążył już opanować maszynę na tyle, że obsługa Dworca Głównego bez problemu skierowała ich na właściwy peron. Właściwie wrażeń na dziś było dosyć, ale uroczystego powitania nie można już było odwołać...

Wjechali w szpaler narodowych flag i ramion, unoszących się w rzymskim

pozdrowieniu. Nad peronem rozwinięto ozdobiony orłami czerwony transparent z białym napisem: „NIECH ŻYJE NARODOWA MYŚL TECHNICZNA!” I, zaraz obok, drugi: „CHWAŁA POLSKIM INŻYNIEROM!” Potem tablica: „OWP WITA NA PWK”

Silą rzeczy, w tej sytuacji nikt nie kwapił się, żeby wysiąść i przemówić do zgromadzonych narodowców, których było około setki... Gdy pociąg stanął, w salonce zapadło pełne wyczekiwania milczenie. Posłowie z tylnych wagonów najwyraźniej też woleli nie ryzykować żadnych exposé. Uwaga witających skupiła się szczęśliwie na lokomotywie, którą oglądano z nabożnym podziwem, przechodzącym powoli w cichą konsternację. Umilkły początkowe wiwaty.

I wtedy właśnie na peron wytoczył się mocno zawiany Tuwim-

- Szalom! - zawołał donośnie. - No i kto tutaj zapomniał polskiego języka w gębie?!

Cisza gęstniała przez trzy długie sekundy.

- To żydowski spisek! - zawołał ktoś. Tłum zaszemrał.

Drwęcki i Wieniawa wysiedli czym prędzej, żeby dać wsparcie poecie. Następni wyskoczyli Mostowiak i Broniewski. Ten drugi, toczący wokół przekrwionym wzrokiem skacowanego niedźwiedzia, wzbudzał niewątpliwy respekt, jednak to widok powszechnie znanego pułkownika pohamował zapędy najbardziej krewkich endeków, którzy zaczęli oglądać się na kierownictwo. To zaś gorączkowo się naradzało. Do pozostałych dotarło już, że zostali wystawieni na pośmiewisko. Zaciskały się pięści i szczęki. Tymczasem Drwęcki nigdzie nie widział Witkowiaka, który miał przybyć z odsieczą. Sytuacja robiła się coraz bardziej groźna. Nie ulegało wątpliwości, że atak nie nastąpił dotąd jedynie z racji kompletnego zaskoczenia wystrychniętych na dudka narodowców, którzy z racji tak uroczystej okazji nie zabrali z sobą pałek. Szczęśliwie nie mieli też zwyczaju działać bez rozkazu.

- Panowie, negocjujmy! - zawołał Fiszer, wysiadając z salonki. - My i wy mamy tu dużo do stracenia! - Nie bacząc na zagrożenie, ruszył prosto w stronę sztabu przeciwnika.

- To niewybaczalna zniewaga! - odkrzyknął mu ktoś.

- Być może, być może! - odparł Fiszer, napierając całą swoją posturą na tłum narodowców, który rozstąpił się przed nim jak morze białoczerwone. - Jednakże, panowie, miejcie wzgląd na to, że teraz patrzy na nas cały świat! - zadudnił jak megafon. - Nie lepiej, aby rzecz cała pozostała w naszej wielkiej, polskiej rodzinie?!

- Co pan ma na myśli? - przed tłum wyszedł wysoki, młody mężczyzna. Dał znak swoim, by zachowali spokój.

- Was jest więcej i możecie nas obić - stwierdził myśliciel. - Jeżeli jednak to zrobicie,

wszyscy, cała Polska i świat dowiedzą się, jak bardzo daliście się nabrać. Ceną za małą zemstę będzie duża śmieszność. I do tego przy Pewuce...

- Co wobec tego pan proponuje?

- Wy nic nie zrobicie, my nic nie powiemy. Sprawy nie było. Dżentelmeńska umowa.

- Na pewno nikt z was tego nie opisze? - upewnił się przywódca.

- Nikt - zapewnił Fiszer. - Ani słóweczka!

- Ależ, ja już zaplanowałem cały poemat! - skomplikował negocjacje Tuwim. - O monumentalnej, rozpędzonej, szklanej lokomotywie...

- Żadnych poematów! - syknął szef narodowców. - Ani słowa o żadnej lokomotywie!

- To może chociaż takiej malutkiej i blaszanej... - przeciągał strunę poeta. - Ot. zabawce dla dzieci...

- Jak dla dzieci, to niech sobie pisze! - ustalił kompromis Fiszer. - Tylko żadnych lokomotyw dla dorosłych!

- No, może być... - niechętnie zgodził się Tuwim.

- Jeżeli pan poręczy za tego Żyda, panie...

- Franciszek Fiszer! Ręczę szlacheckim słowem honoru! - myśliciel wyciągnął rękę.

- Ja daję słowo polskiego patrioty. Jędrzej Giertych! - Uścisnęli sobie dłonie. - Ale mnie tutaj nigdy nie było! - zastrzegł się szybko i obejrzał na swoich. - W ogóle, nikogo z nas tu dzisiaj nie było! - oznajmił. - Panowie, zwijąć flagi i transparenty!

- Jak to, puszcza ich?! - zaprotestował ktoś.

- Policzymy się z nimi po Pewuce!

- Tej, chyba że ta!

Gdy na peronie mocno się już przeredziło, pojawił się Wit - kowiaś w towarzystwie zaledwie jednego mundurowego.

- Spóźniłeś się! - powiedział z wyrzutem Drwęcki. - Mało nas nie rozmałili!

- Łe, nie przy Pewuce! - machnął ręką Michał. - Nawet juchty z Chwaliszewa pochowały noże. Zresztą mam dobry powód. Znalazłem tę twoją Białozimską.

- Naprawdę?! - Jerzy zapomniał o wymówkach. - Pogratulować poznańskiej policji agentów!

- Sam możesz Luni pogratulować. To ona znalazła podejrzaną...

- Co takiego?!

- Wypatrzyła Białozimską w kronice towarzyskiej „Kuriera Poznańskiego”. Wcześniej widziała zdjęcie na moim biurku.

- A co ona robiła w kronice towarzyskiej?

- Ja też się zdziwiłem. Jest damą do towarzystwa hrabiny Marii Ciunkiewiczowej. I nie musisz pytać. Nie aresztowałem Białozimskiej. Po pierwsze, nie mam żadnych poważnych dowodów. Po drugie, stale kręci się wokół niej pół poznańskiej palestry... - Witkowiak minął oniemiałego Drwęckiego, podszedł do lokomotywy i poskrobał paznokciem biały nalot na obudowie kotła. - Ciekaw jestem, kto to teraz odczyści? - obejrzał się na kolegę ze stolicy. - Warszawka przyjechała na Pewukę, a biedni poznańczanie posprzątają, co?

- Nie wierzę! - powiedziała Marysia, leżąc w ciemnościach obok męża. - Nic a nic ci nie wierzę. Kłamczuch! Kłamczuch! Kłamczuch! Zmyśliłeś całą tę historię ze szklaną lokomotywą i pijanym maszynistą! To zbyt nieprawdopodobne.

- Ależ, kochanie! Poczekaj, aż Tuwim napisze o tym wiersz...

18. Kosa i kamień

Spotkali się w cukierni Ziemiańskiej, naprzeciw Teatru Polskiego. Cudem znaleźli wolny stolik, chociaż lokal znajdował się w zacisznym zaułku, skryty przed oczami turystów, kłębiących się na głównych ulicach. Poznań pękał w szwach i było to widać nawet tutaj. Zwłaszcza po cenach. Za kawę liczono trzy razy tyle, co zimą.

Przybyszewska była w skromnej szarej sukni, z włosami gładko zaczesanymi do tyłu. Na trzeźwo wyglądała jak melancholijna guwernantka. Wyraźnie wzięła sobie do serca poprzednią kompromitację i nie próbowała odgrywać ulubionej roli zapomnianego geniusza literatury.

- Jak pani negocjacje w sprawie wystawienia dramatów? - zagadnął uprzejmie Drwęcki, kiedy usiedli po powitaniu.

- Nie najlepiej - westchnęła. - Emil mówi, że Thermidor jest za krótki, a Sprawa Dantona za długa, ale będziemy o tym jeszcze rozmawiać... - spojrzała Jerzemu prosto w oczy. - Chciałabym pana przeprosić, panie nadkomisarzu, i wytłumaczyć moje zachowanie.

- Proszę wybaczyć, ale nie znam się na leczeniu narkomanii. Bardziej wskazany byłby tu lekarz...

- Panuję nad tym! - zapewniła stanowczo. - Jak pan widzi, teraz niczego nie zażyłam. Ja po prostu organicznie nie mogę znieść nudy podróży pociągiem. Tego ustawicznego, monotonnego kołatania... To mnie zbyt przygnębia!

- Szkoda, że nie dała nam pani szansy, bo ta podróż była naprawdę niezwykła.

- Tadeusz coś wspominał. Mogę tylko żałować i jeszcze raz przeprosić.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy.

Przybyszewska sięgnęła do torebki i podała Drwęckiemu zmiętą kopertę. Na pierwszy rzut oka można było odgadnąć, co jest w środku. Jerzy wytrząsnął elektryczną perłę na stół, była oznaczona numerem 4, następnie przyjrzał się stemplowi pocztowemu. Nadano wczoraj, z poczty w Poznaniu, na adres prezydenta Dziabaszewskiego, u którego zatrzymała się pisarka. Tylko kilka zaufanych osób znało ten adres...

- Myślałam, że prześlą mi to z Gdańska - powiedziała cicho Przybyszewska. - Tymczasem nadawca przyjechał tu za mną... Czy jestem w niebezpieczeństwie, panie nadkomisarzu?

- Na razie pewne jest tylko to, że ktoś panią obserwuje - odparł Drwęcki. - Oczywiście, powinna pani zachować ostrożność i nie chodzić nigdzie bez towarzystwa przyjaciół. Poważniejsze kroki podejmiemy, gdy nadejdzie perła z numerem dwa.

- Dobrze, panie nadkomisarzu. Nie będę wychodzić sama na miasto.

- Czy oprócz tych przesyłek dostawała pani jakieś inne listy? Dziwne telefony?

- Nie stać mnie na telefon, panie nadkomisarzu. Ale nie, nic takiego nie było. Naprawdę nie wiem, co ten człowiek może ode mnie chcieć.

- Proszę dokładnie opowiedzieć mi o tym oszuście, który podawał się za pani przyrodniego brata.

- Podszedł do mnie zaraz po pogrzebie ojca... - przymknęła oczy. - I poprosił o spotkanie w ważnej sprawie rodzinnej. Dał mi do zrozumienia, że jest moim krewnym. Pomyślałam, że to mój przyrodni brat, syn Marty Foeder, w pierwszej chwili nie spytałam więc, jak się nazywa, i zgodziłam się na spotkanie.. Dopiero potem przedstawił się jako Albertyn Białożimski, to nazwisko nic mi nie mówi. Ani ja, ani Iwy nie słyszałyśmy nigdy, by nasz ojciec zadawał się z jakąś Białożimską, ale kto wie...

- Rozumiem, że dobrze mu się pani przyjrzała?

- Bardzo dobrze, panie nadkomisarzu. Szukałam w jego twarzy jakiegoś podobieństwa do ojca czy do mnie samej, ale żadnego nie znalazłam. Dlatego zaczęłam mieć wątpliwości i zwróciłam się do Wacka Dziabaszewskiego. On stwierdził, że to oszust.

- Czy mogłaby pani popracować z rysownikiem portretów pamięciowych i dokładnie odtworzyć wygląd tego człowieka?

- Bardzo proszę, panie nadkomisarzu.

- Wobec tego nie zwlekajmy i chodźmy na komendę, to niedaleko.

Zapłacili za kawę i wyszli.

- Czy pamięta pani, jakim głosem mówił ten człowiek? - Jerzy wrócił do tematu.

- Tak, to ciekawe... Mówił rzeczywiście trochę niezwykle, takim wysokim głosem, trochę jakby kobiecym... Przez chwilę myślałam nawet, że to jeden z tych mężczyzn, którzy gustują w innych mężczyznach...

- Dziękuję, to ważne spostrzeżenie.

- Chwileczkę! - dotknęła ręką czoła. - Coś sobie przypomniałam! On przysłał mi telegram, zaraz po tym, jak Wacek zdemaskował go jako oszusta. Niech sobie przypomnę... - przystanęła. - To było: „Nie oszukuję stop błąd w metryce stop udowodnię stop”. Nie wzięłam tego poważnie, wyrzuciłam i zapomniałam. Bardziej ufam Wackowi.

- Rozumiem panią... - zamyślił się Drwęcki, ale zaraz rozejrzał się bystro dookoła, bo

właśnie wyszli z bramy na ulicę 27 Grudnia. Tyłu ludzi nie widziano tu chyba od wjazdu Paderewskiego. W zasięgu wzroku były trzy wycieczki szkolne, z tego jedna okupowała przystanek tramwajowy, na chodnikach było tłoczno od przechodniów. Jerzy podał ramię pisarce, żeby przypadkiem ich nie rozdzielono.

- Dziękuję, panie nadkomisarzu... - uśmiechnęła się Przybyszewska.

Nie zdążyli wznowić rozmowy, bo właśnie obstało ich trzech młodych ludzi w cyklistówkach, którzy podali się za przedstawicieli komitetu organizacyjnego PWK. Zaproponowali kupno pamiątkowych czerwono-niebieskich znaczków wystawy, ze stylizowanym białym orłem nad rzymską dziesiątką na czerwonym tle oraz widokiem frontonu Hali Reprezentacyjnej z charakterystyczną iglicą. Za jedyną złotówkę, kupno obowiązkowe, na znak poparcia dla „wysiłku wystaw - czego narodu”. Odmowy obcesowo nie przyjmowali do wiadomości, ale wystarczył jeden ruch policyjnej legitymacji, by cały „komitet organizacyjny” momentalnie rozpułnął się w tłumie.

- Potem kontakty z tym człowiekiem zupełnie się urwały - pisarka podjęła przerwany wątek. - Zapomniałam o nim, aż nagle zaczęły przychodzić te kuleczki z ludzkich kości, brrr... Jest pan pewien, że te sprawy się z sobą łączą?

- Raczej tak - odparł Jerzy. - Tylko trudno mi znaleźć logiczny związek.

- Tadeusz wspominał, że jest pan logikiem - spojrzała na Drwęckiego z powagą. - Ale przecież nie wszystko da się pojąć logicznie...

- Co pani ma na myśli?

- Taniec dobra i zła... Pojedynek intelektu i natury...

- Słowem, czysta przybyszewszczyzna.

- To u nas rodzinne, panie nadkomisarzu! - zmrużyła oczy.

- Chce pani przez to powiedzieć, że człowiek pragnący wejść do waszej rodziny musiałby popełnić coś szalonego? Cóż, to by się zgadzało...

- Mam na myśli, że motywem może być kaprys, impuls, poryw gniewu lub egzystencjalnej egzaltacji. Przyznaję, że to by mnie mogło przekonać do naszego pokrewieństwa.

- Jeszcze raz radzę zachować szczególną ostrożność, gdy zostanie przysłana szósta perła.

- Zatem coś się wydarzy, gdy otrzymam siódmy kawałek trupa...? To brzmi prawie jak siódma pieczęć, jak apokalipsa...

- Tędy, proszę - Drwęcki wskazał drzwi do prezydium policji.

W ciągu kwadransa załatwił Przybyszewskiej sesję z rysownikiem portretów

pamięciowych, po czym poszedł odszukać Michała.

- Hrabyk od rana chodzi zły jak osa! - oznajmi! na dzień dobry komisarz Witkowiak.

- Na mnie?

- Nie. Chodzi o mecenasa Hejmowskiego. To on będzie obecny podczas przesłuchania Białożimskiej. Tak się składa, że Hrabyk jest nie tylko sędzią śledczym. Często występuje też jako oskarżyciel podczas rozpraw sądowych i mecenas Hejmowski bywa jego przeciwnikiem, trzeba dodać, że najbardziej zawziętym. Kiedyś na sali sądowej tak sobie przygadali, że omal nie skończyło się to pojedynkiem. Pani hrabina naprawdę wiedziała, kogo wynająć do obrony swojej damy do towarzystwa!

- Kiedy przyjdą? - Obaj spojrzeli na zegarki.

- Mecenas Hejmowski i Białożimska powinni być za kwadrans.

- Dobrze, a co wiemy o tej Ciunkiewiczowej?

- Same ciekawe rzeczy. Zatrzymała się w hotelu Bazar, apartamenty płatne po pięćdziesiąt złotych za noc. Mówią o niej „Ja belle Marie”. Wiek balzakowski. Naprawdę piękna i bogata, jednokrotna wdowa i dubeltowa rozwódka. W międzyczasie ak - toreczka, akuszerka, handlarka koni i utrzymanka bogatych arystokratów. Przed rewolucją miała trzy kamienice w Moskwie i pałac na Kaukazie. Obecnie ma pałac we Francji, dokładnie w Ezy, w Normandii. Ostatnio żyje z wygrywania dużych procesów o odszkodowania. W zeszłym roku puściła z torbami pewnego paryskiego jubilera...

- Czyżby poczuła w naszej sprawie zapach dużych pieniędzy? - zasępił się Drwęcki.

- Nie można wykluczyć. W 1924 roku panią hrabinę aresztowała nasza policja polityczna, co skończyło się dużymi przeprosinami ze strony państwa polskiego. Udawała szpiega sprytniej od Maty Hari, nie dość więc, że jej nie rozstrzelali, to jeszcze musieli dopłacić. Podejrzewam, że niewąsko ucierpiał wtedy tajny budżet wydziału drugiego.

- Czyżby okazała się cwańska od naszego wywiadu?

- Tak bardzo, że koledzy z dwójki życzą nam powodzenia i proszą, aby ich w ten pasztet nie mieszać... Chętnie by ją zatrudnili, ale boją się pójść z torbami. Mówią, że jakby diabeł ją gdzieś posłał, toby zaraz piekło zbankrutowało. Jednak mam coś ciekawszego! - oznajmił Witkowiak. - Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o rocznicy Confiteora, którą obchodziliście w Ziemiańskiej? Otóż ona też, dokładnie dziesiątego stycznia, zrobiła coś w manierze Przybyszewskiego.

- Mianowicie?

- Wyśmiała adoratora, rumuńskiego inżyniera, który wyznał jej miłość. Zrobiła to w tak okrutny sposób, że ten wyjął pistolet i zastrzelił się na jej oczach. Teraz mówi, że

przyjechała do Polski na wystawę krajową, żeby otrząsnąć się z szoku po jego śmierci.

- Zdaje się, że mamy prawdziwy kłopot...

- A żebyś wiedział! Przydałby się nam teraz twój warszawski czarny humor...

- Obawiam się, że wyczerpałem abonament.

- Ale przynajmniej już wiesz, dlaczego Hrabyk chodzi taki wściekły. Mam nadzieję, że dobrze przemyślałeś to przesłuchanie Białozimskiej?

- Też mam taką nadzieję. Tylko dziś czuję się jak sztubak wyrwany do tablicy... - wycedził przez zęby Drwęcki.

- Jesteśmy zabawkami w rękach pani hrabiny - skinął głową Michał. - Mimo to chodźmy do pokoju przesłuchań.

Wszyscy zainteresowani byli już na miejscu. Drwęcki poprosił Witkowiaka, by dopilnował Przybyszewskiej, więc Michał pozostał na korytarzu. Sędzia śledczy Mieczysław Hrabyk i mecenas Stanisław Hejmowski przywitali się ze sztywną wyniosłością, niczym sekundanci przed pojedynkiem.

Ewelina Białozimska wyglądała znacznie lepiej niż na zdjęciu dostarczonym przez Księżyka. Teraz była elegancką, dojrzałą kobietą w doskonale skrojonej chabrowej sukni i żółtym kapeluszu z cielistą woalką. Krągłe biodra, wydatny biust, rozpychający się pod śmiałym dekoltem... Absolutnie nic nie wskazywało, by mogła być istotą androgyniczną, zdolną do fantastycznej przemiany w mężczyznę. Na bezwzględną morderczynię także nie wyglądała. Czarująco uśmiechnęła się do Drwęckiego, który skłonił się jej sztywno, udając, że nie dostrzega dłoni w długiej, białej rękawiczce, nadstawionej do pocałowania.

- Proszę usiąść - polecił oschle Jerzy i otworzył akta. Odszukał stare zdjęcie, otrzymane od Boya, i podniósł wzrok na Białozimską. Ta, nie czekając na wezwanie, sama podniosła woalkę kapelusza i uśmiechnęła się promiennie do nadkomisarza. Podobieństwa nie można było ani wykluczyć, ani potwierdzić. Trzeba było iść do celu inną drogą...

- Jak rozumiem - odezwał się mecenas Hejmowski - moja ^'entka będzie przesłuchiwana jako świadek w sprawie śmierci Wacława Czerwonckiego?

- A także śmierci Macieja Laszczaka i Marianny Wickiej - odparł Drwęcki.

- O mój Boże! - teatralnie zdumiała się Białozimska. - To Mariusia nie żyje?!

- Skąd ją pani знаła?

- Pracowałyśmy razem na zajezdni tramwajowej w Warszawie przy ulicy Kawęczyńskiej. Ona była sprzątaczką, ja księgową - mówiła zupełnie normalnym kobiecym głosem, w którym nie było nic niezwykłego.

- Wicka była też prostytutką. Wiedziała pani o tym?

- Żli ludzie zmusili ją tego - odparła wymijająco.

- Pani z kolei można pogratulować awansu towarzyskiego.

- Dziękuję bardzo, miałam więcej szczęścia. Hrabina Maria doceniła moją poezję. W przeciwieństwie do kręgu pańskich znajomych, pani nadkomisarzu Drwęcki - dodała z naciskiem.

- Przepraszam, że przerywam tę niezmiernie interesującą wymianę zdań - odezwał się adwokat - lecz chciałbym zapytać, jaki związek ma zabójstwo Czerwonckiego z wypadkiem, w którym zginęli ci ludzie, a pan nadkomisarz odniósł poważne obrażenia? Proszę wybaczyć, że dotąd nie zapytałem o zdrowie...

- Wiedział pan wcześniej o śmierci Wickiej? - spytał szybko Hrabyk. - I ukrył pan tę informację przed swoją klientką, czy ona przed chwilą skłamała?

- Ależ skąd, panie sędzio! Skojarzyłem fakty dopiero w tej chwili - mecenas Hejmowski uśmiechnął się szeroko. - Umiem myśleć szybko...

- Pragnę państwa poinformować - odezwał się Drwęcki - że w zależności od tego, co zostanie tu powiedziane, status pani Białozimskiej może zostać zmieniony ze świadka na podejrzanego.

- Jestem panną, panie nadkomisarzu - odparła, patrząc Jerzemu prosto w oczy. - Zapewniam, że jestem niewinna i zrobię wszystko, czego pan sobie życzy, aby tego dowieść!

- Trzymam panią za słowo.

- Obawiam się jedynie nadużyć śledczych ze strony żądnych politycznych sukcesów funkcjonariuszy policji państwowej...

- Proszę się nie niepokoić, łaskawa pani! - mecenas Hejmowski uspokajająco poklepał ją po dłoni. - Jestem tu po to, by ustrzec panią przed bezprawiem.

- Jestem ogromnie wdzięczna pani hrabinie za pańską obecność.

- Cała przyjemność po mojej stronie... - mecenas spojrział w oczy sędziego śledczego. Ten zniósł prowokację z kamienną twarzą.

- Tak bardzo się pani mnie obawia? - zagadnął Drwęcki.

- Owszem. Ponieważ przynależy pan do kręgu osób, w którym upokorzono mnie jako poetkę i człowieka.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Mariannę Wicką?

- Jakiś tydzień przed wyjazdem do Poznania. Przelotnie, na ulicy.

- I nie wiedziała pani, że ona też się tu wybiera?

- Wspominała, że chciałaby, bo podczas wystawy krajowej będzie duży zarobek, ale nie miała jeszcze żadnych konkretnych planów.

- A na co pani liczyła w Poznaniu?

- Chciałam zostać konduktorką, panie nadkomisarzu. Księgowa to zawód wyuczony, którego nie lubię. Z powołania jestem poetką i pragnę pracować wśród ludzi, a nie liczb. Niestety. w stolicy nie ma zwyczaju zatrudniać kobiet na stanowiskach konduktorek, co uważam za niegodne lekceważenie mojej płci. Kiedy więc w zajezdni rozeszła się wieść, że w Poznaniu będą zatrudniać konduktorki, chciałam być pierwsza. Dlatego Przyjechałam tu jeszcze w styczniu, żeby poznać miejscowe stosunki.

- Ale jednak nie została pani konduktorką...

- Trafiła mi się lepsza okazja, panie nadkomisarzu. Posada amy do towarzystwa jest znacznie bardziej inspirująca.

- A czy znała pani Macieja Laszczaka?

- Z widzenia, panie nadkomisarzu. Też kiedyś pracował na naszej zajezdni i wiem, że Mariusia oddała mu się raz za pieniądze. To przez jego niedyskrecję straciła pracę...

- Sugeruje pani, że Wicka miała powód, by mścić się na Laszczaku?

- Być może, panie nadkomisarzu. Czy mogę zapalić?

- Proszę - Drwęcki podsunął jej popielniczkę. Zaszczyt podania damie ognia mecenas Hejmowski wziął na siebie.

- Czy pani i Wicka byłyście serdecznymi przyjaciółkami? - zapytał po przerwie Jerzy.

- Można tak powiedzieć. Oczywiście, ze względu na profesję Mariusi starałyśmy się nie afiszować z tą przyjaźnią. Księgowe powinny unikać towarzystwa, które ich zwierzchnikom mogłoby wydać się podejrzane, nawet jeśli nie robią naprawdę nic złego. Chyba pan to rozumie?

- Nie rozumiem tego, że serdeczne przyjaciółki nie skontaktowały się z sobą w sprawie wyjazdu do tego samego miasta. Zwłaszcza gdy obie już w nim były...

- Tak się złożyło, panie nadkomisarzu - wypuściła z ust obłok dymu.

- Czy po przyjeździe do Poznania kontaktowała się pani z Maciejem Laszczakiem?

- Nie.

- Doprawdy? Chciała pani poznać miejscowe stosunki i nie skorzystała pani z okazji, aby po znajomości zwiedzić tutejszą zajezdnię tramwajową, w której pracował Laszczak? Była pani na Gajowej?

- Nie. Nie chciałam mieć do czynienia z tym człowiekiem po tym, co zrobił Mariusi.

- Wątpię w pani szczerłość. Czy znała pani Wacława Czerwonckiego?

- Też z widzenia, jako kolegę z pracy.

- Czy Czerwoncki czynił pani nieprzystojne propozycje?

- N...nie - zająknęła się, wyraźnie zaskoczona pytaniem-

- Dziękuję. Wobec stwierdzonych nieścisłości w pani zeznaniach oświadczam, że pani status w sprawie zostaje niniejszym zmieniony ze świadka na podejrzaną.

- Tego się właśnie obawiałam, panie mecenasie - Białozimska głęboko zaciągnęła się papierosem - że będą chcieli mnie w to wplątać, bo pracowaliśmy w tej samej firmie.

- Proszę się nie obawiać, łaskawa pani - odparł adwokat. - Rzeczą policji jest podejrzewać, ale stąd jeszcze naprawdę daleko do aktu oskarżenia.

- Ukrywanie wiedzy w badanej sprawie znacznie skraca ten dystans - zauważył sędzia śledczy. - Co pańska klientka przed nami zataja?

- Błąd młodości. Cóż, ze względu na powagę sprawy o zabójstwo chyba będziemy musieli go wyznać. Otóż, moja klientka też kiedyś zmuszona była oddawać się za pieniądze. Było to w czasie wojny, panowie rozumieją, bieda i konieczność walki o przetrwanie. Stąd datuje się znajomość z Marianną Wicką. Jednak moja klientka podniosła się z tego moralnego upadku, kiedy tylko stało się to możliwe. Próbowwała też pomóc Wickiej, załatwiając jej pracę w zajezdni tramwajowej, Wicka jednak nie potrafiła wyzwolić się z dawnych nawyków, skutkiem czego tę posadę straciła.

- Pracowała pani w cyrku? - Drwęcki puścił mimo uszu przemowę adwokata.

- Owszem, w czasie wojny. W cyrku Henryka Łosiewskiego albo Łosińskiego... już nie pamiętam dokładnie nazwiska dyrektora.

- Co pani tam robiła?

- Doglądałam zwierząt i występowałam jako klaun... - zawahała się. - Nie odmawiałam też spotkań z mężczyznami za Pieniądze... To pan chciał usłyszeć?

- Czy jest ktoś, kto mógłby nam to potwierdzić? Ktoś, kto widział pani występy?

- Być może, ale nie wiem, gdzie go szukać. Trudno rozpoznać klauna po występie... Poza tym cyrk rozpadł się przed końcem wojny. Konie zarekwirowano, a zwierzęta zjedzono. Dyrektor tego nie przeżył, zmarł na serce. Tylko Mariusia знаła mnie z tamtych czasów.

- Tego się obawiałem.

- Zastanawiam się, do czego pan nadkomisarz zmierza? - zagadnął adwokat. - Czy ma pan jakiegokolwiek podstawy, aby przypuszczać, że moja klientka ma cokolwiek wspólnego z ewentualnymi porachunkami Wickiej i Laszczaka?

- Jak rozumiem, pana klientka nie ma alibi na wczesne godziny popołudniowe dnia dwudziestego piątego lutego?

- Moja klientka robiła wtedy zakupy na drugim końcu Poznania, w dzielnicy Ogrody, gdzie wynajmowała stancję. Niestety, minęło zbyt wiele czasu, aby sprzedawcy mogli ją

jeszcze pamiętać. Policja powinna była działać szybciej... Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Małą prośbę. Skoro pana klientka jest tak chętna do współpracy, chciałbym prosić ją o próbkę pisma do analizy grafologicznej.

- A to w jakim celu? Czy mógłby pan sformułować dokładniej swoje podejrzenia?

- Nie mógłbym na tym etapie śledztwa. Jednak, jak wcześniej mówiłem, trzymam pańską klientkę za słowo.

- Wolałbym, aby chociaż określił pan nadkomisarz, o jaką sprawę tu chodzi?

- Nie trzeba, panie mecenasie. Jestem gotowa to zrobić. Nie mam nic do ukrycia. Co mam napisać?

- Proszę zaprotokołować, że moja klientka zgodziła się na badanie grafologiczne dobrowolnie, mimo uchybień formalnych prowadzącego przesłuchanie.

- Jak pan sobie życzy - zgodził się Drwęcki. - A teraz, proszę pisać... - Wyjął fragmenty Synagogi szatana, zebrane od adresatów za pośrednictwem Zegadłowicza, i podyktował cytaty Białozimskiej.

Przepisała je bez wahania i oddała kartkę z uśmiechem. Różnicę charakteru pisma było widać już na pierwszy rzut oka.

Drwęcki z kamienną twarzą włożył kartkę do akt.

- Czy to wszystko? - zapytał adwokat.

- Tak, na razie wszystko. Oczywiście, obowiązuje panią rutynowa procedura. Proszę nie opuszczać miasta ani tym bardziej kraju.

- Chciałbym panów poinformować, że pani hrabina Ciunkiewiczowa ma wielkie plany związane z talentem poetyckim panny Białozimskiej. Poczyła już w związku z tym bardzo poważne zagraniczne inwestycje. Jeżeli przez bezpodstawne zatrzymanie swej podopiecznej zostanie narażona na straty, będzie oczekiwać należnego odszkodowania...

- Dziękuję, to wszystko! - uciął Hrabyk.

- Zegnamy panów!

Gdy podejrzana i jej adwokat wyszli, Drwęcki stracił zimną krew. Poderwał się zza biurka i masując kark, zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Nie rozumiem, gdzie popełniliśmy błąd?! - wybuchnął po chwili.

- Nie popełnił pan błędu, panie nadkomisarzu, a przynajmniej nie ten najgorszy, który mógł pan popełnić - odparł spokojnie sędzia Hrabyk. - Czy mogę odwołać tego lekarza? - sięgnął po telefon.

- Tak, nie będzie już potrzebny.

- Skóra mi cierpła na myśl, że może pan zażądać ginekologicznego badania

kobiecości. Mecenasa Hejmowski wprost pożarłby nas żywcem. Musiałbym wydać formalny nakaz, ale on by go natychmiast oprotestował i bez trudu obalił. Oficjalne podejrzenie, że zabójca jest hermafrodytą, czy jak pan woli androgyne, oparte na tak wątpliwych poszlakach...

- Tak, wiem! - machnął ręką Drwęcki. - Oskarżenie zostałoby ośmieszone. Nie pan pierwszy mi to mówi...

- Nawet gdyby panna Białozimska była zbudowana nie tak, Jak wszystkie normalne kobiety, na co właściwie pan liczył, pa - nie nadkomisarzu? Ze sama się zdemaskuje i zmieni na naszych oczach w mężczyznę?

- Liczyłem, że może to zrobić pod wpływem strachu i gniewu, do których zamierzałem ją sprowokować podczas tego przesłuchania. Zrezygnowałem ze względu na obecność adwokata.

- Podejrzewam, że była to najmądrzejsza decyzja w pańskiej karierze.

Drwęcki rozłożył na biurku próbki pisma i przyjrzał się im jeszcze raz.

- Jeżeli nie ona pisała liściki dołączone do elektrycznych pereł, to kto? Wicka?

Hrabyk nie odpowiedział. Do pokoju wszedł za to Witkowiak.

- Dzwoni prezydent Dziabaszewski i pyta o panią Przybyszewską - oznajmił. - Co mam mu powiedzieć?

- Niech po nią przyjdzie. Ona nie powinna chodzić sama po mieście... Aha! - zreflektował się Jerzy. - Skoro już będzie, niech też rzuci okiem na ten portret pamięciowy, może doda jakiś szczegół. Jak im idzie to rysowanie?

- Pani Przybyszewska wciąż każe coś zmieniać. Poprawiają po kilka razy każdy szczegół.

- Jest córką malarki, może to coś da... - Drwęcki wrócił wzrokiem do akt.

- Mam nadzieję, że obyło się bez ginekologa? - rzucił Wit - kowiak.

- Zrezygnowałem z badania.

- Bogu dzięki! - Michał przeżegnał się nieznacznie i wyszedł.

- Teraz to ja się zastanawiam, czy Białozimska naprawdę jest Białozimską? - pomyślał głośno Drwęcki.

- Niby kim ma być? - zdziwił się Hrabyk.

- A gdyby tak Wicka... Nie wiemy, jak wyglądała krótko przed śmiercią, mogły być podobne... Na jakiej podstawie dokonano identyfikacji zwłok?

- Charakterystyczne tatuaże i blizna po nożu zbyt krewkiego klienta - odparł sędzia śledczy. - Linii papilarnych Wickiej nie było w kartotece obyczajówki. Widać, kiedy ją rejestrowano w 1922 roku, ktoś tego zaniedbał. Cóż, wtedy jeszcze daktyloskopia była w

Polsce śledczą ciekawostką...

- Mnie nawet w 1925 roku uczono, że przyszłość należy do daktyloskopii - wrzucił ramionami Drwęcki. - A w krajach zachodnich była to już rutynowa praktyka...

- Mniejsza o to, panie nadkomisarzu, i tak nie dałoby się pobrać daktyloskopów z powodu zwęglenia palców. Dłonie denatki znajdowały się wszak w epicentrum kuli ognia, która powstała wskutek wybuchu gazu. A zdjęcie Wickiej mamy w aktach i rzeczywiście, one są do siebie dość podobne, proszę spojrzeć... - podsunął Jerzemu papiery. - Jednak najpierw musielibyśmy zdobyć przekonujące dowody, że Wicka nie popełniła samobójstwa, lecz została zamordowana... - zawahał się. - I... jest jeszcze coś! - sędzia poderwał się z krzesła. - Idę po szczegółowy protokół oględzin zwłok. Zostawiłem go w swoim biurku... Proszę zaczekać!

Przez trzy minuty Drwęcki z rosnącą irytacją wpatrywał się w zdjęcia Wickiej i Białozimskiej. Znowu podobieństwa nie dało się potwierdzić ani wykluczyć. Swoje robiło pięć lat różnicy w wykonaniu fotografii, ich jakość, a do tego jeszcze różnica fryzur i makijażu. Z jednej strony zabrana wprost z ulicy wyzywająca prostytutka, z drugiej poważna, odświętna księgowa. Może tak, może nie... On sam widział już wcześniej zdjęcie Wickiej i wtedy do głowy mu nie przyszło, że może to być ta sama osoba. Zatem teraz ewentualne podobieństwo mogło być równie dobrze kwestią autosugestii.

- Ciekawe! - sędzia śledczy wszedł do pokoju wpatrzony w otwarty protokół. - Wcześniej uznano to za jedną z ran spowodowanych przez gruz z zawalonego sufitu lub kawałek blachy z rozerwanej wybuchem kuchenki gazowej... Ran i zmięddeń było tyle, że tej jednej nie wyróżniono spośród nich. To uszkodzenie krocza w rejonie łechtaczki... właściwie, brak tejże... Hermafrodyty mają zwykle penisy zamiast łechtaczek - podniósł wzrok na Drwęckiego. - To mogłoby być samookaleczenie poprzedzające akt samobójczy, ale też...

- Spreparowanie ciała - odpowiedział Jerzy. - Podobnie jak zawartości jej kieszeni.

- Jestem panu winien przeprosiny za przedwczesne zamknięcie tej sprawy.

- Zatem ekshumacja. Kiedy?

- Postaram się załatwić wszystko jak najszybciej.

- Jedna prośba, panie sędzio, proszę sprowadzić z Warszawy profesora Grzywno-Dąbrowskiego.

- Tym razem panu nie odmówię.

- Mam portret pamięciowy! - w progu stanął Witkowiak z arkuszem papieru. - Ciekaw jestem, co panowie na to...?

Ostrzyżony na krótkiego jeża mężczyzna na szkicu był uderzająco podobny do Białozimskiej. Takiej, jaką tu dziś widzieli. Autosugestię należało wykluczyć, bo Przybyszewska i Dziabaszewski nie widzieli podejrzanej, co Michał gwarantował osobiście. Drwęcki poczuł, jak opadają mu ręce.

- Zaczynam wierzyć w teorię Jerzego, że ona naprawdę potrafi zmieniać swój wygląd - entuzjasmował się Witkowiak. - Raz jest kobietą, a raz mężczyzną, doprawdy, fascynujące!

- A my właśnie doszliśmy do tego, że Białozimska nie może być androgyne... - podsumował ponuro Drwęcki.

- Wobec tego, to ona i zarazem nie ona... - Witkowiak zamrugał oczami. - Cóż za porażające ustalenie! I co robimy dalej z tak pięknie spartaczonym śledztwem? - zapytał rzeczowo.

Drwęcki nie odpowiedział. Intensywnie wpatrywał się w zdjęcia i portret pamięciowy.

19. Krokodyl i wytrychy

- Obiadu dzisiaj nie będzie! - oświadczyła Marysia.

- Czyżbyśmy nie zasłużyli? - spytał Michał z teatralnie kwaśnym uśmiechem.

Witkowiak i Drwęcki umówili się z paniami swojego życia zaraz po pracy na zwiedzanie Hali Reprezentacyjnej i zewnętrznych pawilonów Pewuki. Miał to być wstępny rekonesans przed zapuszczeniem się w głąb wystawy, co planowali zrobić jutro. Marysia, Jadzia i Katarzyna Anna czekały na nich na rogu ulic Głogowskiej, od niedawna Focha, oraz Bukowskiej. Wszystkie trzy udekorowane już czerwono-niebieskimi znaczkami wystawy, które przykleiły sobie do kołnierzy płaszczy. Dla Michała i Jerzego też kupiły. Pozwoliły się też zaopatrzyć w większy zapas pamiątkowych znaczków pocztowych po 25 groszy, barwy sepii, przedstawiających głowy wpatrzone w cztery strony świata.

- Babcia i Lunia zaraz po śniadaniu poszły zwiedzać Pewukę - wyjaśniła pani Drwęcka.

- Ale mieliśmy jutro iść wszyscy razem - zdziwił się Jerzy.

- Lunia i pani weteranowa uznały, że są za stare, żeby razem z nami, młodymi, biegać, zwłaszcza że interesować je będzie na pewno co innego niż nas - wyjaśniła Jadzia. - Uznały więc, że się rozejrzą powoli i po swojemu. Panna Karolinka też dostała wychodne. Dlatego z obiadu nici.

- A wujaszek Hiacyntus?

- Pan oficer wybrał się z kolegami weteranami - powiedziała Katarzyna Anna. - Też na wystawę. Mówił, że będą zwiedzać Pawilon Łowiectwa i chcą zobaczyć makietę portu w Gdyni w Pałacu Rządowym.

- To niedaleko - zauważył Michał. - Powinien się tu z nami spotkać...

- Mamy czekać tylko na Lunię i babcie - Marysia spojrzała na zegarek. - Już powinny być.

- Tam są! - pokazała Jadzia na wylot ulicy Grunwaldzkiej.

Starsze panie nadchodziły niespiesznie. Cała piątka ruszyła na naprzeciw. Przeszli przez Bukowską i stanęli przed białym Pontonem Sali Reprezentacyjnej, nad którym na wysokich basztach, po obu stronach wieńczącej dach iglicy, powiewały długie, wąskie białoczerwone proporce. Tu zaczekali. Już z daleka widać było, że Lunia i babcia Irena są

bardzo zadowolone i także solennie udekorowane wiadomymi znaczkami.

- Moi kochani! - zawołała babcia. - Żebyście tylko wiedzieli, jakie piękne hafty wystawiają u Ziemianek i Włóścianek!

- Rychtyk jak malowane! - potwierdziła z podziwem Lunia. - Trzeba w to dobrze wejrzeć, coby zoczyć nitki!

- Przepiękny ornat wyhaftowany przez hrabinę Sobańską, liczącą sobie osiemdziesiąt dwa lata - referowała babcia Irena - i portret ojca świętego Piusa XI, naszego polskiego papieża, dzieło sióstr magdalenek.

- Tysiąc pięćset złotych kosztuje - poinformowała rzeczowo Lunia. - A co tam innych haftów i kilimków! Wszystko wedle ordunku w chatach kaszubskich, kujawskich i wielkopolskich wystawione.

- Do tego stoi tam namiot wielkiego wezyra Kara Mustafy, zdobyty pod Wiedniem przez króla Jana - dodała babcia Irena.

- Kara Mustafa był ziemianką czy włóścianką? - parsknęła śmiechem Marysia.

- Moja pani nadkomisarzowa niby taka po szkołach, a nie wie, że to wszystko szyły i haftowały haremowe odaliski, z naszych kresów w niewolę uprowadzone! - obruszyła się staruszka.

- Przepraszam, babciu, nie pomyślałam.

- Pomyśl lepiej, moja droga, o nowej zastawie. Macie tu wszystkie... - babcia Irena wyjęła z torebki plik reklamówek platerów firmy Norblin, braci Buch i Werner, wydrukowanych w kolorze na kredowym papierze. Nazwa firmy biła po oczach wielkimi niebieskimi literami. - W sam raz do domu, na nowe gospodarstwa! - rozdała ulotki młodym kobietom.

- „Sztuńce srebrzone z białego metalu, gładkie i stylowe” - przeczytała z powagą Katarzyna Anna. - „Galanteria stołowa, przedmioty kościelne...” Serdecznie pani weteranowej dziękujemy!

- Koniecznie zobaczcie też wzory posadzek w pawilonie przemysłu drzewnego - dodała staruszka. - Naprawdę, jest na co popatrzeć! A wy, dokąd się teraz wybieracie? - zmieniła temat.

- Mieliśmy właśnie zajść tutaj, do Sali Reprezentacyjnej, pani weteranowo - odparł Michał.

- A co tam wystawiają? - zainteresowała się staruszka.

- Przykładowo, pani weteranowo, wielkie organy z fabryki braci Biernackich we Włocławku. Jest też plastyczna mapa Polski...

Marysi i Jadzi zrzędyły miny. Katarzyna Anna, jak zwykle, nie dała po sobie poznać nic, poza życzliwym zainteresowaniem.

- Jakie pawilony będziemy dziś jeszcze zwiedzać? - zagadnęła narzeczonego.

- Te, co tu widać - Witkowiak pokazał budynki na prawo od wejścia do Sali Reprezentacyjnej. - Przemysł Włókienniczy i Przemysł Skórzany... A tam za rogiem, przy Głogowskiej, jest Przemysł Papierniczy...

- Fascynujące - stwierdziła Katarzyna Anna z wciąż tym samym życzliwym zainteresowaniem. - Czytałam w gazecie, że w pawilonie papierniczym oferują zwiedzającym pokazy wyrobu filtrówek firmy „Dzwon”. Doprawdy, nasi panowie wiedzą, jak nas rozerwać! Zawsze marzyłam by zobaczyć filtrówki...

- Panna lepiej z tym zaczeka, aż będzie po ślubie! - napomniała ją z udawaną surowością babcia Irena. - Kto to słyszał, by porządna dziewczyna oglądała się za filtrówkami!

Marysia i Jadzia rozchichotały się na dobre. Lusia aż popłakała się ze śmiechu. Do Michała dopiero teraz dotarło, że nie do końca przemyślał tę podwójną randkę.

- Jerzy, ratuj... - mruknął.

- A co by panie powiedziały na restaurację „Belweder” oraz orkiestrę Zygmunta Karasińskiego i Katuszka? - Drwęcki stanął na wysokości zadania.

- A co to jest za orkiestra? - spytała podejrzliwie babcia Irena.

- Trzy saksofony, trąbka i perkusja - odparł Jerzy. - Grają w stylu dbciełandowochicagowskim. Akurat dzisiaj w „Belwederze”...

- Znaczy, znów ten murzyński jazz...? - skrzywiła się staruszka i zwróciła do Luni. - To my już lepiej chodźmy zobaczyć te organy! A potem wracamy, dość żeśmy się dzisiaj nachodziły.

- Słuszna racja, pani weterenowo! - zgodziła się gospoia.

- A na pewno będzie tam dla nas miejsce? - zwróciła się Marysia do męża.

- Zarezerwowałem stolik i stawiam butelkę szampana - odpowiedział Jerzy.

- Czy jest jakaś szczególna okazja, panie nadkomisarzu? - spytała Katarzyna Anna.

- Jak najbardziej, panno Jasińska. Musimy uczcić przełom w naszym śledztwie. Kolacja z szampanem i kawiozem będzie w sam raz!

Michał popatrzył na niego jak na wariata, ale nie zdążył o nic zapytać, bo młode panie zaczęły bić brawo. Za chwilę siostra i narzeczoneja demonstracyjnie podały mu ramiona, po czym w piątkę ruszyli Głogowską do restauracji.

Wrócili do domu przed jedenastą, w szampańskich humorach. Przez cały wieczór

Jerzy nie dał się namówić na żadne rozmowy o pracy. Bawili się w najlepsze, słuchali jazzowych improwizacji, popijali wino i tańczyli na tyle, na ile pozwalał stan Marysi. Po kolacji zamówili elektryczny autobusik, po czym ruszyli na objazd Pewuki, podziwiając jej nocną iluminację, zwłaszcza podświetloną od wewnątrz Palmiarnię i pawilon Przemysłu Szklanego, zbudowany z kolorowych szyb, fontannę w parku Wilsona o zabarwionej na amarantowo wodzie, a na koniec - kolejny pokaz sztucznych ogni nad Areną, aktualnie bez akcentów politycznych.

Tym bardziej zdziwił Jerzego wujaszek Hiacyntus. Staruszek nie położył się jeszcze spać, tylko siedział osowiały w kącie salonu.

- Wujaszku, co się stało? - zapytał Drwęcki, gdy zostali sami. - Dobrze się wujaszek czuje?

- Wstyd się przyznać, mój drogi - westchnął ciężko weteran. - Wstąpiliśmy dzisiaj do wesołego miasteczka...

- A więc to się teraz nazywa „oglądanie makiety portu w Gdyni”? - uśmiechnął się serdecznie Jerzy, wyobrażając sobie sędziwych ekskosynierów w wagonikach kolejki górskiej.

Staruszek stropił się jeszcze bardziej.

- Zupełnie nie wiem, jak ja teraz panu Marszałkowi w oczy spojrzę? Naruszyłem powagę munduru... A do tego jeszcze, co powie Iren? O mój Boże!

- Cóż takiego wujaszek nabroił? - Jerzy spoważniał.

- Rzucałem drewnianą kulka do celu - przyznał się weteran.

- Zrobił wujaszek komuś krzywdę?

- Nie... Trafiłem. I wtedy taka specjalna zasłona się podniosła...

- Zaraz, zaraz, a gdzież to nam wujaszek w tym wesołym miasteczku zawędrował? - Drwęckiemu zaczęło coś świtać.

- Pisało, że tam najpiękniejsze kobiety świata można zobaczyć...

- Aaa! I wujaszek zobaczył! Moje gratulacje!

- Nie wiem, czy one najpiękniejsze w świecie były, ale na pewno nieubrane... - jęknął skonfundowany weteran. - Ledwie co na sobie miały, same negliże... wszystko na sypialnię urządzone było... A ja tam w mundurze wojsk polskich 1863 roku! Boże! Zaraz oczy zamknąłem i uciekłem, więc nie wiem w końcu, czy one aby piękne, czy nie... Ale Jerzyku, jakżeż się na mnie ludzie patrzyli, gdy stamtąd wychodziłem! Wstyd i dysho - nor straszny! Uciekłem, aż się za mną kurzyło! I co teraz? Co mam począć?!

- No przecież wujaszek bez żadnych zdrożnych intencji tam zaglądał. Nie szukał

wujaszek golizny, tylko piękna. To wyłączna wina organizatorów wystawy, że dobrego objaśnienia tej atrakcji nie dali, żeby od razu było wiadomo, co i jak. W razie czego honorowym słowem wujaszek o tym zaręczy, że wprowadzono go w błąd, i po kłopotcie. Przecież chyba może wujaszek dać słowo?

- Mogę - staruszek odetchnął z ulgą. - Ale co z Iren?

- Gdyby wujaszek miał na sumieniu jakie zbereźności ze złej woli popełnione, toby się przyznać jak najbardziej wypadało, ale takimi głupstwami nie będziemy babci denerwować... A zarządowi wesołego miasteczka sam dam znać, żeby poważnych ludzi w głupich sytuacjach więcej nie stawiali.

- Dziękuję, Jerzyku, złoty chłopak z ciebie.

- Dobranoc, wujaszku!

Rano, zaraz po śniadaniu, rozdzwoniły się telefony.

Pierwszy odezwał się sędzia Hrabyk z dobrą wiadomością, że profesor Grzywno-Dąbrowski akurat jest w Poznaniu, też przyjechał na Pewukę i już się z nim skontaktowano, zatem ekshumacja Wickiej może być przeprowadzona jeszcze dzisiaj, choćby nawet za dwie godziny.

- I co pan na to, panie nadkomisarzu? - spytał sędzia śledczy; był w świetnym humorze. - Wiem, że ma pan dziś dzień wolny, ale jeśli się panu spieszy, profesor Dąbrowski jest do pańskiej dyspozycji. Odniosłem wrażenie, że on cieszy się na spotkanie z panem. Nie zamierza pan umrzeć nagle, mam nadzieję?

- Dziękuję za troskę, panie sędzio, ale byłbym wdzięczny, gdyby można było to załatwić trochę później. Obiecałem żonie, że dziś w Palmiarni pokażę jej sadzawkę z krokodylem...

- Ależ, proszę bardzo, panie nadkomisarzu. Nigdy dotąd nie przyprawiłem żadnej kobiety o zgubę, nie odmówię więc krokodyla pańskiej małżonce... O której pan woli?

- Może około południa.

- Zobaczą, co da się zrobić, miłego zwiedzania!

Kwadrans później sędzia śledczy zadzwonił ponownie z wiadomością, że ekshumację zarządzono na godzinę pierwszą po południu, na cmentarzu przy ulicy Kościuszki. O tej godzinie, w bramie, czekać będzie mundurowy, który zaprowadzi na miejsce.

Następny zadzwonił mocno zdenerwowany Boy-Żeleński.

- Panie Jerzy! - zaczął bez wstępów. - Dzisiaj przysłano Stasi perłę z numerem trzy! Niechże pan, na litość boską, coś zrobi! Trzeba działać!

- Kiedy nadano list?

- Wczoraj po południu, z Poczty Głównej w Poznaniu.

- Bardzo dobrze! - ucieszył się Drwęcki. - Wręcz doskonale!

- Co w tym dobrego, panie Jerzy! - zirytował się Boy. - To ma wyraźny związek z wczorajszym przesłuchaniem Białozimskiej. Ktoś chodzi za Stasią krok w krok i musiał wiedzieć, że była wczoraj na komendzie!

- Pańska dedukcja jest jak najbardziej prawidłowa, panie doktorze Żeleński...

- Chce się pan ze mną bawić w Sherlocka Holmesa?! - Boy był bliski wybuchu. - Nie mam najmniejszej ochoty być pańskim Watsonem!

- Proszę się uspokoić. Sytuacja nareszcie rozwija się po mojej myśli.

- Skoro pan tak mówi...

- Mam jedno drobne pytanie. Pan w swoim czasie widział ten cyrkowy numer Białozimskiej, w trakcie którego ona zamieniała się w mężczyznę?

- Owszem, widziałem.

- Jak to wyglądało? Mam na myśli ogólny entourage.

- Zadaptowano do tego celu stary cyrkowy trik z przepiłowywaniem kobiety w drewnianej skrzyni. Tyle że wtedy nie było żadnej piły, lecz pretensjonalne błazeństwo magika, ucharakteryzowanego na indiańskiego szamana... Wszystko, żeby było bardziej tajemniczo. Żalosna prowincjonalna tandeta!

- Dziękuję. Właśnie to chciałem wiedzieć. Do widzenia!

Witkowiak, który od rana patrzył na Drwęckiego podejrzliwie i z wyczekiwaniem, usłyszawszy końcowy fragment powyższej rozmowy, tym razem nie wytrzymał.

- Powiesz mi wreszcie, na co wpadłeś?!

- Wybacz, ale jeszcze nie. Nie chcę, abyście razem z Hra - bykiem znów potraktowali mnie jak warszawskiego odmieńca i kandydata na eksponat w waszym Muzeum Przyrodniczym, obok trójkiego cielaka i sześcionożnego jagnięcia. Po pół roku tej współpracy należy mi się odrobina satysfakcji. A tak serio, to muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy. Poza tym nasz sprawca wyraźnie traci zimną krew. Zaczyna wysyłać elektryczne perły coraz szybciej.

- Jak wyśle wszystkie, pozbędzie się dowodów - zauważył Michał. - I nie będzie można powiązać go z poprzednimi zabójstwami.

- Te perły to nie tylko obciążający go dowód, ale też jego jedyna legitymacja jako zabójcy artysty. Myślę więc, że ostatnią elektryczną perlę dostarczy osobiście...

- W jaki sposób? Przecież po nadejściu przedostatniej perły zgodnie z planem bierzemy Przybyszewską pod klosz. To by było samobójstwo.

- Nie, jeśli zabójca ma naprawdę dobry plan, a on myśli, że ma. Pozwól mi teraz spokojnie popracować. Powiem ci, kiedy będziesz potrzebny.

- Powiedz chociaż, co zamierzasz?

- Teraz zamierzam iść razem z wami zwiedzać Pewukę! - oznajmił wesoło Drwęcki. Wyobraź sobie, że nasz zabójca czuje teraz to samo, co ty... Jeśli potrzymamy go dłużej w niepewności, popełni więcej błędów. Gdybyś jednak zauważył, że chodzi za nami osoba z portretu pamięciowego, udawaj, że tego nie widzisz.

- Więc nie powiesz mi, o co chodzi?

- Jeszcze nie. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyś domyślił się sam. Wiesz tyle, co ja...

- A niech cię licho! - zirytował się Michał. - Jakbyś chciał wiedzieć, to w Muzeum Przyrodniczym mamy jeszcze meteoryt, taki wielki, co spadł na Morasko. Ten ci dopiero miał twarde lądowanie na finał kariery... Chcesz być następny?

- Panowie się będą klócić? - spytała Katarzyna Anna, która nocowała w pokoju Jadzi. Obie panny były już wyszykowane do wyjścia.

- Skądże! To tylko dyskusja profesjonalna... - odparł Jerzy. - Panie już gotowe?

- Ależ, oczywiście!

Wyruszyli zatem na kolejny dzień zwiedzania Powszechnej Wystawy Krajowej. Wujaszek Hiacyntus przez noc wyleczył się z moralnego kaca i wrócił mu dobry humor. Babcia Irena przekonana, że wczorajsza chandra małżonka była rezultatem nie - obyczajnej w jego wieku jazdy kolejką górską, co rusz surowo napominała Marysię, aby w swoim stanie nawet nie ważyła się o tym myśleć...

Trafili na godzinę szczytu. Przed bramą główną wystawy, przy Głogowskiej, naprzeciw Wieży Górnośląskiej, przed dwoma spiczastymi obeliskami kłębił się tłum, w którym uwijali się sprzedawcy pamiątkowych znaczków, pocztówek i papierosów. Do Biur Obsługi Publiczności, mieszczących się w pawilonie na prawo od bramy, ustawiła się już spora kolejka. Michał, jako członek ochrony wystawy, poszedł uprościć procedurę wejścia, ale mimo wszystko musiało to trochę potrwać. Tylko on i wujaszek Hiacyntus mieli wstęp całkowicie bezpłatny. Drwęcki formalnie nie pracował już dla wystawy. Czekając, aż Michał wróci z biletami, Marysia i Jadzia odeszły na chwilę z weteranem, aby pokazać mu restaurację „Belweder”, mieszczącą się przy budynku administracji PWK i za pawilonem Monopoli Państwowych, tworzącym lewe skrzydło głównej bramy. Z kolei babcia Irena zaczęła kalkulować głośno wydatki na zwiedzanie.

- Moja pani, strasznie drogo tu sobie liczą - zwróciła się do Luni. - Wstęp cztery złote

od osoby i dwa złote za dziecko. ^ jeszcze bilety do Palmiarni po złotówce! Do tego obiad, zakupy i tak co najmniej przez trzy dni, albo i cztery!

- Rychtyk tygodnia byłoby mało, żeby wszystko dobrze Przepatrzeć - zgodziła się Lunia.

- Słowem, od samego patrzenia można zbankrutować - skwitowała staruszka. - Ludzi jest dużo, ale na pewno byłoby więcej, gdyby ceny były przystępniejsze.

Tuż obok nich przystanęła wycieczka szkolna z gimnazjum żeńskiego. Panienki miały od kilku do kilkunastu lat. Uwagę Drwęckiego przykuł fakt, że wszystkie wyglądały jak odmłodzone kopie babci Ireny - były w identycznych ciemnych sukienkach i owalnych kremowych kapelusikach, przypominających połówki wielkanocnych jajek. Zaledwie kilka dziewcząt wyróżniały długie warkocze. Grupą ponad trzydziestu uczennic opiekował się energiczny ksiądz kierownik w czarnym, istic westernowym kapeluszu, sześć nauczycielek oraz starszy mężczyzna, będący - zdaje się - szkolnym woźnym. Sądząc po wymowie i akcencie, przyjechali z Warszawy.

- Uczennice, proszę się zbliżyć! - zawołał ksiądz kierownik i poczekał, aż dziewczęta obstąpią go półkolem. - Jeszcze raz apeluję do uczennic o porządek i powagę! - oznajmił podniosłym tonem. - To nie jest zwykła wycieczka! Będziemy zwiedzać tu dorobek pracy polskiej. Każda z was powinna wynieść stąd korzyść, a przede wszystkim - zaprezentować naród swój. Ponieważ wystawę tę zwiedza i zagranica, której oczy zwrócone są na nas, uczennice powinny szczególnie, jako przedstawicielki szkoły polskiej, uważać na zachowanie się. Obowiązuje je karność zarówno wewnętrzna, jak i zewnętrzna, co oznacza bezzwłoczne ustosunkowanie się wewnętrzne do rozkazu, jako też i momentalne jego wykonanie! Uczennice powinny sobie uświadomić, że na tę wystawę złożyła się zbiorowa praca ludzka, zatem należy obudzić w sobie szacunek do tej pracy i zamiłowanie do niej. Wystawę należy zwiedzać z myślą głębszą, uświadomieniem należnym, że dorobek nasz twórczy mamy przed sobą. Trzeba poznawać i kochać swój kraj i budować w sobie wiarę w moc i potęgę Polski! Uczennice pojęły?!

- Tak jest, proszę księdza profesora! - odpowiedziały chórem, bardzo przejęte przemową. Nie było żadnych uśmiezków.

- Kochana pani przełożona! - rozległ się radosny okrzyk powracającej właśnie Marysi.
- Jaka wspaniała niespodzianka!

Jedna z nauczycielek, kostyczna kobieta w średnim wieku, o trójkątnej twarzy i wąskich ustach, obejrzała się na wołającą i uśmiechnęła nieznacznie.

- Jabłonowska? A cóż ty tutaj robisz, drogie dziecko?

- Teraz już Drwęcka, proszę pani przełożonej - Marysia wzięła męża pod ramię. - To mój mąż, Jerzy! Jest nadkomisarzem w policji. A to pani Helena Rzeszotarska, przełożona mojego dawnego gimnazjum!

- Bardzo mi miło! - Drwęcki podszedł się przywitać. - Marysia wiele o pani opowiadała i zawsze z podziwem.

- Gratuluję państwu błogosławieństwa bożego! - uchylił kapelusza ksiądz kierownik. - Józef Szkudelski - przedstawił się.

- O, jest też pani Zalewska i pani Biernacka! - cieszyła się Marysia.

- Dziewczęta, pamiętacie swoją straszą koleżankę, Marysię? - zapytała jedna z wymienionych nauczycielek.

- Witam czcigodną panią przełożoną! - dołączył wujaszek Hiacyntus.

- Pan podporucznik Fedorczyk jak zwykle pełen werwy - skłoniła się lekko pani Helena.

- Moja żona, Irena...

- Poznają. Babcia Marysi, prawda?

Zrobiło się sporo radosnego zamieszania, w trakcie którego wrócił Michał.

- Jeżeli państwo jeszcze nie mają biletów, mogę pomóc - zaofiarował się, gdy prezentacje dobiegły końca.

- Dziękujemy bardzo, panie komisarzu - odparł ksiądz kierownik. - Bilety już posiadamy, ale mamy niejaki kłopot z przewodnikiem. Obiecano nam przydzielić kogoś dopiero jutro, zatem dziś musimy zdać się na los szczęścia.

- Ja i nadkomisarz Drwęcki pracowaliśmy przy organizacji wystawy, jeśli więc możemy służyć naszym rozeznaniem...

- Bardzo chętnie! Jednak nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu.

- Ależ, zaden kłopot, proszę księdza! - zapewniła Katarzy, na Anna, którą poparła energicznie babcia Irena. - Prosimy się do nas przyłączyć! Planowaliśmy zacząć od Palmiarni.

- A, to doskonale! - ksiądz kierownik obejrzał się na grupę. - Uczennice formują kolumnę marszową! Wchodzimy!

Witkowiak ruszył przodem, by zarezerwować wystawowy autobus, który podjechał właśnie pod Pawilon Miasta Lwowa, tuż obok Wieży Górnosławskiej. Rekwizycja przebiegła sprawnie i tak dojechali do parku Wilsona.

Krokodylem Marysia była rozczarowana. Bestia ani drgnęła, niezwykle przekonująco udając, że jest z drewna. Znacznie bardziej spodobały się jej akwaria z kolorowymi egzotycznymi rybkami. Niespodziewanym problemem okazał się fakt, że dla

tropikalnych palm, paproci i dracen oraz kaktusów stworzono odpowiednio tropikalny i pustynny klimat. Było tak wilgotno i gorąco, lub dla odmiany sucho i gorąco, że po dwudziestu minutach, gdy tylko zobaczyli główną tutejszą atrakcję, czyli kwitnącą wiktorię królewską o półtorametrowej średnicy liściach pływających na powierzchni specjalnego basenu, Jerzy musiał wyprowadzić słabnącą żonę na świeże powietrze. Zaczekali na resztę towarzystwa w holu pobliskiego pawilonu Polonii zagranicznej, który był drugim etapem zwiedzania.

Tym razem odczucia były mieszane. Ksiądz kierownik, jak zwykle tonem podniosłym, mówił o pocie i krwi polskiej wsiąkających w ziemię innych kontynentów. Panie nauczycielki z kolei szeptem między sobą krytykowały nadmiar szowinizmu. Z zażenowaniem przyjęto zwłaszcza pogładową demonstrację w stylu ruchomej szopki, która przedstawiała proces wynaradawiania Polaków w Niemczech. Figurki o białych twarzach przesuwaly się obok szkoły, kościoła oraz fabryki i stopniowo, na każdym z tych etapów, część białych twarzy zmieniała kolor na czarny - oznakę całkowitego zgermanizowania, aż na koniec białych zostawała tylko połowa. Lunia poczuła się osobiście dotknięta i skomentowała z sarkazmem, że ona nijak nie wiedziała, że jest pobielaną Murzynką... Kiedy na dobitkę jedna z nauczycielek stwierdziła, że idea z pewnością jest słuszna, problem jak najbardziej poważny, lecz jego ujęcie stanowczo zbyt prowincjonalne, zaczerwieniony Michał mało nie zapadł się ze wstydu pod ziemię.

Dobry nastrój wrócił wszystkim podczas zwiedzania pawilonu Ministerstwa Komunikacji, a dokładniej mówiąc, znajdującej się tu wystawy kolei państwowych. Organizatorzy tej części ekspozycji przygotowali wiele praktycznych pokazów, w których mogli wziąć udział zwiedzający. I tak na przykład Marysia, łypiąc co chwila na męża z łobuzerskim uśmiechem, opanowała umiejętność przestawiania zwrotnic kolejowych. Drepcząc po ćwiczebnym rozjeździe, omal nie złamała obcasa, potem, ku przerażeniu babci Ireny, naparła brzuchem na ciężar przeciwwagi, ostatecznie jednak z pochwałą instruktora zdała symboliczny egzamin na zwrotnicowego. Katarzyna Anna, ku uciesze wszystkich, perfekcyjnie odegrała rolę konduktorki, przyłapując jadącą na gapę Jadzię. Z kolei uczennice pani Heleny wpadły wręcz w trans na punkcie testów psychotechnicznych dla maszynistów, sprawdzających słuch i refleks. Najpierw wszystkie wypróbowały swoje możliwości, potem zaimprovizowały zawody. Radość była taka, że ksiądz kierownik machnął ręką i oznajmił, że zwiedzanie Pałacu Sztuki zostaje przełożone na jutro.

To najbardziej ucieszyło Jerzego, Marysia bowiem zdążyła już wypaplać, że jej mąż przykładał rękę do organizacji tego przedsięwzięcia, a doprawdy nie było się czym chwalić z

powodu fatalnej lokalizacji. Gmach Collegium Anatomicum wzniesiono z myślą wystawiania nieboszczyków, a nie dzieł sztuki. Było w nim za mało światła i przestrzeni. Prawie trzy tysiące obrazów i rzeźb zgromadzono w ciasnych i mrocznych salach, o oknach zwróconych w większości na północ. Urażało to wszelkiej wystawienniczej estetyce i choć nie było w tym winy Drwęckiego, czuł on, że będzie się tam rumienić jak Michał w dziale Polonii. Szczęśliwie mu tego oszczędzono. Można było się pocieszać, że trzy czy cztery źle zorganizowane pawilony, z ponad stu, to jeszcze nie najgorzej. Sztuka polska prezentowała się znacznie lepiej w formie architektury po - szczególnych pawilonów, zwłaszcza Nawozów Sztucznych i Przemysłu Cementowego, gdzie zaszaleli awangardowo artyści z „Praesensu”.

Ponieważ Jerzy i Michał musieli niebawem wracać do obowiązków służbowych, a obaj mieli jeszcze wystąpić w roli przewodników po wystawie Ministerstwa Sprawiedliwości, cała wycieczka z działu komunikacji ruszyła prosto do Pałacu Rządowego przy Grunwaldzkiej, omijając po drodze pawilon Przemysłu Lotniczego, Pałac Sztuki i Pałac Wychowania Fizycznego.

Ministerstwo Sprawiedliwości rozmieściło się w pierwszym, patrząc od zachodu, wewnętrznym skrzydle Pałacu Rządowego, który po wystawie miał się stać Wydziałem Chemii Uniwersytetu Poznańskiego. Czas zaczynał naglić, Drwęcki więc przyspieszył zwiedzanie, rezygnując z przystanków i odpoczynków, co niebawem boleśnie odczuł w zranionej nodze. Kiedy pokonawszy kolejne schody, znaleźli się w sali poświęconej walce z przestępczością, Jerzy, masując biodro, zaczął rozglądać się za krzesłem. Tych jednak było tylko kilka i wszystkie prędko zostały zajęte przez panie.

Zona zauważyła, co się dzieje, i ustąpiła mu swoje miejsce, budząc ogólną konfuzję.

- Czy pan nadkomisarz jest niezdrów? - zainteresował się ksiądz kierownik.

- Mój mąż - oznajmiła z godnością Marysia - został tej zimy ciężko ranny w pościgu za przestępcą i jeszcze nie całkiem odzyskał siły.

Uczennice chórem wydały z siebie pełne podziwu „Ooch!”, a Marysia aż pokraśniała z dumy.

- Możemy kontynuować - oznajmił Drwęcki, rozluźniając bolącą nogę.

- Czy tym razem moglibyśmy zacząć od pytań? - odezwała się jedna z nauczycielek.

Była wyraźnie poruszona widokiem prezentowanych tu eksponatów.

- Proszę panią bardzo.

- Ta kolekcja wytrychów! - nauczycielka wskazała gablotę.

- A tu, na ścianie, pogładowe plansze, przedstawiające sposoby otwierania nimi zamków. Czyż to nie jest instruktaż dla przyszłych przestępców? - spytała z oburzeniem, a

koleżanki poparły ją, kiwając głowami. - Nie wiem, czy powinniśmy przyprowadzać tu nasze dziewczęta...

- Cóż - uśmiechnął się Jerzy. - Staramy się pokazać nasze osiągnięcia, pokazujemy więc narzędzia odebrane przestępcom. Bardziej niezręcznie byłoby wystawić opryszków w kajdanach...

Rozległ się pojedynczy chichot. Zdaje się - Jadzia, bo gimnazjalistki, zgodnie z zaleceniem księdza kierownika, zachowały surową powagę.

- Jednak, przepraszam za ten żart - kontynuował Drwęcki.

- Dla uczciwych obywateli mamy tu cenną informację, jakich przestarzałych typów zamków należy unikać oraz jak zabezpieczać drzwi przed włamaniem.

- Ależ, przepraszam bardzo, panie nadkomisarzu, jaką korzyść może dać niewinnym paniom umiejętność otwierania zamka wytrychem? - nie ustępowała nauczycielka.

- Łaskawa pani - wtrącił się do dyskusji wujaszek Hiacyntus. - A gdyby tak któraś z wychowanek musiała w przyszłości, dla ratowania ojczyzny, wykraść dokumenty wroga?

- Jeżeli pani przełożona sobie życzy - uśmiechnął się Jerzy - mógłbym w tym celu zademonstrować praktycznie działanie wytrycha...

- Kształcimy nasze uczennice, aby gotowe były służyć Bogu i ojczyźnie w każdych okolicznościach - odrzekła z godnością pani Rzeszotarska. - Ale tylko najstarsze... Jeżewska i Konikówna! Proszę podejść do pana nadkomisarza.

- Tak jest, proszę pani przełożonej - wywołane uczennice wystąpiły.

- Panny przyrzekną - wtrącił się ksiądz kierownik, unosząc krucyfiks - że uzyskaną teraz wiedzę wykorzystają wyłącznie dla dobra publicznego. I na większą chwałę Bożą... - doda! szybko.

Wujaszek Hiacyntus stanął obok z marsową miną.

- Przyrzekamy! - oświadczyły dziewczęta z powagą.

Przez ten czas Michał załatwił z opiekunem wystawy otwarcie gabloty z wytrychami i zamknięcie od zewnątrz drzwi do sali, w której się znajdowali. Drwęcki przysunął się z krzesłem bliżej zamka.

- Panienka podejdzie - skinął na pierwszą z uczennic. - Proszę wziąć wytrych, o ten... i włożyć go do zamka tym hakiem do góry, o tak... Teraz proszę zlokalizować pierwszą zapadkę zamka i podważyć ją do góry... - instruował. - Czuje panienka, jak się ugina zaczep?

- Tak, proszę pana nadkomisarza - odpowiedziała blada z przejęcia gimnazjalistka.

20. W głąb otchłani

Grabarze właśnie zaczęli odkopywać trumnę.

Opodal, na cmentarnej zwirowej alejce rozstawiono dwa stoły. Na jednym rozłożono gumowe rękawice, słoje na preparaty anatomiczne, lancety, piły oraz inne narzędzia. Przy drugim, przeznaczonym dla protokolanta, siedział akurat profesor Grzywno-Dąbrowski i w skupieniu analizował dokumentację pierwszej autopsji zwłok. Co chwila przez ramię zerkał mu stojący za nim sędzia Hrabyk. W chwili gdy nadeszli prowadzeni przez mundurowego Drwęcki i Witkowiak, trwała właśnie fachowa krytyka dotychczasowych ustaleń poznańskiej policji.

- Rozpoznanie przeprowadzono bardzo sumiennie, z istic niemiecką pedanterią - stwierdził profesor Dąbrowski - ale to właśnie okazało się zwodnicze, szanowny panie sędzio.

- Chciałbym zwrócić uwagę pana profesora, że naszym głównym zadaniem była identyfikacja zwłok, mocno uszkodzonych przez gruz i ogień. Przyczyna śmierci ani płeć ofiary raczej nie budziły naszych wątpliwości.

- Ano właśnie, ano właśnie... - pokiwał głową medyk sądowy. - A ułożenie zwłok na wznak? Samobójcy z reguły wkładają głowę do kuchenki gazowej, stojąc na podłodze na czworakach.

- Uznaliśmy, że denatka ułożyła się tak, jak w trumnie. Być może nie było to zbyt wygodne, ale samobójca, spełniając swój czyn, raczej o wygodzie nie myśli. Ważne, że denatka żyła i oddychała jakiś czas po tym, jak odkręcono gaz...

- Tak, widziałem analizę krwi - skinął głową profesor - zawartość tlenu węgla potwierdza tę diagnozę. Jednak należało zbadać, czy inne ślady nie stoją w kolizji z tym ustaleniem.

- Nastawiliśmy się przede wszystkim na identyfikację zwłok - powtórzył sędzia śledczy. - A i samo to było dość trudne, zwłaszcza wobec braku odcisków palców.

- Ta część waszej pracy budzi moje najwyższe uznanie, szanowny panie sędzio. Wiem, że to tutejsza specjalność i znam pańskie osobiste osiągnięcia. Mogę też pochwalić szczegółowość opisu obrażeń, który teraz, trzy miesiące po pogrzebie, będzie wręcz bezcenny. Jednak w zakresie dotyczącym ustalenia okoliczności śmierci wystąpiły wyraźne uproszczenia. Stwierdzam to z całą powagą.

- Dzień dobry, panie profesorze! - odezwał się Drwęcki.

- Witam, panie nadkomisarzu - profesor Grzywno-Dąbrowski wstał, by się przywitać.

- Cieszę się, widząc pana w dobrym zdrowiu. Przekazano mi pańskie przypuszczenia, ale na razie nie chcę się jeszcze wypowiadać na ten temat. - Spojrzał na grób. Łopaty już stukały o trumnę. - Wiem, że nie lubi Pan tych widoków - powiedział, zniżając głos. - Zwłoki będą w zaawansowanej fazie rozkładu gnilnego, tym bardziej więc nie musi pan tutaj być. Przekażę panu szczegółowy raport.

- Nie wątpię, panie profesorze, ale chodzi o co innego. Myślę, że jestem obserwowany przez sprawcę. Wobec tego chciałbym możliwie silnie oddziaływać na jego imaginację...

- Jak pan uważa, panie nadkomisarzu. Tylko czy pan wytrzyma?

- Mam chustkę i ocet.

- Mam nadzieję, że to wystarczy. Bierzmy się do pracy.

Grabarze wydobyli trumnę z grobu, podważyli wieko łomami, po czym odsunęli się szybko na boki. W ich ślady ruszyli mundurowi zabezpieczający teren, przez co kordon znacznie się przerzedził. Jerzy sprawdził, z której strony wieje wiatr, stanął na nawietrznej i przygotował sobie octowy tampon do oddychania. Tylko profesor, jego asystent oraz sędzia śledczy nie dali nic po sobie poznać. Pierwszy bez pośpiechu założył fartuch i rękawice, drugi zajął się papierami, sędzia Hrabyk zaś osobiście przejął obsługę stołu z narzędziami. Najpierw wziął z niego nożyce.

Profesor Grzywno-Dąbrowski klęknął przy trumnie, rozciął wilgotny brunatny całun i rozchylił go na boki.

- Czy zapisał pan wstępne informacje odnośnie do osoby i okoliczności? - zwrócił się do protokolanta.

- Tak, panie profesorze. Możemy już przechodzić do meritum.

- Miękkie części ciała całkowicie rozmiękczone, powłoki brzuszne rozsądzone... - zaczął dyktować. - Odsłonięte końcówki połamanych żeber i fragmenty mostka... Poproszę lancet i haki - zwrócił się do sędziego śledczego.

Drwęcki postąpił kilka kroków. Zawartość trumny w niczym nie przypominała człowieka. Była to jakaś bezkształtna, brązowoczarna bryła, w której dopiero na drugi rzut oka dało się dostrzec zarysy nóg i ramion. Głowa i szyja zwały się w jedną obłą bulwę, w której nie było nawet pozorów twarzy. Drwęcki nie potrafił określić, czy patrzy na przód, tył czy bok głowy. Tymczasem profesor manipulował narzędziami w miejscu, gdzie powinien znajdować się dół brzucha.

- Przykro mi, panie nadkomisarzu - obejrzał się na Jerzego - ale o stanie zewnętrznych

narządów płciowych nie da się powiedzieć nic więcej ponad to, co wcześniej zapisano. Doszło już do obnażenia kości spojenia łonowego... Proszę pisać! - zwrócił się do protokolanta. - W jamie brzusznej widoczne kryształki soli alkaloidów trupich. Przydatki w postaci rozplwającej się czarnej miazgi już niemal nierozpoznawalne. Macica prawidłowa i nieciężarna, zgodnie z oczekiwaniami, jak dotąd oparła się rozkładowi. Zwłoki należą zatem do w pełni rozwiniętej kobiety - podsumował. - Możemy całkowicie wykluczyć androgyniczność.

- Więc to jednak Wicka - stwierdził z naciskiem sędzia Hrabyk.

- W tym miał pan rację, panie sędzio - odparł profesor GrzywnoDąbrowski. - Jeżeli doszło do próby mistyfikacji płci zwłok, to była ona zbyt pospieszna i nieudolna. Teraz już nie da się tego rozstrzygnąć. Pozostaje jednak kwestia przyczyny śmierci. Tu zainteresowało mnie kilka ran głowy, opisanych w protokole pierwszej sekcji... - przesunął się bliżej końca trumny. - Głowę zabieramy w celu wypreparowania czaszki. Poproszę o większy lancet i słój...

- Kiedy preparat będzie gotowy? - zapytał przez chustkę Drwęcki.

- Za trzy godziny, jeżeli zależy panu na czasie. Zastosujemy najnowocześniejszą metodę rozpuszczania tkanek miękkich w perhydroflu, ale potem trzeba będzie jeszcze posklejać kości zmiażdżonej twarzoczaszki. Może pan przez ten czas zjeść obiad... O, przepraszam najmocniej!

Drwęcki utrzymał żołądek na wodzy, ale musiał się wycofać. Profesor tymczasem oddzielił głowę i przełożył ją do szerokiego słoja. Dał znak grabarzom, że mogą zamykać trumnę. Komisarz Witkowiak ze swej strony zadbał, aby powtórny pochówek nie obył się bez księdza, więc procedura na cmentarzu nieco się przeciągnęła.

- I co zauważyłeś? - zapytał go Drwęcki, kiedy wracali do samochodu.

- Między grobami kręcił się jakiś żebrak - odparł Michał. ~ Sądziś, że to był nasz sprawca? Jeśli tak, mogliśmy go aresztować...

- Wtedy mielibyśmy tylko żebraka, tłumaczącego się zwykłą ciekawością - odparł Jerzy. - Z kolei na ulicach śledzą nas pewnie sprzedawcy znaczków wystawowych... Pamiętaj, że mamy teraz za przeciwnika duże pieniądze hrabiny Ciunkiewiczowej.

- Rozumiem, że nadal mam czekać na wyjaśnienia?

- Nie chcę zapeszać - powiedział Drwęcki.

Wilgotną jeszcze, zbielałą od perhydroflu czaszkę Marianny Wickiej umieszczono na środku stołu, przy którym usiedli Drwęcki, Witkowiak i sędzia Hrabyk. Znać było na niej liczne wgniecenia, złamania oraz ślady klejenia kości policzkowych i żuchwy. Profesor

GrzywnoDąbrowski stał obok z drewnianym wskaźnikiem w dłoni.

- Panowie, proszę zwrócić uwagę na te zakłębienia kości po prawej stronie potylicy - obrócił czaszkę i pokazał ślady.

- Są zbyt powtarzalne i regularne jak na urazy odniesione w chaosie wybuchu.

Sędzia Hrabyk z rezygnacją pokiwał głową.

- Przekonał mnie pan - stwierdził i zwrócił się do Drwęckiego: - Proszę wybaczyć, że nie potraktowałem poważnie pańskich podejrzeń.

Nadkomisarz nie odpowiedział.

- Denatka została ogłuszona trzema podstępnie zadanymi ciosami w tył głowy - profesor Grzywno-Dąbrowski postawił kropkę nad i. - Narzędzie tępokrawędziaste, typu metalowy pręt albo rurka. Sprawca był mańkutom, dysponującym niewielką siłą fizyczną. Nie zdołał rozbić ani poważnie wgnieść puszkę mózgową, skutkiem czego te stosunkowo nieznaczące obrażenia zostały zamaskowane przez późniejsze znacznie poważniejsze urazy mechaniczne i oparzenia, będące rezultatem wybuchu gazu.

- Białozińska pisała prawą ręką - przypomniał Witkowiak.

- Należałoby kazać jej pisać lewą...

Chwilowo nikt nie podjął tego tematu.

- Zadane ofierze ciosy były wystarczające, aby spowodować utratę przytomności - kontynuował profesor. - Następnie sprawca ułożył ciało z głową w otwartym piekarniku kuchenki i odkręcił gaz. Śmierć nastąpiła wskutek zatrucia tlenkiem węgla z gazu świetlnego. Wybuch zmasakrował martwe ciało tak, że nie da się już stwierdzić, czy zwłoki zostały jeszcze celowo okaleczone w partiach płciowych. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko.

- Bardzo dziękujemy panu profesorowi za konsultację - powiedział Hrabyk. - I przepraszamy, że przeszkodziliśmy w urlopie oraz zwiedzaniu naszego miasta.

- Zawsze do usług! - skłonił się profesor Grzywno-Dąbrowski. - Cieszę się, że mogłem pomóc. Żegnam panów - skłonił się raz jeszcze i wyszedł z pokoju.

Przez dłuższą chwilę, w milczeniu, wszyscy trzej kontemplowali leżącą na stole czaszkę. Pierwszy odezwał się Michał.

- Zatem jeszcze raz wezwiemy na przesłuchanie Białoziim - ską i każemy jej napisać cytaty z Przybyszewskiego lewą ręką?

- A mecenas Hejrowski zarzuci nam, że na siłę staramy się upodobnić podejrzaną do sprawcy - westchnął Hrabyk. - Tyle dobrego, że skutkiem dzisiejszych ustaleń sprawa zostaje oficjalnie otwarta. Jednak podstawą tego jest solidna ekspertyza sądowo-lekarska, a nie teoria krytycznoliteracka - przeniósł wzrok na Drwęckiego. - Oczywiście, to pan miał rację, a ja się

myliłem, ale jednak sam pan rozumie...

- Rozumiem - odpowiedział chłodno Jerzy - że nie powinienem być dzielić się podejrzeniami zbyt nietypowymi jak na tutejsze rozumienie poważne; kryminalistyki.

- Ależ, panie nadkomisarzu, proszę się nie obrażać.

- Nie obrażam się. Chcę jedynie zdemaskować niezwykle Przebiegłego zabójcę, który za nic ma podręcznikowe schematy. jak i potoczne wyobrażenia w kwestii obyczajności. Co więcej, który świadomie wykorzystuje nasze moralne opory i obawy przed prowadzeniem dochodzenia w kierunku, który byłby dla niego groźny.

Witkowiak spuścił wzrok.

- Co pan zatem zamierza, nadkomisarzu? - spytał Hrabyk.

- Złożyć kurtuazyjną wizytę hrabinie Ciunkiewiczowej - Jerzy spojrzał na zegarek. - Akurat teraz jest właściwa pora...

Drwęcki spokojnie dopalił papierosa na rogu ulicy Nowej i alei Marcinkowskiego, spoglądając w zadumie na front hotelu Bazar. Czteropiętrowy budynek z pretensjonalnymi wazonami na gzymsie, jak na standardy poznańskich kamienic, prezentował się raczej mało okazale, wręcz drobnomieszczańsko. „Dwie, góra trzy hrabiny, z tego jedna farbowana...” - podsumował z sarkazmem, oceniając status mieszkańców po fasadzie budynku. „Pał lichy pozory!”.

Cisnął niedopałek do rynsztoka, przepuścił jadący na Stary Rynek tramwaj 12, po czym przeszedł na drugą stronę Nowej. Chwilę później w recepcji Bazaru podał swoje nazwisko i polecił zawiadomić hrabinę Ciunkiewiczową. Uczesany w ząbek chłopiec hotelowy w czarnym fraczku z białym gorsem i muchą zaprowadził Jerzego do holu z okrągłym przeszklonym sufitem, wskazał skórzany fotel w cieniu rozłożystej juki i poprosił zaczekać pięć minut.

Czekanie wydłużyło się prawie do kwadransa. Potem, zamiast hotelowego boyka, zjawiał się osobisty kamerdyner hrabiny, mężczyzna około trzydziestu pięciu lat. Sztywny, o mocno pobrużdżonej i ogorzalej twarzy. Zamiast liberii znacznie bardziej pasowałoby mu białe kepi Legii Cudzoziemskiej. Na widok Drwęckiego jego oczy błysnęły czujnie. Stary żołnierz rozpoznał starego żołnierza na pierwszy rzut oka.

- Nadkomisarz Drwęcki? - upewnił się, a otrzymawszy w odpowiedzi twierdzące skinienie głowy, zadał kolejne pytanie: - Pani hrabina zapytuje, dlaczego miałyby rozmawiać z panem osobiście, bez pośrednictwa lub towarzystwa swojego adwokata?

- Ponieważ pani hrabina lubi grę - odparł Drwęcki.

- Czy dokładnie to mam powtórzyć?

- Tak.

Kamerdyner skłonił się sztywno i odszedł. Wrócił po pięciu minutach.

- Pani hrabina oczekuje - oznajmił.

Ruszyli hotelowym korytarzem. Przed drzwiami apartamentu kamerdyner ponownie zwrócił się do Jerzego.

- Czy ma pan broń?

- Mam.

- Mogę o nią prosić?

Jerzy uśmiechnął się lekko. Żądanie można było uznać za bezczelność.

- To warunek osobistej rozmowy z panią hrabiną - poinformował kamerdyner.

Drwęcki bez słowa sięgnął do kieszeni płaszcza i podał mu colta. Miał podstawy podejrzewać, że to swojemu pistoletowi, który zwykł nosić w prawej kieszeni płaszcza, zawdzięcza kłopoty z biodrem, po tym jak upadł na niego w czasie wybuchu, ale przyzwyczajenie było silniejsze.

- Tędy proszę - służący zerknął na bezpiecznik broni i otworzył drzwi.

Za progiem Jerzy bez ceremonii oddał mu także płaszcz i kapelusz. Mężczyzna nieznacznie przygryzł wargę.

- Proszę tu zaczekać - polecił, wskazując Jerzemu drogę do salonu, a sam zniknął w bocznym pokoju.

Zjawiała się po minucie. Brunetka o owalnej twarzy, w ciemnej domowej sukni i pojedynczym sznurze pereł na szyi. Rzeczywiście, nie wyglądała na swój wiek. Można było jej dać najwyżej trzydzieści lat. Lekko melancholijny uśmiech i spojrzenie bardziej przywodziły na myśl dystygowaną cioteczkę - starą Pannę, rutynowo porzuconą przez kolejnego narzeczonego, niż mistrzynię intrygi, którą faktycznie była.

- Witam, panie nadkomisarzu. W co chciałby pan ze mną zagrać? - spytała, patrząc Drwęckiemu prosto w oczy.

- W to, w co pani hrabina lubi najbardziej... - odparł z lekkim ukłonem.

Postąpiła ku niemu dwa kroki.

- Tak dobrze zna pan moje gusta?

- To się okaże, za pani pozwoleniem.

- Upředziano mnie, że potrafi pan zaskakiwać, panie nadkomisarzu. Zatem niecierpliwie oczekuję na pierwszy ruch z pańskiej strony.

- Czy mogłaby pani poprosić tu pannę Białozimską?

- Adamie... - hrabina spojrzała ponad ramieniem Drwęckiego.

- Już proszę pannę Ewelinę - rozległ się głos kamerdynera.

Zjawiała się niemal natychmiast, ubrana w podobnej tonacji, lecz skromniej od swojej chlebobawczyni. Kreacja, w której przybyła na przesłuchanie, wyraźnie nie była jej codziennym strojem.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu - dygnęła nieznacznie.

- Panno Białozimska! - Drwęcki zwrócił się do niej bardzo oficjalnym tonem i zawiesił głos.

- Czy jestem aresztowana...? - nie wytrzymała napięcia.

- Ależ skąd. Chciałbym panią przeprosić.

- Słucham?! - wyrwało się jednocześnie hrabinie i jej damie do towarzystwa.

- Chciałbym panią osobiście najserdeczniej przeprosić za wszelkie niesłuszne podejrzenia, których zmuszona była pani doświadczyć. Często zdarza się, że policyjne śledztwo wkracza na błędne tory, ludzką rzeczą jest błędzić, tym bardziej jednak wypada przyznać się do błędu. Jest pani poza wszelkimi podejrzeniami, panno Ewelino. Jeszcze raz przepraszam!

Białozimska słuchała tych słów z rosnącą paniką w oczach, z coraz większym niedowierzaniem, wodząc wzrokiem od Jerzego do hrabiny. Na koniec bezdźwięcznie poruszyła ustami, nie mogąc dobyć z siebie głosu.

- Rzeczywiście, potrafi pan zaskakiwać, panie nadkomisarzu - zamiast niej odpowiedziała hrabina. - Jak najbardziej pozytywnie! - wyraźne napięcie w głosie starała się zamaskować uznaniem. - Oczywiście, pańskie przeprosiny zostają przyjęte, prawda Ewelino?

- Tak... proszę pani... - Białozimska wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

- Moja biedna, tak bardzo przejęła się tą okropną sprawą, że ulga okazała się wstrząsem - wytłumaczyła ją szybko hrabina Ciunkiewiczowa, już zupełnie spokojna. - Czy to wszystko, panie nadkomisarzu?

- Tak, pani hrabino, to wszystko.

Zmrużyła oczy. Już nie było w nich ani śladu melancholii.

- Jesteśmy wdzięczne, że zechciał się pan fatygować osobiście.

- Uznałem to za mój honorowy obowiązek.

- Ewelino, proszę odprowadzić pana nadkomisarza - podała Drwęckiemu dłoń do pocałowania i natychmiast wyszła z salonu.

Kiedy Jerzy zakładał płaszcz oraz odbierał od Adama swój kapelusz i pistolet, wargi Białozimskiej drżały coraz bardziej. Wstrząs rzeczywiście musiał być bardzo silny i rosnąć z każdą chwilą...

- Raz jeszcze przepraszam i do widzenia - Jerzy pochylił się do jej dłoni.
- Co pan robi... - wyrwało się byłej podejrzanej.
- Pani nie musi pogrążyć się w otchłani - odpowiedział, nie bacząc na obecność kamerdynera, po czym spojrzał wyzywająco w oczy byłego najemnika.

Zobaczył w nich narkotyczny głód walki.

Tego wieczoru Michał i Jerzy umówili się ze swoimi paniami w restauracji Grand Cafe przy placu Wolności, zwanej potocznie Grandką. Lokal wybrał Witkowiak z tej racji, że było to tradycyjne miejsce spotkań kibiców Warty. Jednak tej kolacji w żadnym wypadku nie można było uznać za udaną. Stosunki między oboma policjantami stawały się coraz bardziej napięte.

Z początku nieświadome niczego Marysia i Katarzyna Anna z zapalem opowiadały wrażenia z wystawy. Po tym jak Jerzy i Michał pojechali na cmentarz, reszta pań oraz wujaszek Hiacyntus kontynuowali zwiedzanie razem z wycieczką warszawskich gimnazjalistek. W podzięk za oprowadzenie po Pałacu Rządowym ksiądz kierownik zaprosił wszystkich na obiad do dworu Huggera, czyli centralnej restauracji Pewuki, mieszczącej się w parku Wilsona. Po drodze zwiedzili jeszcze pawilony Przemysłu Lotniczego oraz Ministerstwa Poczty i Telegrafów. Ten pierwszy, mimo ciekawej wystawy, rozczerował kompletnym brakiem informacji o poszczególnych eksponatach. Rola obsługi ograniczyła się do informacji: „Tam można wejść” i „Tędy wychodzimy”. Tu jednak sytuację uratował wujaszek Hiacyntus, który zadziwił wszystkich swoją znajomością techniki lotniczej i rakietowej. Doszło to tego, że ksiądz kierownik dał się wciągnąć w dyskusję o odrzutowcach i nawet wyraził żal z powodu tego, że nie znalazło się miejsce dla tak niezwykłych projektów.

W pawilonie Ministerstwa Poczty i Telegrafów entuzjazm zafascynowanego przyszłością wujaszka Hiacyntusa doszedł do zenitu na widok telewizora projektu inżyniera Manczarskiego. Sędziwy weteran nie pozwolił odciągnąć się od stoiska, dopóki nie wytłumaczono mu wszystkich aspektów mechanicznej analizy obrazu, dokonywanej za pomocą wirującej tarczy ze spiralnie rozmieszczonymi otworami. W czasie wykładu asystenta wynalazcy uczennice, robiąc nabożnie znak krzyża, oglądały się nawzajem na malutkim ekraniku. Ksiądz kierownik na wszelki wypadek odprawił nad machiną dyskretne egzorcyzmy.

Po obiedzie wycieczka udała się do wesołego miasteczka. Tu, ku zdumieniu Marysi i ładzi, większość uczennic stanowczo odmówiła udziału w takich „dzikich rozrywkach”, jak jazda kolejką górską lub zjazd z wodnej zjeżdżalni. Żadna też sama z siebie, bez życzliwej zachęty pani przełożonej, nie zdecydowała się wsiąść do „szalonych samochodzików” z

oślimi głowami - Wujaszek Hiacyntus w ogóle odmówił przekroczenia bramy wesołego miasteczka, ozdobionej wizerunkiem pana Twardowskiego na księżycu, twierdząc, że on tu już był i wszystko widział... Bez szemrania udał się z małżonką na wystawę rasowych kogutów w pobliskich Halach Zwierzęcych, a potem do domu. Odłączyła się też Jadzia, umówiona z Karolem na dancing przy Arenie. Lunia udała się za nią w charakterze przyzwoitki.

Chociaż opowieść żony Jerzego i narzeczonej Michała pełna była zabawnych epizodów, nastrój przy stoliku gęstniał z minuty na minutę. Witkowiak siedział coraz bardziej ponury. Katarzyna Anna starała się to ignorować i rozchmurzyć narzeczonego, ale zamilkła w pół słowa, gdy ten uderzył nagle pięścią w stół.

- Przystaniesz wreszcie robić ze mnie idiotę?! - wrzasnął do Drwęckiego na cały lokal.

- Tajemnica śledztwa - odparł spokojnie Jerzy.

- Sądziłem, że prowadzimy je razem!

- Ależ, Michale... - Katarzyna Anna z godnością wstała z miejsca. - Proszę się opanować. Proszę natychmiast przeprosić pana Jerzego i odprowadzić mnie do domu - powiedziała tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

- Tak... - Witkowiak zaciął usta. - Niepotrzebnie się uniosłem... przepraszam... Chodźmy - podał ramię Katarzynie Annie, skłonił się Drwęckim i wyszli.

- Co się stało?! - spojrzała na męża kompletnie zaskoczona Marysia.

- Różnica zdań w kwestiach zawodowych - odparł wymijająco Jerzy. - Wybacz, kochanie.

- Zabierz mnie na jakiś spacer - powiedziała Marysia. - Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Oczywiście, kochanie, gdzie chcesz iść? - pomógł żonie wstać.

- Gdzie uważasz, mój drogi.

- To chodźmy na Święty Marcin. W tamtejszych kinach grają akurat Gwiazdzistą eskadrę. Ten wojenny film o lotnikach...

Zgodziła się bez słowa.

Kiedy wrócili do domu późnym wieczorem, Michał nie pokazał się Jerzemu na oczy. Rano, gdy spotkali się w kuchni na śniadaniu, poprzestali na zdawkowych uprzejmościach. Atmosfera ochłodziła tak mocno, że gdyby w Poznaniu były jakiegokolwiek miejsca noclegowe, należałoby zastanowić się nad przeprowadzką. Zapewne jednak wszyscy o tym właśnie myśleli, nadzwyczaj starannie bowiem unikano wszelkich potencjalnych zadrażeń. W tych warunkach nieocenione okazały się maniere Katarzyny Anny, która mimochodem przejęła

kierownictwo przy kuchennym stole. Z pomocą Luni i babci Ireny, żywa i wesoła zazwyczaj biesiada zamieniła się w szereg sztywnych, acz bezpiecznych rytuałów.

Sytuację całkowicie zmienił telefon, który odebrał Michał. Wnosząc z dolatujących do kuchni fragmentów, rozmawiał z podwładnym.

- Dobrze się sprawiliście! - oznajmił na koniec komisarz i wrócił do kuchni. Podszedł do Jerzego. - Hrabina Ciunkiewiczowa wyjechała z Poznania rannym pociągiem do Berlina - oznajmił. - Kwadrans temu przekroczyła granicę.

- Kto z nią był? - spytał Drwęcki.

- Tylko kamerdyner. Białozimska została zwolniona.

- To chyba możemy już przestać... - stwierdził Jerzy.

- Jak najbardziej - stwierdził Michał. - Pani Mario, Katarzyno Anno, jesteśmy wam winni przeprosiny za zepsuty wieczór.

- Jaka była tego przyczyna? - spytała wyniośle narzeczona Michała.

- Bardzo tradycyjna - Drwęcki wstał i podał rękę Witko - wiakowi. - Dobry policjant i zły policjant... Musieliśmy zademonstrować publicznie, że dzieli nas poważna różnica zdań.

- Ale to okazało się zbędne - dopowiedział Michał.

- Byliście okropni! - stwierdziła oburzona Marysia. - Przynajmniej w domu mogliście szepnąć chociaż słówko.

- My tak, dla zasady... - zaczął tłumaczyć się Jerzy.

- Jak można denerwować żonę w takim stanie?! - uniosła się babcia Irena. - I jeszcze mieszać ją w jakieś kryminalne sprawy?!

- To my może za kawę już podziękujemy... - Drwęcki przezornie zrejterował do przedpokoju.

- Kawę wypijemy na mieście - Witkowiak poszedł w jego ślady.

- Obiadu też niech sobie na mieście poszukają! - stwierdziła Lunia, trzaskając pokrywką o garnek, do którego właśnie zaglądała.

W kuchni narastała fala damskiego gniewu.

- Albo szarża, albo przepustka! - po stronie pań stanął wujaszek Hiacyntus.

Stało się jasne, że przez najbliższe pół dnia nie mają w domu czego szukać. Lunia odprowadziła ich do drzwi ze szczotką w rękę, jakby zamierzała wymieść obu policjantów za próg.

- Lech, wykosztujemy się dzisiaj na kwiaty... - stwierdził na schodach Michał, dopinając płaszcz.

- Szkoda tylko, że to wszystko na darmo, ale musieliśmy mieć zapasowe rozwiązanie -

Drwęcki założył kapelusz.

- Co powiedziała Ciunkiewiczowej? - spytał Michał.

- Dosłownie czy między wierszami?

- To drugie.

- Ze tym razem nie uda się jej naciągnąć państwa polskiego na odszkodowanie za niesłuszne oskarżenie. Co więcej, może być całkiem słusznie wplątana we współudział w serii zabójstw, a konkretnie w poplecznictwo, co fatalnie robi na reputację.

Wyszli na ulicę.

21. Siódma perła

Michał i Jerzy skierowali kroki na przystanek tramwajowy na Górnej Wildzie. Co prawda mogli wezwać samochód służbowy, ale na to wybiegli z domu zbyt szybko. Nie chciało się im już wstępować do żadnego sklepu lub apteki, by skorzystać z telefonu. Spacer był dobry, aby uporządkować myśli i naradzić się, co dalej.

- Nie sądziłem tylko, że pani hrabina zrezygnuje tak szybko - mówił Drwęcki. - Liczyłem, że skoro ja przestałem ścigać jej protegowaną i demonstracyjnie pokłóciłem się z tobą, to dziś lub jutro zgłosi się do ciebie nowy świadek, który złoży zeznania obciążające Białozimską.

- A ja będę na tyle głupi i rozeźlony, że ich dokładnie nie sprawdzę - wzruszył ramionami Witkowiak. - Chyba powinienem potraktować ucieczkę pani hrabiny jako komplement...

- Widać Ciunkiewiczowa sama miała wątpliwości co do skuteczności tej intrygi albo się czegoś obawiała? - myślał głośno Jerzy. - Podsumujmy jednak. Hrabina wyraźnie liczyła, że aresztujemy jej damę do towarzystwa, a wtedy ona ośmieszy oskarżenie i zażąda godziwego odszkodowania za rozliczne straty poniesione przy tej okazji. Z pewnością coś by wymyśliła. Słowem, Białozimska miała tu spełnić rolę piorunochronu. Wszystkie pozory musiały zatem wskazywać na nią, ale tylko pozory.

- Jak zorientowałeś się, że to nie ona?

- Po włosach. Pomiędzy pogrzebem, podczas którego Przybyszewska widziała kandydata na swojego przyrodniego brata, a wigilią, kiedy zrobiono zdjęcie Białozimskiej, minął zaledwie miesiąc. Włosy ostrzyżone tak, jak na portrecie pamięciowym, nie zdążyłyby urosnąć do długości, jaką widać na zdjęciu. Fizyczna przemiana, obejmująca nagłe wydłużenie włosów, zdarza się tylko w bajkach o wilkołakach.

- Nie pomyślałeś o peruce?

- Pomyślałem, ale peruki nie mają przedziałków. Za długo jesteś kawalerem, panie kolego. Gdybyś miał żonę, która lubi się przebierać, miałbyś więcej okazji, żeby bliżej przyjrzeć się perukom.

- Nie zauważyłem, by Maria się przebierała.

- Robi to zwykle wtedy, gdy jesteśmy tylko we dwoje.

- Aha... - Witkowiak spojrział spod oka na Drwęckiego.

- Jednak za bardzo dałem ci się zasugerować tą teorią o kobiecie przemieniającej się w mężczyznę.

- Też z początku poważnie brałem to pod uwagę, ale w praktyce to może być co najwyżej kwestia zmiany głosu... W tej cyrkowej sztuczce, którą swego czasu widział doktor Żeleński, biorą udział dwie osoby.

- Bliźniaki?

- Owszem. Z tego jedno zaburzone w rozwoju płciowym, pewnie jakaś wada wrodzona. Można teraz zrozumieć desperację, brak skrupułów i przebiegłość niezamężnej matki, której przytrafiło się coś takiego.

- Ale dlaczego ukryła jedno dziecko?

- Pewnie żeby mieć dodatkowy atut. Gdyby doszło do jawnego skandalu, mogłaby pokazać normalne niemowlę i stwierdzić, że nie było żadnego szantażu, a wszystko to tylko plotki i chora z przepicia wyobraźnia Przybyszewskiego. Tego już teraz nie dojdziemy. Niewątpliwie ktoś musiał jej pomagać, może nawet ktoś wysoko postawiony, komu zależało na kompromitacji krakowskiej cyganerii. Nie wykluczałbym poczciwych stańczyków, zawsze wiernych jego cesarsko-królewskiej mości. Doktor Żeleński, choć skutecznie zapobiegł skandalowi i przerwał szantaż, nie zdołał ujawnić całej prawdy. Być może planowano ciąg dalszy tej intrygi, czemu zapobiegł wyjazd Przybyszewskiego z Krakowa. Sprawa została zawieszona, potem zapomniana, aż wreszcie to androgyniczne dziecko dorosło i postanowiło spróbować jeszcze raz... Myślę, że kluczowa dla uruchomienia całego łańcucha ostatnich zdarzeń była kwestia metryki.

- To znaczy?

- Kandydat na przyrodniego brata pani Stanisławy był wyraźnie zaskoczony ustaleniami prezydenta Dziabaszewskiego. Znaczy to, że po pierwsze, naprawdę uważał, że jego ojcem jest Przybyszewski, po drugie, że zgubiono jego metrykę urodzenia. Trudno się temu dziwić, bo metryka androgyne musiała stanowić takie curiosum, że zapewne krążyła z rąk do rąk i przechowywano ją w różnych nietypowych miejscach. Potem Przyszła wojna światowa, podczas której zaginął niejeden człowiek i dokument. Dość powiedzieć, że po latach ostała się tylko metryka Eweliny, na którą trafił Dziabaszewski. Zgadzały się matka, data i miejsce urodzenia, tylko nie płeć. Wtedy do brata Eweliny... cóż, umówmy się, że to brat, dotarło, że jest człowiekiemwidmem, bez przeszłości, oficjalnie nieistniejącym. W pierwszej chwili myślał jeszcze, aby to naprawić, stąd najpierw telegram z obietnicą dowodów, wysłany do Przybyszewskiej. Potem jednak postanowił z tej sytuacji skorzystać.

Dowieść związków, jeśli nie krwi, to przynajmniej ducha. Zaimponować sławnej artystce, wejść do rodziny albo przynajmniej kręgu towarzyskiego...

- Poczekaj, teraz moja kolej - wtrącił Witkowiak. - Sprawca ukrył się za siostrą Ewelina i działał tak, aby wszelkie poszlaki wskazywały na nią, ale jednocześnie nie można było jej nic udowodnić. Tę intrygę zgodziła się wesprzeć hrabina Ciunkiewiczowa, widząc w tym okazję wyłudzenia kolejnego odszkodowania. Tylko skąd ta znajomość?

- Ewelina i jej brat nie żyli w próżni. Znali od lat Wicką oraz Laszczaka, powiązanego z wywiadem, który prowadził własną grę, musiał więc wiedzieć to i owo. Zapewne słyszał o tej historii z Ciunkiewiczową w 1924 roku. Sprawa drugiej, domorosłej Maty Hari, która wystrychnęła na dudka cały wydział drugi, musiała odbić się niezłym echem w szpiegowskim półświatku. Laszczak zapewne postarał się o kontakt, który po jego śmierci przejął brat Eweliny. Odszukał panią hrabinę i zaproponował jej kolejną próbę ośmieszenia polskich władz. Przy Pewuce można było liczyć na większy rozgłos i odszkodowanie. Ciunkiewiczową zapaliła się do interesu.

- Którego warunkiem była jednak Białozimska w roli głównej podejrzanej. Oświadczając, że sprawa jej nie dotyczy, przekreśliłeś istotę intrygi - podsumował Michał.

- A ponadto dałem do zrozumienia, że być może znamy już całą prawdę i wiemy o konszachtach pani hrabiny z bratem Bia - łozimskiej. To musiało spowodować tę pospieszną ewakuację, choć osobiście liczyłem na odważniejszy ruch z jej strony.

- Że zwróci się do mnie jako złego policjanta, sądząc, iż nie zgadzam się twoją koncepcją odpuszczenia Białozimskiej - mruknął Witkowiak. - Słowem, pani hrabinie się upiekło, ale my mamy w domu przegwizdane...

- Prędzej czy później pani hrabina Ciunkiewiczowa się doigra - odparł Drwęcki. - Jak nie teraz, to następnym razem. Zapomnijmy o hrabinie. Teraz mamy dwoje Białozimskich, których rachuby legły w gruzach. Stracili zamożną protektorkę, a ich długie ostatnio ręce stały się nagle bardzo krótkie... Jak sądzisz, co teraz poczną? Ukryją się w mysiej norze czy porwą na jakieś szaleństwo?

Odpowiedź czekała na nich w holu komendy głównej. Na ławce obok recepcji, z pochyloną głową siedziała Ewelina Białozimska we własnej osobie. W niczym nie przypominała dystyngowanej damy, która niedawno przybyła tu na przesłuchanie, ani nawet podrzędnej, lecz eleganckiej mieszkanki hotelu Bazar, widzianej przez Jerzego wczoraj. Znów była księgową, bezrobotną na dodatek, w wyswiechtanej popielatej sukni, która wyszła z mody przed reformą Grabskiego.

- Kobieta zmienną jest... - mruknął z przekąsem Drwęcki.

- Dzień dobry, panie nadkomisarzu, dzień dobry, panie komisarzu! - powitał ich umundurowany portier. - Ta pani czeka na panów od pół godziny.

Białozińska wstała, ale nie podniosła wzroku. W rękach miętoszyła torebkę.

- Pani tym razem bez adwokata? - zagadnął lekko Jerzy.

- Pan mnie zgubił, panie nadkomisarzu.

- Doprawdy? A gdzie pani zgubiła swoje kreacje? Czyżby hrabina zabrała też pani suknie, chociaż nie były na jej rozmiar? Przyszła tu pani wzbudzać litość, to oczywiste. Tylko po co?

- Zaczekaj... - spróbował zmitygować go Witkowiak, ale Drwęcki nie dał dojść do słowa ani jemu, ani jej.

- Kończmy tę tragifarsę! - podniósł głos. - Gdzie jest pani brat? Czy może raczej siostra...

Białozińska podniosła głowę. Wargi jej dygotały, w oczach miała łzy. Widać było, że panuje nad sobą resztkami sił.

- Albertyn chce mnie zabić... - wykrztusiła łamiącym się głosem. - On oszalał.

- Albertyn? Tak ma na imię?

Skinęła twierdząco.

- Może nie róbmy przesłuchania na korytarzu - tym razem skutecznie interweniował Witkowiak.

Drwęcki bez słowa wskazał kobiecie drogę.

Poszli prosto do gabinetu sędziego Hrabyka. Gospodarz był mocno zaskoczony, ale zaraz obiecał zorganizować wszystko, co trzeba, łącznie z popielniczką i papierosami dla przesłuchiwaney. Ta, zanim tu doszli, zdążyła ochłonąć, opanować emocje i nabrać pewności siebie. Albo po prostu przestała grać... Drwęcki zasepił się. Kiedy sędzia wyszedł po protokolanta, Białozińska, ignorując polecenie Jerzego, który kazał jej usiąść, podeszła do okna.

Na parapecie leżała czaszka Marianny Wickiej, przeniesiona tu ze stołu po spotkaniu z profesorem Grzywno-Dąbrowskim. Białozińska popatrzyła na czerep, najpierw tylko zaciekawiona, po czym w jej oczach pojawiło się mroczne skupienie. Nie mogła rozpoznać rysów twarzy, ale w kształcie kości policzkowych musiało być coś niepokojąco znajomego. Liczne ślady klejenia, wskazujące na gwałtowność śmierci, także musiały pobudzać wyobraźnię i pamięć. Białozińska intensywnie wpatrzyła się w oczodoły, a następnie z wahaniem ujęła czaszkę w dłonie.

Drwęcki pospiesznym uniesieniem ręki powstrzymał Michała, który już otwierał usta,

by zabronić kobiecie dotykania dowodów rzeczowych. Obaj policjanci postąpili dwa kroki ku Białozimskiej, która wpatrywała się w czaszkę jak urzeczona, wręcz zahipnotyzowana. Najwyraźniej zapomniała, gdzie jest i co się wokół niej dzieje. Delikatnie, opuszkami palców, zaczęła gładzić miejsca, gdzie powinny znajdować się brwi i wargi - Drwęcki ugryzł się w język, by nie wygłosić narzucającego się w tej sytuacji cytatu z Hamleta. Sekundę później już nie miał na to ochoty. To, co zobaczył, wręcz go zmroziło.

Ewelina Białozimska trzymała czaszkę w prawej dłoni, a pieściła ją lewą... Była mańkutom! A dokładniej mówiąc, osobą oburęczną, ze wskazaniem na lewą, którą musiała posługiwać się w pierwszej kolejności, bez namysłu. Sprawność prawej ręki była zapewne narzucona przez surowe szkolne wychowanie, gdzie nie tolerowano mańkutów, ale wrodzony nawyk musiał często wymykać się spod kontroli świadomości. Na przykład wtedy, gdy zadawała ciosy lub nie znając tożsamości, ale pod przemożnym wpływem intuicji bawiła się czaszką swojej ofiary...

„Teraz powinna spojrzeć na potylicę”, myślał w napięciu Drwęcki.

Zrobiła to w tej samej chwili, jakby istniała pomiędzy nimi telepatyczna więź. Opuszki palców powędrowały wzdłuż wgnieceń, które zwróciły uwagę profesora. Drwęcki spojrzał w oczy Białozimskiej, były nieobecne, skupione, a jednocześnie pełne nostalgicznej ekstazy. Musiała przeżywać chwilę zabójstwa jeszcze raz... Bez wyrzutów sumienia, było w niej raczej coś z pogańskiej kapłanki, wspominającej złożoną niedawno ofiarę z człowieka.

„Spojrzyj na spód...” - nakazał jej w myślach Jerzy.

Na podstawie czaszki, czarnym atramentem napisano: „M. Wicka t 25 II 1929” oraz numer akt sprawy. Białozimska tym razem nie spieszyła się, by przeczytać podpis. Kiedy wreszcie, po niesamowicie długiej minucie zrobiła to, nie pokazała po sobie nic, jedynie głębiej westchnęła. Najwyraźniej już się spodziewała i była na to gotowa. Zanim odstawiła czaszkę z powrotem na parapet, pocałowała ją w czoło. Potem spojrzała w oczy Jerzego, który mimowolnie cofnął się o krok. Teraz już patrzył w oczy zimnej morderczynie.

Białozimska odwróciła się i usiadła za stołem, a chwilę później wrócił sędzia Hrabyk z protokolantem.

- Proszę bardzo - zaczął Drwęcki, siląc się na obojętny ton. ~ Co ma nam pani do powiedzenia?

- Mogę zacząć od początku?

- Tak będzie najlepiej, proszę pani - odparł sędzia śledczy.

Popatrzyła z namysłem na Jerzego. Jakby zastanawiała się, czy on wie, że ona wie, że on się domyślił. Potem zaczęła opowiadać o krakowskiej intrydze sprzed trzydziestu lat.

Było to z grubsza to samo, co Drwęcki już ustalił. Niezamężna matka w tragicznej sytuacji życiowej zdobyła się na iście szatański plan. Trochę więcej dowiedzieli się o jej protektorach z kręgu konserwatywnych stronników hrabiego Tarnowskiego, którzy pragnąc oczyścić Kraków z młodopolskiej zarazy, dyskretnie wsparli Marcelinę Białozimską w staraniach o skompromitowanie Przybyszewskiego, a potem aż do wojny światowej kupowali jej lojalność za niewielką i wciąż malejącą pensję, trzymając kobietę w pogotowiu, na wypadek gdyby pisarz ośmielił się wrócić do Krakowa. Rola doktora Żeleńskiego w całej sprawie okazała się znacznie mniejsza, niż sądził. Ojciec dzieci, którego rzekomo odnalazł, był podstawionym figurantem, co miało wyjść na jaw w sądzie, a samego Żeleńskiego oskarżono o fałszerstwo i oszustwo. Nieświadomy zagrożenia Boy dał się wpuścić między kowadło a młot, który nie spadł tylko dlatego, że Przybyszewski wyjechał z Krakowa. W czasie wojny sprawa ostatecznie straciła znaczenie, a Białozimską z dorastającymi dziećmi pozostawiono własnemu losowi. Umarła w nędzy niedługo potem. Przed śmiercią matka wtajemniczyła Ewelinę w szczegóły sprawy. Tylko ją. Brat odmieniec był na dodatek opóźniony w rozwoju i zwykle ukrywano go przed ludźmi. Rodzeństwo trafiło do cyrku.

- Mieliśmy tylko siebie nawzajem - mówiła Białozimska. - Żyliśmy poza światem i wszelką moralnością, jak zwierzęta, tylko aby przetrwać. Robiono z nami, zwłaszcza z nim, wszystko, co można zrobić z takim dziwadłem, które dało się używać jak kobietę i jak mężczyznę. Zupełnie nie wiem, jak uniknęliśmy chorób wenerycznych, czysty przypadek. Pociuszając siebie nawzajem, zostaliśmy kochankami...

Sędzia Hrabyk chrząknął zakłopotany. Michał pobladł. Drwęcki starał się zachować kamienną twarz. Protokolant zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, co pisze.

- Tak, kochankami - powtórzyła wyniośle Białozimska.

- Albertyn nie może mieć dzieci, ale może dać kobiecie zadowolenie. Dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. I dlatego ostatnio zainteresowała się nami pani hrabina. Chodziło jej o pieniądze, ale też o niezwykłość doznań. Robiliśmy to we troje...

- A sumienie?! - wykrztusił wstrząśnięty Witkowiak.

- Gdzie się podział wasz ludzki instynkt moralny?

- Nie ma żadnej moralności. Ani Boga, ani dobra, ani sensu - wyliczyła z pasją, jakby zadawała ciosy. - Dowodzi tego całe nasze życie. Jest tylko obłuda.

- To nieprawda! - wyrwało się Michałowi.

- Tak, ma pan rację, komisarzu - niespodziewanie zgodziła się z nim Białozimska. - Jest jeszcze sztuka, która potrafi wszystko oczyścić i przemienić, ale to tak naprawdę zrozumieliśmy dopiero teraz.

- Proszę mówić po kolei - napomniął ją Drwęcki.

- Po wojnie zaczęło nam się układać trochę lepiej. Poszłam na kurs dla księgowych i znalazłam pracę na zajezdni tramwajowej. Jednak przeszłości nie dało się zatrzeć. Z dawnych cyrkowych czasów znał nas Laszczak i zmusił do posłuszeństwa groźbami. Nikt nie zatrudniłby byłej prostytutki jako księgowej. Musieliśmy brać udział w jego machinacjach.

- Czy wiedział o was przodownik Kiełcewicz? - spytał Jerzy.

- Nie, ale zawdzięczamy mu wiele. Ten stary policjant swoją dociekliwością sprawił, że Laszczak wciąż musiał być ostrożny i nie dręczył zbyt wiele mnie i Albertyna. Szkoda, że zginął, to był dobry człowiek...

- Dobra nie ma - przypomniał jej Drwęcki.

- Więc może był tylko zaślepiiony zemstą za śmierć syna - wzruszyła ramionami.

- Jak doszło do śmierci Czerwonckiego?

- To był łajdak, który musiał mieć każdą, która wpadła mu w oko. Wszystko jedno jak. Za jakąś przysługę Laszczak dał mu mnie w nagrodę. Ale wtedy już sprawy nie poszły tak jak zwykle.

- Bo zamiast pani na spotkanie z Czerwonckim poszedł brat - rzucił Jerzy.

- Tak. Ale to nie jest najważniejsze. Postanowiliśmy się wreszcie wyzwolić, zerwać z tym wszystkim, zniszczyć tych łajdaków. Brat nie mógł już dłużej znieść takiej egzystencji. Od lat mówił, że jego życie musi nabrać sensu, że musi coś znaczyć. Ja próbowałam wcześniej uciec w poezję, ale zostałam wyśmiana - spojrzała oskarżycielsko na Drwęckiego. - Wy nic nie rozumiecie! Jesteście tacy zaślepieni! - wybuchła. - Nie widzicie, jak wokół was wzbiera i tężeje nienawiść! Jak wszędzie wokół dyszy zło...

- Proszę się uspokoić.

- Już dobrze. Nieważne. Kilka lat po śmierci matki opowiedziałam bratu naszą rodzinną historię. On nie mógł uwierzyć, że nie jesteśmy dziećmi Stanisława Przybyszewskiego. Uważał, że matka nie powiedziała wszystkiego, że zamknięto jej usta, że ten człowiek musi być naszym ojcem. Ta myśl stała się jego obsesją. Wciąż szukał choćby najdrobniejszych śladów pokrewieństwa lub podobieństwa. Rozumiem go, bo ja też czasem chciałam mieć ojca. Kiedy przyszła wiadomość, że Przybyszewski zmarł, Albertyn pojechał na pogrzeb i przedstawił się jego córce jako przyrodni brat. Pewnie znacie panowie resztę?

- Tak - odparł Drwęcki. - Proszę wrócić do Czerwonckiego.

- Pomysł, żeby zwabić tego gada na transformator, był mój - powiedziała z dumą. - Taka futurystyczna fantazja. Czerwonckiemu było wszystko jedno, byle dostać swoje. Brat potrafi mówić moim głosem, wyćwiczył to w cyrku, a wtedy jeszcze założył perukę. Kiedy

spychał Czerwonckiego, ten był tak głupi, że złapał go za włosy i zleciał razem z nimi... Peruka spaliła się całkiem, szkoda, była naprawdę ładna.

- Czy zaplanowaliście wcześniej, że po zabójstwie zbierzecie elektryczne perły?

- Tak. To był pomysł Albertyna, który uznał, że skoro nie metryka, to właśnie te kulki będą dowodem pokrewieństwa. Wątpiłam, czy się to uda, ale efekt przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania. Ten łajdak o duszy płaza bynajmniej nie okazał się salamandrą, po prostu spłonął żywcem i stopił się jak w piekielnym kotle! Żałuję, że tego nie widziałam...

- Być może już niedługo sama się pani przekona, jak to jest - wtrącił Michał. - Jeśli się pani nie nawróci.

Wzruszyła ramionami i mówiła dalej.

- Laszczakowi powiedzieliśmy, że to był wypadek. Chyba tak całkiem nie uwierzył, ale nie miał innego wyjścia. Zaczęło się śledztwo i w Warszawie grunt zaczął palić mu się pod nogami. Postanowił przenieść się do Poznania i ściągnął nas za sobą, razem z Mariusią. Było to nam na rękę.

- Ponieważ mieszkało tu wielu dawnych znajomych pana Przybyszewskiego? - spytał Hrabyk.

- Tak, ale Laszczakowi nie spodobały się nasze plany, chciał, żeby wszystko było po dawnemu. Żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi i robili, co on każe. My już nie chcieliśmy.

- Więc musiał zginąć - podsumował Drwęcki. - Tylko dlaczego Wicka?

- Naprawdę ją lubiłam, panie nadkomisarzu - zerknęła na czaszkę. - Lecz cóż... zbędny świadek, sam pan rozumie. Chcieliśmy raz na zawsze pozbyć się przeszłości. Prawda, że dobrze się udało? - uśmiechnęła się bezczelnie.

- Jest pani najbardziej niemoralną istotą, jaką w życiu widziałem! - oświadczył wzburzony Michał.

- Pańska narzeczona byłaby taka sama, gdyby była na moim miejscu.

- To prawda, udało się wam - powiedział Drwęcki, powstrzymując odruch, by rozmasować biodro, w którym pod wpływem wspomnień obudził się ból. - Śledztwo zostało umorzone, wasza przeszłość odcięta, ja traciłem czas na jałowe przekonywanie kolegów, że sprawę trzeba prowadzić dalej... - tej przyjemności Jerzy sobie nie odmówił. - Dlaczego więc zaczęliście jeszcze raz?

- Ponieważ pierwsza próba się nie powiodła. Gazety o nas nie napisały, nie było żadnych plotek towarzyskich, pani Przybyszewska się nie zainteresowała. Albertyn był bardzo rozczarowany. A przecież zrobiliśmy takie ciekawe rzeczy...

- Może w Warszawie, łaskawa pani! - nie wytrzymał Hrabyk. - My tutaj, w Poznaniu,

nie mamy zwyczaju szukać chorych podniet i ekscytacji.

- Co za brak polotu! - odparła Białozimska z politowaniem.

- Zostanie pani osądzona i skazana - oznajmił oficjalnym tonem sędzia śledczy. - Bez polotu, za to sumiennie, sprawiedliwie i surowo. Pani i pani brat!

- A gdzie jest teraz Albertyn? - Drwęcki zmarszczył brwi.

- Och, cały czas do tego właśnie zmierzam, panie nadkomisarzu! Gdybyście panowie darowali sobie moralizujące kazania, szybciej przedstawiłabym sprawę, z jaką tu przyszedłam. Przepraszam, która godzina?

- Pani się gdzieś spieszy? - nachmurzył się sędzia śledczy. - Pani jest zatrzymana!

- Wpół do dziesiątej - odpowiedział Drwęcki, patrząc uważnie na Białozimską.

- A więc to już... - zabójczyni sięgnęła po torebkę. - Pora rozpocząć wielki finał - wyjęła i położyła na stole elektryczną perłę oznaczoną numerem dwa.

- Co to ma znaczyć? - spytał sędzia Hrabyk.

- Proszę sprawdzić, gdzie teraz są pani Przybyszewska i doktor Żeleński - odparła spokojnie Białozimska.

Drwęcki natychmiast podszedł do telefonu. Stanisława i Boy przenieśli się wczoraj do wystawowego hotelu Polonia przy Grunwaldzkiej, róg Matejki, w którym niespodziewanie zwolniły się dwa pokoje. Szybka i dyskretna przeprowadzka najwyraźniej nie zdała się jednak na nic... Starając się zachować spokój, nadkomisarz czekał na połączenie z recepcją.

- Przykro mi, pan Żeleński i pani Przybyszewska kilkanaście minut temu opuścili nasz hotel razem z jakimś panem - oświadczył portier. - Nie zabrali bagaży. Odjechali automobilem, niestety, nie wiem dokąd.

- Proszę opisać człowieka, który im towarzyszył!

Po chwili Drwęcki usłyszał znajomy rysopis z portretu pamięciowego.

- Wie pan, nadkomisarzu - zawahał się portier. - To było jednak trochę dziwne...

- Co było w tym dziwnego?

- Ten pan cały czas nosił z sobą bańkę z benzyną, a pani Przybyszewska, mimo wczesnej pory, sprawiała wrażenie, za przeproszeniem, całkiem pijanej...

- Dziękuję - Drwęcki odłożył słuchawkę.

- Czy już? - zagadnęła Białozimska, wyciągając papierosa. - Panowie trochę się dzisiaj spóźnili do pracy, nie muszą więc przedłużać szczypiących serce opowieści. Mogę prosić o ogień?

- Boy i Stanisława zostali porwani - oznajmił Drwęcki.

Białozimska znieruchomiała wyczekująco z papierosem między palcami. Po chwili

konsternacji i zawahania ogień podał jej Witkowiak.

- Bardzo pan miły - skinęła głową. - Zanim przystąpimy do negocjacji, chciałabym najpierw wytłumaczyć się ze swojego wyglądu, który tak zniesmaczył pana nadkomisarza. Skądinąd słusznie. Otóż hrabina Maria bynajmniej nie zabrała sukien, które mi wcześniej ofiarowała. Co więcej, zapewniła nam iście monarszą odprawę, a nawet podarowała mi trochę drobnej biżuterii, która już się jej znudziła. Sprzedałam to wszystko, bo musieliśmy kupić samochód.

- Nigdzie nie uciekniecie - oświadczył stanowczo sędzia Hrabyk.

- Ależ, tak! Ależ oczywiście, że uciekniemy - zapewniła z powagą Białozimska. - Tam, gdzie nigdy nas nie dostaniecie.

- Jakie są wasze warunki? - spytał Drwęcki.

- Proszę wezwać samochód. Pojadę z panami na spotkanie z bratem. Na razie tyle.

- Trzy samochody - zwrócił się Hrabyk do Witkowiaka. - I sześciu uzbrojonych policjantów, w tym strzelec wyborowy.

- Tak jest, panie sędzio! - komisarz ruszył do drzwi.

- Nie mam nic przeciw temu - uśmiechnęła się Białozimska i powoli, głęboko zaciągnęła się papierosem.

Mówiła im tylko, gdzie mają skręcić. Najpierw z 27 Grudnia w Gwarną, potem w kierunku Wjazdowej, a gdy zostawili za sobą gmach Ziemstwa Kredytowego, na moście przed Kaponierą wskazała świeżo przemianowaną z Głogowskiej ulicę marszałka Focha. Potem w ogóle przestała się odzywać i nie reagowała na pytania kierowcy, który przed każdym skrzyżowaniem chciał się upewnić, czy ma jechać prosto. Tak minęli Salę Reprezentacyjną Pewuki, potem jej bramę główną, Halę Przemysłu Ciężkiego, park Wilsona, a następnie kolejne przecznice i skrzyżowania, aż do Górczyna i Fortu IX, przy którym Białozimska skierowała całą kolumnę policyjnych samochodów na Luboń, a tu z kolei w stronę Puszczykowa. Kiedy minęli zakręt przed przejazdem kolejowym, oznajmiła nagle, że są, gdzie trzeba, i kazała stanąć.

Miejsce cieszyło się złą sławą, której echa dotarły też do Drwęckiego. Tory kolejowe wychodziły z tunelu, którego wylot znajdował się zaledwie kilkadziesiąt metrów przed przejazdem. Jeżeli dróżnik nie zdążył w porę opuścić szlabanów, przejeżdżający przez tory samochód ryzykował kolizję z pociągiem, który wyłaniał się z tunelu niczym czarne widmo. Mimo wszelkich środków ostrożności, tego rodzaju wypadki zdarzały się tu z regularnością nasuwającą myśl o kłątwie.

W chwili obecnej zapory były podniesione, a w budce dróżnika nie było widać

nikogo. Obok stał ciemnozielony citroen, na którym spoczął wzrok Białozimskiej. Odbijające się w szybach słońce nie pozwalało przyjrzeć się dokładnie pasażerom. Było widać tylko tyle, że w środku są dwie osoby.

Sędzia Hrabyk, jadący w drugim samochodzie, natychmiast zorientował się w sytuacji. Jego wóz przyspieszył gwałtownie, minął samochód Drwęckiego, potem podejrzanego citroena, i szybko przemknął przez tory. Po drugiej stronie skręcił gwałtownie, stając w poprzek szosy. Wysiedli sędzia śledczy i strzelec wyborowy, który zarepetował karabin i złożył się do strzału, opierając broń o dach samochodu. Odległość do celu wynosiła około pięćdziesięciu metrów. Kierowca citroena nie miał najmniejszych szans.

- Panie nadkomisarzu - powiedziała szybko Białozimska. - Proszę ich powstrzymać, zanim zrobią jakieś głupstwo! Potem proszę podejść do mojego brata.

- Czy mam zostawić broń? - spytał Jerzy.

- To bez znaczenia.

Drwęcki wysiadł i uniesioną dłonią dał znak Hrabykowi, by zachował spokój. Ten zrozumiał i powiedział coś do strzelca, który cofnął się i uniósł karabin. Tymczasem policjanci z trzeciego samochodu, który zatarasował szosę od strony Lubonia, zajmowali stanowiska wzdłuż drogi. Jeden z mundurowych wyciągnął z krzaków ukrywającego się w nich dróżnika. Wystraszonym mężczyzną zajął się Witkowiak. Jerzy ruszył powoli w stronę citroena. Silnik samochodu pracował na jałowym biegu.

Okno obok kierowcy otworzyło się.

- Proszę podejść bliżej, panie nadkomisarzu - rozległ się głos do złudzenia przypominający głos Eweliny Białozimskiej. Wrażenie było niesamowite, zupełnie jakby kobieta znajdowała się w dwóch miejscach naraz.

- Proszę zajrzeć do środka... - teraz głos kierowcy stał się bardziej męski, aczkolwiek, jak na mężczyznę, trochę zbyt wysoki.

Drwęcki spojrzał najpierw na twarz mówiącego. Musiał przyznać, że Przybyszewska świetnie wykonała pracę przy portrecie pamięciowym. Podobieństwo było niemal fotograficzne. Znać było, że wychowała się w pracowni malarskiej swojej matki.

- To, panie nadkomisarzu... - brat Białozimskiej uniósł dłoń, w której trzymał odbezpieczony wojskowy granat. - I to... - wskazał kanister z benzyną, stojący na podłodze przy siedzeniu pasażera. - Jeśli do mnie strzelicie, puszcę łyżkę i bardzo wątpię, abyście poradzili sobie ze wszystkim w cztery sekundy...

Na tylnym siedzeniu kiwała się półprzytomna Przybyszewska. Coś mówiła do siebie, recytowała albo nuciała, trudno było się zorientować, o co jej chodzi. W każdym razie

kompletnie nie wiedziała, co się z nią dzieje, i wydobyć jej z kabiny zajęłoby na pewno więcej niż cztery sekundy.

- Duża dawka morfiny - wyjaśnił Albertyn Białożimski.

- Gdzie jest doktor Żeleński?

- Wszystko po kolei, panie nadkomisarzu. Proszę uprzedzić pańskich kolegów, a potem podejść tu z moją siostrą.

- Co pan zamierza?

- Dokonamy wymiany jeńców.

Jerzy cofnął się i krzyknął głośno, żeby nikt nie strzelał. Następnie podszedł do swojego samochodu. Białożimska patrzyła na niego z uśmiechem.

- Nastraszył dróżnika granatem - poinformował Witko - wiak. - Kazał mu podnieść i zablokować szlabany, a potem wynosić się z posterunku.

Drwęcki skinął głową i zreferował, czego sam się przed chwilą dowiedział.

- Co robimy? - spytał Michał.

- Mamy niewielki wybór - odparł Jerzy. - Pani wysiądzie! - zwrócił się do Białożimskiej.

Drwęcki chwycił ją mocno za ramię i razem podeszli do citroena.

- Skrzynia na bagaże! - Albertyn rzucił na drogę klucz.

Żeby go podnieść, Drwęcki musiał puścić Ewelinę, która natychmiast wsiadła na tylne siedzenie i zablokowała za sobą drzwi. Strzelec wyborowy znów złożył się do strzału. Za jego przykładem przygotowali broń wszyscy policjanci z wyjątkiem Witkowiaka, który stał na środku drogi, obserwując sytuację. Sędzia Hrabyk wymownym gestem podniósł do góry dłoń.

Jerzy stanął przy zapasowym kole, umocowanym na końcu citroena, i nie spuszczać oczu z pasażerów, zaczął manipulować przy zamku kufra bagażowego. Albertyn siedział spokojnie za kierownicą, Ewelina obserwowała Drwęckiego, głaszcząc po włosach Przybyszewską, która zaczęła się do niej tulić jak dziecko.

Kłapa bagażnika odskoczyła.

- A niech to wszyscy diabli! - sarknął Boy, osłaniając oczy przed światłem. - To pan, panie Jerzy? - zaczął się wygrzebywać ze skrzyni. Jego garnitur powalany był jakimś smarem czy olejem. - Gdzie jest Stasia?

- W samochodzie - odparł lakonicznie Drwęcki.

Boy spoważniał i zajrzał do środka przez tylną szybę. Potem zbladł. Jerzy chwycił go za łokieć i pomógł zejść na ziemię.

- Niech się pan wycofa! - polecił nadkomisarz.

- Mowy nie ma! - warknął Boy. - Nie zostawię Stasi! Natychmiast wypuście ją, wy szaleni łajdacy! - rozgniewany zatrząsł całym samochodem.

Albertyn Białozimski zignorował wybuch literata i spokojnie spojrzął na zegarek.

- Co dalej? - zapytał go Drwęcki.

- Wkrótce musimy ruszać... - odparł zabójca.

- Bierzecie Stanisławę jako zakładniczkę?

- Przynajmniej na razie.

- Po moim trupie! - wybuchnął Żeleński i wyjął z kieszeni scyzoryk. Otworzył go i zaczął energicznie ciąć tylną oponę.

- Czy pan oszalał?! - Drwęcki chwycił go za kołnierz i odciągnął od samochodu.

- Owszem, wprowadzam czynnik szaleństwa... - oświadczył Boy nadspodziewanie rzeczowym szeptem. - Oni myślą, że wszyscy tu będą rozsądni, więc...

- To nie jest kabaret! - zirytował się Drwęcki. - Niech pan stąd idzie! - popchnął Boya w stronę Witkowiaka.

Literat odszedł niechętnie. Witkowiak odprowadził go gdzieś za budkę dróżnika. Jerzy wyjął i demonstracyjnie przeładował colta.

- Jeśli pan strzeli... - zaczął Białozimski.

- Nie pozwolę wam jej zabić - odparł chłodno Drwęcki, podchodząc do samochodu. - Przynajmniej nie tak, jak żeście to sobie zaplanowali...

- Skąd panu przyszło do głowy, że zaplanowaliśmy samobójstwo? - spytała Białozimska. - Potrzebna nam zakładniczka, żeby się wydostać z kraju.

- Niepotrzebna wam zakładniczka. Nie macie pieniędzy na podróże zagraniczne, a pani brat przed chwilą spojrzął na zegarek - odparł Jerzy. - Znaczy się, na coś czeka... Może na pociąg? Pociąg, który się tutaj nie zatrzymuje... - błyskawicznym ruchem chwycił Albertyna za gardło i przystawił mu pistolet do głowy, tuż za uchem.

- Granat...! - stęknął ostrzegawczo zabójca.

- Kula trafiająca w tym miejscu w mózg powoduje nagły skurcz wszystkich mięśni - syknął Drwęcki. - Nie zdołasz wypuścić granatu, zanim nie wyciągnę Stanisławy...

Blefował, ale musiał spróbować. Gdyby nic nie zrobił, Bia - łozimscy nieodwołalnie zabraliby Przybyszewską w swoją ostatnią drogę. Nie mógł pozwolić im ruszyć, nie mógł odstąpić!

Lekki błysk niepewności w oczach Albertyna przekonał Drwęckiego, że blef był skuteczny. Przynajmniej na razie...

- Proszę wypuścić Stanisławę!

Miał tylko jedną szansę. Właściwie szansa to było za duże słowo. Miał tylko nadzieję. Cień nadziei, że po strzale zdoła sięgnąć do samochodu dostatecznie szybko i głęboko, by złapać granat wypadający z martwiejącej dłoni i wyrzucić go do przydrożnego rowu. Zaczął zaciskać palec na spuście colta.

„Od ślubu nikogo nie zabiłem...” - przemknęła mu myśl.

Białozińska gwałtownie pochyliła się do przodu i chwyciła w obie dłonie pięść brata trzymającą granat. Chciała przejąć broń lub rozewrzeć jego palce po strzale nadkomisarza, nie wiadomo. Dość, że przez chwilę przestała zwracać uwagę na Przybyszewską, która bezwładnie osunęła się na drzwi od strony Jerzego, po czym nagle odblokowała je, otworzyła i całym ciałem rzuciła się na zewnątrz.

Drwęcki puścił Albertyna i skoczył w kierunku Stanisławy. Ręka, którą miał zamiar jej pomóc, była zajęta przez pistolet. Wypuścił broń, chwycił pisarkę za kołnierz sukni i szarpnął z całej siły. Białozińscy stracili rozstrzygającą sekundę, ustalając między sobą, które z nich ma trzymać granat. Ewelina nie zdążyła już przytrzymać Stanisławy. Drwęcki wywlókł ją z samochodu, po czym oboje stracili równowagę i runęli na drogę. Jerzy uderzył prawym biodrem o bruk podjazdu na nasyp kolejowy. W oczach rozbłysły z bólu tysiące świateł.

- Mówiłam, panie nadkomisarzu, że nad tym panuję - usłyszał szept Przybyszewskiej.
- Zażyłam tylko trochę, żeby skurczyły mi się źrenice... Reszta to była glukoza...

Nie skomentował. Najpierw przekonał się, że jego biodro nadal jest sprawne i że może podnieść się o własnych siłach. Należało to zrobić szybko, bo leżeli zbyt blisko. W następnej chwili Jerzy zobaczył, że z budki dróżnika wybiega Witkowiak z azbestowym kocem w dłoniach. Zapewne był tam na wyposażeniu przeciwpożarowym. Minęły cztery sekundy... Michał narzucił przeciwogniowy koc na Jerzego i Stanisławę, po czym pomógł Drwęckiemu wstać i razem odciągnęli Przybyszewską.

Wybuch nie nastąpił.

Policjanci, z rewolwerami gotowymi do strzału, otoczyli Citroëna. Jednak kiedy zobaczyli, co się dzieje w środku, cofnęli się szybko, czekając na dalsze rozkazy. Ktoś podniósł pistolet Jerzego i oddał go właścicielowi.

- To pańska sprawa, panie nadkomisarzu! - zawołał sędzia Hrabyk ze swojego stanowiska. - Proszę ją teraz zamknąć!

Drwęcki rozmasował obolałe biodro i pokuszył się z powrotem do Białozińskich. Ewelina przeszła w tym czasie na przednie siedzenie i wzięła na kolana kanister z benzyną. Czerep granatu trzymali teraz oboje.

- Poddajcie się - powiedział łagodnie Jerzy.

Pokręcili przecząco głowami.

- Osobiście napiszę do pana prezydenta wnioszek o wasze ułaskawienie.

- I pójdziemy dożywotnio do więzienia, tak? - spytał sarkastycznie Albertyn.

- To nieuniknione.

- I znów będę dziwadłem, którym wszyscy będą się zabawiać? Wie pan, jak to jest, kiedy każdy zwyrodnialec chce przeżyć niecodzienne doznanie? Albo gdy jakiś zadufany konował dla poklasku wystawia pana nago przed akademickim audytorium? Przed wytrzeszczonymi durniami, bełkoczącymi z namaszczeniem łacińskie terminy, by ukryć swą wyższość i odrazę? Nie, panie nadkomisarzu, przeżyliśmy dość upokorzeń. Całe życie spędziliśmy w więzieniu, tylko o niewidzialnych kratkach, ale to żadna różnica. Nareszcie czuję się człowiekiem i nie wyrzeknę się tej odrobiny godności i wolności, którą teraz mam. Przepraszam, to nie jest odrobina. To bardzo wiele. Czy potrafi pan pojąć, jak wiele?

- Chyba tak - odparł Drwęcki. - Rozumiem. Ale nie musi pan zabierać z sobą siostry - próbował dalej. - Dobry adwokat...

- Dziękuję, panie nadkomisarzu, ale nie. Jesteśmy jednością - powiedziała Ewelina. - Jeżeli nawet nie jesteśmy naturalnymi dziećmi Stanisława Przybyszewskiego, to staniemy się nimi teraz. Spełnimy jego marzenie o ostatecznej jedności kobiety i mężczyzny.

- Myślę, że już nie dokończymy tej rozmowy - Albertyn znów spojrzał na zegarek i chwycił oburącz kierownicę.

Drwęcki obejrzał się w stronę tunelu. Nic nie zobaczył, ale przez warkot silnika Citroena przebił się odległy i coraz wyraźniejszy łoskot pociągu.

Białozimska, przyciskając jedną ręką do piersi odbezpieczony granat, drugą pod przednią szybą położyła ostatnią, siódmą elektryczną perlę, ale oznaczoną numerem jeden. Numerologiczny nawias został zamknięty.

- Sztuka ojca nas wyzwoliła - rzekł Albertyn. - Staliśmy się artystami. „Ponad życiem, ponad światem...” - zaczął recytować Confiteor, jak ostatnią modlitwę. - „Jesteśmy panami panów, nie kielzani żadnym prawem, nie ograniczeni żadną ludzką siłą!”

- A wy wszyscy i tak już wkrótce pójdziecie za nami! - zawołała Ewelina. - Właśnie tą drogą! W ogień i mrok!

Samochód ruszył i natychmiast skręcił na tory, w stronę tunelu. Zatrzęsło nim i zarzuciło, gdy wjechał na podkłady, ale Białozimski wyrównał i przyspieszył. Citroeny szczyły się solidnymi resorami, w sam raz na polskie drogi.

Drwęcki patrzył za nimi bez jednej myśli w głowie. Zauważył, że Witkowiak i Hrabyk biegną w jego stronę, ale nie zareagował na wołania. Patrzył, jak Białozimscy znikają w

czarnej czeluści, dyszącej impetem rozpedzonej lokomotywy. Nie musiał czekać, co będzie dalej. Wszystko się stało natychmiast.

Tunel zionął ogniem i hukiem, jakby w twarz nadkomisarza wystrzeliło olbrzymie działo. Potem rozległ się przenikliwy pisk klocków hamulcowych i zwalniający pociąg wypchnął przed sobą bezkształtne kłębowisko płonącego złomu.

Komisarz Witkowiak bez słowa zdjął kapelusz.

- Jakże to romantycznie, jakże to warszawskie! - rozżośćił się sędzia śledczy. - Gdzie się podział pański profesjonalizm, panie nadkomisarzu?! Skoro nie chcieli się poddać, należało kazać rozstrzelać ich na miejscu! Ucierpiałby co najwyżej posterunek dróżnika, a tak, mamy na głowie remont parowozu i opóźnienia na kolei! Kto za to zapłaci? Oczywiście, budżet wielkopolskiej policji!

- Przepraszam, panie sędzio... - Drwęcki odchrząknął i odetchnął głębiej. - To się nie powtórzy. Obiecuję, że żadna poznańska lokomotywa już więcej nie ucierpi.

Epilog: Najpiękniejsza chwila

Wujaszek Hiacyntus zakończył rundę dookoła Areny i efektownie, ze zgrzytem żuźła, wyhamował motocykl SM przed grupką widzów. Jerzy, Michał, Katarzyna Anna, Lusia i babcia Irena zaczęli bić brawo.

- I co? - zapytał weteran, podnosząc gogle. - Na stare lata można się jeszcze niejednego nauczyć! Tylko szkoda, że to cacko nie lata... Wsiadaj Iren, zrobimy jeszcze jedno kółko!

- Ze niby jak? - nastroszyła się babcia Irena.

- Ależ, duszko, przecież widzisz, że nie ma się czego bać - wujaszek poklepał siedzenie za sobą. - Siadaj, proszę.

- Mowy nie ma! - oświadczyła staruszka. - A poza tym, mój panie, ja się wcale nie boję!

- Tylko co? - zdziwił się weteran.

- Okrakiem mam siadać?! - obruszyła się babcia Irena.

- Bez damskiego siodła nie uchodzi!

- Ależ, duszko, przecież nie ma damskich siodła do motocykli...

- Jak nie ma, to ja nie jadę! Jestem porządną kobietą!

- Cóż, skoro tak... - staruszek z rezygnacją pokręcił głową.

- To może panna Katarzyna?

- Pięknie dziękuję panu weteranowi, ale ja też wolałabym w damskim siodle...

- Na litość boską! - zirytował się wujaszek Hiacyntus.

- W majątku swego ojca nigdy panna po męsku nie jeździła?!

- Jeździłam, proszę pana weterana, ale teraz nie jestem już podlotkiem i okazuję damską solidarność...

- Ty, młody człowieku, doprawdy nie masz pojęcia, w jakie tarapaty się pakujesz! - powiedział starszek do Michała.

- Przyjmuję ten krzyż - komisarz Witkowiak z namaszczeniem pocałował dłoń narzeczonej.

- Ale gdzież się podziały te dwie młode latawice? - babcia Irena rozejrzała się z niepokojem. - O, są!

Od strony wesołego miasteczka, trzymając się pod rękę, nadchodziły roześmiane Marysia i Jadzia. Trochę za nimi szedł Karol.

- Babciu, ależ było wspaniale na kolejce górskiej! - zawołała Marysia. - Powinnaś się koniecznie sama przejechać!

- Co takiego?! - starszka przez chwilę niedowierzała własnym uszom, potem poczerwieniała z gniewu. - W dziewiątym miesiącu?! Coś ty zrobiła, szalona dziewczyno?!

- Ależ babciu, został mi tylko dzień do terminu - odparła beztrąsko żona Jerzego, gładząc się po wystającym brzuchu.

- Uznałam więc, że to jest ostatnia okazja. Jadzia mnie trochę zasłoniła, a dziadziusiowi się podobało...

- Boże! Boże! - starsza pani nie posiadała się z oburzenia.

- I co teraz z tego dziecka wyrośnie?!

- Może pilot kosmicznej rakiety? - podsunął usłużnie wujaszek Hiacyntus. - Pierwszy polski kosmonauta, rzecz jasna, po panu Twardowskim...

- Jakiej rakiety? - starszka wzniosła wzrok ku niebu, jakby szukając tam natchnienia. - Rakiet wam się zachciewa?

- Ależ, popatrz, duszko - wujaszek szerokim gestem obu rąk ogarnął teren Pewuki wokół nich. - Wszędzie postęp i praca! Gdzie nie spojrzeć, nowe możliwości, aż serce rośnie. Za dziesięć lat będą wystawiać tu kosmiczne rakiety! - zapewnił z przekonaniem.

- Ja wam dam rakiety...! - starszka uniosła parasolkę i ruszyła do szarży. Tu jednak pojawił się problem, komu przyłać. Przecież nie ciężarnej wnuczce. Jadzia podlegała jurysdykcji starszego brata, z kolei mąż i zięć byli w zasadzie niewinni... - A ty, młody człowieku, gdzieś ty miał oczy i rozum?! - cały gniew babci Ireny skupił się na Karolu.

- Ależ, proszę pani... - kawaler Krzyża Walecznych zrejterował w popłochu za wujaszka Hiacyntusa i jego motocykl.

- Czekaj, czekaj smarkaczu! - staruszka ani myślała rezygnować. - To tak się dba o niewiasty powierzone twojej opiece?!

- Proszę pani, ja proszę... ależ powaga munduru...

- Ja ci dam mundur, smarku! Ja ci dam prezydenta i konstytucję!

- Przepraszam, babciu - powiedziała z wielką godnością Marysia. - Ale właśnie odeszły mi wody... Ałaa... - uwiesiła się na ramieniu Jadzi.

Karol przestał dla staruszki istnieć.

- Jak tu można najszybciej dostać taksówkę? - rzeczowo zwróciła się do Michała.

- Przy Wyspiańskiego! Zaraz załatwię! - Witkowiak pobiegł w kierunku pawilonów administracji terenu E.

- Jerzy, nie stój tak! Zajmij się żoną! Pan Karol pomoże!

- Tak jest, proszę starszej pani!

Kiedy dotarli do wyjścia, Michał już czekał z taksówką.

- Do jakiego szpitala najlepiej? - spytała staruszka.

- Może na Jeżyce, do kliniki na Polnej? - zaproponował Witkowiak. - Wiecie gdzie? - zwrócił się do kierowcy.

- Pojademy prosto jak strzylił! - zapewnił szofer. - Dość prędko jest tyn pani łobuzek? - zagadnął fachowo rodzącą.

- Nie trzeba się za bardzo spieszyć - wysapała Marysia, układając się na tylnym siedzeniu.

Miała rację, gdyż poród przeciągnął się do późnego wieczora. Jerzy zdążył trzy razy wyjść z siebie i wrócić z powrotem. Jak zwykle niezastąpiony okazał się wujaszek Hiacyntus, który w najważniejszym momencie, zza poły styczniowego munduru, wydobyl piersiówkę koniaku.

- Który z panów jest mężem pani Drwęckiej? - pojawił się wreszcie lekarz.

Jerzemu przeleciały przed oczami wszystkie wojenne i policyjne sceny, kiedy ludzie ginęli z jego ręki... Podłoga przechyliła się wyraźnie i zaczęła usuwać się mu spod stóp.

- Profesor Bolesław Kowalski, miło mi - położnik sam się zorientował i podszedł do właściwej osoby.

- Jerzy Drwęcki - z wysiłkiem uniósł rękę.

- Gratuluję, ma pan syna! Trzy kilo siedemset, matka i dziecko czują się dobrze.

Stary kosynier klepnął go w plecy tak serdecznie, że Drwęcki o mało nie padł przed lekarzem na kolana. Potem znalazł się w oku cyklonu, który rozpętali wokół wszyscy domownicy.

- Proszę państwa, tędy - profesor Kowalski wskazał drogę, gdy radosne szaleństwo nieco opadło.

Pierwszy do pokoju położnicy wpadł cały warszawsko-poznański fraucymer i zaczęło się tradycyjne szukanie podobieństw oraz zachwyty nad malutkim noskiem, rączkami i stopkami.

Jerzy poczuł, że potrzebuje jeszcze chwili, aby wziąć się w garść. Oparł się o najbliższy parapet. Okno wychodziło akurat na wystawowe tereny E i Drwęcki zapatrzył się na migoczącą w oddali iluminację wesołego miasteczka oraz światła stojących tuż obok, przypominających chińskie pagody, pawilonów Akwawitu. Myśli nadkomisarza rozjaśniały się stopniowo, zaczęły ogarniać go ulga i radość.

- Pora umierać - oświadczył niespodziewanie stojący tuż obok weteran.

- Czemu wujaszek tak mówi? - zdumiał się Drwęcki.

- Wiesz, tak sobie pomyślałem, Jerzyku - zasępił się staruszek. - Tak mnie jakoś naszło, mój drogi, że piękniej już być nie może...

KTL

Warszawa, maj - sierpień 2007 r.

Podziękowania

Autor serdecznie dziękuje za nieocenioną pomoc faktograficzną Maciejowi Witkowiakowi i Pawłowi Dunin-Wąsowiczowi. W szczególności - Maćkowi, rodowitemu Poznańczykowi za rodzinną historię przodka Michała, autentycznego policjanta z czasów Powszechnej Wystawy Krajowej. Pawłowi, za odszukanie bezcennej dla tej książki, autentycznej kroniki wycieczki szkolnej na PWK, którą latem 1929 zwiedzały uczennice warszawskiego żeńskiego gimnazjum Heleny Rzeszotarskiej, notując na gorąco swoje wrażenia i spostrzeżenia.

1 Bronisław Wieczorkiewicz, *Warszawskie ballady podwórzowe*, PIW, Warszawa 1971.

2 Julian Tuwim, *Jarmark rymów*, w: *Dzieła*, t. 3, Czytelnik, Warszawa 1958.

3 Tadeusz Boy-Żeleński, *Słówka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1954.

4 Cytowane fragmenty *Confiteor* pochodzą z czasopisma „*Życie*”, nr 1 z 10 stycznia 1899 r. ‘

5 Tadeusz Boy-Żeleński, *Słówka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1954.

6 cytowane fragmenty za: Tadeusz Boy-Żeleński, *Słówka*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1954.